

# HARLAN COBEN

**W domu**

Thriller



## O książce

### **NAJNOWSZY THRILLER Z MYRONEM BOLITAREM, NA KTÓRY CZYTELNICY CZEKALI PIĘĆ LAT**

Dwaj sześciolatekni chłopcy zostali uprowadzeni z domu w biały dzień. Zuchwałę porwanie wstrząsnęło zamożną okolicą. Przez dziesięć lat nie było po nich śladu, a teraz wreszcie jest szansa na szczęśliwe zakończenie. Jeden z nich odnajduje się w Londynie w dziwnych okolicznościach. I ma kłopoty.

Myron Bolitar, na prośbę przyjaciela Wina Lockwooda, wkracza do akcji, aby odnaleźć drugiego chłopca. Mnożą się pytania. Co się z nim stało? Co pamięta odnaleziony? I czy można mu ufać?

Wydaje się, że śledztwo zmierza ku końcowi. Ale to dopiero początek...

# HARLAN COBEN

## W domu

Z angielskiego przełożył  
JAN KRAŚKO



Wydanie elektroniczne

## O AUTORZE

Współczesny amerykański pisarz, który uznanie w kręgu miłośników literatury sensacyjnej zdobył swoją trzecią książką, **Bez skrupułów**, opublikowaną w 1995 r. Jako pierwszy współczesny autor otrzymał trzy prestiżowe nagrody literackie przyznawane w kategorii powieści kryminalnej, w tym najważniejszą – Edgar Poe Award. Światowa popularność Cobena zaczęła się w 2001 r. od thrillera **Nie mów nikomu**, zekranizowanego w 2006 r. Kolejne powieści, m.in. **Na gorącym uczynku**, **Wszyscy mamy tajemnice**, **Zostań przy mnie**, **Schronienie**, **Kilka sekund od śmierci**, **Sześć lat później** i **Tęsknię za tobą**, uczyniły go megagwiazdą gatunku i jednym z najchętniej czytanych autorów, także w Polsce. Twórczość pisarza wciąż budzi zainteresowanie filmowców: na podstawie prozy Cobena powstało kilka filmów i seriali, prawa do ekranizacji **Tęsknię za tobą** zostały kupione przez Warner Bros, a w ekranizacji **Już mnie nie oszukasz** główną rolę zagra Julia Roberts.

*Tego autora*

NIE MÓW NIKOMU  
BEZ POŻEGNANIA  
JEDYNA SZANSA  
TYLKO JEDNO SPOJRZENIE  
NIEWINNY  
W GŁĘBI LASU  
ZACHOWAJ SPOKÓJ  
MISTYFIKACJA  
NA GORĄCYM UCZYNKU  
KLINIKA ŚMIERCI  
ZOSTAŃ PRZY MNIE  
SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ  
TĘSKNIĘ ZA TOBĄ  
NIEZNAJOMY  
JUŻ MNIE NIE OSZUKASZ

**Myron Bolitar**  
BEZ SKRUPUŁÓW  
KRÓTKA PIŁKA  
BEZ ŚLADU  
BŁĘKITNA KREW  
JEDEN FAŁSZYWY RUCH  
OSTATNI SZCZEGÓŁ  
NAJCZARNIEJSZY STRACH  
OBIECAJ MI  
ZAGINIONA  
WSZYSCY MAMY TAJEMNICE  
W DOMU

**Mickey Bolitar**  
SCHRONIENIE  
KILKA SEKUND OD ŚMIERCI  
ODNALEZIONY

Jako współautor  
AŻ ŚMIERĆ NAS ROZŁĄCZY  
NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2011

Tytuł oryginału:  
HOME

Copyright © Harlan Coben 2016  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2018

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: © Trevor Payne/Arcangel

ISBN 978-83-8125-119-8

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.  
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)  
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

*Mike'owi, George'owi i męskim przyjaźniom wieku średniego*

Zaginiony od dziesięciu lat chłopak wychodzi na światło dzienne.

Nie jestem historykiem ani nawet kimś, kogo łatwo ogarnia zdumienie. W swoim czterdziestokilkuletnim życiu sporo widziałem. Wiele razy omal mnie nie zabito i wiele razy zabijałem. Widziałem przejawy bestialstwa, które większość z was uznałaby za trudne lub w ogóle niemożliwe do zrozumienia, choć niektórzy twierdziliby zapewne, że ja też je wykazywałem. Z biegiem lat nauczyłem się panować nad emocjami i, co ważniejsze, nad swoimi reakcjami podczas stresujących, niepewnych sytuacji. Potrafię uderzyć szybko i gwałtownie, lecz nie robię niczego bez namysłu i celu.

Te... nazwijmy je przymiotami... No więc te przymioty wiele razy uratowały życie i mnie, i tym, którzy coś dla mnie znaczą.

Mimo to przyznaję, że kiedy widzę tego chłopaka pierwszy raz – no tak, jest już nastolatkiem – czuję, że przyspiesza mi puls. W uszach dudni krew. Bezwiednie zaciskam pięści.

Minęło dziesięć lat, a teraz dzieli mnie od niego nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Patrick Moore – tak się nazywa – opiera się o upstrzony graffiti betonowy wspornik przejścia podziemnego. Jest przygarbiony. Niespokojnie strzela wokoło oczami, a w końcu wbija wzrok w popękany chodnik. Ma krótko obcięte włosy, fryzurę, którą nazywaliśmy kiedyś „na rekruta”. W przejściu kręci się także dwóch innych nastolatków. Jeden pali tak zajadle, jakby papieros zrobił mu krzywdę. Drugi jest w nabijanej ćwiekami psiej obroży i siatkowej koszulce, uniformie, który w sposób najbardziej oczywisty z oczywistych zdradza jego aktualną profesję.

Górą pędzą z rykiem niczego nieświadome samochody. Jesteśmy na King's Cross, w dzielnicy, którą w ciągu ostatnich dwudziestu lat „odmłodzono” muzeami, bibliotekami, siedzibą Eurostaru, a nawet tabliczką na Peronie 9¾, skąd Harry Potter odjeżdżał do Hogwartu. Znaczna część tak zwanego niepożądanego elementu uciekła stąd we względnie bezpieczne zacisze transakcji cyberprzestrzennych – mniejszy popyt na ryzykowny sekshandel samochodowy to kolejny, jakże wartościowy, produkt uboczny internetu – lecz wystarczy, dosłownie lub w przenośni, przejść na złą stronę ulicy, oddalając się nieco od nowych błyszczących wieżowców, i można znaleźć miejsca, gdzie brud moralny wciąż kwitnie w skondensowanej formie.

I właśnie tam znalazłem zaginionego chłopaka.

Część mnie – ta gwałtowna, ta, którą trzymam na wodzy – pragnie do niego podbiec i go schwytać. Jeśli to rzeczywiście Patrick, a nie jego sobowtór czy mój błąd, chłopak musi mieć szesnaście lat. I z tej odległości ma. Dziesięć lat temu –



odejmijcie dziesięć od szesnastu, a zobaczycie, jaki był wtedy młody – mieszkał w Alpine, na superbogatym przedmieściu Nowego Jorku, i w dniu porwania bawił się z Rhyssem, synem mojej kuzynki.

Stąd mój dylemat.

Jeśli schwytam Patricka już teraz, jeśli po prostu podbiegnę i go złapię, co się stanie z jego towarzyszem dziecięcych zabaw? W zasięgu wzroku mam jednego zaginionego, a przyjechałem uratować dwóch. Co znaczy, że muszę zachować ostrożność. Nie mogę wykonać ani jednego gwałtownego ruchu. Muszę być cierpliwy. Bez względu na to, co stało się przed dziesięciu laty, niezależnie od sposobu, w jaki wynaturzone bestie uprowadziły tego chłopca z bogatej kamiennej rezydencji i zaciągnęły do tego brudnego wychodka pod wiaduktem (nie bardzo wierzę w okrucieństwo losu, ponieważ sprawcą jest zwykle nasz drogi bliźni), teraz martwię się, że wystarczy jeden zły ruch i któryś z chłopców – albo obydwaj – może znowu zniknąć, tym razem na zawsze.

Nie, zaczekam na Rhysa. Zaczekam na Rhysa, a potem złapię ich obu i odwieżę do domu.

Zapewne przeszły wam przez myśl dwa pytania.

Pierwsze: Skąd pewność, że mając ich w polu widzenia, dam radę złapać obydwu naraz? A jeśli wyprano im mózgi i będą stawiali opór? – spytacie. A jeśli porywaczy, czy tych, którzy mają w ręku klucz do wolności chłopców, jest wielu? Jeśli są agresywni i zdeterminowani?

Odpowiem tak: O to się nie martwcie.

Drugie pytanie jest znacznie bardziej palące: A jeśli Rhys się nie pokaże?

Nie jestem zwolennikiem odkładania zmartwień na później, więc opracowuję plan awaryjny, który przewiduje obserwację terenu i dyskretne śledzenie Patricka. Zastanawiam się właśnie, czy plan by wypalił, gdyby wszystko wzięło w łeb.

Ruch się wzmaga. Życie podlega kategoryzacji. Ten uliczny pisuar też. Jedno podziemne przejście obsługuje heteroseksualnych mężczyzn szukających towarzystwa kobiet. W tym ruch jest największy. Pewnie ze względu na staromodne wartości. Możecie gadać sobie o genderach, preferencjach i perwersjach, ale zdecydowaną większość sfrustrowanych seksualnie ludzi wciąż stanowią niezaspokojeni mężczyźni. Stara szkoła. Dziewczęta o martwych oczach stają przy betonowych wspornikach: przejeżdżają samochody, jedne dziewczęta wsiadają i znikają, a ich miejsce zajmują inne. Przypomina to obserwowanie automatu z wodą sodową na stacji benzynowej.

W drugim przejściu widać małe zbiorowisko osób transpłciowych czy transwestytów, przebranych za kobiety mężczyzn w różnych odmianach i stadiach transseksualizmu, a dalej, na samym końcu, tam gdzie stoi Patrick – targowisko młodych gejów.

W stronę Patricka pewnym krokiem zmierza mężczyzna w koszuli koloru dojrzałego melona.

Widząc chłopaka pierwszy raz, zastanawiałem się, co zrobię, jeśli podejdzie do niego jakiś klient. Uznałem, że najlepiej będzie natychmiast zainterweniować.

Tak byłoby najbardziej humanitarnie, lecz interweniując, straciłbym z oczu swój nadrzędny cel: uratowanie obu chłopców. Obu, nie tylko Patricka. Uprowadzono ich przed dziesięciu laty, taka jest prawda. Przez ten czas przeżyli Bóg wie co i chociaż pragnę oszczędzić im kolejnej krzywdy, zdążyłem już zbilansować wszystkie „za” i „przeciw” i podjąłem decyzję. Nie ma sensu dłużej zwlekać, nie w tej sytuacji.

Sęk w tym, że Melon nie jest klientem.

Od razu to widzę. Klienci nie chodzą tak dumnym krokiem. Nie podnoszą tak wysoko głowy. Nie wkładają tak jaskrawych koszul. Mężczyźni zdesperowani na tyle, by przyjść tu w celu zaspokojenia swoich potrzeb, odczuwają wstyd lub strach przed wpadką, a najprawdopodobniej jedno i drugie.

Natomiast Melon porusza się i ma postawę człowieka swobodnego i niebezpiecznego. Każdy odpowiednio wyczulony natychmiast takie rzeczy wyczuwa. Rejestruje je gadzi mózg, który z sobie tylko znanych powodów emituje wtedy ostrzegawczy wewnętrzny trzask. Człowiek współczesny boi się bardziej wstydu niż niebezpieczeństwa, dlatego często ignoruje ów trzask, narażając się na ryzyko.

Melon zerka za siebie. Na scenę wydarzeń wkracza dwóch kolejnych mężczyzn, ubezpieczając go z lewej flanki i prawej. Obaj są potężnie zbudowani, ubrani w bojówki moro i eksponujące błyszczącą klatę podkoszulki żonobijki. Pracujący w podziemnym przejściu chłopcy – palacz i ten w nabijanej ćwiekami psiej obroży – natychmiast uciekają i Patrick zostaje sam na sam z trzema nowo przybyłymi.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Chłopak wciąż ma spuszczone wzrok; jego na wpół ogolona głowa się błyszczy. Z obecności Melona zdaje sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy ten staje tuż przed nim. Podchodzi bliżej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Patrick mieszka na ulicy już od lat. Myślę o tym przez chwilę: uprowadzony spod wygodnego, bezpiecznego klosza na amerykańskich przedmieściach i wrzucony w to... Kto wie, co to właściwie jest?

Ale przez ten czas nabył zapewne wiele przydatnych umiejętności. Więc może wyjdzie z tego bez szwanku. Może to tylko pozory i sytuacja nie jest aż tak niebezpieczna. Muszę poczekać i przekonać się.

Melon staje tuż przed nim. Coś mówi. Nie słyszę co. Bez dalszych wstępów zaciska pięść, bierze szybki zamach i jak młotem uderza Patricka w splot słoneczny.

Chłopak osuwa się na ziemię, z trudem łapiąc oddech.

Ci w bojówkach podchodzą bliżej.

Włączam się do gry.

– Panowie! – wołam.

Na dźwięk mojego głosu Melon i ci w żonobijkach odwracają się na pięcie. Początkowo mają miny neandertalczyków, którzy po raz pierwszy słyszą dziwny hałas. Potem mrużą oczy i otaksowują mnie spojrzeniem. Na ich ustach pojawia się uśmiech. Nie należę do mężczyzn o imponującej posturze. Jestem średniego

wzrostu, mam siwiejące już jasne włosy, cerę jasną jak porcelanowa, nabierającą rumieńców na zimnie, i delikatne rysy twarzy, dzięki którym mogę uchodzić – taką przynajmniej mam nadzieję – za dość przystojnego.

Dzisiaj jestem w szytym na miarę jasnoniebieskim garniturze z Savile Row, krawacie od Lilly Pulitzer, butach zrobionych na zamówienie przez najlepszych specjalistów G.J. Cleverleya z Old Bond Street, a w brustaszy mam poszetkę od Hermesa.

Prawdziwy dandys ze mnie, co?

Idąc niespiesznie w ich stronę i żalując, że nie mam parasola i nie mogę kręcić nim dla większego efektu, czuję, że nabierają pewności siebie. I bardzo mi się to podoba. Zazwyczaj noszę pistolet, często nawet dwa, ale Brytyjczycy podchodzą do broni bardzo surowo. Co mnie zupełnie nie martwi. Piękno tego rygorystycznego prawa polega na tym, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, moi przeciwnicy też nie są uzbrojeni. Moje oczy szybko skanują ich ciała w poszukiwaniu ukrytego ryszunka – wszyscy trzej lubują się w niezwykle obcisłych strojach, bardziej stosownych do popisywania się na wybiegu niż kamuflowania.

Mogą mieć noże – i prawdopodobnie mają – ale nie, na pewno nie mają pistoletów czy rewolwerów.

Nożami się nie przejmuję.

Patrick – jeśli to on – wciąż leży na ziemi, dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba. Przystaję, szeroko rozkładam ręce i posyłam im swój najbardziej ujmujący uśmiech. Gapią się na mnie jak na eksponat muzealny, który nie wiadomo do czego służy.

Melon robi krok w moją stronę.

– A ty, kurwa, kto?

Nie przestaję się uśmiechać.

– Panowie – mówię – lepiej odejdźcie.

Patrzy na Żonobijcę, który stoi po mojej prawej stronie. Potem na tego po lewej. Ja też na nich patrzę, po czym przenoszę wzrok z powrotem na Melona.

Puszczam do niego oko, a on gwałtownie unosi brwi.

– Pochlastajmy go – proponuje Żonobijca z prawej. – Potnijmy na kawałeczki.

Udaję przestraszonego i odwracam się w jego stronę.

– Ojej, nie widziałem pana!

– Że co?

– W tym kamuflażu. Całkowicie wtapia się pan w tło, naprawdę. Tak przy okazji, bardzo panu do twarzy w tym stroju.

– Taki z ciebie mądrala?

– Owszem, pod wieloma względami, nie przeczę.

Uśmiechy poszerzają się, łącznie z moim.

Mężczyźni ruszają w moją stronę. Mógłbym się jakoś z tego wykręcić, zaproponować im pieniądze, żeby dali mi spokój, lecz nie sądzę, żebym coś tym ugrał, a to z trzech powodów. Po pierwsze, na pewno zechcą odebrać mi wszystkie pieniądze, jakie przy sobie mam, pieniądze, zegarek i całą resztę.

Propozycja przekupstwa by nie poskutkowała. Po drugie, wyczuli już krew – łatwą i słabą – i spodobał im się ten zapach. Wreszcie, po trzecie i najważniejsze: ja też lubię ten zapach.

Zbyt dawno go nie wachałem.

Próbuję się nie uśmiechać, gdy ruszają. Melon wyjmuje duży nóż myśliwski. Czym sprawia mi przyjemność. Nie mam skrupułów moralnych przed unieszkodliwieniem kogoś, kogo uważam za złego. Jednak tych, którzy potrzebowaliby jakichś argumentów, by móc określić mnie mianem człowieka „miłego”, z pewnością ucieszy fakt, że to ci trzej jako pierwsi sięgnęli po broń, dzięki czemu mogę z czystym sumieniem twierdzić, że działałem w samoobronie.

Mimo to daję im ostatnią szansę.

Patrzę Melonowi prosto w oczy i powtarzam:

– Lepiej odejdźcie.

Ci w bojówkach i żonobijkach wybuchają śmiechem, lecz uśmiech Melona zaczyna blednąć. Facet już wie. Widzę, że wie. Patrzy na mnie i wie.

Reszta dzieje się błyskawicznie.

Żonobijca numer jeden nadchodzi z prawej, naruszając moją prywatną przestrzeń. Jest wielkim facetem. Na wysokości wzroku mam jego szeroką, wydepilowaną klatkę piersiową. Uśmiecha się do mnie jak do smakowitego kąska, który zamierza połknąć w całości.

Nie ma powodu opóźniać nieuchronnego.

Podrzynam mu gardło ukrytą w dłoni brzytwą.

Niemal idealnym łukiem tryska na mnie krew. Cholera. Będę musiał znowu wpaść na Savile Row.

– Terence!

To Żonobijca numer dwa. Dopiero teraz dostrzegam podobieństwo i płynnie robiąc zwrot w jego stronę, zastanawiam się, czy nie są braćmi. Bandzior jest wstrząśnięty, oszołomiony żalem i smutkiem, dlatego bez trudu go eliminuję, choć nie sądzę, żebym miał kłopoty, nawet gdyby był lepiej przygotowany.

Brzytwa – tak, dobrze nią władam.

Żonobijca numer dwa ginie w ten sam sposób, co nasz drogi Terence, możliwe, że jego brat.

Na placu boju zostaje Melon, ich ukochany przywódca, który dochrapał się tej rangi najprawdopodobniej dzięki temu, że jest bardziej brutalny i przebiegły niż jego polegli towarzysze. Zaczyna wykonywać swój pierwszy ruch w chwili, gdy jestem zajęty Żonobijcą numer dwa – bardzo mądre pociągnięcie. Kątem oka widzę błysk opadającej na mnie klingi.

A to z kolei błąd.

Nie uderza się z góry. Taki cios łatwo jest odparować. Przeciwnik może zyskać na czasie, uchylając się lub blokując cios przedramieniem. Tych, którzy zamierzają strzelać do kogoś z pistoletu, uczy się celowania w środek masy ciała, żeby trafili nawet wtedy, kiedy zadrży im ręka. Zawsze trzeba brać poprawkę na ewentualny błąd. Podobnie z nożem. Trzeba maksymalnie skrócić długość

pchnięcia. Celować w środek masy ciała, żeby zranić przeciwnika nawet wtedy, kiedy się poruszy.

Melon o tym zapomniał.

Robię unik, kontruję prawym przedramieniem – opis: patrz wyżej – obracam się na ugiętych kolanach i tnę go brzytwą przez brzuch. Nie czekam na jego reakcję. Wyprostowuję się i dobijam go w ten sam sposób co tamtych dwóch.

Tak jak mówiłem, trwa to zaledwie kilka sekund.

Popękany chodnik jest zapaskudzony na karmazynowo, z każdą chwilą coraz bardziej zapapwany. Delektuję się podnieceniem, lecz daję sobie na to tylko sekundę, nie więcej. Też byście się delektowali, gdybyście nie udawali, że was to oburza.

Odwracam się do Patricka.

Lecz Patricka nie ma.

Patrzę w lewo, patrzę w prawo. Jest, ale już znika mi z oczu. Biegnę za nim, bardzo szybko, jednak zdaję sobie sprawę, że to bezsensowne. Chłopak pędzi w kierunku stacji King's Cross, jednej z najruchliwszych w Londynie. Będzie tam – w publicznym miejscu – zanim zdążę go dogonić. Jestem zbryzgany krwią. Owszem, mogę być dobry w tym, co robię, ale chociaż King's Cross jest stacją, z której Harry Potter odjeżdżał do Hogwartu, to ja nie dysponuję peleryną niewidką.

Zatrzymuję się, zerkam za siebie, oceniam sytuację, wyciągam wniosek.

Skrewilem.

Pora zniknąć. Nie martwię się tym, że mogły mnie nagrać kamery monitoringu miejskiego. Niepożądany element nie bez powodu wybiera miejsca takie jak to. Leżące z dala od wścibskich oczu, nawet tych cyfrowych i elektronicznych.

Ale tak, nawaliłem. Po tylu latach, tylu bezowocnych poszukiwaniach natrafiam wreszcie na dobry trop i go gubię...

Potrzebuję pomocy.

Szybko odchodzę i naciskam jedynekę na liście numerów szybkiego wybierania w telefonie. Pierwszy raz od roku.

Odbiera po trzecim sygnale.

– Halo?

Wziąłem się w garść, lecz gdy słyszę jego głos, przez chwilę kręci mi się w głowie. Mam anonimowy numer, więc nie wie, kto dzwoni.

– Czyżbyś chciał powiedzieć „Wysłów się”? – pytam.

Słyszę, że go zatyka.

– Win? Boże, gdzie ty się...

– Widziałem go.

– Kogo?

– Pomyśl.

Króciutka pauza.

– Chwila, widziałeś obu?

– Tylko Patricka.

– Rany boskie.

Unoszę brwi. Rany boskie?

– Myron?

– Tak?

– Złap najbliższy samolot do Londynu. Musisz mi pomóc.

Dwie minuty przed telefonem od Wina Myron Bolitar leżał nago na łóżku u boku oszalałymi pięknej kobiety. Ciężko dysząc, zatraceni w rozkoszy, którą daje... hm, tylko rozkosz, oboje patrzyli na ozdobne sztukaterie na suficie.

– Rany boskie – sapnęła Terese.

– Prawda?

– To było...

– Prawda?

Myron celował w postkoitalnych rozmowach.

Terese spuściła nogi, wstała i podeszła do okna. Myron ją obserwował. Lubił, kiedy chodziła nago, bo poruszała się wtedy jak pewna siebie pantera, zwinnie i sprężysto. Apartament górował nad zachodnim obrzeżem Central Parku. A ona patrzyła na staw i Bow Bridge. Jeśli kiedykolwiek widzieliście film, na którym dwoje zakochanych biegnie przez żelazny mostek w Nowym Jorku, to właśnie Bow Bridge.

– Boże, co za widok – powiedziała.

– Wyjęłaś mi to z ust.

– Gapisz się na mój tyłek?

– Nie. Ja go obserwuję. Ochraniam.

– Jak strażnik?

– Odwracając wzrok, zachowałbym się nieprofesjonalnie.

– Hm... tego byśmy chyba nie chcieli.

– Dziękuję.

– Myron? – rzuciła, wciąż stojąc plecami do niego.

– Tak, kochanie?

– Jestem szczęśliwa.

– Ja też.

– To przerażające.

– Masz rację – zgodził się z nią Myron. – Budzi grozę. Lepiej wracaj do łóżka.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nie rzucaj słów na wiatr.

– Ależ skąd – powiedział i po chwili dodał: – Czy można tu gdzieś dostać ostrygi i witaminę E?

Odwróciła się, posłała mu swój najbardziej czarujący uśmiech i – łups! – jego serce rozpadło się na milion kawałków. Terese Collins wróciła. Po tylu latach separacji, bólu i huśtawki emocjonalnej mieli się w końcu pobrać. Niesamowite. Cudowne. Kruche i niepewne.

I wtedy zadzwonił telefon.

Oboje znieruchomieli, jakby się tego spodziewali. Kiedy wszystko idzie aż za dobrze, każdy wstrzymuje oddech, żeby nagle nie przestało. Każdy chce, żeby trwało i trwało, próbuje nawet zahamować upływ czasu, aby nie tracić złudzeń i jak najdłużej zostać pod swoim małym bezpiecznym kloszem.

Cóż, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Zaczynały się schody.

Myron zerknął na ekran komórki, lecz numer się nie wyświetlił. Spotykali się w Dakota Building na Manhattanie. Win zniknął rok temu, ale wcześniej przepisał na niego swój apartament. Większość tego czasu Myron spędził w swoim rodzinnym domu pod Livingston w New Jersey, gdzie próbował wychowywać nastoletniego bratanka, Mickeya, lecz po powrocie brata oddał im dom i przeniósł się do Nowego Jorku.

Drugi dzwonek. Terese odwróciła głowę tak gwałtownie, jakby ktoś ją spoliczkował. Myron zobaczył bliznę po kuli na jej szyi i poczuł, jak wzbiera w nim stare uczucie. Tak bardzo pragnął jej strzec.

Chciał zaczekać, aż włączy się poczta głosowa, ale Terese zamknęła oczy i lekko skinęła głową, tylko raz. Oboje wiedzieli, że zwłoka opóźni jedynie to, co nieuniknione.

Odebrał po trzecim dzwonku.

– Halo?

Znajome wahanie, szum eteru i głos, którego od tak dawna nie słyszał.

– Czyżbyś chciał powiedzieć „Wysłów się”?

Myron próbował nad sobą zapanować, mimo to cicho sapnął.

– Win? Boże, gdzieś ty się...

– Widziałem go.

– Kogo?

– Pomyśl.

Nie, Myron nie śmiał powiedzieć tego na głos.

– Chwila, widziałeś obu?

– Tylko Patricka.

– Rany boskie.

– Myron?

– Tak?

– Złap najbliższy samolot do Londynu. Musisz mi pomóc.

Popatrzył na Terese. Zgliszcza – znowu miała to w oczach. Były tam zawsze, od lat, odkąd tylko uciekli, lecz nie widział ich od jej powrotu. Dopiero teraz je ujrzał. Wyciągnął do niej rękę. Ujęła jego dłoń.

– Życie mi się trochę skomplikowało... – powiedział do telefonu.

– Terese wróciła – rzucił Win.

To nie było pytanie. Już wiedział.

– Tak.

– I w końcu się pobieracie.

To też nie było pytanie.

– Tak.

– Kupiłeś już pierścionek?



- Tak.
  - U Normana przy Czterdziestej Siódmej?
  - Oczywiście.
  - Więcej niż dwa karaty?
  - Win...
  - Cieszę się, naprawdę.
  - Dziękuję.
  - Ale nie weźmiesz ślubu bez drużby.
  - Poprosiłem już brata.
  - Ustąpi mi miejsca. Samolot odlatuje z Teterboro. Samochód już czeka.
- Win rozłączył się.
- Terese spojrzała na Myrona.
- Musisz jechać.
- Nie wiedział, czy było to pytanie, czy stwierdzenie.
- Win nie prosi, jeśli nie musi.
  - Fakt – przyznała. – Nie prosi.
  - To nie potrwa długo. Wrócę i pobierzemy się. Słowo.
- Usiadła na łóżku.
- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?
  - Co słyszałaś?
  - Niewiele, strzępki – odparła. I spytała: – Pierścionek ma więcej niż dwa karaty?
- Tak.
  - Dobrze. Więc powiedz, co się dzieje.
  - Pamiętasz to porwanie w Alpine dziesięć lat temu?
- Kiwnęła głową.
- Oczywiście. Relacjonowaliśmy to.
- Przez wiele lat prowadziła główne wydanie dziennika na popularnym telewizyjnym kanale informacyjnym.
- Jeden z tych uprowadzonych chłopców, Rhys Baldwin, jest krewnym Wina.
  - Nigdy mi o tym nie mówiłeś.
- Myron wzruszył ramionami.
- Niewiele miałem z tym wspólnego. Zanim zajęliśmy się tą sprawą, zdążyła już przyschnąć. Więc odłożyłem ją na później.
- Ty tak, ale nie Win.
  - On nigdy nie odkłada niczego na później.
  - Wpadł na nowy trop?
  - Nie tylko. Mówi, że widział Patricka Moore’a.
  - Więc dlaczego nie zawiadomił policji?
  - Nie wiem.
  - I nie spytałeś.
  - Wierzę mu. Umie oceniać sytuację.
  - Potrzebuje twojej pomocy.
  - Tak.

Terese skinęła głową.

– To lepiej się spakuj.

– Poradzisz sobie?

– Win ma rację.

– W czym?

– Nie możemy wziąć ślubu bez drużby – odparła, wstając.

• • •

Win przysłał czarną limuzynę. Czekala w łukowatym przejściu Dakota Building. Podrzuciła go na lotnisko Teterboro w północnym New Jersey, pół godziny jazdy od Manhattanu. Na drodze do kołowania stał już prywatny boeing business jet Wina. Nie było ochrony, odprawy ani biletów. Samochód wysadził go przy schodach. Powitała go stewardesa, młoda urocza Azjatka w dopasowanym staromodnym uniformie, do kompletu z bufiastą bluzką i toczkiem.

– Miło pana widzieć, panie Bolitar.

– Mnie również, Mee.

Na wypadek gdybyście nie dostali okólnika: Win jest bogaty.

Tak naprawdę nazywa się Windsor Horne Lockwood III; patrz: konsorcjum inwestycyjne Lock-Horne Investments and Securities czy gmach Lock-Horne'a przy Park Avenue. Pochodzi ze starej, bogatej rodziny, której członkowie zeszli kiedyś z pokładu *Mayflower* w różowych koszulkach polo, by od razu napić się angielskiej herbaty.

Myron miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, więc wchodząc do samolotu, musiał się pochylić. W środku były skórzane fotele, drewniane wykończenia, kanapa, zielona wykładzina dywanowa na podłodze, tapeta w pasy na ścianach – maszyna należała kiedyś do jakiegoś rapera i Win postanowił nie zmieniać wystroju wnętrza, ponieważ czuł się w niej „odlotowo” – wielki telewizor, kanapa i podwójne łóżko w sypialni w ogonie.

Był w kabinie zupełnie sam, co trochę go krępowało, ale jakoś się z tym uporał. Usiadł i zapiął pas. Samolot pokołował na start. Mee przeprowadziła krótki instruktaż dotyczący zasad bezpieczeństwa. W toczku. Miron wiedział, że Winowi podobają się toczki.

Dwie minuty później wzbili się w powietrze.

– Czy coś panu podać? – spytała Mee.

– Widziała go pani? Gdzie on się podziewał?

– Nie wolno mi mówić.

– Dlaczego?

– Prosił, żebym uprzyjemniła panu podróż. Mamy na pokładzie pana ulubiony napój czekoladowy.

Na tacy stała butelka yoo-hoo.

– Już tego nie piję.

– Naprawdę?

– Tak.

– To smutne. W takim razie może napije się pan koniaku?

– Nie, na razie dziękuję. Więc co może mi pani powiedzieć, Mee?

Mi... Mee... Myron zastanawiał się, jak jej naprawdę na imię. To imię bardzo się Winowi podobało. Często zabierał ją na tył samolotu, gdzie układał wprawiające w zażenowanie dwuznaczne kalambury w rodzaju: „Mee, daj mi troszkę Mee” czy „Podoba mi się ten toczek, Mee jest w nim do twarzy”.

Cały Win.

– Co może pani powiedzieć? – powtórzył Myron.

– Według naszej prognozy w Londynie należy spodziewać się sporadycznego deszczu.

– Rany, jestem wstrząśnięty. Pytałem, co może mi pani powiedzieć o Winie.

– Dobrze pytanie. – Wycelowała w siebie palcem. – A co pan może powiedzieć Mee?

– Niech pani nie zaczyna.

Uśmiechnęła się.

– Gdyby pan sobie życzył, nadają właśnie bezpośrednią transmisję z meczu Knicksów.

– Już tego nie oglądam.

Spojrzała na niego z tak wielkim współczuciem, że omal się nie odwrócił.

– Widziałam na kanale ESPN ten dokument o panu.

– Nie dlatego.

Nie uwierzyła, mimo to kiwnęła głową.

– Jeśli nie interesuje pana mecz, mam puścić panu film.

– Jaki?

– Win kazał mi przekazać, że musi go pan obejrzeć.

– Ale to nie jest chyba, hm...

Win lubił filmować swoje... powiedzmy, że schadzki, i odtwarzać je potem podczas medytacji.

Mee pokręciła głową.

– Tego rodzaju filmy pozostają wyłącznie do jego osobistego użytku. Dobrze pan o tym wie. To część umowy, którą podpisujemy.

– Umowy? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, Myron powstrzymał ją gestem ręki.

– Nieważne, wolę nie wiedzieć.

– Proszę. – Podała mu pilota. – Na pewno nie chce pan niczego do picia czy jedzenia?

– Nie, dziękuję.

Odwrócił się z fotelem do zamontowanego na ścianie telewizora i nacisnął guzik. Myślał, że na ekranie pojawi się Win, jak w *Mission: Impossible*, ale nie, był to film dokumentalny z kablówki. Oczywiście na temat porwania, o zaginionych przed laty chłopcach.

Usiadł wygodnie. Tak, film dobrze odświeżał pamięć. Rzecz sprowadzała się z grubsza do tego:

Przed dziesięciu laty sześćoletni Patrick Moore bawił się w domu swojego kolegi Rhysa Baldwina na „eleganckich” – w mediach zawsze były „eleganckie” –

przedmieściach Alpine w New Jersey, o rzut kamieniem od Manhattanu. Jak bardzo „eleganckich”? W ostatnim kwartale domy w tej okolicy kosztowały średnio cztery miliony dolarów.

Chłopcami opiekowała się Vada Linna, osiemnastoletnia au pair z Finlandii. Kiedy Nancy Moore, matka Patricka, przyszła po syna, nikt nie otworzył jej drzwi. Trochę ją to zaniepokoiło, ale tylko trochę. Pomyślała, że Vada zabrała chłopców na spacer albo na lody.

Wróciła dwie godziny później i znowu zapukała do drzwi. I znowu nikt jej nie otworzył. Lekko podenerwowana, zadzwoniła do Brooke, matki Rhysa. Brooke Lockwood Baldwin, siostra cioteczna Wina, zadzwoniła do Vady, lecz ta nie odebrała.

Wtedy Brooke popędziła do domu. Otworzyła drzwi. Weszła wraz z Nancy Moore do środka i obie zawołały. Nikt im nie odpowiedział. Ale po chwili usłyszały jakiś hałas w piwnicy, gdzie mieścił się duży pokój zabaw dla dzieci.

Tam znalazły Vadę przywiązaną do krzesła i zakneblowaną. Żeby zwrócić na siebie uwagę, dziewczyna przewróciła kopniakiem lampę. Była przerażona, lecz cała i zdrowa.

Patricka i Rhysa nigdzie jednak nie było. Vada powiedziała, że robiła dla chłopców kanapki, gdy przez rozsuwane przeszklone drzwi do kuchni wtargnęło dwóch uzbrojonych mężczyzn w kominiarkach i czarnych golfach.

Zawlekli ją na dół i związali.

Nancy i Brooke natychmiast zadzwoniły na policję. Z miejsca pracy wezwano obu ojców, Huntera Moore’a, lekarza, i Chicka Baldwina, zarządcę funduszu hedgingowego. Przez kilka godzin nic się nie działo. Nikt się do nich nie odezwał, nie było żadnych wskazówek ani tropów. Potem na służbową skrzynkę mailową Chicka Baldwina przyszedł anonimowy list z żądaniem okupu. Zaczynał się od ostrzeżenia, żeby nie zawiadamiać policji, bo nigdy więcej nie zobaczą dzieci żywych.

Ale było już za późno.

Porywacze domagali się dwóch milionów dolarów – „po milionie za chłopaka” – i obiecali, że wkrótce przyślą dalsze polecenia. Moore’owie i Baldwinowie zebrali pieniądze i czekali. Minęły trzy koszmarnie dni, zanim kidnaperzy przysłali mail, w którym kazali Chickowi – i tylko Chickowi – pojechać do Overpeck Park i zostawić pieniądze w określonym miejscu przy pochylniach dla łodzi.

Chick zrobił, co chcieli.

FBI obstawiło oczywiście cały park, wszystkie wejścia i wyjścia. W torbie z pieniędzmi ukryto nadajnik GPS, choć przed dziesięcioma laty technologia znacznie odbiegała od dzisiejszej.

Do tej chwili władze odwaliały kawał dobrej roboty, żeby utrzymać porwanie w tajemnicy. Nie dowiedziały się o nim media. Na żądanie FBI rodzice chłopców nie powiadomili przyjaciół ani rodziny, w tym Wina. Utrzymywano wszystko w tajemnicy nawet przed pozostałymi dziećmi Baldwinów i Moore’ów.

Chick zostawił pieniądze i odjechał. Minęła godzina. Minęła druga. W połowie trzeciej ktoś podniósł torbę z ziemi, ale gość – przypadkowy biegacz – okazał się dobrym samarytaninem, który chciał przekazać ją do biura rzeczy znalezionych.

Nikt inny pieniędzy nie odebrał.

Rodziny ślęczały przy komputerze Baldwina, czekając na kolejną wiadomość. Tymczasem w FBI powstało kilka teorii. Najpierw agenci przyjrzeni się dokładnie Vadzie Linnie, młodej fińskiej au pair, niczego się jednak nie dokopali. Dziewczyna przebywała w Stanach dopiero od dwóch miesięcy i ledwo mówiła po angielsku. Miała tylko jedną znajomą. Sprawdzono jej maile, SMS-y, historię przeglądania stron internetowych i nie znaleziono niczego podejrzanego.

FBI prześwietliło także rodziców uprowadzonych. Jedynym, który dał im trochę do myślenia, był Chick Baldwin, ojciec Rhysa. To do niego przychodziły maile z żądaniem okupu, co więcej, był dość mętnym typem. Dwukrotnie oskarżano go o spekulacje giełdowe z wykorzystaniem poufnych informacji, poza tym miał na swoim koncie kilka procesów o malwersację. Niektórzy twierdzili, że prowadzi piramidę finansową. Klienci – w tym wielu wpływowych i potężnych – byli zaniepokojeni.

Ale czy do tego stopnia, żeby zrobić coś takiego?

Tak więc wszyscy czekali na wiadomość od porywaczy. Minął kolejny dzień. I jeszcze jeden. Minęły trzy dni i cztery. Ani słowa. Minął tydzień.

Potem miesiąc. Rok.

Dziesięć lat.

Cisza. Chłopcy nie dawali znaku życia.

Aż do teraz.

Pojawiły się napisy końcowe i Myron oparł głowę o zagłówek. Podeszła do niego Mee.

– Teraz napiję się koniaku – powiedział.

– Już podaję.

– Niech pani usiądzie – poprosił, gdy wróciła.

– Nie, dziękuję, wolę nie.

– Kiedy widziała pani Wina ostatni raz?

– Płaci mi za dyskrecję.

Myron chciał powiedzieć coś złośliwego, lecz ugryzł się w język.

– Krążyły różne plotki. O nim. Martwiłem się.

Mee przekrzywiła głowę.

– Nie ufa mu pan?

– Ufam, bez reszty.

– Więc niech pan uszanuje jego prywatność.

– Robię to od roku.

– W takim razie cóż znaczy kilka godzin więcej?

Oczywiście. Miała rację.

– Tęskni pan za nim.

– Bardzo.

– On pana kocha.

Myron milczał.

– Powinien pan się trochę przespać.

I znowu miała rację. Zamknął oczy, choć wiedział, że sen nie nadejdzie. Bliski przyjaciel namówił go niedawno na medytację transcendentálną i choć Myron nie dał się do końca przekonać, dzięki swej prostocie i łatwości sztuczka nadawała się doskonale na chwile, gdy nie mógł zasnąć. Włączył aplikację medytacyjną – tak, tak, miał ją w smartfonie – nastawił ją na dwadzieścia minut i zaczął powoli odpływać.

Ludzie uważają, że medytacja oczyszcza umysł. Bzdura. Umysłu nie da się oczyścić. Im bardziej starasz się o czymś nie myśleć, tym intensywniej myślisz. Jeśli naprawdę chcesz się zrelaksować, musisz dopuścić do siebie wszystkie myśli. Musisz nauczyć się je obserwować, niczego nie osądzając ani nie reagując. Tak jak robił to teraz on.

Myślał o spotkaniu z Winem, o Esperanzie i Dużej Cyndi, o swojej matce i ojcu na Florydzie. Myślał o Bradzie – swoim bracie – i jego synu Mickeyu, o zmianach, jakie zaszły w ich życiu. Myślał o tym, że nareszcie wróciła do niego Terese, o ich małżeństwie, nowym wspólnym życiu, o nagłej, niemal namacalnej perspektywie szczęścia.

Namacalnej, jednocześnie szokująco niepewnej – myślał także o tym.

W końcu samolot wylądował, zwolnił i zjechał z pasa. Gdy się zatrzymał, Mee pociągnęła za uchwyt i otworzyła drzwi. Posłała Myronowi szeroki uśmiech.

– Powodzenia – powiedziała.

– Pani też.

– Proszę pozdrowić ode mnie Wina.

Przedłużony bentley czekał na drodze do kołowania. Kiedy Myron ruszył w dół po schodkach, otworzyły się tylne drzwi i wysiadł Win.

Myron zbiegł na dół, czując, że w oczach wzbierają mu łzy. Trzy metry przed przyjacielem przystanął, zamrugał i posłał mu uśmiech.

– Myron.

– Win.

Win westchnął.

– Widzę, że chcesz się rozczulić.

– Czy warto bez tego żyć?

Kiwnął głową, a Myron podszedł dwa kroki bliżej. Objęli się mocno i tak kurczowo, jakby jeden był kołem ratunkowym drugiego.

– Mam milion pytań – powiedział Myron, nie zwalniając uścisku.

– A ja ci na nie nie odpowiem. – W końcu oderwali się od siebie. – Musimy się skupić na Rhysie i Patricku.

– Oczywiście.

Gestem ręki Win zaprosił przyjaciela do samochodu. Myron wsiadł i przesunął się, żeby zrobić mu miejsce. Od szofera dzieliło ich podniesione przepierzenie. W tylnej części samochodu były tylko dwa fotele, mnóstwo miejsca na nogi i dobrze zaopatrzone barek. Większość limuzyn tego typu ma więcej siedzeń. Winowi najwyraźniej nie były potrzebne.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Nie, dzięki.

Gdy ruszali, Mee wciąż stała w drzwiach samolotu. Win otworzył okno i pomachał jej ręką. Z tęskną miną. Odpowiedziała mu tym samym. Myron patrzył na niego – swojego najlepszego przyjaciela od pierwszego roku studiów na Uniwersytecie Duke’a – bojąc się, że jeśli odwróci wzrok, Win znowu zniknie.

– Ma najwyższej jakości pupę, nie uważasz?

– Hm... Win?

– Tak?

– Cały czas byłeś w Londynie?

– Nie – odparł Win, wciąż wyglądając przez okno.

– To gdzie?

– W wielu miejscach.

– Krążyły różne plotki.

– Tak.

– Podobno stałeś się odludkiem.

– Wiem.

– To nieprawda?

– Nie, Myron, nieprawda. To ja te plotki rozpuszczałem.  
– Po co?  
– Potem. Teraz pomyślmy o Patricku i Rhysie.  
– Mówiłeś, że go widziałeś. Patricka.  
– Tak, chyba tak.  
– Chyba?  
– W chwili porwania miał sześć lat – przypomniał przyjacielowi Win. – Teraz ma szesnaście.  
– Dlatego nie mogłeś zidentyfikować go ze stuprocentową pewnością.  
– Właśnie.  
– A więc zauważyłeś kogoś, kto tylko mógł nim być.  
– Otóż to.  
– A potem?  
– Potem go zgubiłem.  
Myron usiadł wygodniej.  
– Jesteś zaskoczony.  
– Owszem, jestem.  
Win kiwnął głową.  
– Przeliczyłem się – rzucił. – Były straty uboczne.  
Złowróźbne słowa.  
– Duże? – spytał Myron.  
– Może najpierw naciśnijmy przycisk przewijania. – Win wyjął z kieszeni jakąś kartkę. – Przeczytaj.  
Wyglądało to na mail. Wysłany na jego prywatny adres. W ciągu ostatniego roku Myron napisał na ten adres kilkanaście listów. I nie dostał ani jednej odpowiedzi. Nadawcą był anon593913.

Szukasz Rhysa Baldwina i Patricka Moore'a. Przez ostatnie dziesięć lat prawie się nie rozstawali. Prawie, bo rozdzielano ich co najmniej trzy razy. Teraz znowu są razem.

Są wolni, co jednak nie znaczy, że z tobą pójdą. Nie są już tymi, za kogo ich masz. Ani takimi, jakimi pozostają w pamięci ich rodzin. Mogą ci się nie spodobać. Znajdziesz ich pod tym adresem. Zapomnijmy o pieniądzach. Poproszę cię kiedyś o przysługę.

Chłopcy prawie nie pamiętają swojego życia „sprzed”. Okaż im cierpliwość.

Myrona przeszedł zimny dreszcz.

– Rozumiem, że próbowałaś namierzyć nadawcę.

Win lekko skinął głową.

– I rozumiem, że nie namierzyłeś.

– Korzystał z VPN-u. Nie sposób wytropić, kim jest ani skąd pisał.

Myron przeczytał wiadomość jeszcze raz.

– Ostatni akapit...



– Tak, wiem.  
– Coś w tym jest.  
– Klimat autentyczności.  
– Dlatego potraktowałeś to poważnie.  
– Tak – potwierdził Win.  
– A ten adres?  
– To mały, lecz obskurny zakątek Londynu. Przejście podziemne, gdzie kwitnie wszelkiego rodzaju nielegalny handel. Poszedłem tam.  
– No i?  
– I zobaczyłem kogoś, kto był bardzo podobny do Patricka z tych postarzonych zdjęć.  
– Kiedy go widziałeś?  
– Mniej więcej godzinę przed tym, jak do ciebie zadzwoniłem.  
– Słyszałeś jego głos?  
– Słucham?  
– Czy coś powiedział? Próbuję rzucić więcej światła na jego tożsamość. Może miał amerykański akcent.  
– Nie, nie słyszałem, jak mówi – odparł Win. – Poza tym nic o nim nie wiemy. Mógł spędzić tu całe życie.  
Zapadła cisza.  
– Całe życie – powtórzył Myron.  
– Wiem. Nie ma sensu o tym myśleć.  
– Dobrze, a więc zobaczyłeś Patricka. I?  
– Czekałem.  
Myron kiwnął głową.  
– Miałeś nadzieję, że pojawi się Rhys.  
– Tak.  
– No i?  
– Chłopaka zaatakowało trzech mężczyzn, którym widocznie się nie spodobał.  
– Powstrzymałeś ich?  
Pierwszy raz od chwili spotkania Win pozwolił sobie na lekki uśmiech.  
– To moja specjalność.  
Fakt.  
– Wszystkich trzech? – spytał Myron.  
Win uśmiechnął się szerzej i wzruszył ramionami.  
Myron zamknął oczy.  
– To były oprychy najgorszego sortu – powiedział Win. – Nikt po nich nie zapłaci.  
– Działałeś w samoobronie?  
– Dobrze, świetnie, przeanalizujmy to. Naprawdę chcesz krytykować moje metody, w dodatku teraz?  
Miał rację.  
– A potem? Co się stało? – dociekał Myron.

– Kiedy byłem zajęty wyżej wspomnianymi oprychami, Patrick uciekł. Zdążyłem tylko zobaczyć, że biegnie w kierunku stacji King's Cross. Zaraz potem zadzwoniłem do ciebie z prośbą o pomoc.

Myron poprawił się w fotelu. Dojeżdżali do Tamizy i mostu Westminsterkiego. W promieniach popołudniowego słońca błyszczało Londyńskie Oko, olbrzymi diabelski młyn poruszający się z prędkością topniejącego lodowca. Przed laty Myron przejechał się nim i omal nie umarł z nudów.

– Więc rozumiesz, że sprawa jest bardzo pilna – powiedział Win.

Myron kiwnął głową.

– Zrobią wszystko, żeby chłopcy zniknęli.

– Właśnie. Wywiozą ich z kraju, a jeśli poczują się zagrożeni... – Win nie musiał kończyć myśli.

– Powiedziałaś ich rodzicom?

– Nie.

– Nawet Brooke?

– Nie – powtórzył Win. – Nie chciałem dawać im fałszywej nadziei, nie widziałem powodu.

Jechali na północ. Myron spojrzał w okno.

– Kiedy ich uprowadzono, mieli sześć lat.

Jego przyjaciel milczał.

– Wszyscy myśleli, że od dawna nie żyją.

– Wiem.

– Wszyscy oprócz ciebie.

– Och, ja też tak myślałem – przyznał się Win.

– Mimo to wciąż szukałeś.

Zetknął czubki palców. Ten znajomy gest przeniósł Myrona w czasy młodości.

– Kiedy ostatni raz widziałem się z Brooke, otworzyliśmy butelkę bardzo drogiego wina – powiedział. – Siedzieliśmy na tarasie i patrzyliśmy na ocean. Przez chwilę była dziewczyną, z którą dorastałem. Niektórzy lubią dawać upust nieszczęściu. Ale nie ona. Ona daje upust radości. Zawsze taka była. Znasz ten frazes, że czyjaś obecność rozświetla pokój?

– Oczywiście.

– Brooke umiała to robić na odległość. Wystarczyło, że o niej pomyślałem i od razu było mi lepiej. Takich ludzi chce się chronić. A widząc, że dręczy ich nieznośny ból, pragniesz... Nie, wróć: musisz im ulżyć. – Win postukał palcami o palce. – Więc siedzieliśmy, piliśmy wino i patrzyliśmy na ocean. Większość z nas pije alkohol, żeby się znieczulić. Ale na nią wino podziałało zupełnie inaczej. Zmyło maskę z jej twarzy. Ten wymuszony uśmiech. Tego wieczoru coś mi wyznała.

Umilkł. Myron czekał.

– Od lat fantazjowała o powrocie syna do domu. Każdy dzwonek telefonu przyprowadzał ją o mocniejsze bicie serca. Miała nadzieję, że to Rhys, który wejdzie i powie, że nic mu nie jest. Widowała go na zatłoczonych ulicach. Śniła, że go

ratuje, znowu go widzi, że dochodzi do łzawego powitania. Nieustannie odtwarzała w głowie tamten dzień, zmieniała scenariusz wydarzeń: zostawała w domu, zamiast wyjść, zabierała chłopców ze sobą, zamiast powierzać ich opiece tej dziewczyny, zmieniając cokolwiek, żeby tylko uniknąć tego, co się stało. To jest jak cień. Tak powiedziała. Ten dzień. Stale jej towarzyszy. Można uciec od niego na kilka kroków, lecz już po chwili klepie cię w ramię i ciągnie za rękaw.

Myron znieruchomiał.

– Oczywiście wiedziałem o tym – mówił Win. – Rodzice cierpią, to żadna rewelacja. Brooke wciąż wygląda cudownie. Jest silna. Ale coś się zmieniło.

– „Zmieniło”?

– To musi się skończyć.

– Ale co?

– Tak mi wyznała. Wiesz, jaką ma nadzieję, kiedy dzwoni telefon?

Myron pokręcił głową.

– Że to policja. Że wreszcie znaleźli ciało Rhysa. Rozumiesz? Niewiedza stała się dla niej bardziej bolesna niż śmierć. Przez co jej tragedia jest jeszcze straszniejsza. Potwornością jest już samo to, że matka musi tak cierpieć. Ale pragnienie, żeby wszystko to wreszcie dobiegło końca, jest jeszcze gorsze.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Hej, a co słyhać u Knicksów? – spytał w końcu Win.

– Bardzo zabawne.

– Wyluzuj, Myron.

– Dokąd jedziemy?

– Z powrotem na King's Cross.

– Gdzie nie możesz się pokazać.

– Jestem niezwykle przystojny. Zapadam w pamięć.

– Dlatego mam ci pomóc.

– Cieszę się, że moja nieobecność nie stępiła twoich narzędzi dedukcyjnych.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. Ułożmy jakiś plan.

Kiedy mijali stację, Myron przeczytał napis i powiedział:

– King’s Cross. Czy to nie z *Harry’ego Pottera*?

– Tak.

Myron zmrużył oczy.

– Czyściej tu, niż myślałem.

– Podnieśli status – rzucił Win. – Ale tak naprawdę brudu nie da się pozbyć. Zamiata się go tylko w ciemne kąty.

– A ty wiesz, gdzie te kąty są?

– Tak, z tego maila. – Bentley zatrzymał się. – Bliżej nie pojedziemy, za duże ryzyko. Weź to. – Win podał Myronowi smartfon.

– Mam swój.

– Ale nie taki. Ten jest wyposażony w kompletny system monitorujący. Będę mógł śledzić twoje ruchy przez GPS. Słyszeć twoje rozmowy przez wbudowane mikrofony. I widzieć cię przez kamerę.

– Kluczowym słowem jest tu „przez” – zauważył Myron.

– Bardzo śmieszne. À propos słów: musimy ustalić hasło alarmowe.

– Może... „Na pomoc”?

Win spojrział na niego beznamiętnie.

– Brakowało mi twojego poczucia humoru.

– Pamiętasz, jak to było na początku? – Myron nie mógł się nie uśmiechnąć. – Jak dzwoniłem do ciebie na tę starą komórkę?

– Pamiętam.

– Myśleliśmy, że jesteśmy tacy nowoczesni.

– I byliśmy.

– „Wysłów się” – zdecydował Myron.

– Słucham?

– Jeśli będę miał kłopoty, powiem „Wysłów się”.

Myron wysiadł i ruszył w kierunku stacji. Zdał sobie sprawę, że idąc, gwizdże melodię *Pęk kluczy z Fun Home*. Niektórych mogłoby to zdziwić. Ostatecznie sytuacja była koszmarna, niebezpieczna i śmiertelnie poważna, lecz skłamałby, mówiąc, że ponowna praca z Winem nie przyprawia go o miły dreszczyk emocji. Najczęściej to właśnie on, Myron, inicjował ich szalone misje ratunkowe. Jeśli się dobrze zastanowić, to chyba zawsze. Win był głosem rozsądku, pomagierem, który dołączał do niego bardziej dla zabawy niż z poczucia obowiązku.

Przynajmniej tak twierdził.

„Ty masz kompleks bohatera – mówił. – Chcesz naprawić świat. Jesteś jak Don Kichot walczący z wiatrakami”.

„A ty?”

„Ja cieszę oko pań”.

Cały Win.

Wciąż było jasno, ale tylko ktoś naiwny mógłby pomyśleć, że tego rodzaju handel kwitnie wyłącznie pod osłoną ciemności. Mimo to, kiedy Myron dotarł do miejsca, z którego poprzedniego dnia Win obserwował rozwój sytuacji w przejściu podziemnym, stwierdził, że nie będzie łatwo.

Była tam policja.

Dokładnie tam, gdzie Win stał i skąd widział domniemanego Patricka, kręciło się dwóch mundurowych i dwóch techników policyjnych. Nawet z dużej odległości krew na chodniku robiła wrażenie świeżej. I było jej bardzo dużo. Jakby ktoś zrzucił kilka puszek farby z dużej wysokości.

Ciał już nie było. Ani, oczywiście, prostytutek, które dobrze wiedziały, że od takich miejsc lepiej trzymać się z daleka. Ślepy zaułek, pomyślał Myron. Czas na nowy plan.

Już zawracał, gdy wtem coś przykuło jego wzrok. Przystanął. Na końcu Railway Street, w jednym z „ciemnych kątów”, jak nazwał je Win, stała kobieta, która musiała być prostytutką.

Kozaki, kabaretki (te dwa elementy stroju zupełnie do siebie nie pasowały), ledwie przykrywająca pupę spódnica, pasek, fioletowy top tak obcisły, że mógłby robić za skórkę parówki – kobieta była ubrana jak amerykańska ulicznica z lat siedemdziesiątych.

Myron ruszył w jej stronę. Gdy podszedł bliżej, odwróciła się do niego. Pomachał do niej nieśmiało.

– Szuka pan towarzystwa? – spytała.

– Hm, nie. Niezupełnie.

– Chyba nie wie pan, jak to działa, prawda?

– Nie, chyba nie, przepraszam.

– Spróbujmy jeszcze raz. Szuka pan miłego towarzystwa?

– Tak, w rzeczy samej.

Kobieta uśmiechnęła się. Myron spodziewał się ujrzeć przykład koszmaru stomatologicznego, ale nie, miała ładne, równe, białe zęby. I około pięćdziesięciu lat, chociaż mogła być też pokancerowaną przez życie czterdziestolatka. Duża, zgrabna, zaniedbana i wylewająca się ze wszystkich miejsc, z jakich tylko mogła się wylać, miała uśmiech, który sprawiał, że wszystko to razem idealnie ze sobą współgrało.

– Amerykanin – stwierdziła.

– Tak.

– Amerykanie to spora część moich klientów.

– Ale chyba nie ma tu pani dużej konkurencji.

– Nie, już nie. Widzi pan, dziewczęta trzymają się dzisiaj z dala od ulicy.

Wszystko załatwiają za pomocą komputera albo aplikacji na telefon.

– Ale nie pani.

– Nie. To nie w moim stylu. Wszyscy siedzą na Tinderze, Ohlala czy czymś tam, a to takie zimne. Szkoda. Co się stało z normalnymi kontaktami międzyludzkimi?

Gdzie jest indywidualne podejście do klienta?

– Uhm – mruknął Myron, nie wiedząc, co powiedzieć.

– A ja lubię ulicę – ciągnęła prostytutka. – Dlatego moja praca jest czymś w rodzaju powrotu do przeszłości. Rozumie pan? Odwołuję się do ludzkiej... Jak to leci? – Myślała przez chwilę i nagle strzeliła palcami. – Do ludzkiej nostalgii! O! Przecież oni są na urlopie, na wakacjach. Przychodzą na King's Cross dla prostytutek, a nie po to, żeby gmerać w swoim iPhone. Rozumie pan?

– Uhm.

– Chcą to wszystko przeżyć. Ta ulica, moje ubranie, to, jak się zachowuję... jestem dla nich produktem niszowym, tak to nazywają.

– Dobrze jest zaspokajać czyjeś potrzeby.

– Kiedyś grałam w pornosach... – Odczekała chwilę. – Pewnie mnie pan nie poznaje. Wystąpiłam tylko w trzech filmach, kiedy... Nieważne, każda dziewczyna powinna mieć kilka tajemnic. Swoją najsłynniejszą rolę zagrałam w *Trzeciej dziwce*, w scenie z tym słynnym Włochem... Rocky czy Rocco coś tam. Ale przez wiele lat byłam najwyższej klasy fluferką. Wie pan, kto to jest fluferka?

– Chyba wiem.

– Prawda jest taka, że w obecności kamer, świateł i ludzi z ekipy zdjęciowej większość facetów ma kłopoty... no wie pan, z utrzymaniem wzrodu. I właśnie tym zajmują się fluferki. Za kulisami. Wspaniałe zajęcie, naprawdę. Robiłam to wiele lat, poznałam wszystkie sztuczki...

– Wierzę.

– Ale potem wymyślono viagrę, a tabletki są dużo tańsze. Wielka szkoda. Fluferki to dzisiaj wymarły gatunek, jak dinozaury czy kasety VHS. Dlatego wróciłam na ulicę, ale nie żebym narzekała. Rozumie pan?

– Doskonale.

– À propos: liczę od godziny.

– Dobrze.

– Niektóre z nas sprzedają swoje ciało. Ale nie ja. Ja sprzedaję swój czas. Jak konsultantka czy adwokatka. To, co pan z nim robi, zależy tylko od pana, a jak już wspomniałam, zegar tyka. Więc czego tu szukasz, przystojniaczku?

– Hm, pewnego chłopaka.

Jej uśmiech momentalnie zgasł.

– A konkretnie?

– Nastolatka...

Machnęła ręką.

– Nie, niemożliwe, ty nie lubisz hot dogów...

– Słucham? – nie zrozumiał Myron.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś pedo?

– Nie, nie, ale skąd! Po prostu go szukam, nie chcę zrobić mu krzywdy.

Kobieta wzięła się pod boki i długo mu się przyglądała.

– Powiedz, dlaczego ja ci wierzę?

Myron posłał jej swój najbardziej urokliwy uśmiech.

– Bo ładnie się uśmiecham?

- Nie, uśmiechasz się obleśnie, ale masz szczerą twarz.
- Obleśnie? Nie ujmująco?
- Nie, absolutnie.
- Chcę mu tylko pomóc... temu chłopakowi. Grozi mu poważne niebezpieczeństwo.
- Skąd pomysł, że mogłabym ci pomóc?
- Był tu wczoraj. Pracował.
- Aha.
- Aha?
- Wczoraj?
- Tak.
- Więc to ty zabiłeś tych trzech popaprańców?
- Nie.
- Szkoda. Dałabym ci za darmo.
- Chodzi mi tylko o tego chłopaka – powtórzył Myron. – Grozi mu poważne niebezpieczeństwo.
- Już mówiłeś. – prostytutka zawahała się. Myron wyjął portfel, lecz ona machnęła ręką. – Nie chcę pieniędzy. To znaczy, chcę, ale nie za to.
- Wciąż się wahała.
- Myron dźgnął się palcem w pierś.
- Proszę pamiętać: mam szczerą twarz, sama pani powiedziała.
- Przez jakiś czas chłopaki tu nie wrócą. Za dużo gliniarzy. Pójdą gdzie indziej.
- Czyli?
- Do Hampstead Heath. Na zachodni koniec Merton Lane. Zwykle się tam kręca.

– Hampstead Heath – powtórzył Win, kiedy Myron wszedł do samochodu. – Historyczne miejsce.

– Bo?

– Keats chodził tam na spacer. Kingsley Amis, John Constable, Alfred Tennyson, Ian Fleming... wszyscy tam mieszkali. Ale nie z tego ten park słynie.

– Nie?

– Pamiętasz, jak aresztowano George'a Michaela za seks w toalecie publicznej?

– Oczywiście. To było tam?

– Tak, w Hampstead Heath. Homoseksualiści spotykają się tam od zawsze, ale o ile wiem, nie po to, by świadczyć usługi seksualne za pieniądze. Chodzi bardziej o anonimowość.

– Anonimowość?

– Boże, jakiś ty naiwny. O anonimowy seks w krzakach, toalecie publicznej i tak dalej. Za przyjemność tego rodzaju płaci się bardzo rzadko. Mimo to ci młodzi i najbardziej przedsiębiorczy próbują uprawiać tam swoje rzemiosło choćby po to, żeby namierzyć potencjalnego „tatusia” czy stworzyć sieć dla klientów. Zaraz po wejściu do parku skręć w lewo, w stronę toalet. Miniesz staw i znajdziesz się na miejscu.

– Widzę, że dobrze się na tym znasz – zauważył Myron.

– Ja znam się na wszystkim.

Fakt, Myron nie mógł temu zaprzeczyć.

– Poza tym korzystam z Google'a, tego nowego wynalazku. – Win pokazał mu swój telefon. – Powinieneś kiedyś spróbować. Chcesz je zabrać? – Podał przyjacielowi kilka zdjęć z postarzonymi komputerowo Patrickiem i Rhysem. Ze zdumiewającą dokładnością opisał także, jak domniemany Patrick wyglądał poprzedniego dnia i co miał na sobie.

Myron przyjrzał się twarzom chłopców.

– Ile mieliby dzisiaj lat?

– Szesnaście. Tak się składa, przypadkiem albo i nie, że szesnaście lat to w Wielkiej Brytanii dolna granica wieku uprawniająca do wyrażenia zgody na współżycie seksualne.

Myron sfotografował zdjęcia i zwrócił je Winowi. Sięgnął do klamki i znieruchomiał.

– Coś nam chyba umknęło.

– Prawdopodobnie.

– Też masz takie wrażenie?

– Owszem.

– Wrabiają nas?



– Możliwe. – Win zetknął czubki palców obu dłoni. – Ale jedynym sposobem, żeby to sprawdzić, jest konsekwentna realizacja planu.

Limuzyna mruzczała cichutko na rogu Merton i Millfield Lane.

– Wszystko gotowe? – spytał Win.

– Naprzód! – rzucił jego przyjaciel i wysiadł.

Park był bujny, zielony i piękny. Myron szedł niespiesznie w stronę stawu, lecz Patricka i Rhysa nigdzie nie było. Owszem, mężczyźni kręcili się tam mnóstwo, od osiemnastolatków (i chyba nawet młodszych) po osiemdziesięciolatków, w większości w nierzucających się w oczy strojach, no, ale czego się właściwie spodziewał? Żadnych ekscesów seksualnych nie zauważył, zapewne dlatego, że dochodziło do nich w toalecie publicznej i w oddalonych od ścieżki krzakach.

Po kwadransie spacerowania przytknął telefon do ucha.

– Nic – zameldował.

– Ktoś próbował cię poderwać? – spytał Win.

– Nie.

– Au!

– Wiem. Myślisz, że te spodnie mnie pogrubiają?

– Naśmiewamy się z nich – powiedział Win.

– Co?

– Wierzymy w całkowitą równość i wściekamy się na każdego, kto przejawia choćby cień uprzedzenia...

– Mimo to się naśmiewamy – dokończył za przyjaciela Myron.

– Otóż to.

I właśnie wtedy zobaczył coś, co skłoniło go do zastanowienia.

– Zaczekaj...

– Mów.

– Opisując tę wczorajszą... hm... scenę, wspomniałeś, że było tam dwóch innych mężczyzn.

– Zgadza się.

– Jeden miał ogoloną na łyso głowę i psią obrozę na szyi.

– To też się zgadza.

Myron wycelował kamerę telefonu w ubranego w skórę młodego chłopaka nad stawem.

– No i? – spytał.

– Tak, to on – potwierdził Win.

Jego przyjaciel schował telefon do kieszeni i zszedł ze ścieżki. Mężczyzna w obroży był przygarbiony i trzymał ręce w kieszeni, jakby szukał w nich czegoś, co go wkurzało. Na szyi miał tatuaż – Myron nie wiedział, co przedstawia – i zaciągał się papierosem tak zawzięcie, jakby chciał wypalić go jednym sztachnięciem.

– Hej – rzucił Myron, chcąc zwrócić jego uwagę i bojąc się, że jeśli powie coś za głośno, chłopak – dzieciak? facet? mężczyzna? – może się przestraszyć.

Ten w obroży odwrócił się szybko do niego, próbując przybrać hardą minę. Za udawaną brawurą zawsze kryje się podszyta strachem uległość. Chłopak był

najlepszym tego przykładem. Taka uległość jest typowa dla tych, którzy, po pierwsze, zbyt często obrywali i po drugie, przekonali się na własnej skórze, że okazywanie słabości prowokuje napastnika do jeszcze gorszego bicia; stąd udawana brawura. Spustoszenie psychiczne – a było wyraźne – biło z chłopaka falami.

– Masz ogień? – spytał.

Myron chciał powiedzieć, że nie pali ani nie ma zapalniczki, ale podejrzewając, że prośba o ogień jest jakimś hasłem, podszedł bliżej.

– Możemy chwilę porozmawiać? – spytał.

Tamten – miał osiemnaście, góra dwadzieścia lat, więc wciąż był chłopakiem – strzelał oczami to w lewo, to w prawo, jak ptak wypatrujący bezpiecznej gałęzi.

– Znam dobre miejsce – rzucił.

Myron nie odpowiedział. Zastanawiał się, jakie ten dzieciak miał życie, gdzie się to zaczęło, w którym momencie zboczył na tę ścieżkę, kiedy wszystko zaczęło się psuć. Czy upadek był powolny? Może w dzieciństwie maltretowano go lub molestowano? Może uciekł z domu? Czy miał matkę i ojca? Był ofiarą przemocy domowej, nudziło mu się czy wpadł w narkotyki? Czy upadek był łagodny czy też chłopak spadł na dno szybko i gwałtownie? Może wystarczyło czyjeś warknięcie, krzyk i jeden silny, czysty cios?

– No więc? – mruknął chłopak.

Błada cera, chude jak patyki ramiona, kilka razy złamany nos, przekłute uszy, podkreślone kredką oczy, ta cholerna psia obroża – Myron przyjrzał mu się i pomyślał o Patricku i Rhysie, dwóch wychowywanych w luksusie malcach, których brutalnie uprowadzono.

Czy wyglądali teraz tak jak ten?

– Tak – odparł, starając się nie okazywać przygnębienia. – Jestem gotowy.

– To chodź.

Chłopak ruszył w stronę ścieżki na skarpie między dwoma stawami. Myron nie wiedział, czy dogonić go i zrównać się z nim, czy iść za nim. W końcu uznał, że lepsze będzie to drugie, ponieważ chłopak maszerował dość szybko.

I jak dotąd nie zażądał pieniędzy. Co Myrona trochę niepokoiło, dlatego bacznie się rozglądał. Szli z boczem skarpy, coraz wyżej i wyżej, w kierunku kępy krzaków. Ludzi było coraz mniej, więc skupił uwagę na Obrożu. Mijając mężczyznę w bojówkach moro, chłopak niemal niedostrzegalnie skinął mu głową, a tamten odpowiedział mu tym samym.

O-o. Niedobrze.

Myron postanowił ostrzec Wina.

– Kto to był? – zwrócił się do chłopaka.

– Co?

– Facet, któremu skinąłeś głową. Ten w bojówkach.

– O czym ty gadasz? – rzucił chłopak, a po chwili dodał: – Jesteś Amerykaninem.

– Tak.

Chłopak wszedł za krzaki. Nikt ich teraz nie widział. Na ziemi leżała zużyta prezerwatywa.

– Więc na co masz ochotę? – spytał.

– Na rozmowę.

– Na co?

Myron był roslym mężczyzną. Miał metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, na studiach grał w kosza i ważył wtedy sto dwa kilo, choć od tamtych czasów przybyło mu cztery i pół. Ustawił się tak, żeby chłopak nie mógł zwiać. Nie wiedział, czy będzie musiał go zatrzymać, ale nie chciał też ułatwić mu ucieczki.

– Byłeś tam wczoraj – powiedział.

– Że co?

– Kiedy doszło do tego... incydentu. Wszystko widziałeś.

– O czym ty...? Chwila, jesteś gliniarzem?

– Nie.

– Więc po jaką cholere Amerykanin miałby... – Chłopak umilkł i rozszerzył mu się oczy. – Chwila, to nie tak, ja nic nie widziałem.

Myron zastanawiał się, czy Win coś wtedy powiedział i czy chłopak skojarzył to sobie tak: jakiś Amerykanin zabija trzech facetów, a drugi chce znaleźć świadków zdarzenia.

– Nieważne. Szukam chłopaka, który tam był. Uciekł i przepadł.

Chłopak zrobił sceptyczną minę.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy – uspokoił go Myron. – Ani tobie, ani nikomu innemu.

Chciał zademonstrować mu swoją szczerą twarz, jednak w przeciwieństwie do staromodnej prostytutki, która skierowała go do parku, ten tutaj nigdy takiej nie widział. W jego świecie ludzi dzieli się pewnie na tych, którzy biją, i tych, których można pobić.

– Ściągnij spodnie – rzucił chłopak.

– Co?

– Po to tu przyszedłeś, nie?

– Nie, posłuchaj: zapłacę ci. I to dużo.

Chłopak się zastanowił.

– Za co?

– Znasz tego chłopaka?

– A jeśli znam?

– Zaprowadzisz mnie do niego i dostaniesz pięćset funtów.

Znów zaczął strzelać oczami.

– Pięćset funtów?

– Tak.

– Masz tyle przy sobie?

O-o. Cóż, kiedy się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

– Owszem.

– Więc pewnie masz więcej.

Jak na umówiony znak zza krzaków wyszło dwóch mężczyzn, w tym ten w bojówkach, którego minęli na ścieżce. Drugi był typem rosłego rozrabiaki w czarnym podkoszulku przylegającym do ciała jak opaska uciskowa. Miał czoło kromaniończyka, ręce grube niczym golonki i jak na zakapiora przystało, wyłamywał sobie palce w stawach.

– Dasz nam całą kasę – odezwał się ten w bojówkach – albo Dex spuści ci wpierdol i sami ci ją zabierzemy.

Myron spojrzał na kromaniończyka.

– Naprawdę wyłamuje pan sobie palce?

– Że co?

– Nic, nic, rozumiem. Jest pan twardzielem. Ale żeby wyłamywać sobie palce w stawach? To już lekka przesada.

Dex zrobił skonsternowaną minę. Zmarszczył brwi. Myron znał takich jak on. Barowych zadymiarzy, którzy wyżywali się na słabszych, zawsze unikając walki z kimś, kto umiał się choć trochę bić.

Mężczyzna w czarnym obcisłym podkoszulku podszedł bliżej.

– A ty kto? Przemądrzały dupek?

– A są nieprzemądrzali?

– O rany. O rany. O rany. – Kromaniończyk zatarł ręce. – Ale będę miał radochę.

– Tylko go nie zabij, Dex – powiedział ten w bojówkach.

Jego kumpel pokazał w uśmiechu malutkie szpiczaste zęby, jak morski drapieжник polujący na gupika. Nie było sensu czekać. Myron złączył palce, złożył dłoń w miseczkę i uderzył go w szyję. Czubki palców wbiły się w ciało jak grot włócznie.

Dex chwycił się za gardło, wystawiając się tym samym na kolejny cios. Ale Myron nie miał ochoty robić mu poważnej krzywdy, nie był w nastroju. Dlatego podciął go szybkim kopniakiem i przewrócił. Potem przeniósł uwagę na jego kumpla, ten jednak nie zamierzał czekać. Może dlatego, że widział, z jaką łatwością Myron załatwił mięśniaka. A może pomogła mu świadomość tego, co spotkało jego kamratów z rąk Wina. Tak czy inaczej, wziął nogi za pas.

Chłopak w psiej obroży też.

Niech to szlag!

Myron był szybki, ale odwracając się, poczuł, że w kolanie znowu odzywa się stary uraz. Samolot, potem samochód – pewnie za długo siedział. Podczas przechadzki powinien był trochę się porozciągać.

Tymczasem chłopak pędził jak zając. Pewnie musiał często uciekać i chociaż w normalnych okolicznościach Myron by mu współczuł, nie zamierzał pozwolić mu uciec.

Taka ewentualność nie wchodziła po prostu w rachubę.

Gdyby tamten zdobył zbyt dużą przewagę – jeśli udałoby mu się dotrzeć do ludzi i cywilizacji – byłby zupełnie bezpieczny, bo Myron nie mógłby mu nic... hm, zrobić. Poza tym chłopak mógł wezwać kogoś na pomoc. W okolicach takich jak ta porządku pilnowali sami bywalcy, mieli swoje sposoby.

Z drugiej strony, czy złodziej, który próbował obrobić kogoś w parku, chciałby zwracać na siebie uwagę?

Nieważne. Myron też już biegł, lecz chłopak miał znaczną przewagę, która z każdą chwilą rosła. Gdyby zdołał uciec, przepadłaby kolejna okazja. Myron pomyślał o Patricku i Rhysie... Jeśli pozwoli temu w obroży zwiać, gra będzie skończona.

Chłopak gwałtownie skręcił za uliczną latarnią i zniknął. Cholera jasna, pomyślał Myron. I po ptokach. W życiu go nie dogonię.

I nagle chłopak wzbił się w powietrze.

Nogi w górze, ciało równoległe do ziemi – ktoś zrobił najprostszą rzecz pod słońcem.

Podstawił mu nogę.

Win.

Uciekinier leżał na brzuchu, gdy Myron dobiegł do latarni. Win zerknął na niego i zniknął w cieniu. Myron przewrócił chłopaka na plecy i usiadł na nim okrakiem. Ten zasłonił twarz, spodziewając się bicia.

– Proszę... – wychrypiał żałośnie.

– Nic ci nie zrobię – powiedział Myron. – Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

Chłopak opuścił ręce dopiero po kilku sekundach. W oczach miał łzy.

– Nic ci nie zrobię – powtórzył Myron. – Obiecuję. Okay?

Ten w obroży kiwnął głową, choć było widać, że mu nie wierzy. Myron zaryzykował i wstał, po czym pomógł mu usiąść.

– Spróbujmy jeszcze raz. Znasz chłopaka, o którego wczoraj poszło? Tego, który uciekł?

– Ten Amerykanin to pana znajomy?

– To ważne?

– Zabił tych trzech jak muchy packą. Po prostu ich pochlastał, ot tak, od niechcenia.

Myron spróbował z innej strony.

– Znałeś ich?

– No jasne. Terence, Matt i Peter. Tłukli mnie do upadłego, wszyscy trzej. Kiedy miałem w kieszeni funta, chcieli ode mnie dwóch. – Chłopak podniósł wzrok. – Gdyby brał pan w tym udział, uściskałbym panu rękę.

– Nie, nie brałem – zaprzeczył Myron.

– Szuka pan tylko chłopaka, którego zaczepili.

– Tak.

– Po co?

– To długa historia. Grozi mu niebezpieczeństwo.

Chłopak w obroży zmarszczył brwi.

– Więc jak? – spytał Myron. – Znasz go czy nie?

– Tak. Jasne, że znam.

– Zaprowadzisz mnie do niego?

W oczach chłopaka pojawił się cień nieufności.

– Naprawdę ma pan te pięćset funtów?

– Mam.

– To niech mi pan je da. Teraz.

– Skąd mam wiedzieć, że znowu nie uciekniesz?

– Bo widziałem, co zrobił pana znajomy. Jeśli spróbuję dać nogę, zabije mnie pan.

Myron chciał zaprzeczyć, uznał jednak, że odrobina strachu nikomu nie zaszkodzi. Gdy chłopak wyciągnął rękę, dał mu pieniądze, a on wetknął banknoty do buta.

– Nie powie pan nikomu, że mam kasę?

– Nie powiem.

– To chodźmy. Zaprowadzę pana.

Gdy na Gospel Oak wsiedli do pociągu, Myron próbował do niego zagadać. Ale chłopak od razu założył słuchawki i podkreślił głośność tak mocno, że słyhać było mizoginiczne słowa jakiejś piosenki.

Myron zastanawiał się, czy Win wciąż odbiera sygnał jego telefonu. Po przesiadkach w Highbury i Islington chłopak wyłączył muzykę i spytał:

- Jak ci na imię?
  - Myron. A tobie?
  - A nazwisko?
  - Bolitar.
  - Umiesz się bić. Załatwiłeś Dexa jak mokrą szmatę.
- Myron nie wiedział, co powiedzieć, rzucił więc tylko:
- Dziękuję.
  - Z jakiej części Stanów pochodzisz?
  - Z New Jersey.
  - Duży jesteś. Grasz w rugby?
  - Nie. Kiedyś... Na studiach grałem w koszykówkę. A ty?
  - Na studiach – prychnął szyderczo chłopak. – No jasne. Gdzie studiowałeś?
  - Na Uniwersytecie Duke'a. Jak ci na imię?
  - Nieważne.
  - Jak trafiłeś na ulicę?

Harda mina, którą chłopak próbował zrobić, była – jak u większości jego rówieśników – bardziej nadąsana niż gniewna.

– Co ci do tego? – bąknął.

– Nie chcę cię dotknąć – odparł Myron. – Słyszałem po prostu, że tego rodzaju... hm, inTerese prowadzi się dzisiaj online. Za pomocą różnych aplikacji, Grindra, Scruffa i tak dalej.

Chłopak spuścił głowę.

- To kara.
- Kara?
- Ulica.
- Kara za co?

Pociąg zatrzymał się.

– Tu wysiadamy. – Chłopak wstał. – Chodź.

Na ulicy przed stacją było tłoczno i głośno. Skręcili w kierunku Brixton Road, minęli sklep Sainsbury i weszli do salonu gier o nazwie Kraina Przygody.

Pierwszą rzeczą, jaka zaatakowała zmysły, była kakofonia dźwięków, miła jedynie dlatego, że budziła wspomnienia. Słyhać tam było trzask kręgli, cyfrowe ding-dong punktów zdobywanych w grach arkadowych, przenikliwe buczenie

chybionych rzutów, mechaniczne łup-łup-łup rzutów trafionych oraz symulowany ryk zestrzeliwanych samolotów i potworów zdychających pod gradem karabinowych kul. W blasku jaskrawych neonów migotały automaty do gier zręcznościowych i wszelkiego rodzaju strzelanek, Pac-Many, stoły do cymbergaja, symulatory samochodów wyścigowych, małe dźwigi ze szponiastym uchwytem do wyławiania pluszaków z przeszklonych klatek, stoły bilardowe i pingpongowe, zderzające się ze sobą samochodziki i bar karaoke.

Było tam mnóstwo nastolatków.

Myron powiódł wzrokiem po sali. Przy drzwiach stało dwóch wynajętych policjantów. Nie mogli robić wrażenia bardziej znudzonych, chyba że poddali by się stosownemu zabiegowi neurochirurgicznemu. Myron ich zignorował. Niemal natychmiast zauważył jednak, że wśród nastolatków kręci się kilku mężczyzn próbujących nie rzucać się w oczy... nie: próbujących wtopić się w tłum.

Wszyscy byli w bojówkach moro.

Chłopak w obroży przebijał się w stronę Laserowego Labiryntu, gry przypominającej scenę z *Mission: Impossible*, w której jeden z bohaterów próbuje przejść między promieniami laserów, nie potrącając ich i nie włączając alarmu. Za Labiryntem były drzwi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE. Chłopak podszedł do nich, podniósł głowę i spojrzał w obiektyw kamery monitoringu. Kiedy Myron stanął obok niego, kazał mu zrobić to samo.

Myron spojrzał w górę, uśmiechnął się szeroko i pomachał ręką.

– Jak wyglądam? – spytał. – Mam włosy w nieładzie, co?

Chłopak odwrócił się bez słowa.

Drzwi się otworzyły, a kiedy przeszli przez próg, zamknęły. W środku czekało dwóch mężczyzn, też w bojówkach. Myron wskazał je palcem i spytał:

– Była jakaś wyprzedaż czy coś?

Tamci nie docenili dowcipu.

– Masz broń?

– Nie, tylko czarujący uśmiech. – Zademonstrował go, lecz nie zrobiło to na nich wrażenia.

– Opróżnij kieszenie. Portfel, klucze, telefon.

Zrobił, co mu kazano. Mieli tam nawet specjalną kuwetę na klucze i bilon, jak na lotnisku. Jeden z bojówkarzy wyjął metalową różdżkę i powiódł nią po jego ciele. Widać to nie wystarczyło, bo facet zaczął go obmacywać, i to z wielkim upodobaniem.

– Boże, jak cudownie – westchnął Myron. – Troszkę bardziej w lewo poproszę...

Tamten zabrał ręce.

– Dobra, drugie drzwi po prawej.

– Mogę wziąć swoje rzeczy?

– Kiedy będziesz wychodził.

Myron spojrzał na chłopaka w obroży, który wbijał wzrok w podłogę.

– Ciekawe, dlaczego mam uczucie, że nie spodoba mi się to, co zobaczę w środku?



Te drzwi też były zamknięte. Pilnowała ich kolejna kamera. Chłopak znowu podniósł głowę i dał mu znak, żeby zrobił to samo. Myron go posłuchał, lecz tym razem dał sobie spokój z ujmującym uśmiechem. Niech sobie nie myślą.

Rozległ się metaliczny szcęk. Zrobione ze wzmocnionej stali drzwi otworzyły się. Chłopak wszedł pierwszy, Myron za nim.

Zaawansowana technologia – było to pierwsze słowo, jakie przyszło mu do głowy. A może raczej dwa słowa? W przeciwieństwie do Krainy Przygody, nory z przestarzałymi gramami arkadowymi, to pomieszczenie było estetyczne i nowoczesne. Roilo się w nim od najnowszej generacji ekranów i monitorów, na ścianach, biurkach, dosłownie wszędzie. Myron naliczył czterech mężczyzn. Żaden nie był w bojówkach.

Na środku pomieszczenia stał tęgi Hindus z ogoloną głową. Miał słuchawki na uszach i konsolę w rękach. Wszyscy grali w wojskową strzelankę, ale podczas gdy jego koledzy gorączkowali się przy swoich urządzeniach sterujących, on był zupełnie spokojny, niemal nonszalancki.

– Ciii, dajcie nam jeszcze chwilę, dobrze? Ci przekłęci makaroniarze myślą, że z nami wygrają.

Hindus odwrócił się plecami do nich. Wszyscy patrzyli na główny ekran na ścianie naprzeciwko. To chyba tablica wyników, pomyślał Myron. Na pierwszym miejscu był jakiś ROMA VSLAZIO. Na drugim GRUBY GANDHI 47. Na trzecim OGIER 12. Uhm, śnij dalej, miły graczu, śnij dalej. Dalsze miejsca zajmowały drużyny takie jak BEZKONKURENCYJNY RYZYKANT, WŁADCACI PEK (pewnie najlepszy przyjaciel OGIERA 12) oraz PIWNICA-MAMUSI (Nareszcie. Przynajmniej jeden samoświadomy gracz).

Hindus powoli podniósł rękę, jak dyrygent batutę przed rozpoczęciem koncertu. Spojrzał przez ramię na chudego Murzyna przy klawiaturze.

– Teraz! – rzucił, opuszczając rękę.

Murzyna nacisnął klawisz.

Przez chwilę nic się nie działo. Ale potem na głównym ekranie nastąpiła zmiana i na pierwszym miejscu znalazł się GRUBY GANDHI 47.

Mężczyźni radośnie zakrzyknęli i zaczęli przybijać sobie piątki. Piątki szybko przeszły w uściski i poklepywanie po plecach. A Myron i chłopak w obroży po prostu stali, czekając, aż świętowanie dobiegnie końca. Po chwili trzech mężczyzn wróciło na swoje stanowiska i usiadło. W ich okularach znowu pojawił się blask ekranów. Główny monitor, ten z ostatecznymi wynikami, szerniał i zgasł. Wtedy Hindus odwrócił się do nich.

– Witajcie – powiedział.

Myron zerknął na chłopaka w obroży, który miał przerażoną minę.

Nazwanie Hindusa „tęgim” to przejaw poprawności politycznej. Zwały skóry, brzuch, jakby połknął kulę do kręgli – był po prostu potwornie gruby. Jego podkoszulek nie sięgał pasa. Gruba szyja przechodziła bezpośrednio w gładko ogoloną głowę, dlatego wyglądał jak chodzący trapezoid. Z małym wąsikiem i w okularach, miał uśmiech, który przez pomyłkę można było wziąć za łagodny.

– Witamy w naszych skromnych progach, panie Bolitar.

– Bardzo mi miło, Gruby Gandhi.

To sprawiło Hindusowi wyraźną przyjemność.

– A tak, tak. Widział pan tablicę wyników.

– Owszem.

Hindus rozłożył ręce i, jak na wietrze, zakołysały mu się sflaczałe tricepsy.

– Czyż to nie odpowiedni pseudonim?

– Pasuje jak ulał – odparł Myron, nie mając pojęcia, o co chodzi z tym ulewaniem.

Gruby Gandhi przeniósł wzrok na chłopaka w obroży, a ten skurczył się do tego stopnia, że Myron uznał, iż musi osłonić go własnym ciałem.

– Nie chce pan wiedzieć, skąd znam pańskie nazwisko? – odezwał się Gruby Gandhi.

– Chłopak spytał mnie w pociągu, jak się nazywam. Spytał mnie również, skąd jestem i gdzie chodziłem do szkoły. Przypuszczam, że nas podsłuchiwaście.

– Otóż to. – Hindus znowu obdarzył ich dobrotliwym uśmiechem, lecz tym razem, a może była to tylko wyobraźnia, Myron dostrzegł w nim ślady próchnicy.

– Myśli pan, że tylko pan umie zrobić z telefonu urządzenie podsłuchowe?

Myron skwitował to milczeniem.

Gruby Gandhi strzelił palcami. Na wielkim ekranie ukazała się mapa Londynu, na której roilo się od niebieskich kropeczek.

– Wszyscy moi pracownicy mają takie telefony. Możemy wykorzystywać je jako urządzenia podsłuchowe, namierniki GPS i pagery. Dzięki temu mamy ich ciągle na oku. – Grubas wskazał mrugające kropeczki. – Ilekroć któraś z naszych aplikacji wskaże potencjalnego klienta, na przykład kogoś, kto ma ochotę na niedożywionego białego chudzielca w psiej obroży...

Stojący za Myronem chłopak zatrząsł się jak liść osiki.

– ...od razu wiemy – ciągnął Gandhi – gdzie szukać odpowiedniego pracownika, i w każdej chwili możemy zaaranżować spotkanie. Możemy ich także podsłuchiwać. Co pozwala nam uniknąć ewentualnego niebezpieczeństwa. Albo... – dobrotliwy uśmiech przeszedł w uśmiech drapieżny – sprawdzić, czy ktoś nas nie oszukuje.

Chłopak pochylił się, wyjął z buta pięćset funtów i podał mu banknoty. Hindus ich nie wziął. Chłopak położył więc pieniądze na stole i dosłownie wślizgnął się za Myrona, a ten nie zaprotestował.

Gruby Gandhi stanął twarzą do ekranu i znowu szeroko rozłożył ręce. Jego ludzie wciąż siedzieli z pochylonymi głowami i zawzięcie stukali w klawiatury.

– To jest nasz ośrodek nerwowy. Nasze centrum dowodzenia.

Centrum dowodzenia, pomyślał Myron. Brakuje tylko, żeby gość głaskał bezwłosego kota. Mówił jak czarny charakter z filmów z Bondem.

Gandhi zerknął przez ramię.

– Wie pan, dlaczego nie boję się tego panu mówić?

– Bo moja twarz budzi zaufanie?

– Nie. – Grubas odwrócił się szybko. – Bo nie może pan nic zrobić. Na pewno zauważył pan nasze zabezpieczenia. Tak, naturalnie, policja w końcu by się tu

dostała, może nawet ci, którzy nad panem czuwają. À propos: mój człowiek jeździ teraz po mieście z pańskim telefonem. Żeby było zabawniej. Śmieszne, prawda?

– Oj, tak, boki można zrywać.

– Jeszcze jedno, Myron. Mogę mówić panu po imieniu?

– Oczywiście. A czy ja mogę mówić panu „Gruby”?

– Ha, ha! Podobasz mi się, panie Bolitar.

– To wspaniale.

– Myron, na pewno zauważył pan, że nie mamy tu ani jednego twardego dysku. Wszystko, wszystkie informacje o naszych inTeresech, klientach i pracownikach, przechowujemy w chmurze. Dlatego jeśli ktoś tu wejdzie, naciśniemy guzik i *voilà!* – Gandhi strzelił palcami. – Niczego nie znajdzie.

– Sprytne.

– Nie mówię panu tego, żeby się pochwalić.

– Nie?

– Zanim przejdziemy do interesów, chcę, żeby zrozumiał pan, z kim ma pan do czynienia. Ja też zawsze sprawdzam wszystkich, z którymi coś mnie łączy. To mój obowiązek.

Grubas strzelił palcami.

Ekran znowu pojaśniał i Myron głośno jęknął.

– Kiedy poznaliśmy pańskie nazwisko, cała reszta nie stanowiła większego problemu. – Gandhi wskazał ekran, na którym znieruchomiał tytuł filmu.

#### ZDERZENIE: HISTORIA MYRONA BOLITARA

– Obejrzelśmy ten dokument – ciągnął Gandhi. – Jest bardzo wzruszający.

Każdy kibic sportowy w pewnym wieku zna „legendę” o Myronie Bolitarze, zawodniku, który trafił do Boston Celtics z pierwszego draftu. Jeśliby jednak sport was nie interesował, gdybyście byli młodszy albo pochodzili z obcych krajów, jak ci tutaj, to dzięki filmowi nakręconemu ostatnio przez ESPN, dokumentowi, który rozprzestrzenił się wszędzie jak zjadliwy wirus, i tak wiedzielibyście więcej, niżby wypadało.

Gruby Gandhi znów strzelił palcami i rozpoczęła się projekcja.

– Już go widziałem – powiedział Myron.

– Och, niech pan nie będzie taki skromny.

Film zaczynał się optymistycznie: dźwięczna muzyka, jaskrawe słońce, wiwatujący tłum. I fragmenty starych kronik filmowych przedstawiające Myrona, wówczas ucznia szóstej klasy podstawówki, grającego w AAU, koszykarskiej lidze młodzieżowej. Szkoła podstawowa, potem średnia, w Livingston w stanie New Jersey: tam Myron Bolitar był już gwiazdorem. Jeszcze potem studia na Uniwersytecie Duke’a, gdzie obrósł w legendę. Zdobył honorowy tytuł Consensus All-American, był dwukrotnym mistrzem NCAA, a nawet Studenckim Zawodnikiem Roku.

Muzyka przybrała na sile.

Kiedy Boston Celtics wybrali go w pierwszym drafcie do NBA, wydawało się, że spełniły się wszystkie jego marzenia.

„I wtedy – zagrzemiał kasandryczny głos z ekranu – wydarzyła się tragedia”.

Dźwięczna muzyka gwałtownie ucichła. Na znak czegoś jeszcze bardziej złowieszczonego.

Do „tragedii” doszło w trzeciej kwarcie pierwszego przedsezonowego meczu, kiedy to Myron po raz pierwszy – i ostatni – wystąpił w zielonym klubowym stroju z numerem 34 na koszulce. Boston Celtics grali wtedy z Washington Bullets. W pierwszej i drugiej kwarcie Myron nie zawiódł oczekiwań kibiców i szefów klubu: zdobył osiemnaście punktów. Doskonale współpracując z kolegami, zlany słodkim potem błogiego uniesienia, które znajdował jedynie na boisku, grał pełną parą, gdy wtem...

Autorzy *Zderzenia* pokazali ten „koszmar” dwadzieścia cztery razy, ze wszystkich możliwych kątów. Pokazali go z normalną prędkością. Pokazali w zwolnionym tempie. Pokazali z punktu widzenia Myrona, z góry i z boków. Bez różnicy. Rezultat był zawsze taki sam.

Debiutujący Myron Bolitar miał odwróconą głowę, gdy zaatakował go silny skrzydłowy Duży Burt Wesson. Kolano Myrona wygięło się i wykręciło pod kątem, którego nie przewidział ani Bóg, ani anatomia. Nawet z oddali słychać było przyprawiający o mdłości mokry trzask.

Pa, pa, dalsza kariero.

– Oglądaliśmy to z głębokim smutkiem – wyznał z teatralnym przygnębieniem Gruby Gandhi. Rozejrzał się. – Prawda, chłopcy?

Wszyscy, nawet chłopak w obroży, natychmiast przybrali stosownie ponurą minę. I spojrzeli na Myrona.

– Tak, już to przeboleiałem – zapewnił ich Myron.

– Naprawdę?

– Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach na przyszłość. Grubas się uśmiechnął.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Czy to amerykańskie powiedzenie?

– Żydowskie.

– Aha, rozumiem. W hindi mówimy, że lepiej jest wiedzieć, niż dyskutować. Dlatego najpierw poznaliśmy pańskie nazwisko. Potem obejrzelśmy film, włamaliśmy się do pańskiej skrzynki mailowej...

– Że co proszę? – przerwał mu Myron.

– Nie, nie, nie znaleźliśmy tam nic ciekawego, ale na tym nie poprzestaliśmy. Przejrzeliśmy także pańskie billingi. Kiedy był pan w Nowym Jorku, a więc niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, ktoś dzwonił do pana z anonimowego numeru. Udało nam się ustalić, że połączenia dokonano stąd, z Londynu. – Gandhi wyciągnął ręce z otwartymi dłońmi. – No i proszę, jest pan w Londynie. Z nami.

– Jesteście bardzo dokładni – przyznał Myron.

– Staramy się.

– A więc wiecie już, dlaczego przyjechałem.

– Owszem.

– No i?

– Rozumiem, że pracuje pan dla rodziców tego chłopaka, tak?

– Czy to ważne?

– Niespecjalnie – odparł grubas. – Tak, oczywiście, przeprowadzamy czasem akcje ratownicze. Szczerze mówiąc, wszystko jest kwestią ceny. Nauczyłem się tego od wielkiego Eshana, przywódcy grupy religijnej, pan powiedziałby pewnie sekty. Mieszkał pod Waranasi i był cudownym człowiekiem. Głosił potrzebę pokoju, harmonii i miłosierdzia. Miał wielką charyzmę. Nastolatki lgnęły do niego i oddawały mu cały dobytek. Mieszkali w namiotach na dobrze strzeżonym pustkowiu. Bywało, że rodzice chcieli zabrać swoje dzieci do domu. Wielki Eshan zawsze szedł im na rękę. Nie żądał zbyt wiele... zawsze powtarzał, że chciwość nie popłaca... ale jeśli dostał od nich więcej, niż zarobiłby na pracy dziecka, które chodziło na żebrzy lub zajmowało się werbunkiem nowych członków grupy, to owszem, dobijał z nimi targu. Ja postępuję tak samo. Jeżeli któryś z moich podopiecznych przynosi największe zyski, sprzedając swoje ciało, pracuje w dziale usług seksualnych. Jeśli bardziej odpowiada mu rozbój, tak jak naszemu przyjacielowi Garthowi, który próbował pana obrabować, pracuje w dziale rabunkowym.

Jezu, facet lubi gadać, pomyślał Myron.

– Dobra, ile? – rzucił.

– Sto tysięcy funtów za każdego chłopaka.

Myron milczał.

– To kwota niepodlegająca negocjacji.

– Ja wcale nie negocjuję – zauważył Myron.

– Wspaniale. Ile czasu potrzebuje pan na zebranie pieniędzy?

– Możecie je dostać natychmiast.

– No, no. Przecież nie ma pan ich przy sobie.

– Ale mogę je mieć w ciągu godziny.

Grubas uśmiechnął się szeroko.

– Szkoda, że nie zażądałem więcej.

– Chciwość nie popłaca. Słowa wielkiego Eshana.

– Wie pan, co to jest bitcoin?

– Chyba nie.

– To cyberwaluta, ale nieważne.

– Cyberwaluta? Pierwsze słyszę.

– Proszę zebrać pieniądze. Potem powiemy panu, co dalej.

– Kiedy?

– Jutro – odparł grubas. – Zadzwoń i umówimy się.

– Im szybciej, tym lepiej.

– Tak, rozumiem. Ale pan też powinien coś zrozumieć. Jeśli w jakiś sposób spróbuje pan obejść naszą umowę, zabiję chłopaków i nikt ich nigdy nie znajdzie. Będę zabijał ich powoli i boleśnie i nie zostanie z nich nawet popiół. Czy to jasne?

Nawet popiół?

- Jak słońce – odparł Myron.
- W takim razie może pan już iść.
- Jeszcze jedno.

Gruby Gandhi czekał.

- Skąd mam wiedzieć, czy to nie jakiś przekręt?
- Nie ufa mi pan?

Myron wzruszył ramionami.

- Tylko pytam.

- Może i przekręt – odparł Gandhi. – Może nie powinien pan tu jutro wracać?

Po co zawracać sobie głowę?

- Nie gram z panem w cykora. Kto jak kto... – Myron wycelował w niego palec – ale pan jest bystry na tyle, żeby to zauważyć.

Grubas pogłaskał się po podbródku i skinął głową.

Myron wiedział, że psychole uwielbiają pochlebstwa.

- Po prostu myślę – ciągnął – że za te pieniądze miło by było zobaczyć jakiś dowód. Bo skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście ma pan tych chłopaków?

Gandhi podniósł rękę i strzelił palcami.

Film zniknął z ekranu.

Przez chwilę był zupełnie czarny. Myron pomyślał, że pewnie wyłączyli telewizję. Ale nie. Grubas podszedł do klawiatury i stuknął palcem w klawisz. Ekran pojaśniał. Ukazało się na nim pomieszczenie o betonowych ścianach.

Dokładnie na jego środku siedział Patrick.

Miał czarne oczy. I spuchnięte zakrwawione usta.

- Trzymamy go gdzie indziej – wyjaśnił grubas.

Myron z trudem zapanował nad głosem.

- Co wyście mu zrobili?

Gandhi znowu strzelił palcami i ekran zgasł.

- A drugi chłopak? – spytał Myron, wbijając wzrok w czern.

- Myślę, że to wystarczy. Proszę już iść.

Myron spojrzał mu w oczy.

- Zawarliśmy umowę, prawda?

- Owszem.

- Skoro tak, nikt nie ma prawa ich tknąć. Chcę, żeby dał mi pan słowo.

- A ja go nie dam – odparł Gruby Gandhi. – Skontaktuję się z panem jutro.

A teraz proszę wyjść.

Podczas ostatniego pobytu w Londynie mieszkali w hotelu Claridge przy Brook Street, w Davies, ulubionym apartamencie Wina. Tamta wyprawa zakończyła się fatalnie dla nich obu. Dlatego teraz, może dla odmiany, Win wybrał bardziej ustronny hotel Covent Garden przy Monmouth Street, niedaleko Seven Dials. Wszedłszy do pokoju, Myron wyjął telefon na kartę, który dostał od przyjaciela, i zadzwonił do Terese.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak.

– Nie podoba mi się to.

– Wiem.

– Za dużo tego było.

– Pełna zgoda.

– Chcieliśmy zostawić to za sobą.

– Tak. I wciąż chcemy.

– Nie leży mi rola takiej żony, stroskanej i stęsknionej.

– Dwa razy mocne „S”, ładna aliteracja.

– Lata pracy w charakterze popularnej prezenterki. Nie, żebym lubiła się chwalić.

– Aliteracja to tylko jedna z twoich jakże wielu umiejętności.

– Nie możesz się powstrzymać, co?

– Kochaj mnie mimo moich licznych wad.

– Cóż mi pozostało? No dobra, wal, wchodzisz na antenę.

– Wchodzę?

– Tylko bez dwuznacznych żartów proszę – zastrzegła Terese.

– Hm, na antenę?

– Kocham cię.

– Ja ciebie też – szepnął.

I wszystko jej powiedział.

– Naprawdę lubi, kiedy nazywają go Grubym Gandhim? – spytała, gdy skończył.

– Uwielbia.

– Ty i Win żyjecie w starym filmie z Humphreyem Bogartem.

– Jestem za młody, żeby zrozumieć tę aluzję.

– Akurat, chciałbyś! Więc masz im przynieść pieniądze?

– Tak.

Cisza.

– Dużo o nich myślałem.

– Uhm.

- O ich rodzinach. Głównie o rodzicach.
- Patricka i Rhysa.
- Tak.

Terese milczała.

– I chcesz zasięgnąć mojej fachowej opinii – odezwała się po chwili. Przed laty straciła dziecko. Niemal ją to zniszczyło.

- Nie powinienem był o tym wspominać.
- Zła reakcja. Gdybyś dreptał wokół tego na palcach, byłoby jeszcze gorzej.
- Chcę założyć z tobą rodzinę.
- A ja z tobą.

– Więc jak to się robi? – spytał. – Kiedy tak bardzo się kogoś kocha. Jak żyje się ze strachem, że ten ktoś może w każdej chwili zginąć albo doznać jakiegoś urazu?

- Mogłabym ci powiedzieć: cóż, takie jest życie.
- Mogłabyś.

– Albo spytać: jaki mamy wybór?

– Czuję, że zaraz będzie małe „ale”.

– I słusznie. Myślę jednak, że jest jeszcze inna odpowiedź, której szukałam długie lata.

- Czyli?
- Blokowanie.

Myron czekał na ciąg dalszy, lecz się nie doczekał.

- I tyle?
- Spodziewałeś się czegoś głębszego?

– Może – przyznał.

– Blokujemy myśli, inaczej nie wstalibyśmy z łóżka.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. Dlatego gdybym cię straciła, doświadczyłabym obezwładniającego bólu. Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem.

– Jeśli chcesz zaznać miłości, musisz być przygotowany na ból. Jedno nie istnieje bez drugiego. Gdybym cię nie kochała, nie martwiłabym się, że mogę cię stracić. Chcesz śmiechu, spodziewaj się łez.

– Logiczne. Wiesz co?

– Mów.

– Jesteś tego warta.

– I o to chodzi.

Ktoś włożył klucz do zamka. Do pokoju wszedł Win. Myron pożegnał się z Terese i schował telefon.

– Co u niej? – spytał Win.

– Martwi się.

– Chodźmy do pubu. Jestem głodny jak wilk.

Poszli w kierunku Seven Dials. W Cambridge Theatre wystawiano *Matildę*.

– Zawsze chciałem to zobaczyć – powiedział Myron.

– Słucham?



– *Matildę*.

– Wybrałeś nieodpowiedni moment.

– Żartowałem.

– Wiem. Poczucie humoru jest twoim mechanizmem obronnym. To bardzo ciekawy kaprys osobowości. – Win wszedł na jezdnię. – A *Matilda* jest... ech.

– Chwila, widziałeś ten musical?

Win nawet nie zwolnił kroku.

– Poszedłeś beze mnie?! – oburzył się Myron.

– No i zaczyna się.

– Przecież ty nie znosisz musicali. Na *Rent* musiałem zaciągnąć cię siłą.

Win nie odpowiedział. Zgodnie z nazwą, Seven Dials to małe skrzyżowanie w Covent Garden, gdzie – niczym na tarczy zegara – spotyka się siedem ulic, tworząc siedem rogów. Na środku skrzyżowania stoi trzypiętrowej wysokości kolumna z sześcioma zegarami słonecznymi. Na jednym z rogów mieści się Cambridge Theatre. Na innym mały pub o nazwie The Crown. I właśnie tam wszedł Win.

Był to staromodny lokal z wypolerowaną na błysk ladą, ciemną boazerią i tarczą do gry w rzutki, mimo że gracze mieli do dyspozycji niecałe dwa metry wolnej przestrzeni. Ciasny i przytulny, przyciągał wielu gości, z których – z braku miejsc siedzących – większość musiała stać. Win przechwycił spojrzenie barmana. Ten lekko skinął głową, goście się rozstąpili, ktoś wstał i nagle znalazły się dwa wolne stołki. Na ladzie wylądowały dwie podkładki, a na nich dwa kufle fuller's london pride.

Win usiadł na jednym stołku, Myron na drugim.

– Twoje, staruszkule – rzucił Win, podnosząc kufel jak do toastu.

Trącili się szkłem. Dwie minuty później barman postawił przed nimi dwie porcje ryby z frytkami. Od smakowitego zapachu Myronowi radośnie zaburczało w brzuchu.

– Nie wiedziałem, że można tu coś zjeść.

– Bo nie można – powiedział Win.

– Jesteś niesamowity.

– Tak, wiem.

Długo delektowali się piwem i jedzeniem. To, co Win miał do powiedzenia, mogło spokojnie zaczekać. Gdzieś po drodze wszystko zjedli i wypili, po czym zamówili drugą rundkę. W telewizji transmitowano mecz rugby. Myron nie znał zasad tej gry, mimo to nie odrywał wzroku od ekranu.

– A więc nasz gruby przyjaciel Gandhi widział ten film na ESPN? – spytał w końcu Win.

– Tak. – Myron odwrócił się ku niemu. – Ty widziałeś?

– Naturalnie.

Głupie pytanie.

– Ale zaciekała mnie twoja reakcja – powiedział Win.

Myron wzruszył ramionami i pociągnął łyk piwa.

– Uważam, że była adekwatna.

- Udzieliłeś im wywiadu.
- Tak.
- Pierwszy raz. Nigdy dotąd nie mówiłeś o swoim kolanie.
- Fakt.
- Nie chciałeś nawet oglądać nagrań.
- Fakt.

Oglądanie nagrań byłoby zbyt przygnębiające. Ale cóż, to normalne, prawda? Wszystkie marzenia, życiowe cele, wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłeś... skończyłeś dwadzieścia dwa lata, masz to w zasięgu ręki i nagle trach! Gaśnie światło i pa, pa. Żegnaj, kariero.

- Nie widziałem sensu – dodał Myron.
- A teraz?

Wypił łyk piwa.

- Ciągłe mi powtarzali, że ten uraz mnie „zdefiniował”.
- I kiedyś zdefiniował.

– Właśnie. Kiedyś. Ale już nie definiuje. Teraz patrzę, jak Burt Wesson na mnie wpada, i czuję tylko lekkie ukłucie. Ten głupi dziennikarz. W kółko powtarzał, że to zderzenie... – Myron zrobił palcami znak cudzysłowu – „zniszczyło mi życie”. Ale teraz już wiem, że było to tylko rozwidlenie dróg. Ci, z którymi zaczynałem, wszyscy ci gwiazdorzy, którzy trafili do NBA i zrobili karierę, już się wycofali. Dla nich też zgasło światło.

- Ale przedtem zaliczyli mnóstwo panienek – zauważył Win.
- Nie da się ukryć.
- Poza tym światło nie zgasło dla nich gwałtownie. Gasło stopniowo.
- Powoli.
- Właśnie.
- Może tak jest trudniej – powiedział Myron.
- Dlaczego?
- Bandaż można albo zerwać, albo powoli go odklejać.
- Słusznie – rzucił Win, sięgając po kufel.

– Mógłbym również dodać ten frazes o wrzucaniu kogoś na głęboką wodę. Gwałtowność, z jaką to się stało, zmusiła mnie do działania. Poszedłem na studia, ukończyłem prawo, zostałem agentem sportowym...

- Nieprawda.
- Nie?
- Zawsze byłeś ambitnym draniem. Powiedziałbym, że aż za ambitnym.

Myron uśmiechnął się i podniósł kufel.

- Twoje, staruszku.

Trącili się szkłem, Win odchrząknął i wyrecytował:

- *Der mentsh trakht un got lakht.*

- Rany! – zdumiał się Myron.

– Uczę się jidysz – wyjaśnił jasnowłosy, niebieskooki Anglosas. – Chcesz poderwać Żydówkę? Działa cuda.

*Der mentsh trakht un got lakht.* Tłumaczenie: Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach na przyszłość.

Kurczę, dobrze było znowu z nim być.

Umilkli. Obydwaj myśleli o tym samym.

– Może kolano przestało być dla mnie problemem, bo teraz już wiem, że są gorsze rzeczy – odezwał się po chwili Myron.

Win kiwnął głową.

– Choćby Patrick i Rhys – powiedział.

– Co wiesz o cyberwalucie?

– Czasem płacą nią okup, ale odkąd weszły w życie wszystkie te prawa mające zwalczyć pranie brudnych pieniędzy, proces jest niezwykle trudny. Mój ekspert mówi, że trzeba ją kupić, włożyć do specjalnego wirtualnego portfela, następnie przelać. A wszystko to w głębokiej sieci.

– W głębokiej sieci? Na tym też się znasz?

– Przecież ci mówiłem. Znam się prawie na wszystkim.

Myron czekał na ciąg dalszy.

– Nie, nieprawda, głęboka sieć to dla mnie ciemna magia.

– Chyba się starzejemy.

Zabuczała komórka. Win spojrział na ekran.

– Wiadomość od zaprzyjaźnionego policjanta. Na temat Grubego Gandhiego.

– No i?

– Chris Alan Weeks. Tak się naprawdę nazywa.

– Żartujesz.

– Ma dwadzieścia dziewięć lat. Policja o nim słyszała, ale według tego meldunku pan Weeks pracuje głównie w głębokiej sieci.

– Znowu ta głęboka sieć – mruknął Myron.

– Para się prostytutką, niewolnictwem seksualnym, rabunkiem, szantażem...

– „Para się”?

– To moje określenie. A więc para się tym i... Hm, dlaczego mnie to nie dziwi? Hakerstwem komputerowym. Jego gang ma na koncie wiele internetowych oszustw finansowych.

– Z cyklu tych, w których nigeryjski książę chce podarować komuś cały swój majątek?

– Boję się, że trochę bardziej wyrafinowanych. Gruby Gandhi... Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolę jego pseudonim.

– Jak sobie życzysz.

– No więc Gruby Gandhi zna się na komputerach. Ukończył Oksford. Jak dobrze wiemy, władze nie lubią nazywać przestępców „geniuszami” czy „arcymistrzami”, ale wygląda na to, że nasz cherubinek jest jednym i drugim. Hm...

– Hm co?

– Ma reputację „osobnika twórczego i gwałtownego”. To już określenie policji.

Win umilkł i wykrzywił usta w uśmiechu.

– Coś jak ty – zauważył Myron.

– Dlatego się uśmiecham.

– Porywa ludzi?

– Handel ludźmi jest niewolnictwem dla celów wykorzystywania seksualnego. Z definicji wynika, że to uprowadzenie. – Myron chciał coś powiedzieć, lecz Win uciszył go gestem ręki. – Ale jeśli pytasz, czy Gruby Gandhi porywa dzieci bogatych rodziców, żeby zrobić z nich niewolników seksualnych, odpowiedź brzmi „nie”, a przynajmniej nic na to nie wskazuje. Poza tym w chwili uprowadzenia Patricka i Rhysa miał dziewiętnaście lat. I, według wszelkich danych, studiował w Oksfordzie.

– Więc jak ci chłopcy do niego trafili? – spytał Myron. – Masz jakąś teorię?

Win wzruszył ramionami.

– Kilka. Porywacz mógł ich sprzedać. Niewykluczone, że w ciągu tych dziesięciu lat Patrick i Rhys przechodzili z rąk do rąk kilka razy. Gruby Gandhi nie musi być tym, który ich uprowadził.

– Obłąd.

– Prawda? Ci chłopcy mogli uciec i przez jakiś czas mieszkać na ulicy. Pasożyty takie jak ten grubas werbują dzieciaki właśnie na ulicy. Proponują im pracę. Wciągają w narkotyki, a potem każą im na nie zapracować. Są dziesiątki sposobów.

– Wszystkie paskudne – zauważył Myron.

– Raczej tak. Ale, jak dobrze wiemy, ludzie, zwłaszcza młodzi, są odporni. A teraz musimy skupić się na ich ratowaniu.

Myron zapałzył się w kufel.

– Widziałeś Patricka na ulicy.

– Tak.

– Skoro dano mu taką swobodę...

– Dlaczego nie zadzwonił do domu? – dokończył Win. – Znasz odpowiedź. Syndrom sztokholmski, strach, że go obserwują, a może po prostu nie pamięta swojego dawnego życia. Miał wtedy sześć lat.

Myron kiwnął głową.

– Co jeszcze? – spytał.

– Moi ludzie obstawili salon gier.

– Żeby?

– Jeden z nich będzie śledził grubasa. Pieniądze dotrą za dziesięć minut, mniej więcej. Mieszkamy przez ścianę. Kiedy się odezwie, zaczniemy działać. A do tej pory...

– Czekamy.

• • •

Zadzwonił o czwartej rano.

Myron obudził się i sięgnął po telefon. W drzwiach stanął wciąż ubrany Win. Ruchem głowy kazał przyjacielowi odebrać i przytknął do ucha identyczną komórkę.

– Dzień dobry, panie Bolitar.

Gruby Gandhi. O tej porze? Zrobił to celowo, żeby go zaskoczyć, wyrwać z najgłębszego snu. Liczył na to, że zdezorientowany wypadnie z roli. Klasyczny ruch.

– Hej.

– Czy ma pan pieniądze?

– Tak.

– Wspaniale. W takim razie proszę pojechać do banku NatWest przy Fulham Palace Road.

– Teraz?

– Jak najszybciej.

– Jest czwarta rano.

– Wiem. Przed bankiem będzie czekała Denise Nussbaum, moja pracownica. Proszę do niej podejść. Pomoże panu założyć rachunek i przelać pieniądze.

– Nie rozumiem...

– Jeśli mnie pan posłucha, wszystko pan zrozumie. Proszę tam jechać. Denise pokaże panu, jak zrobić przelew.

– Mam przelać pieniądze, zanim przekaże mi pan chłopców?

– Nie. Ma pan robić, co mówię. Chłopcy zjawią się na miejscu, gdy otworzy pan rachunek. Kiedy ich pan zobaczy, zrobi pan przelew. Wtedy ich panu oddam.

Myron spojrzał na przyjaciela. Win kiwnął głową.

– Dobrze.

– Czyżby wolał pan te staromodne sposoby? Myślał pan, że każę panu biegać od budki do budki, jeździć metrem i zostawić pieniądze w dziupli starego drzewa? – Gruby Gandhi stłumił śmiech. – Ogląda pan za dużo telewizji, przyjacielu.

O Boże, westchnął w duchu Myron.

– Skończyliśmy? – spytał.

– Nie tak szybko. Mam jeszcze kilka... powiedzmy, że próśb.

Myron czekał.

– Proszę nie zabierać ze sobą żadnej broni.

– Dobrze.

– I niech pan przyjdzie sam. Będziemy pana śledzić. Zdajemy sobie sprawę, że ma pan wsparcie. Współpracowników. Jeśli któregoś z nich zobaczą i uznają, że zamierza przeszkodzić w transakcji, będą konsekwencje.

– I kto tu ogląda za dużo telewizji? – burknął Myron.

Grubasowi spodobało się to.

– Niech pan mnie nie zawiedzie, panie Bolitar.

– Nie zamierzam.

– Świetnie.

– Jeszcze jedno – rzucił Myron.

– Tak?

– Wiem, że jest pan straszny, przerażający i w ogóle, ale proszę pamiętać, że my też.

Czekał na odpowiedź, lecz w słuchawce panowała głucha cisza. Zerknął na przyjaciela i wymienili spojrzenia.

– Rozłączył się? – spytał Win.

– Tak.

– Co za gbur!

Siedzieli na fotelach z tyłu bentleya. Win włożył pieniądze do eleganckiej skórzanej walizeczki. Myron spojrział na znak firmowy.

- Dajesz okup w walizeczce od Swaine’a Adeneya Brigga?
  - Nie miałem pod ręką niczego tańszego.
  - Znasz Fulham Palace Road?
  - Nie bardzo – odparł Win.
  - Więc gdzie mnie podrzucisz, żeby nikt nas nie widział?
  - Do hotelu Claridge.
  - To niedaleko banku? – spytał Myron.
  - Nie. Będziesz miał stamtąd dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut jazdy.
  - Nie rozumiem.
  - Wczoraj wieczorem podmieniłem ci telefon.
  - Tak, wiem.
  - Kiedy ludzie twojego pulchnego przyjaciela skonfiskowali ci komórkę, zamontowali w niej chip, żeby można ją było namierzyć – wyjaśnił Win.
  - Poważnie?
  - Tak.
  - A więc cały czas mieli mnie na oku?
  - Nie, nie ciebie – odparł Win. – Mój człowiek pojechał z twoim telefonem do hotelu Claridge. I zameldował się tam jako Myron Bolitar.
  - Wynajął nasz dawny apartament?
  - Nie.
  - Mój sobowtór przywykł do luksusu – powiedział Myron.
  - Skończyłeś?
  - Mniej więcej. Więc Gruby Gandhi myśli, że mieszkam w Claridge?
  - Tak. Wejdiesz bocznym wejściem dla personelu – wydał instrukcje Win. – Mój człowiek zwróci ci komórkę. I założy ci podsłuch, w dwóch miejscach.
  - W dwóch? – zdziwił się Myron.
  - Nie wiadomo, dokąd pojedziesz i mogą cię znowu obszukać. Dwóch pluskiew nie znajdą.
- Oczywiście. Ilekroć Win zakładał podsłuch czy lokalizator w samochodzie, jedno urządzenie zawsze umieszczał pod zderzakiem, gdzie łatwo je było znaleźć, a drugie w miejscu mniej przewidywalnym.
- Obowiązuje to samo hasło – dodał.
  - Wysłów się – powiedział Myron.
  - Miło, że pamiętasz. – Win odwrócił się i spojrział mu prosto w oczy. – Użyj go nawet wtedy, kiedy uznasz, że nic ci nie pomoże.
  - Hę?

– W nocy odwiedziłem moich obserwatorów, tych przed salonem gier. Twój gruby kumpel nie wyściubił stamtąd nosa. Nie wszedł tam również nikt przypominający wyglądem Patricka czy Rhysa.

– Masz jakąś teorię?

– Niewykluczone, że Gandhi przetrzymuje ich w salonie. Dostrzegliśmy ślady...

– Win postukał palcem w usta. – Ślady życia w piwnicy.

– Czyli ktoś tam jest?

– Ktoś, a raczej więcej ktosiów. Dużo więcej.

– Macie skaner termiczny?

– Tak, ale ściany piwnicy są bardzo grube. Mimo to...

– Co?

Win pokręcił głową. Limuzyna się zatrzymała.

– Mój człowiek czeka po lewej stronie wejścia – powiedział. – Idź tam, weź komórkę, daj założyć sobie podsłuch, złap taksówkę i jedź na Fulham Palace Road.

Myron zrobił, co mu kazano. Naszły go wspomnienia o ostatnim pobycie w Claridge, o śmierci, zniszczeniu i chaosie, lecz szybko je odpędził. Nie znał mężczyzny, który im pomagał. A ten robił swoje spokojnie i bez słowa. Najpierw rozpiął mu koszulę i przykleił pluskwę do piersi.

– Aj! Zimno!

Nic. Żadnej reakcji.

Drugą ukrył w bucie. Potem Myron ruszył do frontowych drzwi.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytał go odźwierny w liberii i cylindrze.

Trochę za mocno ściskając uchwyt walizeczki, Myron rozejrzał się dyskretnie w poszukiwaniu ewentualnych obserwatorów. Ulica świeciła jednak pustkami i nie zobaczył nikogo, kto opierałby się o ścianę, udając, że czyta gazetę, czy pochylał się, żeby zawiązać sznurowadło.

Jedyną rzeczą wartą uwagi był szary samochód z przyciemnionymi szybami parkujący po lewej stronie, kilkanaście metrów dalej.

– Taksówkę poproszę.

Odźwierny dmuchnął w gwizdek – nic to, że czarna taksówka stała parę kroków od nich – i z namaszczeniem odegrał scenę otwierania drzwi. Myron sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu drobnych i nie znalazłszy ani centa, bezradnie wzruszył ramionami. Na odźwiernym nie zrobiło to żadnego wrażenia. Myron wszedł, z trudem mieszcząc nogi, i podał kierowcy adres.

Trzy ulice dalej stało się oczywiste, że szary samochód go śledzi. Myron wiedział, że telefon jest włączony i Win wszystko słyszy. Ale na razie nie było powodu bawić się w tajnych agentów. Wyjął komórkę i przytknął ją do ucha.

– Jesteś tam?

– Tak.

– Jedzie za mną szary samochód.

– Marki?

– Nie wiem. Nie znam się na tym, przecież wiesz.

– Opis poproszę.



- Ma na masce wkurzonego lwa stojącego na tylnych łapach...
- Peugeot. Francuski. Przecież lubisz Francuzów.
- To prawda, lubię.

Choć była dopiero piąta rano, na Fulham Palace Road panował spory ruch. Taksiarz zatrzymał się przed bankiem, oczywiście zamkniętym. Myron zapłacił mu i wysiadł. Taksówka odjechała, a on został sam, z walizeczką pełną pieniędzy. Banknoty były „znaczone” – Win znał ich numery seryjne – ale Gruby Gandhi nie prosił o „czyste”. Kolejny motyw filmowy? Czy wydając pieniądze, ktoś sprawdza numery banknotów?

Myron stał jak głupi całą minutę, wreszcie zadzwonił telefon. Anonimowy numer, ale to musiał być Gruby Gandhi. Myron odebrał i udając kamerdynera Alfreda, powiedział z fatalnym brytyjskim akcentem:

- Tu posiadłość pana Wayne’a. Zaraz poproszę go do telefonu.

- Batman! – Grubas zarechotał jak żaba. – Który był pana ulubionym? Christian Bale, prawda?

- Jest tylko jeden Batman i nazywa się Adam West – odparł Myron.

- Jak?

Ach, ta dzisiejsza młodzież!

- Widzi pan szary samochód z przyciemnionymi szybami? – spytał Gandhi.

- Tego peugeot? – rzucił Myron, popisując się znajomością marek.

- Tak. Proszę do niego wsiąść.

- A co z Denise Nussbaum i bankiem?

Grubas przerwał połączenie.

Peugeot podjechał bliżej. Chudy Murzyn z salonu gier otworzył tylne drzwi i zawołał:

- Wsiadaj, kolego!

Myron zajrzał do samochodu. Kierowca. I chudzielec.

- A gdzie chłopcy?

- Właśnie do nich jedziemy.

Chudzielec przesunął się, robiąc mu miejsce. Myron zawahał się i wsiadł. Chudzielec miał na kolanach włączonego laptopa.

- Dawaj komórkę – rzucił.

- Nie.

- Na nic ci się nie przyda. – Chudzielec uśmiechnął się szeroko. – Zagłuszam sygnał GSM.

- Słucham? – nie zrozumiał Myron.

- Widzisz ten laptop? Zagłusza sygnał telefonu. Wczoraj namierzyłem potężny transfer danych między twoim aparatem i aparatem tego, kto ci pomaga. A dzisiaj? Dzisiaj gość cię nie słyszy. Aha, wniosłeś tu może jakąś pluskwę? Mój laptop poradzi sobie z każdą.

- Tak dla jasności – powiedział Myron. – Pański laptop zagłusza sygnał mojego telefonu?

Chudzielec uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Właśnie.

Myron kiwnął głową. Potem opuścił szybę, wyrwał mu laptop z rąk i wyrzucił na ulicę.

– Hej! Co ty... – Chudzielec odwrócił się i spojrzał za siebie, by zobaczyć na jezdni wnętrze komputera. – Chyba żartujesz! Wiesz, ile kosztował?

– Miliard funtów?

– To nie jest śmieszne!

– Wiem, wcale. A teraz dość tych wygłupów. Dzwon do Gandhiego.

Chudzielec miał łzy w oczach.

– Nie musiałeś – zapisał żałośnie. – Robiłem, co mi kazali.

– A teraz zrobisz to, co każę ci ja. Dzwon do grubasa. Powiedz mu, że mam kasę. I ma oddać mi chłopców.

Chudzielec zupełnie oklapł.

– Wiesz, ile ten laptop kosztował?

– Mam to gdzieś – odparł Myron. – A jeśli znowu mnie wkurzysz, ciebie też wyrzucę przez okno. Dzwon.

– Po co? – Chudzielec wskazał przed siebie. – Już dojeżdżamy. Coś ty taki niecierpliwy?

Myron spojrzał przez przednią szybę. Na końcu ulicy był znajomy salon gier.

Peugeot stanął. Myron wysiadł, nie zwracając sobie głowy przeprosinami. Drzwi otworzyli dwaj mężczyźni w bojówkach. Czarnoskóry chudzielec ruszył za nim, biadoląc, a raczej przedstawiając im swoją sprawę.

– Ten sukinsyn wyrzucił przez okno mój laptop!

W salonie było tak, jakby ktoś wyciągnął główną wtyczkę. I pewnie ją wyciągnął. Cisza, ciemność i bezruch. Całe pomieszczenie, przed kilkoma godzinami tryskające kolorami i jaskrawymi światłami, tonęło teraz w szarym cieniu. Automaty też, groteskowe, dziwne i groźne. Panowała tam mroczna, postapokaliptyczna atmosfera.

– Chodźmy – rzucił Bojówkarz numer jeden.

– Dokąd?

– Na zaplecze.

Myronowi nie podobało się to.

– Nikogo tu nie ma – powiedział. – Dokonajmy wymiany tutaj.

– Nie da rady – odparł Bojówkarz numer dwa.

– To chyba wyjdę.

– Śmiało. – Ten pierwszy skrzyżował ręce na piersi i naprężył mięśnie. – Ale wtedy damy ci wycisk i zabierzemy kasę.

Myron zacisnął palce na uchwycie walizeczki. Mógłby ich załatwić, i to bez problemu – ćwiczył już w myślach pierwszy cios w głowę – tylko co potem? Tak czy inaczej, musiał rozegrać to do końca. Dlatego poszedł z nimi tą samą drogą, którą zaliczył poprzedniego dnia z chłopakiem w obroży, i stanął przed drzwiami z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE.

No i przed kamerą. Spojrzał do góry, uśmiechnął się promiennie i pokazał uniesiony kciuk. Pan Pewny Siebie. Płacenie okupu, zasada 14: Nigdy nie okazuj

strachu czy niepokoju. Drzwi otworzyły się. Bojówkarze opróżnili mu kieszenie. A czarodziejska różdżka szybko znalazła pluskwę na piersi.

Już mieli mu ją zdjąć, kiedy zza drzwi na zaplecze wystawił głowę Gruby Gandhi.

– Nie ma broni?

– Nie.

– W porządku, resztę mu zostawcie.

Myron nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

Wszedł do pomieszczenia z komputerami i ekranami. Czarnoskóry chudzielec był już na stanowisku.

– Zniszczył mój laptop! – krzyknął. – Wyrzucił go przez okno jak worek śmieci!

Gruby Gandhi miał na sobie żółte workowate spodnie i żółtą, długą i szeroką w ramionach marynarkę. Wyglądał olśniewająco.

– Pieniądze są w tej walizeczce?

– Na pewno nie w moich majtkach – odparł Myron.

Grubas zmarszczył brwi. Nic dziwnego, bo dowcip był kiepski.

– Pański telefon jest na podsłuchu.

Myron nie zaprzeczył ani nie potwierdził.

– Do tej kryjówki jest tylko jedno wejście – oznajmił Gandhi. – Rozumie pan?

– Powiedział pan „kryjówki”? Dobrze słyszałem?

– Wszędzie są kamery. Derek, Jimmy! Podnieście ręce.

Okazało się, że Derek i Jimmy siedzą przed monitorami.

– Obserwują obraz z kamer – wyjaśnił grubas. – Jeśli ktoś spróbuje tu wejść, natychmiast go zobaczymy. Drzwi są wzmocnione stałą, ale pewnie już pan to zauważył. Krótko mówiąc, koledzy nie zdążą pana uratować, nawet jeśli będą szybcy i ciężko uzbrojeni.

Strach, pomyślał Myron. Nie okazuj strachu.

– Dobra, w porządku – rzucił. – Moglibyśmy już zacząć? Wspominał pan o cyberwalucie...

– Nie.

– Jak to? Przecież mówił pan, że...

– To bez sensu, panie Bolitar – przerwał mu grubas. – Najpierw musiałby pan zdobyć bitcoiny albo jeszcze modniejszą walutę. Potem musiałbym dać panu długi klucz publiczny, który praktycznie rzecz biorąc, jest odpowiednikiem unikalnego numeru konta bankowego. Przelałby pan pieniądze przez internet i puf! Jak kamień w wodę. Taki był pierwotny plan.

– Ale się zmienił?

– Właśnie. Widzi pan, gdyby chodziło o niewielką sumę, mógłby spokojnie wypalić, lecz w przypadku dużych sum pieniądze można wytropić. Chce pan znać prawdę? – Gandhi nachylił się ku niemu, jakby chciał powiedzieć coś konspiracyjnym szeptem. – Moim zdaniem, cyberwaluta to gigantyczna podpucha. Policja gromadzi w ten sposób dane o czarnym rynku. Długo o tym myślałem. Bo dlaczego somalijscy piraci zawsze żądają gotówki?

Spojrzał na niego tak, jakby oczekiwał odpowiedzi. Myron doszedł do wniosku, że jeśli będzie milczał, może facet przestanie wreszcie gadać.

– Dlatego że gotówka to najłatwiejszy, najprostszy i najlepszy sposób. – Grubas sięgnął po walizeczkę.

– Chwila. Zawarliśmy umowę.

– Nie ufa mi pan?

– Zrobimy tak – zdecydował Myron, próbując odzyskać choć odrobinę kontroli nad sytuacją. – Chłopcy stąd wyjdą. Na zewnątrz. Wtedy dam wam pieniądze.

– Wyjdą i co zrobią?

– Przecież pan wie, że ktoś nas podsłuchuje.

– Proszę mówić dalej.

– Ten ktoś wie, gdzie jestem. Podjedźcie samochodem. Chłopcy wsiądą, dam panu pieniądze i wyjdę.

Gruby Gandhi głośno zacmokał...

– Nic z tego.

– Dlaczego?

– Dlatego, że troszkę... skłamałem.

Myron milczał.

– Pański przyjaciel nas nie podsłuchuje – sprostował grubas. – Wszystkie urządzenia, łącznie z naszymi komórkami, są w tej chwili zagłuszane. Tak zaprojektowano to pomieszczenie. Dla pełnego bezpieczeństwa. Nasza zaawansowana technologicznie sieć Wi-Fi, owszem, działa, ale jest chroniona hasłem. I obawiam się, że go nie znacie. Dlatego nawet jeśli ukrył pan jakieś urządzenie w zakamarkach ciała, nic to panu nie da.

Tańczące na klawiaturach palce jakby zwolniły.

– To bez znaczenia – powiedział Myron.

– Słucham?

– Zniszczyłem laptop pańskiego znajomego.

– Kosztował majątek! – wtrącił się czarnoskóry chudzielec. – Ten skurwiel...

– Zamilcz, Lester. – Grubas odwrócił się do Myrona. – No i?

– Kiedy przyjechaliśmy, mój telefon działał. Moi ludzie wiedzą, że tu jestem. Będą czekali na ulicy. Wypuści pan chłopców, a oni ich odbiorą. To proste, prawda?

Myron posłał mu uśmiech numer 19 klasy deluxe, czyli „Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi”.

Hindus wyciągnął rękę.

– Proszę dać mi walizeczkę.

– Proszę pokazać mi chłopców.

Grubas machnął ręką, błysnęła ciasna bransoleta i na ścianie zapłonął wielki ekran.

– Zadowolony?

Ta sama cęła. Chłopcy siedzieli na podłodze z głowami na podkurczonych kolanach.

– Gdzie oni są?

Hindus uśmiechnął się i Myron poczuł, że po plecach pełźnie mu stado węży.

– Pokażę panu. Proszę zaczekać.

Gandhi zasłonił czytnik, wystukał kod i wyszedł. Do sali zawitało dwóch Bojówkarzy.

Hm, posiłki? Ciekawe po co?

Zapadła cisza. Ustał stukot klawiszy. Myron uważnie obserwował twarze siedzących przy komputerach mężczyzn.

Coś tu nie grało.

Po chwili rozległ się głos Hindusa:

– Panie Bolitar?

Grubas był na ekranie.

W celi z chłopcami.

Win miał rację. Przetrzył ich gdzieś tutaj.

– Niech pan ich przyprowadzi.

Gandhi tylko się uśmiechnął.

– Derek?

– Jestem – odparł jeden z mężczyzn.

– Jak tam kamery? Widać coś?

– Nic i nikogo.

Grubas pokiwał palcem.

– Kawaleria chyba pana nie uratuje, panie Bolitar.

Hm, niedobrze.

– Nie uratuje mnie przed czym?

– Zabiliście trzech moich ludzi.

Temperatura nagle się zmieniła, i to niekorzystnie. Wszyscy poruszali się teraz znacznie wolniej.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Panie Bolitar, bardzo pana proszę. Kłamstwo panu nie przystoi.

Bojówkarz numer jeden wyjął długi nóż. Bojówkarz numer dwa też.

– Rozumie pan mój dylemat? – ciągnął grubas. – Byłoby zupełnie inaczej, gdyby wraz ze współnikiem zwrócił się pan do mnie kulturalnie i z szacunkiem.

Od komputera wstał trzeci typ. On także miał nóż.

Myron spróbował to rozpracować. Odebrać majcher Bojówkarzowi numer jeden, potem skoczyć na tego z prawej...

– Mogliście do nas przyjść. Jak biznesmeni do biznesmena. Mogliście poprosić o sprawiedliwą wymianę. O zawarcie ugody. Kto wie, może nawiązalibyśmy nawet współpracę...

Nie, nie wyrobiłbym się, stoją za daleko od siebie. A drzwi są zamknięte...

– Ale nie zrobiliście tego. I zaszlachtowaliście moich ludzi.

Derek też wyjął nóż. I Jimmy.

Czarnoskóry chudzielec wyciągnął skądś maczetę.

Ciasne pomieszczenie i sześciu uzbrojonych facetów.

– Jak mógłbym pozwolić panu odejść? – kontynuował grubas. – Po czymś takim? Jak by to wyglądało? Czy moi ludzie dalej by mi ufali? Wierzyli, że potrafię

o nich zadbać?

Może się uchylić, załatwić jednego z kopa i... Nie. Najpierw trzeba wyeliminować tego z maczetą. Tylko że on jest za daleko. Za dużo ich, pokój jest za mały.

– Chętnie bym został i popatrzył – powiedział Hindus. – Ale w tym garniturze? Jest nowy i śliczny, prawda?

Nie, nie miał żadnych szans. Tamci już się zblizali.

– Wysłów się! – krzyknął.

Wszyscy znieruchomieli. Tylko na chwilę, ale to wystarczyło, aby Myron zdążył rzucić się na podłogę i napiąć mięśnie.

I wtedy eksplodowała ściana.

Huk był ogłuszający. Ściana runęła, jakby rozwalił ją Niesamowity Hulk. Tamtych to zaskoczyło, Myrona niezupełnie. Wiedział, że Win na coś wpadnie. Myślał, że znajdzie sposób na obejście kamer. Ale nie. Powiedział, że jego ludzie obstawili salon gier. Pewnie zamontowali gdzieś silne urządzenie podsłuchowe i Win wiedział, kiedy wkroczyć do akcji.

Tylko co to było? Dynamit? Granatnik przeciwpancerny?

Diabli wiedzą.

Najpierw szok, potem zachwyty. O tak, Win był w tym bezkonkurencyjny.

Bojówkarze nie wiedzieli, co ich walnęło. Ale wkrótce mieli się dowiedzieć.

Myron działał szybko. Wciąż leżąc na podłodze, podciął i obalił stojącego najbliżej przeciwnika. Okazało się, że to Bojówkarz numer dwa. Myron chwycił go za nadgarstek. Instykt przetrwania kazał mężczyźnie walczyć, ale tak było lepiej, Myron właśnie na to liczył. I zamiast odebrać mu broń, szybkim ruchem pchnął jego rękę do góry.

Ostrze noża, którego uchwyt mężczyzna wciąż kurczowo ścisnął, wbiło mu się w gardło.

Trysnęła krew. Ręka bezwładnie opadła.

Myron wyciągnął nóż z rany i wysuwając się, klinga cicho mlasnęła. Wokoło panował chaos. Pył ze zburzonej ściany był tak gęsty, że nic nie było widać. Ktoś głośno kaszłał, ktoś inny krzyczał. Wybuch i zamieszanie ściągnęło do sali goryla z korytarza.

Kiedy tylko otworzył drzwi, Myron grzmotnął go prosto w nos. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, lecz Myron nie odpuścił. Ale nie, skoro nie musiał, nie chciał zabijać nikogo więcej. Zadał kolejny cios i goryl runął na ścianę. Myron chwycił go za gardło i czubkiem zakrwawionego noża wycelował w oko.

– Nie, proszę!

– Którędy do piwnicy?

– Drzwi po lewej, kod osiem, siedem, osiem, siedem.

Myron przyłożył mu w brzuch i kiedy mężczyzna osunął się na podłogę, puścił się pędem przed siebie. Znalazł drzwi, wstukał kod i wszedł do środka.

Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła i omal nie powaliła, był przeraźliwy smród.

Nic nie przywołuje wspomnień skuteczniej niż zapach. Miał déjà vu, wrażenie, że już to kiedyś przeżył, dawniej, kiedy grał jeszcze w kosza. Przeniósł się

w czasie do cuchnącej po meczu szatni, znowu zobaczył wózki pełne brudnych skarpetek, podkoszulków i suspensoriów, mokrych od młodzieńczego potu. Tak, zalatywało strasznie, lecz po meczu czy treningu, gdy salę wypełniał niczym nieskażony zapach świeżego potu nastolatków, znajdował w nim coś przyjemnego, coś, co sprawiało, że nawet jeśli odór nie należał do miłych, to był przynajmniej do zniesienia.

W przeciwieństwie do tego w piwnicy.

Bo ten był brudny, zjełczały i mdlący.

Myron spojrział w dół ze szczytu schodów. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Dwudziestu, może nawet trzydziestu nastolatków rozpierzchło się na wszystkie strony jak szczury w świetle latarki.

Cholera jasna, co to jest?

Piwnica wyglądała jak zaniedbany obóz dla uchodźców. Z pryczami, kocami i śpiworami. Lecz na razie nie mógł zawracać tym sobie głowy. Schodząc, zobaczył celę.

Pustą.

Przystanął i skręcił w prawo. Dzieciaki tłoczyły się w kącie jak na filmie o zombie, włożyły na siebie, jakby znalazły tam coś do pożarcia. Myron ruszył w ich stronę. Zagradały mu drogę, więc zaczął się przepychać. Przeważali chłopcy, ale było też kilka dziewcząt. Wszyscy patrzyli na niego pustymi, zagubionymi oczami, wciąż prac do przodu.

– Gdzie jest Gruby Gandhi? Gdzie są ci z celi?

Nikt mu nie odpowiedział. Tłum napierał, tłoczył się w kącie. Były tam jakieś drzwi czy...

Dziura?

Tak, dziura w betonie.

Myron przyspieszył kroku, rozpychając dzieci gwałtowniej, niżby chciał. Jakiś chłopak zaczął przeraźliwie krzyczeć, próbował podrapać mu twarz. Myron odepchnął go na bok. Parł przed siebie jak futbolista z piłką, nisko pochylony, roztrącając ich ramionami, i wreszcie dotarł do dziury.

Do której wchodził właśnie kolejny nastolatek.

To był tunel.

Myron chwycił chłopaka od tyłu. Ktoś na nich naparł, lecz Myron nie zwolnił uchwytu. Wyciągnął dzieciaka z dziury i odwrócił mu głowę.

– To tam poszedł Gruby Gandhi? Z tymi dwoma z celi?

Chłopak kiwnął głową.

– Wszyscy mamy tam iść. Inaczej gliniarze nas znajdą.

Pozostali zaczęli przepychać się obok nich. Myron miał dwa wyjścia. Odsunąć się albo...

Zanurkował do dziury i po kilku krokach stanął na zimnej, mokrej podłodze. Wyprostował się, grzmotnął głową w beton i zobaczył gwiazdy. Tunel był niski. Tamci mogli nim nawet biec, lecz on nie miał tyle szczęścia.

Tłum wciąż napierał.

Muszę iść, pomyślał.

– Patrick! – wrzasnął. – Rhys!

Przez chwilę słyszał tylko szuranie nóg chłopców i dziewcząt uciekających ciemnym tunelem. A potem ktoś krzyknął:

– Na pomoc!

Myron znieruchomiał. Serce zabiło mu szybciej. Krzyk był krótki, ledwie dwa słowa, ale jedno nie ulegało wątpliwości.

Ten ktoś miał amerykański akcent.

Chciał przyspieszyć kroku, lecz tłoczący się w tunelu chłopcy blokowali mu drogę. Chłopcy i dziewczyny. Płynął wraz z nimi jak w rzece.

– Patrick! Rhys!

Nic. Odpowiedziało mu tylko echo, jedno, drugie i trzecie.

Szerokość i wysokość podziemnego przejścia ciągle się zmieniała. Tunel wił się i nieoczekiwanie skręcał. Ściany były czarne, stare i mokre. W świetle nielicznych słabych lamp wyglądał upiornie.

Dzieciaki otaczały teraz Mirona ze wszystkich stron, jedne go wyprzedzały, inne zostawały w tyle.

Chwycił jakiegoś chłopaka i przyciągnął do siebie mocniej, niż zamierzał.

– Dokąd prowadzi ten tunel?

– Do wielu miejsc.

Myron go puścił. Do wielu miejsc. Wspaniale.

Dotarł do rozwidlenia i przystanął. Jedni skręcali w lewo, inni w prawo.

– Patrick! Rhys!

Cisza. I nagle ten sam głos, ten sam amerykański akcent.

– Pomocy!

Z prawej.

Myron skręcił; próbował iść szybciej, próbował biec, nie uderzając przy tym głową w strop. Od smrodu zbierało mu się na wymioty, mimo to wciąż szedł naprzód. Zastanawiał się, kiedy zbudowano te tunele. Były bardzo stare – mogły mieć setki lat – i poczuł się nagle jak w powieści Dickensa. W oddali zobaczył dwóch chłopców.

I grubasa w obszernym żółtym garniturze.

Gandhi patrzył w jego stronę. Wyjął nóż.

– Nie! – krzyknął Myron.

Miał przed sobą tłum nastolatków. Pochylił się i popędził przed siebie jak szalony.

Grubas podniósł nóż.

Myron wciąż biegł. Ale widział już, że nie zdąży.

Nóż opadł. Chłopak krzyknął.

I upadł.

– Nie!

Gandhi odwrócił się i uciekł. Myron miał to gdzieś. Rzucił się na ziemię i wczołgał na rannego, żeby ochronić go przed tłumem uciekinierów.

A drugi? Gdzie ten drugi chłopak?



Tam. Wyciągnął rękę i chwycił go za kostkę u nogi. Ktoś po nim przebiegł, ktoś inny przeszedł. Myron nie zwolnił uchwytu. Leżał na rannym, osłaniając go własnym ciałem jak tarczą. Wymacał ranę i ucisnął ją przedramieniem, żeby zatamować krwotok.

Ktoś nastąpił mu na nadgarstek, palce się rozluźniły.

– Trzymaj się! – krzyknął Myron.

Ale chłopak szarpnął nogą, chciał mu się wyrwać.

Myron zacisnął zęby. Ile jeszcze wytrzyma?

Wytrzymał, choć tamten kopnął go w twarz, raz i drugi. Po trzecim kopniaku palce się rozwarły i nastolatek zniknął w tłumie uciekinierów.

Zniknął. Przepadł.

– Nie!

Myron przywarł do chłopaka jak skorupa. Jeszcze mocniej ucisnął ranę.

Ty nie umierasz. Słyszysz? Nie zaszliśmy tak daleko tylko po to, żebyś...

Kiedy tłum się w końcu przewalił, szybko zdjął koszulę i przytknął ją do rany.

Potem – dopiero teraz – przyjrzał się chłopakowi.

Tak, znał tę twarz.

– Trzymaj się, Patrick – powiedział. – Zabiorę cię do domu.

Minęły trzy dni.

Policja zadała mu mnóstwo pytań. Myron udzielił tyle samo niepełnych odpowiedzi i żeby nie obciążać Wina, jako adwokat powołał się na prawo do nieujawniania pewnych informacji, zwane w Zjednoczonym Królestwie prawem do zachowania tajemnicy adwokackiej. Tak, na prośbę klienta przyleciał do Wielkiej Brytanii samolotem konsorcjum inwestycyjnego Lock-Horne Investments and Securities. Nie, nie może zdradzić, czy widział się z nim, czy nie. Tak, dostarczył pieniądze z nadzieją na uwolnienie Patricka Moore'a i Rhysa Baldwina. Nie, nie ma pojęcia, co się stało ze ścianą. Nie, niestety nie wie, kto zabił dwudziestosześcioletniego, wielokrotnie notowanego przestępcę Scotta Taylora, dźgając go nożem w gardło. Nie, nie wie również, kto kilka dni wcześniej zabił trzech mężczyzn na King's Cross. Bo niby skąd miałyby wiedzieć? Był wtedy w Nowym Jorku.

Ani śladu Grubego Gandhiego. Ani śladu Rhysa.

Policja nie mogła go dłużej przetrzymać. Nie było dowodów, że zrobił coś złego. Ktoś (czytaj: Win) podesłał mu młodego prawnika, niejakiego Marka Wellsa, który bardzo pomógł.

Dlatego go wypuszczono, choć niechętnie. A teraz było już południe i Myron siedział w pubie Crown – na znanym sobie stołku – czekając w nieskończoność na przyjaciela. W końcu Win przyszedł i usiadł obok niego. Barman postawił na ladzie dwa kufle piwa.

– Witam, panie Lockwood – powiedział. – Kopę lat. Miło pana widzieć.

– Pana też, Nigel.

Myron zerknął na barmana, na przyjaciela i pytająco uniósł brwi.

– Właśnie przyleciałem ze Stanów – wyjaśnił Win. – Dzisiaj. I dowiedziałem się, co się stało.

Nigel spojrział na Myrona. Ten na niego, potem na Wina.

– Aha – powiedział w końcu. – Ci z kontroli celnej nie mają cię w rejestrach? – spytał, gdy barman odszedł. – Nie wiedzą, że przyleciałeś wcześniej?

Win tylko się uśmiechnął.

– No jasne – mruknął Myron. – Tak przy okazji: dzięki za prawnika.

– Adwokata.

– Słucham?

– W Anglii są adwokaci. W Stanach prawnicy.

– W Anglii będę nazywał cię gnojkiem. W Stanach dupkiem.

– Tak, rozumiem. A propos adwokatów. Mój jest właśnie na policji. Powie im, że to ja cię wynająłem i że jako prawnik broniłeś moich interesów.

– Wspomniałem im o tajemnicy adwokackiej...

– A ja potwierdzę, że cię obowiązywała. Przekażemy im także ten anonimowy mail, od którego wszystko się zaczęło. Może ci ze Scotland Yardu będą mieli więcej szczęścia i wytropią nadawcę.

– Myślisz?

– Nie mają szans. Udawałem skromnego.

– Ty i skromność? – Myron uniósł brwi. – Więc jak to zrobiłeś?

– Obstawiliśmy ten salon gier, mówiłem ci. Dokładnie go zbadaliśmy.

Myron kiwnął głową.

– I odkryliście piwnicę.

– Tak. Zamontowaliśmy specjalne urządzenie podsłuchowe, coś à la Michael J. Fox. Przykładasz je do ściany i wszystko słyhać. I potem czekaliśmy, aż wypowiesz hasło.

– A jeszcze potem?

– Jeszcze potem był granatnik RPG-29 – odparł Win.

– Bardzo subtelnie.

– Moja specjalność.

– Dziękuję.

Win udał, że tego nie słyszy.

– Więc jak tam Patrick? – spytał Myron. – Na policji nie chcieli mi nic powiedzieć. Czytałem w gazetach, że przylecieli jego rodzice, ale nikt nie chce nawet potwierdzić, że to on.

– Zaczekaj.

– Na co?

– Na dodatkowe informacje z o wiele lepszego źródła.

– Czyli?

Win zbył pytanie gestem ręki.

– Nie zastanawia cię, dlaczego policja tak ogólnikowo potraktowała sprawę tego dźgniętego w gardło? – zapytał.

– Nie – odparł Myron.

– Nie?

– W tym zamieszaniu nikt tego nie widział. Pomyślałem, że pewnie zabrałeś nóż, więc nic na mnie nie mają.

– Niezupełnie – powiedział Win. – Zabrali twoje ubranie.

– Lubilem te spodnie.

– Tak, bardzo cię wyszczuplały. Ale są zakrwawione, a oni tę krew zbadają. I oczywiście okaże się, że to krew ofiary.

Myron poddał się i pociągnął łyk piwa.

– Będą problemy?

– Nie sądzę. Pamiętasz swojego czarnego przyjaciela? Tego z maczetą?

– Czarnego?

– A tak... bądźmy przez chwilę poprawni politycznie. Afroanglika? Musiałbym zajrzeć do podręcznika.

– Mój błąd. Więc co z nim?

– Nazywa się Lester Connor.

- No i?
- Kiedy przyjechała policja, był nieprzytomny i... niespodzianka!... trzymał w ręce zakrwawiony nóż. Naturalnie zeznał, że ktoś mu go podrzucił.
- Naturalnie.
- Ale ty mógłbyś powiedzieć, że to on dźgnął w szyję Scotta Taylora.
- Owszem, mógłbym.
- Ale?
- Ale nie powiem – odparł Myron.
- Ponieważ?
- Ponieważ bym skłamał.
- Pan Connor chciał cię zabić.
- Tak, ale bądźmy sprawiedliwi: rozwaliłem mu laptop.
- Fałszywa równoznaczność.
- Lepsze to niż fałszywe zeznanie.
- Trafiony, zatopiony – przyznał Win.
- Jeśli mnie pytają, powiem, że ktoś dźgnął tego Taylora i facet na mnie upadł. W zamieszaniu nie widziałem, kto to był ani nawet tego nie zauważyłem.
- Powinni to kupić.
- Są jakieś wiadomości o Rhysie?
- Czekamy na wieści z lepszego źródła, zapomniałeś?
- Czyli od pana...
- Dlaczego od „pana”? – Win pokręcił głową. – Boże, ależ z ciebie seksista!

A oto i ona.

Spojrzał w stronę drzwi. Myron poszedł za jego wzrokiem i natychmiast poznał wchodzącą do pubu kobietę. Była to Brooke Baldwin, jego kuzynka, a konkretniej, matka wciąż zaginionego Rhysa.

Myron nie widział jej od... Chyba od pięciu lat.

Między nim i Winem wyrósł stółek. Zrobili dla Brooke miejsce. Ta podeszła do nich bez wahania, wzięła kufel, który Nigel zdążył już postawić na kontuarze, i przytknęła go do ust. Gdy go odstawiała, był na wpół pusty. Barman pochwalił ją skinieniem głowy.

- Tego mi było trzeba – powiedziała.

Myron znał wielu – zbyt wielu – rodziców, małżonków i bliskich osób zaginionych. Większość była osłabiona i załamana, co wydawało się oczywiste i usprawiedliwione. Z Brooke było jednak zupełnie inaczej. Opalona, arogancka, zdrowa i pełna energii, wyglądała tak, jakby przepłynęła z rana dziesięć długości basenu olimpijskiego i właśnie stoczyła kilka rund z trenerem boksu. Jej drobne ciało zdobiły powrozy mięśni. Pierwszymi słowami, jakie przychodziły do głowy na widok tej wysportowanej mamy z bogatego przedmieścia, która przed dziesięcioma laty otrzymała najokrutniejszy z ciosów, były „twarda i harda”.

Brooke Lockwood Baldwin wychowywała się w kamiennych rezydencjach i chodziła do elitarnych szkół, lecz doskonale pasowała do pubów takich jak ten. Pewnie mogłaby stanąć w szranki z najlepszymi graczami w rzutki, zmieść z kontuaru szkło i dać im wycisk w siłowaniu się na rękę.

Spojrzała na Myrona i nawet się nie przywitawszy, zażądała:

– Opowiedz dokładnie, co się stało.

Myron opowiedział. O wszystkim, co zaszło od jego przyjazdu do Londynu do przesłuchania na policji. Brooke przyglądała mu się uważnie jasnoniebieskimi oczami.

Gdy skończył, podsumowała:

– A więc trzymałeś Rhysa za kostkę u nogi.

– Tak, chyba tak.

– Dotykałeś go. – Złagodniał jej głos. Słowa te długo wisiły w powietrzu.

– Przykro mi – odezwał się w końcu Myron. – Próbowałem.

– O nic cię nie obwiniam. Widziałeś jego twarz?

– Nie.

– Więc nie wiemy na pewno, czy to był Rhys.

– Nie, nie wiemy – przyznał Myron.

Brooke przeniosła wzrok na jego przyjaciela. Win milczał, więc znów spojrzała na Myrona.

– Z drugiej strony, nie mamy także podstaw, by uznać, że to nie był on – powiedział.

– To zależy – odezwał się w końcu Win.

– Od czego?

– Czy wiemy na pewno, że ten ranny to Patrick?

– Tak – odparła Brooke. – Przynajmniej Nancy tak twierdzi.

– Nie ma żadnych wątpliwości? – spytał Myron.

– Nie, ani ona, ani Hunter. Rozwiedli się. Nancy i on. Zaraz po.

Nie wyjaśniła po czym. Nie musiała.

– Przylecieliśmy razem. We czworo. Jak dawniej. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy. Wciąż jesteśmy sąsiadami. Chyba powinniśmy się byli wprowadzić, ale... Ona zawsze mnie obwiniała... Nancy.

– To nie fair – rzucił Myron.

– Przestań! – rzuciła.

– O co...?

– Nie traktuj mnie jak dziecko, dobrze?

– Nie chciałem.

– Chłopcy byli w moim domu. Z opiekunką, którą ja zatrudniłam. Powinnam była siedzieć na tyłku i ich pilnować. Na miejscu Nancy... Nieważne. Minęło tyle lat.

– Czy istnieje bezstronne, niezależne potwierdzenie, że ten chłopak to Patrick? – spytał Win.

– Czyli jakie? – nie zrozumiała Brooke.

– Na przykład DNA.

– Tak, wspomniałam o tym. Pewnie kiedyś zrobią badanie, ale na razie słychać tylko prawniczy bełkot. Patrick... zakładając, że to on... jest niepełnoletni, dlatego muszą mieć zgodę rodziców.

Win kiwnął głową.

– A tymczasem nie ma dowodu, że Nancy i Hunter są jego rodzicami.

– Czysta ironia, co?

– Więc co powiedział? – spytał Myron. – Gdzie przez ten czas byli? Kto ich porwał?

Brooke sięgnęła po kufel, przez chwilę wpatrywała się w jego zawartość, w końcu dopiła piwo. Myron i Win obserwowali ją i czekali.

– Co powiedział? Jak dotąd nic.

Zapadła cisza.

– Jest aż tak ciężko ranny? – spytał Myron.

– Nancy mówi, że z tego wyjdzie, ale na razie jest nieprzytomny. To naprawdę ironia. Dziesięć lat nie mamy o synu żadnych wiadomości. I nagle zjawia się ktoś, kto wszystko wie, ale nie może mówić.

Brooke zamknęła oczy i potarła palcami powieki. Myron chciał dotknąć jej ramienia i już wyciągnął rękę, lecz Win powstrzymał go ruchem głowy.

– Tak czy inaczej – ciągnęła – po południu robimy konferencję prasową. Dziennikarze już coś wiedzą. Pora powiedzieć im resztę.

– Minęły trzy dni – zauważył Myron. – Dlaczego tak późno?

Wstała i oparła się plecami o bar.

– Dzień pierwszy: detektywi ze Scotland Yardu, czy jak ich tu nazywają, przesłuchują Chicka i mnie. „Mamy dylemat”, mówią. „Jeśli damy do prasy zdjęcie postarzonego komputerowo Rhysa, jeśli wszędzie się od nich zaroi, mogą się zdarzyć dwie rzeczy. Rzecz pierwsza”. – Brooke podniosła palec wskazujący. – „Nasilamy działania i znajdujemy pani syna”. – Do palca wskazującego dołączył środkowy. – „Rzecz druga: nasilamy działania, a porywacze zabijają go i ukrywają ciało”.

– Tak wam powiedzieli? – spytał Myron.

– Dokładnie tymi słowami. Poprosili o trochę czasu, żeby poszukać spokojnie nowych tropów.

– Rozumiem, że ich nie znaleźli.

– Właśnie – potwierdziła Brooke. – Rhys przepadł jak kamień w wodę. Znowu. Znowu.

Ponownie zamknęła oczy. Myron ponownie wyciągnął rękę. A Win ponownie pokręcił głową. Nie był bezduszny. Nie chciał tylko, żeby Brooke się załamała. Jeszcze nie teraz. Myron to rozumiał.

– Więc śledczy zmienili zdanie? – spytał Win.

– Nie. To ja zmieniłam. To ja zdecydowałam. Mój wybór. Nagłośnimy to. Czy pomogę w ten sposób znaleźć syna, czy go zabiję? Nie wiem. Fajnie, co?

– To dobre posunięcie – powiedział Win. – Jedyne.

– Myślisz?

– Tak.

Brooke zacisnęła pięści. Twarz jej poczerwieniała i nagle zaczęła wyglądać jak kuzyn, a przynajmniej widać było rodzinne podobieństwo.

– A więc w końcu uznałeś, że mogę mieć coś do powiedzenia w sprawie własnego syna. – Prawie krzyknęła.

Win milczał.

– Dostałeś anonimowego maila – ciągnęła Brooke.

– Tak.

– Przyleciałeś tu i zabiłeś trzech ludzi.

– Głośniej – powiedział Win. – Myślę, że tych trzech dżentelmenów w kącie cię nie słyszało.

Ale jego kuzynka nie dała się usadzić.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym mailu?

– Był anonimowy. Uznałem, że to ślepy zaulek.

– Bzdura! Uznałeś, że jest na tyle wiarygodny, że warto go sprawdzić.

– Tak.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałeś?

Win milczał.

– Myślałeś, że się załamie? Nie chciałeś rozbudzać we mnie nadziei?

Znowu cisza.

– Win?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak. Właśnie dlatego.

– Nie miałeś prawa o tym decydować.

Win rozłożył ręce.

– Ale zdecydowałem.

– Bo? Myślałeś, że nie dam rady? Że oszczędzisz mi dodatkowego bólu?

– Coś w tym rodzaju.

– Co ty wiesz o bólu? – Brooke nachyliła się ku niemu. – Jak śmiesz? Jak śmiesz za mnie decydować?

Przeszyła go wzrokiem.

– Win?! – rzuciła, bo nadal milczał.

– Masz rację – przyznał. – Powinienem był ci powiedzieć.

– To za mało.

– Ale musi wystarczyć.

– Nie, nie, tak łatwo się nie wywiniesz. Gdybyś mi powiedział, może bym tu przyleciała. Może mogłabym jakoś pomóc. Może... Nie, żadne może. Jestem pewna, że wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nie odpowiedział.

Brooke wskazała okno.

– Tymczasem mój syn wciąż gdzieś tam jest. Sam. Zawaliłeś, Win. Dałeś ciała jak nigdy.

– Możemy trochę zwolnić? – zaproponował Myron. – Nie wiemy, czy coś by to zmieniło...

Brooke gwałtownie odwróciła głowę.

– Czy Rhys tu jest?

Teraz z kolei Myron nie wiedział, co powiedzieć.

– Podsumujmy to: widzisz tu Rhysa? – Przeniosła wzrok na kuzyna. – Po raz pierwszy od dziesięciu lat znaleźliśmy dobry trop. Od dziesięciu potwornych,

okrutnych lat. I nagle...

– Brooke? Już rozumiem. Jesteś zła.

– Chryste, aleś ty spostrzegawczy!

– Ale co ważniejsze, próbujesz mnie zmotywować. Nie musisz. Dobrze o tym wiesz.

Spotkali się wzrokiem. Gdyby ktoś między nimi przeszedł, pewnie zginąłby przecięty na pół laserem.

Zadzwoniła komórka.

– Znajdź go, Win.

– Znajdę.

Oboje zamrugali. Brooke wyjęła telefon i przytknęła go do ucha.

– Halo? – Rozłączyła się już po kilku sekundach. – Policja.

– Czego chcieli?

– Patrick się obudził.



Win nie pojechał z nimi do szpitala. Uważał, że chwilowo lepiej będzie trzymać się z dala od wszystkiego, co wiązało się z organami ochrony porządku publicznego. Zastanawiali się także, czy nie wyłączyć z tego Myrona – brytyjska policja nie była zachwycona jego zeznaniami w sprawie jatki w Krainie Przygody – w końcu jednak uznali, że na wszelki wypadek powinien czuwać w pobliżu.

W taksówce Brooke ciągle dokądś dzwoniła. Najpierw do męża i kazała mu czekać przed szpitalem. Potem wykonała kilka innych telefonów, które zdenerwowały ją jeszcze bardziej.

– Coś nie tak? – spytał Myron.

– Mówią, że nie możemy zobaczyć Patricka.

– Kto mówi?

– Policja.

Przemyślał to i spytał:

– To ich decyzja?

– Nie rozumiem.

– Kto decyduje, czy możesz go zobaczyć, czy nie? Policja? Głos rodziców nie jest ważniejszy?

– Nie wiem, jak to wygląda z punktu prawnego. Nancy i Hunter są rozwiedzeni.

– Rozumiem, że masz ich numer.

– Tylko jej.

– Zadzwoń.

Brooke zadzwoniła, ale Nancy nie odebrała, więc wysłała SMS-a. Nancy nie odpisała.

Gdy przyjechali na miejsce, Chick, mąż Brooke, krążył nerwowo przed wejściem, paląc papierosa. Rzucił niedopałek na ziemię i z teatralnym namaszczeniem rozgniół go obcasem buta. Potem z nachmurzoną miną otworzył drzwi taksówki. Brooke wysiadła. Za nią Myron.

Na jego widok Chick nachmurzył się jeszcze bardziej.

– Jesteś kumplem Wina. Tym koszykarzem. Co tu robisz?

Win go nie lubił, i to Myronowi wystarczyło.

Chick spojrział na Brooke.

– Co on tu robi?

– To on uratował Patricka.

Chmurny jak noc Chick przeniósł wzrok z powrotem na Myrona.

– Byłeś tam?

– Tak.

– Więc dlaczego nie uratowałeś mojego syna?

„Mojego”, zauważył Myron. Nie „naszego”.

– Próbował – wtrąciła Brooke.

– A on co? Nie umie mówić?

– Próbowałem – potwierdził Myron.

Chick podszedł bliżej, wciąż jak chmura gradowa. Myron zastanawiał się, czy jest to mina chwilowa, czy permanentna.

– Chcesz mnie wkurzyć? – rzucił mąż Brooke.

Myron się nie cofnął. Nie zacisnął pięści, ale chciał, o tak, bardzo chciał. Chociaż żona zadzwoniła do niego w ostatniej chwili, Chick był w jedwabnym garniturze i krawacie zawiązanym tak idealnie, że wyglądał jak atrapa. Buty miał wypolerowane na ponadnaturalny błysk – nawet nowe tak by nie wyglądały – a jego włosy, czarne, troszkę przydługie i poprzetykane stosowną ilością siwych, były zaczesane do tyłu i przylizane. Skóra twarzy miała woskowaty połysk, jak po liftingu czy jakimś ekskluzywnym zabiegu kosmetycznym i wszystko w nim – dosłownie wszystko – było wypielęgnowane.

– Nie ma na to czasu – powiedziała Brooke.

Chick zrobił sztuczkę z oczami, w której patrzy się komuś najpierw w jedno oko, potem w drugie i znowu w to pierwsze. Myron stał i czekał, aż skończy. Nie ocenia się ludzi po wyglądzie. Win był chodzącym i mówiącym tego przykładem. Chick cierpiał. I było to widać. Owszem, biła z niego próżność i pycha, ale przed dziesięciu laty to jemu porwano syna. Miał to wypisane na twarzy, chociaż próbował nadrabiać miną.

Dlatego Myron trochę mu współczuł.

Ale pamiętał też, że Win go nie lubi.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział. – Wyrwał mi się. Bardzo mi przykro.

Przepraszam.

Chick zawahał się i skinął głową.

– Ja też. To wszystko jest...

– Daj spokój.

– Chick? – odezwała się łagodnie Brooke.

Jej mąż przepaszająco ścisnął Myrona za ramię i spojrzał na nią.

– Chodźmy już – rzuciła.

Kiwnął głową.

Brooke przesłoniła oczy ręką.

– Myron, nie idziesz? – spytała.

Myron rozejrzał się i zobaczył kawiarnię Costa po drugiej stronie ulicy.

– Zaczekam tutaj. W razie czego wyślij mi SMS-a.

Gdy Chick i Brooke weszli do szpitala, Myron przeciął jezdnię i skręcił do kawiarni. Costa była europejską sieciówką i dokładnie tak wyglądała. Wystarczyło zamienić ciemnoczerwony wystrój wnętrza na zielony i mogłaby uchodzić za Starbucks. Myron wiedział, że zagorzali obrońcy obydwu firm obraziliby się za to porównanie, ale uznał, że nie spędzi mu to snu z powiek.

Zamówił kawę, a gdy zaburczało mu w brzuchu, spojrzał na menu. Na tym froncie – kulinarnym – Costa miała zdecydowaną przewagę nad swoim

amerykańskim rywalem. Zamówił „grzaneczkę” z angielską szynką i serem. „Grzaneczka” – urocze słowo. Myron słyszał je pierwszy raz i wykoncypował – jak się okazało, celnie – że jest to po prostu zapiekana kanapka.

O tak, jego umiejętności dedukcyjne wprawiały niektórych w nabożny podziw. Brooke przysłała mu SMS-a: **Nie chcą nas do niego wpuścić. Każą czekać.**

Odpisał: **Mam przyjść?**

Brooke: **Na razie nie. Damy ci znać.**

Usiadł przy stoliku i zjadł „grzaneczkę”. Okazała się całkiem niezła. Zjadł za szybko i zastanawiał się, czy nie zamówić jeszcze jednej. Kiedy ostatnio miał coś w ustach? Wypił kawę i przeczytał artykuły, które zapisał na smartfonie. Mijał czas. W kawiarni było trochę za cicho. Może to tylko wyobraźnia, ale niemal czuł wiszące w powietrzu przygnębienie. No, ale niemal dokładnie naprzeciwko mieścił się szpital, więc może dlatego było tu tyle cierpienia i niepokoju, tyle twarzy czekających z lękiem na wiadomość, ludzi, którzy uciekli stamtąd, by poszukać schronienia w pocieszającej niezmienności i normalności sieciowej kawiarni.

Zawibrowała komórka. Kolejny SMS, tym razem od Terese:

**Lecę do Jackson Hole na rozmowę w sprawie pracy. Dziennik w czasie największej oglądalności.**

Wspaniała wiadomość.

Myron: **Rany! To cudownie!**

Terese: **Jutro rano lecę na ranczo właściciela jego prywatnym samolotem.**

Myron: **Bomba! Strasznie się cieszę.**

Terese: **A jeśli nie będzie mógł utrzymać rąk przy sobie?**

Myron: **To go zabiję.**

Terese: **Kocham Cię.**

Myron: **Ja Ciebie też. Ale i tak go zabiję.**

Terese: **Zawsze wiesz, co powiedzieć.**

Uśmiechnął się. Już miał napisać ripostę, gdy coś przykuło jego uwagę.

A raczej ktoś.

Do kawiarni weszła Nancy Moore, matka Patricka. Szybko wystukał: **Muszę uciekać** i wysłał SMS-a.

Podczas gdy Brooke Baldwin mogła uchodzić za uosobienie siły i stanowczości, Nancy była drobna i wycieńczona. Włosy miała ściągnięte do tyłu i naprędce związane w kucyk, z którego wymykały się siwiejące kosmyki. Była w obszernym podkoszulku z napisem LONDYN, w którym literę L tworzyła stara budka telefoniczna i londyński piętrowy autobus. Pewnie pakowała się w pośpiechu i kupiła ten podkoszulek w sklepie z pamiątkami.

Powiedziała coś cicho do sprzedawcy, a ten przytknął rękę do ucha na znak, że nie dosłyszał. Nancy powtórzyła zamówienie i zaczęła szukać w torebce drobnych.

Myron wstał.

– Pani Moore?

Wystraszył ją. Monety wypadły jej z ręki i zabrzęczały na podłodze. Schylił się, żeby je pozbierać. Nancy chciała pójść w jego ślady, lecz to zadanie chyba ją przerastało. Wyprostował się i podał jej monety.

– Dziękuję – rzuciła.

Przyjrzała mu się i przez jej twarz przemknął lekki cień. Poznała go? Była zaskoczona? Zaskoczona i zadowolona, że go sobie skojarzyła?

– Pan Bolitar?

– Tak.

– Znamy się, prawda?

– Tak, choć widzieliśmy się tylko raz.

– Tak, u... – Nancy urwała. Widzieli się w domu Baldwinów, na miejscu tej strasznej tragedii, mniej więcej miesiąc po uprowadzeniu. Za późno ich wezwano, jego i Wina. – Jest pan znajomym Wina.

– Tak.

– I to pan... To pan... – Zamrugła i uciekła wzrokiem w bok. – Uratował pan mojego syna... nie wiem, jak panu dziękować.

Myron puścił to mimo uszu.

– Jak on się czuje?

– Wyjdzie z tego, przynajmniej fizycznie.

Barista postawił na ladzie dwa kubki kawy na wynos.

– Uratował mu pan życie – dodała Nancy drżącym głosem. – Uratował pan życie mojemu synowi.

– Cieszę się, że dochodzi do siebie. Słyszałem, że już się obudził?

Nie odpowiedziała od razu.

– Mogę o coś spytać? – odezwała się po chwili.

– Naturalnie.

– Co pan pamięta sprzed szóstego roku życia?

Myron wiedział, do czego Nancy zmierza, i nie chciał iść w tę stronę, mimo to poszedł.

– Niewiele.

– A z okresu między szóstym i siedemnastym rokiem?

Teraz nie odpowiedział.

– W tym okresie zawiera się wszystko, prawda? Szkoła podstawowa, gimnazjum, większa część szkoły średniej. Wszystko, co nas kształtuje.

Barista położył na kontuarze rachunek i Nancy dała mu pieniądze. Zwrócił jej kilka monet wraz z reklamówką na kubki.

– Nie chciałbym być natrętny, ale czy Patrick opowiadał, co się z nim działo? – spytał Myron. – Wie, gdzie jest Rhys?

Nancy chowała pieniądze do torebki z takim skupieniem, jakby chciała uciec od odpowiedzi.

– Nie powiedział nic, co mogłoby pomóc.

– To znaczy?

Tylko pokręciła głową.

– Co mówił? – nie dawał za wygraną Myron. – Kto ich porwał? Gdzie przez ten czas byli?

– Pan szuka odpowiedzi. A ja chcę tylko syna.

– Tak, potrzebuję odpowiedzi, bo nie znaleźliśmy jeszcze Rhysa.

Przeszyła go spojrzeniem.

– Myśli pan, że jego los nic mnie nie obchodzi?

– Nie. Myślę, że obchodzi, i to bardzo.

– Uważa pan, że nie wiem, przez co przechodzą teraz Brooke i Chick?

– Nikt nie wie tego lepiej niż pani.

Nancy zamknęła oczy.

– Przepraszam. Po prostu...

Myron czekał.

– Patrick ledwo mówi. Jest... Źle się czuje. Psychiczenie. Właściwie nic na razie nie powiedział.

– Nie chcę być gruboskórny, ale czy jest pani pewna, że to on?

– Tak.

Bez wahania. Bez żadnych wątpliwości.

– Zrobili państwo badanie DNA?

– Nie, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, na pewno zrobimy. Myślę, że nas poznaje. Przynajmniej mnie. Ale to on. Patrick. Mój syn. Wiem, że brzmi to jak oklepany frazes, ale matka zawsze pozna syna.

Może i frazes. A może nie. Z drugiej strony – by przywołać inny frazes – ludzie widzą to, co chcą zobaczyć, zwłaszcza zdesperowana matka, która ma nadzieję, że po dziesięciu latach bólu zazna wreszcie spokoju.

Do jej oczu napłynęły łzy.

– Jakiś psychol dźgnął go nożem. Mojego syna. A pan go znalazł. Pan go uratował. Inaczej wykrwawiłby się na śmierć. Tak mówią lekarze. Pan...

– Nancy?

Myron odwrócił się i zobaczył Huntera Moore'a, jej byłego męża i ojca Patricka.

– Chodź, musimy iść – rzucił Moore, wyszedł na ulicę i skręcił w lewo.

Jeśli mąż Nancy rozpoznał Myrona, w żaden sposób tego nie okazał. Z drugiej strony, niby dlaczego ten facet miałby go poznać? Nigdy dotąd się nie widzieli – wtedy, po porwaniu, nie było go u Baldwinów – poza tym teraz spieszył się i chciał ponaglić swoją eks.

Nancy wzięła torebkę i reklamówkę z kawą.

– Chciałabym podziękować panu jeszcze raz, ale to takie... niestosowne. Na myśl, że po tylu latach znalazł go pan żywego, że gdyby nie pan, Patrick już by nie żył...

– Proszę nie dziękować.

– Do końca życia pozostanę pańską dłużniczką.

Szybko wyszła, skręciła w lewo i podążyła za mężem.

Myron znieruchomiał.

– Jeszcze coś? – spytał barista.

- Nie, dziękuję.
- Dobrze się pan czuje?
- Świetnie.

Myron patrzył na drzwi. I nagle coś go uderzyło. Szpital był po prawej stronie. Tymczasem Hunter i Nancy poszli w lewo.

Czy to coś znaczy?

Nie. Właściwie nic. Mogli iść do drogerii, na spacer albo...

Ruszył do drzwi. Wyszedł na ulicę i spojrzął w lewo. Nancy Moore wsiadała do czarnego vana.

– Proszę zaczekać!

Samochód stał za daleko, a na ulicy było za głośno. Drzwi vana zaczęły się zasuwają, więc Myron puścił się biegiem.

– Hej, zaczekajcie! – krzyknął.

Ale van już ruszył, już jechał i po chwili zniknął za rogiem. Myron zatrzymał się i wyjął telefon. Nie, to pewnie nic takiego. Może policja wezwała ich na przesłuchanie. Może po całodobowym czuwaniu przy łóżku syna chcieli parę godzin odpocząć.

Ale oboje?

Hm... nie... wykluczone. Czy Nancy Moore wyglądała na taką, która musiałaby odpocząć od syna, który zniknął na dziesięć lat? Odpada. Nie opuściłaby go ani na sekundę, bałaby się stracić go z oczu.

Nacisnął przycisk szybkiego wybierania. Nie martwił się, że ktoś go namierzy. Sygnał będzie przeskakował tam i z powrotem i w końcu trafi do jakiejś komórki na kartę.

- Wysłów się – usłyszał głos Wina.
- Chyba mamy problem.
- Mów.

Myron opowiedział mu o spotkaniu z Nancy i o czarnym vanie. Przeszedł przez ulicę i skręcił do szpitala. Skończywszy rozmowę, wybrał numer Brooke. Nie odebrała.

Napis na jednej z tablic w szpitalu – rozejrzał się i zauważył, że wisi ich kilka – głosił, że obowiązuje tu ZAKAZ UŻYWANIA TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH. Ludzie gapili się na Myrona. Przepraszająco wzruszył ramionami, schował telefon i podszedł do informacji.

- Chciałbym kogoś odwiedzić.
- Nazwisko pacjenta?
- Patrick Moore.
- A pańskie?
- Myron Bolitar.
- Chwileczkę.

Powiódł wzrokiem po holu. Przy oknie w kącie poczekalni siedzieli Brooke i Chick. Brooke podniosła głowę, zobaczyła go i wstała. Myron podszedł do niej szybkim krokiem.

– Co się stało? – spytała.

- Co powiedziała ci policja?
- Nic. Nie możemy go jeszcze zobaczyć.
- Znasz numer jego pokoju?
- Tak, od Nancy. Trzysta dwadzieścia dwa.
- Chodźmy.
- Ale co się stało?

Za rogiem czuwał ochroniarz.

- Przepustkę poproszę.
- Nie.

To zbiło go z tropu.

- Słucham?

Miał na imię LAMY, przynajmniej według identyfikatora.

Myron był roslym mężczyzną; miał metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu i ważył sto dwa kilo. Poza tym umiał sprawiać wrażenie jeszcze potężniej zbudowanego. Jak choćby teraz.

- Muszę wejść na trzecie piętro i porozmawiać z pacjentem.
- To niech pan załatwi przepustkę.

– Hm... Lamy, tak? No więc, Lamy, możemy to rozegrać na dwa sposoby. Mogę powalić cię na podłogę, skopać ci tyłek i najesz się wstydu. I kto wie, jakie będą reperkusje. Jeśli okażesz się twardszy, niż myślę, będę musiał zrobić ci krzywdę. Niewykluczone, że większą, niżbym chciał. Albo możesz pójść ze mną i zobaczyć na własne oczy, że zajrzę tylko do pacjenta, upewnię się, że nic mu nie jest, i wrócę na dół.

- Nalegam, żeby poszedł pan do...
- Twój wybór, Lamy.

Myron nie dał mu czasu na myślenie. Minął go i popędził schodami na górę. Ochroniarz pobiegł za nim, lecz niewystarczająco szybko.

- Stać! Dwójka prosi o wsparcie! Mamy intruza na schodach!

Myron nie zwolnił. Wciąż biegł. Trochę bolało go kolano, to, które zakończyło jego karierę, lecz ból mu nie przeszkadzał. Nie wiedział, czy Brooke i Chick idą za nim, ale zupełnie go to nie obchodziło. Ochroniarz wezwał posiłki. Przyjdą po niego albo nie przyjdą. Aresztują go albo i nie. Tak czy inaczej, na pewno nie zdążą na czas.

Pchnął drzwi i wypadł na korytarz. Dokładnie naprzeciwko zobaczył pokój 302. Skręcił w prawo i minął pędem pokój 304. Ktoś krzyknął:

- Stać! Stać!

Myron puścił to mimo uszu.

Wreszcie dobiegł do pokoju 322. Otworzył drzwi i wpadł do środka. Tamci byli coraz bliżej, słyszał ich kroki. Ale nawet się nie poruszył, po prostu stał i czekał. Jego podejrzenia się sprawdziły.

Łóżko było puste. Cały pokój był pusty.

Doszło do przepychanek z ochroniarzami, ale bardzo lekkich.

Podniósł ręce, wyszedł na korytarz i pomaszerował w stronę wyjścia. Ochroniarze nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić. Ostatecznie wpadł do pustego pokoju. Czy to powód, żeby go zatrzymać? Zapewnił ich, że nigdzie się nie wybiera, co w zupełności ich zadowoliło.

Chick dostał szału, zwłaszcza kiedy policjanci zareagowali całkiem spokojnie: nie, nie mogli zatrzymać Patricka. Jest ofiarą, a nie przestępcą, poza tym chciał wracać z rodzicami do domu.

– Spytaliście go o mojego syna?! – wrzasnął Chick.

Oczywiście, że tak, odparli rzeczowo funkcjonariusze brytyjskiej policji. Ale Patrick i jego rodzice oznajmili, że ich syn nie wniesie nic istotnego dla sprawy i przeżywa zbyt wielką traumę, żeby mówić o tym, co się z nim działo.

– I wy to kupiliście?! – rzucił Chick.

Ci z policji taktownie westchnęli i lekko wzruszyli ramionami. Nie, nie kupili tego. Ale nie mogli przecież zmusić do rozmowy rannego, zniszczonego psychicznie nastolatka. Poza tym Patrick chciał wrócić z rodzicami do Stanów, a lekarze uznali, że tak będzie najlepiej. Policja nie miała podstaw prawnych do zatrzymania chłopaka wbrew jego woli.

Dyskusja trochę trwała, lecz była zupełnie bezsensowna.

Dlatego dwie godziny po odkryciu, że Moore'owie wracają prywatnym samolotem do Stanów, Brooke i Chick Baldwinowie zrobili konferencję prasową w sali balowej hotelu Grosvenor przy Park Lane.

Myron i Win stali z tyłu i obserwowali.

– Nie wygląda na pogrążoną w smutku matkę, prawda? – spytał Win. Mówił o Brooke.

– Co nie znaczy, że nią nie jest.

– Racja, ale mówiłem jej, żeby trochę popłakała, pod kamery.

Myron kiwnął głową.

– Byłoby dobrze.

– Nie wiem, czy potrafi. Wytłumaczyłem jej, że ludzie chcą widzieć ból. Jeśli go nie widzą, myślą, że ten ktoś nie cierpi.

– Pamiętam, jak było, kiedy ich porwano – powiedział Myron. – Te wszystkie uwagi o... – zrobił w powietrzu znak cudzysłowu – jej „zachowaniu”.

– Nawet wtedy nie okazywała smutku przed kamerami.

– Właśnie. Niektórzy felietoniści zaczęli teoretyzować, że może być w to zamieszana. Nie podobał im się jej dom, opiekunka, którą zatrudniła, a przede wszystkim brak zewnętrznych oznak cierpienia.

– Żalosne – mruknął Win.



– Bardzo. Gdyby trochę poszlochała, a najlepiej zemdląca, świat szlochałby razem z nią. A tak potraktowano ją perfidnie.

– Pamiętam. Od tej sprawy zaczęła się debata na temat pełnoetatowych matek. Brooke zaniedbywała swoje obowiązki. Była kolejną bogatą zepsutą kobietą, która zatrudniła opiekunkę, bo nie chciała zajmować się dziećmi.

– Nikt nie wierzy, że coś takiego mogłoby się przytrafić na przykład jemu – powiedział Myron.

– Dlatego szukają winnych. Taką mamy naturę.

Mówili głównie przedstawiciele policji. Brooke patrzyła w pustkę. I wbrew zaleceniom Wina ani razu nie zapłakała. Chick – w eleganckim garniturze – też nie wzbudzał współczucia, lecz przynajmniej robił wrażenie zdruzgotanego.

Myron pochylił się i szepnął:

– Dobrze, że wróciłeś.

– Tak. Też tak uważam.

Policjanci mówili bardzo mgliście. Jeden z zaginionych przed dziesięciu laty chłopców, Patrick Moore, został odnaleziony w Londynie. Jak? Nie podano żadnych szczegółów. Policja nie przypisywała sobie tej zasługi. Nie przypisała jej także Myronowi.

O co on nie miał do nich pretensji.

Uważano, że drugi zaginiony, syn pogrążonych w bólu Baldwinów, może być gdzieś w pobliżu. „Skąd ta pewność?!”, krzyknął któryś z reporterów. Policjanci go zignorowali. Kiedy pokazali zebranym stare zdjęcie sześciolatniego chłopca, a potem kilka zdjęć postarzonego komputerowo Rhysa, na kamiennej twarzy Brooke pojawiło się pierwsze pęknięcie.

Mimo to nie rozplakała się.

– Zaraz po tej konferencji wracają do domu – oznajmił Win.

– Nie zostają?

Win pokręcił głową.

– Nie, chcą wracać – powiedział. – Wiedzą, że nic tu po nich. Musisz z nimi lecieć. Zmusić Patricka do mówienia. Zacząć od początku, krok po kroku.

– Od początku? Od miejsca... Od ich domu?

– Tak.

– Uważasz, że trzeba cofnąć się aż tak daleko? – spytał Myron.

– Ta historia kończy się tutaj, ale zaczęła się tam.

– Moore'owie ukradkiem wywieźli syna. Co o tym sądzisz?

– Nic dobrego – odparł Win.

– Chłopak przeżywa traumę, może rzeczywiście dlatego nie mówi?

– Może.

– A jeśli nie? – dociekał Myron.

– Sam powiedziałaś.

– Ale co?

– Że coś przeoczyliśmy.

Potem jeden z policjantów pokazał zdjęcie Chrisa Alana Weeksa, alias Gruby Gandhi; przedstawił go nie jako podejrzanego, tylko osobę budzącą

zainteresowanie władz. Mężczyzna na zdjęciu miał włosy i ważył dwadzieścia kilo mniej niż osobnik, którego poznał Myron.

– Wolimy, żeby odnalazła go brytyjska policja czy my? – spytał Win.

– To ważne?

Win uniósł brew.

– Co będzie, jeśli dopadnie go policja?

– Jeżeli złapią go z Rhysem... no to zaoszczędzą nam roboty – odparł Myron. – Sprawa rozwiązana, i tyle.

– Mało prawdopodobne. Grubas jest ostrożny. Albo zabije Rhysa... czego nie ma sensu rozważać, ponieważ do niczego to nas nie doprowadzi... albo ukryje go w bezpiecznym miejscu, w którym nigdy byśmy go nie szukali.

– Masz rację – przyznał Myron.

– Dlatego pytam jeszcze raz: co będzie, jeśli Grubego Gandhiego złapie policja? Co z nim zrobią?

– Najpierw go aresztują i oskarżą.

– Tak.

Myron czuł, dokąd zmierza przyjaciel.

– Grubas otoczy się prawnikami – powiedział. – Nic na niego nie mają. Wszystko trzymał w chmurze. Korzystał z głębokiej sieci. Dzieciaki nie będą przeciwko niemu zeznawały. Był ostrożny. Moje zeznanie, że dźgnął nożem Patricka? Powiedzą, że w tunelu było ciemno i mogłem źle widzieć, co jest zgodne z prawdą.

Win kiwnął głową.

– Myślisz, że ten Gruby Gandhi coś powie? – spytał.

– Mało prawdopodobne.

– Natomiast jeśli znajdę go ja...

Myron skupił się na konferencji prasowej.

– Nie pochwalasz tego – rzucił Win.

– Przecież wiesz, że nie.

– I wiesz, kim jestem i jak działałam.

– Kiedyś nie miałem z tym problemów – powiedział Myron. – Dawniej, w innych okolicznościach.

– Ale nie w naszym nowym wspólnym świecie?

– Naprawdę popierasz władzę, która torturuje ludzi, żeby wydobyć z nich informacje?

– Boże drogi, ależ skąd! – oburzył się Win.

– Ale ty torturować możesz, tak?

– Właśnie. Wierzę w swoje motywacje i osady. W przeciwieństwie do motywacji i osądów władzy.

– Obowiązują cię inne zasady?

– Ależ naturalnie – rzucił Win. – Czy to mąci ci w głowie?

Myron westchnął.

– Jeszcze jedno.

– Mów.

- Długo cię nie było.
- Win milczał.
- Jeśli wrócę do Stanów, nie chciałbym cię znowu stracić – powiedział Myron.
- Słyszałeś, co powiedziała Brooke.
- Słyszałem.
- Zawaliłem. Dlatego bez względu na cenę, muszę znaleźć jej syna.

• • •

Godzinę później, wchodząc na pokład samolotu Wina, Brooke dostała SMS-a. Spojrzała na ekran komórki i zatrzymała się. Jej mąż i Myron przystanęli krok za nią.

- Co jest? – spytał Chick.
- Od Nancy.

Podawała mu telefon.

– „Robię to, co najlepsze dla mojego syna – przeczytał Chick. – I Twojego. Zaufaj mi. Wkrótce się odezwiemy”. – Zmarszczył brwi. – Co to, kurwa, znaczy?

Brooke wzięła telefon. Zadzwoiła do Nancy, ale ta znowu nie odebrała. Brooke napisała do niej SMS-a z prośbą o wyjaśnienia i szczegóły. Nancy nie odpisała.

– Nigdy nas nie lubiła – mruknął Chick. – Wini nas o to, co się stało, chociaż nasz syn też zaginął.

Wszedł do samolotu. Na pokładzie czekała Mee w obcisłym uniformie stewardesy. Stosownie do sytuacji posłała im lekki uśmiech i wzięła ich okrycia.

– Zachowuje się tak, jakbyśmy sami ich porwali – zwrócił się Chick do żony. – Już ci to mówiłem.

– Tak. Wiele razy.

– Nawet przed porwaniem. Hunter chla teraz na umór, ale zawsze był śmierdzącym leniem. Wszystko mu podać, wszystko za niego zrobić. Można się porzygać. Rozmawiasz z nim i gadasz jak do ściany. Ale Nancy? Co ona kombinuje?

Nikt mu nie odpowiedział, więc spojrzał na stewardesę.

- Czy ktoś korzysta z sypialni? – spytał.
- Nie, jest do pańskiej dyspozycji.
- Świetnie. Mogę dostać trochę wody?
- Oczywiście.

Chick wyjął z kieszeni buteleczkę. Wytrząsnął z niej dwie tabletki, a po namyśle trzecią. Mee podała mu szklankę. Połknął wszystkie naraz i machnął ręką w stronę ogona samolotu.

- Nie będziecie mieli nic przeciwko...
- Idź, idź – rzuciła Brooke.

Trzy minuty później z sypialni dobiegło głośne chrapanie. Mee zamknęła drzwi i zapadła cisza. Samolot pomknął po pasie i wzbił się w powietrze. Myron i Brooke siedzieli obok siebie.

– Co zamierza Win? – spytała Brooke.  
– Chce złapać Gandhiego przed policją – odparł Myron.  
Skinęła głową.  
– Byłoby dobrze. Myślisz, że mu się uda?  
– Gdyby tu był, powiedziałby pewnie: „Udam, że nie słyszałem pytania”.  
Uśmiechnęła się.  
– Bardzo nas kocha – powiedziała.  
– Wiem.  
– Kocha niewielu, ale jeśli już, to do utraty tchu.  
– Nie zliczę, ile razy uratował mi życie – powiedział Myron.  
– Ty jemu też. Opowiadał mi. Poznaliście się na studiach?  
– Tak.  
– Kiedy?  
– Na pierwszym roku.  
– Powiedz, co pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś go pierwszy raz?  
Myron zrobił dziwną minę, próbując się nie uśmiechnąć.  
– Ojciec odwiózł mnie na kampus. Byłem zdenerwowany... no wiesz... początek studiów i tak dalej. Tata ciągle żartował, chciał mnie czymś zająć. Uparł się, że pomoże wnieść moje rzeczy, i targaliśmy te wszystkie walizy po schodach. Mówię mu, dam sobie radę, a on nic. Bałem się o niego, był w kiepskiej formie...  
Pokręcił głową. Znowu wróciły wspomnienia.  
– W akademiku był album ze zdjęciami studentów pierwszego roku. W twoim też?  
– O tak – odparła ze smutnym uśmiechem Brooke. – Przeglądałyśmy go i oceniałyśmy chłopców w skali od jednego do dziesięciu.  
– Boże, jakaś ty płytka!  
– Niestety.  
– W każdym razie zrobiliśmy sobie przerwę, na tych schodach, i zaczęliśmy przeglądać album. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem Wina, jego zdjęcie. Wiesz, te jasne włosy, niebieskie oczy: wyglądał jak model z czasopisma dla bogatych dupków po elitarnym liceum. I ta jego wyniosła mina... wiesz jaka?  
Brooke idealnie ją zademonstrowała.  
– O właśnie.  
– Jakby był nadczłowiekiem, panem wszelkiego stworzenia.  
– A pod zdjęciem była lista wszystkich tych snobistycznych szkół, do których chodził, i jego pełne nazwisko. Więc czytam je: Windsor Horne Lockwood Trzeci... wybucham śmiechem i pokazuję ojcu. On też się śmieje, a ja mówię: „I mam się z nim zakumplować? Przez cztery lata nie zobaczę go na oczy”.  
– Tak – Brooke się uśmiechnęła – doskonale to rozumiem.  
– Poznaliśmy się tego samego wieczoru. Od tamtej pory jest moim przyjacielem.  
– Więc mnie rozumiesz.  
– Jasne – powiedział Myron. – Ludzie nienawidzą go od pierwszego wejrzenia. Biorą go za aroganta, arystokratę i mięczaka, który nie potrafi zabić muchy.

– Za słabeusza. Ofiarę losu.  
– Właśnie. Początkowo się z tym krył. Ale ja od razu to dostrzegłem, ten mrok. Już na kursie zapoznawczym.  
– Może właśnie to cię do niego przyciągnęło – zasugerowała Brooke.  
– Co? Ten mrok?  
– Tak. Jego jin i twoje jang.  
– Może – zgodził się z nią Myron.  
– Kiedy to odkryłeś? Te jego... hm... wyjątkowe talenty. Pamiętasz?  
O tak, pamiętał doskonale.  
– Na pierwszym roku, mniej więcej miesiąc później. Banda futbolistów postanowiła ogolić mu głowę. Wiesz, jak to jest. Uznali, że ma za ładne włosy, za jasne, za starannie ułożone i tak dalej.  
– Wiem.  
– Pewnej nocy, kiedy Win już spał, włamali się do jego pokoju. Pięciu dryblasów. Czterech miało trzymać go za ręce i nogi, a piąty golić.  
– O rany – westchnęła Brooke.  
– Właśnie.  
– I jak to się dla nich skończyło?  
– Powiem tak: tego roku drużyna uniwersytecka miała fatalny sezon. Za dużo zawodników na liście kontuzjowanych.  
Brooke pokręciła głową.  
– Dobrze jest mieć go po swojej stronie – powiedziała.  
– No.  
– Myron? Czy my mamy jakiś plan?  
– Tak jak powiedział Win: ten koszmar trafił do Londynu, ale zaczął się w twoim domu. On obstawia jeden koniec, my drugi. Wracamy do początku. Spróbujemy wyjaśnić, co się stało.  
Zmarszczyła czoło.  
– Czy to ma sens? Dom, miejsce porwania... Przerabialiśmy to setki razy.  
– Tak, ale teraz spojrzymy na to świeżym okiem. Z perspektywy. Jak na wycieczce samochodem, kiedy nie znasz celu podróży. Teraz wiemy przynajmniej, gdzie samochód był trzy dni temu. I możemy spróbować jeszcze raz.  
– Chyba nie zaszkodzi – zgodziła się z nim.  
– Ale przede wszystkim, Patrick musi się otworzyć.  
– Tak.  
– Ten ostatni SMS od Nancy... Jak go rozumiesz?  
– Nie wiem. Nie jestem pewna.  
– Chick jej nie ufa. A ty?  
Brooke zastanowiła się.  
– Ona jest matką.  
– To znaczy?  
– To znaczy, że koniec końców, zrobi to, co będzie najlepsze dla jej dziecka. Nie dla mnie.

Mee przyniosła wodę i ciepłe orzeszki. Postawiła je i odeszła.

– Myślisz, że nie zechce nam pomóc? – spytał Myron.

– Nie. Ona rozumie czyjś ból, bardziej niż ktokolwiek inny, ale interes własny to potężny motyw. Napisała: „Robię to, co najlepsze dla mojego syna. I Twojego”. Nie „dla naszych synów” tylko „dla mojego”. Rozumiesz?

– Tak.

– Więc co teraz?

– Zrobimy to, co najlepsze dla twojego syna – odparł Myron. – I jej syna.

Kiedy wylądowali, Brooke dostała kolejnego SMS-a od Nancy.

**Wpadniemy do Was jutro o 9 rano. Może być?**

Przeczytała go na głos.

– „Wpadniemy”? – powtórzył Chick. – My? Czyli kto?

– Nie mam pojęcia.

– Spytaj ją.

– Chyba powinniśmy poczekać – odparła Brooke. – Nie chcę jej spłoszyć.

– Spłoszyć?

– Sama nie wiem... Myron?

– Tak, chyba lepiej poczekać.

**OK, do zobaczenia** – odpisała.

Czekały na nich dwie limuzyny, jedna dla Baldwinów, druga dla Myrona.

Brooke już miała wsiąść do samochodu, lecz odwróciła się i powiedziała:

– Myron, powinieneś tam jutro być. Uratowałeś ich syna. Mają u ciebie dług.

Nie był tego taki pewny, mimo to odparł:

– Dobrze.

Zaczekał, aż samochód Baldwinów zniknie mu z oczu, i wsiadł do swojego.

– Wszystko załatwione – powiedział szofer. – Mam towarzyszyć panu przez cały wieczór.

– Świetnie.

– Do szkoły?

Myron zerknął na zegarek.

– Tak, chyba tak.

Odchylił się na oparcie siedzenia. Jutro świat miał stanąć na głowie, lecz dzisiejszy wieczór będzie jeśli nie wspaniały, to przynajmniej normalny. Było wpół do siódmej, gdy wjechali pod liceum, na owalny plac o długości ośmiuset metrów, gdzie mieszkańcy lubili biegać, spacerować i plotkować. Nazywano go zmyślnie „Kręgiem”, bo cóż, ostatecznie owal to prawie krąg. Po drugiej stronie ulicy był posterunek policji; na dole po prawej, zaraz przy wjeździe – miejska biblioteka. Po drugiej stronie placu, na skos po prawej, znajdowało się miejskie centrum rekreacyjne. Sąsiednią działkę, tę po lewej, zajmował miejski kościół, a na szczycie kręgu, dokładnie pośrodku, stał duży gmach liceum.

Kluczowe słowo? „Miejski”.

Szofer zaparkował przed salą gimnastyczną. Myron otworzył ciężkie drzwi i wszedł do środka. W sali było ciemno i pusto. Co go zaskoczyło, ale przypomniał sobie, że niedawno zbudowano nową salę, zaraz za boiskiem. Ta, która tyle dla niego znaczyła, była teraz „starą salą”. I na starą wyglądała. Co najmniej na

stuletnią. Taką, w której zamiast normalnych koszy z obręczami, na tablicy powinny wisieć kosze na brzoskwinie<sup>1</sup>.

Ruszył przed siebie i w wyłożonej starym parkietem sali zabrzmiało echo jego kroków. Przystanął na środku boiska. W powietrzu wisiał znajomy zapach. Czy wciąż odbywały się tu zajęcia, czy był to zapach jakiegoś silnego środka czyszczącego, który wniknął w drewno na dobre? Dla niektórych był okropny. Dla niego boski.

Zapach pobudza wspomnienia. Déjà vu to określenie zbyt słabe dla tego, co teraz przeżywał. Obrócił się powoli, chłonąc wszystko wzrokiem. Spojrzał na ścianę z betonu i cegły. Nad drzwiami wciąż wisiała tablica.

## NAJLEPSI KOSZYKARZE WSZECH CZASÓW

### 1. MYRON BOLITAR

Wspomnienia powróciły z taką siłą, że omal nie upadł. Stare, rozchwierutane trybuny dopchnięto do ścian, lecz dla niego były rozłożone i rozciągnięte jak miech akordeonu. Oczami wyobraźni widział dawnych kolegów i trenerów, i przez chwilę próbował policzyć, ile godzin spędził w tej sali. Tak dobrze mu się tutaj wiodło, tu, na tym parkiecie, na tym boisku. Sport jest podobno lustrem życia, lekcją, sprawdzianem wytrzymałości i siły, przygotowaniem do życia w prawdziwym świecie. Tak im zawsze powtarzano. Ale u niego to się nie potwierdziło.

Na boisku wszystko przychodziło mu łatwo. W prawdziwym życiu już nie.

Wyszedł na słońce i wszedł do samochodu.

– Nie ta sala. Za boiskiem jest nowa.

Pojechali. Kiedy otworzył drzwi, usłyszał podnoszące na duchu echo dryblowanej piłki i znajomy pisk butów na parkiecie. Muzyka dla duszy. Jasne światła, eleganckie tablice wyników, wygodne siedzenia z oparciami – nowa sala była ultranowoczesna, cokolwiek to znaczy. Wszystko błyszczało. Ale zapach – mieszanina potu i chemicznych środków czyszczących – wciąż był ten sam.

Uśmiechnął się.

Trwał sparing drużyny chłopców; połowa z nich grała w białych strojach, połowa w zielonych. Myron usiadł w pierwszym rzędzie, próbując nie uśmiechać się za szeroko. Chłopcy byli nieźli, silniejsi i w lepszej formie fizycznej niż za jego czasów. W tym sezonie nikt ich jeszcze nie pokonał i krążyły plotki, że mają szansę na pobicie rekordu serii nieprzerwanych zwycięstw, ustanowionego przed ponad dwudziestu pięciu laty, gdy występował tu ostatni zawodnik All-American.

Tak, dobrze się domyślacie.

Zawodnicy byli dobrzy, niektórzy nawet znakomici, ale jeden się wyróżniał.

Uczeń drugiej klasy – Mickey Bolitar. Jego bratanek.

Mickey obiegł narożnik, skoczył w lewo, odebrał podanie, zmylił trzech przeciwników i zrobił piękny wsad. Czysta poezja ruchu, trudno było oderwać od niego wzrok. Tak, to rzucało się w oczy, od razu. Wielkość. Myron przyjrzał się jego twarzy i zobaczył coś, co nazywają „fazą”: chłopak był skupiony



i jednocześnie zrelaksowany, spięty, lecz wycofany. Bez względu na to, jakiej użyć terminologii, stan ten można podsumować pięcioma słowami.

Był u siebie. W domu.

Tak jak kiedyś jego stryj. Na boisku wszystko ma sens. Tu człowiek panuje nad swoim życiem. Ma przyjaciół i wrogów. Piłkę i dwie obręcze. Zasady. Tu jest konsekwentny. Jest sobą. Bezpieczny.

Jest w domu.

Podszedł do niego trener Grady. Jedne rzeczy się zmieniają, inne nie. Trener wciąż nosił koszulkę polo z herbem szkoły na kieszeni i trochę przyciasne szorty. Uścisnął Myronowi rękę, objął go i poklepał po plecach.

– Kopę lat – powiedział Myron.

– Fakt. – Grady rozłożył ręce. – Jak ci się podoba nowa sala?

Myron rozejrzał się.

– Chyba wolę starą.

– Ja też.

– A może po prostu starzejemy się i zaczynamy gderać?

– Może.

– Niedługo zaczęły wychodzić na ganek wypędzać dzieciaki z mojego trawnika.

Popatrzyli na boisko. Mickey zamarkował rzut za trzy punkty, ściągnął na siebie obrońcę i podał do środkowego, który bez trudu wpakował piłkę do kosza.

– Ma talent – powiedział Grady.

– Ma.

– Jest lepszy od ciebie.

– Oj, zamknij się.

Trener roześmiał się i dmuchnął w gwizdek. Mecz się skończył, Mickey wyszedł z fazy i dopiero teraz zauważył stryja. Ale nie pomachał mu ręką. Ani Myron jemu. Grady zawołał zawodników na środek boiska i gdy utworzyli krąg, powiedział kilka słów zachęty, po czym rzucił: „Ręce!”

Chłopcy wyciągnęli ręce, krzyknęli: „Dryżyna!” i poszli pod prysznic.

Mickey, z ręcznikiem na szyi, podbiegł do stryja. Myron wstał. Jego bratanek miał szesnaście lat i metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, więc był od niego trochę wyższy. Rzadko się uśmiechał, w każdym razie nie przy nim, ale w sumie nic dziwnego, bo jeszcze do niedawna ich relacje były dość napięte.

Teraz jednak na jego twarzy gościł szeroki uśmiech.

– Masz bilety? – spytał.

– Czekaają w kasie.

– Wezmę prysznic i zaraz wracam. – I pobiegł do szatni.

Sala opustoszała. Myron wziął zapomnianą piłkę i wyszedł na boisko. Stał na linii rzutów wolnych. Odbił piłkę trzy razy. Machinalnie odszukał palcami wyżłobienia. Idealny backspin i cichy świst siatki na koszu. Jeszcze raz. Potem trzeci i czwarty.

Minęło kilka minut. Nie wiedział ile.

– Myron?

Wrócił Mickey.

Wyszli na parking. Chłopak zobaczył limuzynę i przystanął.

– Jedziemy... tym?

– Tak. Jakiś problem?

– Trochę za bardzo rzuca się w oczy.

– Fakt.

Mickey rozejrzał się, sprawdzając, czy nie widzą go koledzy. Upewniwszy się, że teren jest czysty, szybko wsiadł, nachylił się i wyciągnął rękę do kierowcy.

– Jestem Mickey.

– A ja Stan – przedstawił się szofer. – Miło cię poznać.

– Wzajemnie.

Mickey usiadł i zapiął pas. Samochód ruszył.

– Myślałem, że wyjechałeś i nie pójdziemy – powiedział chłopak.

– Właśnie wróciłem.

– Gdzie byłeś?

– W Londynie – odparł Myron. – Jak tam dziadek i babcia?

Dziadek i babcia, czyli Ellen i Alan Bolitarowie, jego rodzice. Przez kilka dni mieli mieszkać z wnukiem.

– W porządku.

– Kiedy wracają rodzice?

Mickey wzruszył ramionami i spojrzał w okno.

– Mają siedzieć tam trzy dni.

– A potem?

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, mama będzie pacjentką dochodzącą.

Ton głosu bratanka był taki, że Myron powinien dać temu spokój. I tym razem to zrobił.

Dojazd do centrum Newark zajął pół godziny. Halę sportową Prudential Center Arena nazywają Skałą, od Skały Gibraltarskiej w logo Prudentialu. Grali w niej hokeiści Diabłów z New Jersey, i to tyle, jeśli chodzi o drużyny zawodowe. Nets porzucili swoje rodzinne strony i przenieśli się do Brooklynu, ale Myron widział tam wiele meczów studenckiej ligi koszykarskiej i dwa razy był na koncercie Bruce'a Springsteena.

Poszedł do kasy i odebrał bilety. Dostali także zalaminowane przepustki do szatni.

– Mamy dobre miejsca? – spytał Mickey.

– Przy samym ringu.

– Ekstra.

– Ciotki o nas dbają, sam wiesz.

Dzisiejszy gwóźdź programu: zawodowe zapasy.

Za dawnych czasów, zanim w internecie zaroilo się od zdjęć skąpo ubranych kobiet, dorastający chłopcy szukali podniet w telewizji i na meczach zawodowych zapaśniczek, które transmitowano w niedzielne poranki. Tego dnia przygrywką do właściwego meczu był powrót do tamtych dni, do dni WDAZ-u, Wspaniałych Dam Zapasów (pierwotna nazwa, Zapasy Dam, nie przeszła z powodu skrótu

ZAD, który nie podobał się miejscowym stacjom telewizyjnym), gdy na ringu królowały największe ulubienice publiczności.

WDAZ już dawno wypadł z interesu, jednak kilka osób – głównie przyjaciółka Myrona i jego była współpracowniczka, Esperanza Diaz – postanowiło wskrzesić tę organizację. Do mody wróciła nostalgia i Esperanza, znana kiedyś jako Indiańska Księżniczka, Mała Pocahontas, miała nadzieję na tym zarobić. Ale nie, nie zaangażowała młodych zapaśniczek, żeby oczarować dorastających chłopców. Ten rynek był już nasycony.

Panie i panowie, witajcie w świecie senierek zawodowego wrestlingu!

Bo czemu nie? Mecze emerytowanych golfistów przyciągają setki kibiców. Tenisistów również. Spotkania ze starymi aktorami serialowymi z lat siedemdziesiątych cieszą się olbrzymią popularnością. Rzućcie tylko okiem na harmonogram występów zespołów i solistów rockowych w swoich ulubionych halach koncertowych – Rolling Stonesi, the Who, Steely Dan, U2, Bruce Springsteen – a przekonacie się, że albo młodość wyszła z mody, albo starym rockmanom potrzeba kasy.

Więc dlaczego nie wykorzystać okazji?

Tego wieczoru miała wystąpić drużyna Małej Pocahontas i Dużej Mamy.

Czyli Esperanza Diaz i Duża Cyndi.

Kiedy weszły na ring – Esperanza, wciąż kusząco kręcąc biodrami opiętymi skąpym bikini w lamparcie cętki i uwodzicielsko potrząsając przewiązanymi lassem włosami, i Duża Cyndi w stroiku z piór na głowie (prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sto trzydzieści sześć kilo żywej wagi), wciśnięta w coś w rodzaju skórzanego gorsetu – tłum oszalał.

Mickey spojrział w prawo, na ich wychodzące z tunelu przeciwniczki.

– Ja piórkuję...

Tłum zabuczał.

Właśnie tu testowano granice sportu dla seniorów. Bo jeśli Esperanza i Duża Cyndi mogły uchodzić za dojrzałe mamuśki, ich przeciwniczki – „Panie i panowie, a oto Oś Zła, Komuszka Connie i Żelazna Kurtyna Irene!” – bardziej pasowały do kategorii babć.

Mimo to Komuszka Connie wciąż nosiła dumnie (lub prowokująco) swój słynny czerwony strój z chińskimi gwiazdami i portretami Mao, a Irene – dwuczęściowy kostium z sowieckim sierpem i młotem na piersi.

Mickey zaczął się bawić smartfonem.

– Co ty robisz? – spytał Myron.

– Chcę coś sprawdzić.

– Co?

– Zaraz... Według tego, co tu piszą, Komuszka Connie ma siedemdziesiąt cztery lata.

Myron się uśmiechnął.

– Ale super wygląda, co?

– Hm... chyba tak.

Mickey tego nie rozumiał. Ale cóż, miał szesnaście lat. Myron miał dziesięć, gdy oglądał Connie, więc może wciąż widział ją dziecięcymi oczami, tak jak słuchamy starych przebojów dziecięcymi uszami. Nieważne. Zaczął się mecz i Mickey wrzucił do ust garść popcornu.

– Ciocia Esperanza ma być Indianką? – wymlaskał.

– Tak.

– Ale jest Latynoską, tak?

– Tak.

– A Duża Cyndi?

– Nie wiadomo.

– Ale chyba nie Indianką.

– Nie. – Myron zerknął na bratanka. – W zawodowym wrestlingu mało jest rzeczy politycznie poprawnych.

– Dużo więcej gruboskórnych.

– Chyba tak. To rola. Jutro możemy na to popsioczyć.

Mickey wziął do ust kolejną garść popcornu.

– Pochwaliłem się paru kumplom, że znasz Małą Pocahontas.

– Pewnie byli pod wrażeniem.

– O tak. Jeden powiedział, że w siłowni jego ojca wciąż wisi jej plakat.

– To też nie jest chyba poprawne politycznie.

Duża Cyndi miała na twarzy tyle makijażu, że członkowie zespołu Kiss nie mieliby z nią szans. Ale tak się malowała również na co dzień. Dopadła Komuszkę przy naciągaczach, chwyciła ją za głowę i wolną ręką posłała Myronowi całusa.

– Kocham pana, panie Bolitar! – krzyknęła.

Mickey był zachwycony. Publiczność również. Bo Myron też nie należał do wyjątków.

W zawodach senierek chodziło głównie o wspomnienia, tak jak na koncercie rockowym chodzi o to, żeby kapela grała swoje stare przeboje. I właśnie to zapaśniczki podarowały publiczności.

Mała Pocahontas zawsze była ulubienicą tłumów. Zręczna i gibka, drobna i śliczna, umiała wykorzystać swój talent, tańcząc wokół ringu, skacząc tam i z powrotem i zbierając gromkie brawa i pochwały, podczas gdy jej przeciwniczki perfidnie oszukiwały, aby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Oszukiwanie polegało zwykle na tym, że rzucały jej piaskiem w oczy (Esperanza doszła do perfekcji w odgrywaniu „piekących oczu”) albo używały przerażających – i zakazanych – „obcych przedmiotów”.

Tego wieczoru Komuszka Connie i Żelazna Kurtyna Irene wykorzystały jedno i drugie.

Kiedy przekupny sędzia, skuszony przez Komuszkę perspektywą korzyści seksualnych, odwrócił uwagę Dużej Mamy, Żelazna Kurtyna cisnęła Esperanzie piaskiem w oczy, a Komuszka Connie dźgnęła ją w nerki „obcym przedmiotem”. Mała Pocahontas znalazła się w tarapatkach! Wrednie i podstępnie atakowały ją teraz obie przeciwniczki – wbrew przepisom! – niemilosierdzie tłukąc ją wśród ryku publiczności błagającej, żeby ktoś uratował biedną ślicznotkę. Duża Mama

spozobregła wreszcie, co się dzieje, wypchnęła sędziego z ringu, pospieszyła koleżance na pomoc i, znowu razem, stawily czoło Osi Zła.

Wspaniała zabawa.

Cała publiczność, łącznie z Myronem i Mickeyem, zawyla jeszcze głośniej i wstała.

– Co robiłeś w Londynie? – spytał chłopak.

– Pomagałem staremu przyjacielowi.

– W czym?

– Szukaliśmy dwóch zaginionych nastolatków.

Mickey spowaźniał.

– Jednego chyba znaleziono, tak?

– Śledziłeś tę sprawę?

– Mówili o tym w dzienniku. Patricka jakiegoś tam.

– Moore’a.

– Jest w moim wieku, tak? Zaginał, kiedy miał sześć lat?

– Tak.

– A ten drugi?

– Rhys Baldwin. – Myron pokręcił głową. – Wciąż go szukamy.

Mickey przełknął popcorn i spojrział na ring. A tam Mała Pocahontas właśnie podcięła Żelazną Kurtynę, powalając ją na matę. Komuszka Connie już leżała, a Duża Mama – Jezus Maria! – stała na górnej linii.

– Wielki finał – rzucił z uśmiechem Myron.

Jakby przecząc prawom grawitacji, Duża Mama ugięła nogi w kolanach i wyskoczyła wysoko w powietrze. Tłum wstrzymał oddech, a ona, niemal w zwolnionym tempie, opadła na matę, lądując na przeciwniczkach z głośnym, mokrym plaśnięciem.

Żelazna Kurtyna i Komuszka Connie leżały bez ruchu jak dwie wielkie kłody.

Kiedy Duża Mama uklękła, wydawało się oczywiste, że na macie ukażą się dwa wielkie placki, jak rozpląszczone ludziki z modeliny czy bohaterki kreskówek. Duża Mama przetoczyła się po Komuszce, a Pocahontas po Irene. Razem przygniotły je do maty, a wtedy rozległ się gong i prowadzący oznajmił:

– Panie i panowie, oto zwyciężczynie turnieju seniorek! Z rezerwatu prosto do waszych serc! Po raz kolejny nagrodźmy oklaskami Małą Pocahontas i Dużą Mamę!

Gdy publiczność znowu wstała, Duża Cyndi wzięła Esperanę na barana. Było machanie rękami, były pocałunki i burzliwy aplauz.

A potem rozpoczął się następny pojedynek.

Godzinę później Myron i Mickey okazali przepustki i weszli za kulisy. Duża Cyndi, wciąż w skórzanym gorsecie i stroiku z piórami, podbiegła do nich i krzyknęła:

– Och, pan Bolitar!

Rozmazał się jej makijaż i twarz wyglądała jak pudełko kredek świecowych, które zostawiono za blisko kominka.

– Witaj, Duża Cyndi – powiedział Myron.

Kobieta objęła go grubymi jak konary ramionami i bez najmniejszego wysiłku dźwignęła z podłogi. Była spocona, więc czuł się jak w kokonie z wilgotnej maty izolacyjnej. Cieszył się tą napowietrzną przejażdżką i kiedy Cyndi dała mu w końcu spokój, przedstawił jej Mickeya.

– Pamiętasz mojego bratanka?

– Och, pan Mickey!

Cyndi objęła go na niedźwiedzia jak Myrona. Mickey trochę się zmieszał – dla kogoś niedoświadczonego było to szaleńcze przeżycie – lecz dzielnie to zniósł.

– Była pani wspaniała, Cyndi – powiedział.

Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

– Cyndi?

– Przepraszam. Duża Cyndi.

Sprawił jej tym wyraźną przyjemność. Kiedy Myron i Esperanza prowadzili agencję sportową, Duża Cyndi była ich recepcjonistką. Lubiała zachowywać formy, dlatego do Myrona zawsze zwracała się per „pan Bolitar” i domagała się, żeby on nazywał ją „Dużą Cyndi”. Zmieniła nawet nazwisko – sędownie! – tak więc wszystkie oficjalne dokumenty potwierdzały teraz, że na imię ma „Duża”, a na nazwisko „Cyndi”.

– A gdzie Esperanza? – spytał Myron.

– Na spotkaniu z VIP-ami. Cieszy się dużą popularnością, wie pan?

– Wiem, wiem.

– Większość z nich to mężczyźni – dodała Duża Cyndi.

– Naprawdę?

– Płacą pięćset dolarów za bilet. I dostają za to zdjęcie z Małą Pocahontas. Ale ja też mam swoich fanów.

– Nic dziwnego.

– Liczę sobie tysiąc dolarów, jestem bardziej wybredna.

– Dobrze wiedzieć.

– Ma pan ochotę na smoothie? Żle pan wygląda.

– Nie, dziękuję.

– A pan Mickey?

Chłopak podniósł rękę.

– Ja też dziękuję.

Parę minut później do pokoju weszła Esperanza w szlafroku na zamszowym bikini w lamparcie cętki. Mickey wstał. Nie mógł nie wstać. Esperanza miała w sobie coś takiego, że reagowali na nią zarówno mężczyźni, jak i dorastający chłopcy, piękno kojarzące się z zachodami słońca na Karaibach albo spacerami po plaży w świetle księżyca.

– Jak to miło, że wstałeś – powiedziała. – Jesteś słodki.

I ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na Myrona, który nie ruszył się z miejsca. Pocałowała Mickeya w policzek, a on pogratulował jej wspaniałego występu. Myron siedział i czekał. Przyjaźnił się z Esperanzą od lat. Pracowała w jego agencji, studiowała zaocznie prawo i w końcu została jego współpracowniczką. On znał ją, ona jego.

Dlatego spokojnie czekał.

Po kilku minutach rozmowy Esperanza wzięła Mickeya za rękę i poprosiła:

– Muszę porozmawiać z twoim stryjem. Dasz nam chwilę?

– Tak, jasne.

– Chodźmy, panie Mickey. – Duża Cyndi pokiwała na niego palcem. – Komuszka Connie wypatrzyła pana w pierwszym rzędzie i chce pana poznać.

– Eee... dobrze.

– Powiedziała, że jest pan, cytując: „Do zjedzenia”.

Mickey zbladł, mimo to grzecznie poszedł za nią.

– Miły chłopiec – rzuciła Esperanza.

– Fakt – zgodził się z nią Myron.

– Już cię nie nienawidzi?

– Chyba nie.

– A jak tam jego rodzice?

Myron podniósł rękę i poruszał nią jak wahadłem metronomu.

– Zobaczymy.

Esperanza zamknęła drzwi.

– A więc byłeś w Anglii.

– Tak.

– Nie uprzedziłeś mnie.

– Nie zdążyłem, wyjechałem w ostatniej chwili.

– W dzienniku mówili, że jednego z tych zaginionych znaleziono w Londynie.

– Tak.

– Ale to chyba nie syn kuzynki Wina.

– Nie – potwierdził Myron. – To ten drugi. Patrick Moore.

– Czytałam też, że doszło tam do wielkiego wybuchu. Runęła cała ściana.

– Znasz Wina. Nie grzeszy subtelnością.

Esperanza spojrzała mu w oczy.

– Więc to prawda? Widziałeś się z nim?

– Tak. Zadzwoił do mnie i poprosił o pomoc.

– Co u niego słyhać? Wszystko dobrze?

- A czy kiedykolwiek tak było?
- Wiesz, o co pytam.
- Tak, chyba dobrze.
- Więc te plotki, że zwariował i został pustelnikiem...
- Sam je rozpuścił.

Myron opowiedział jej o ostatnich wydarzeniach. Esperanza siedziała naprzeciwko niego i słuchała. Znowu wróciły wspomnienia lepszych dni, kiedy byli młodzi i dopiero zaczynali, bez końca dyskutując o kontraktach, tych nowych i tych już zamkniętych. Przez wiele lat była częścią jego życia. Bardzo mu tego brakowało.

Gdy skończył, pokręciła głową.

- Coś tu nie gra.
- Wiem.
- I jutro spotykacie się z tym chłopcem?
- Mam nadzieję.
- Duża Cyndi i ja możemy ci pomóc, chyba wiesz?
- Jakoś sobie poradzę. Jesteście zajęte.
- Nie rób tego, Myron.
- Ale czego? Prowadzicie firmę.

– To ja prowadzę firmę. Duża Mama i Mała Pocahontas pracują na zmianę. W każdej chwili możemy zrobić sobie wolne. – Esperanza nachyliła się ku niemu.  
 – Chodzi o syna jego kuzynki. Chcę wziąć w tym udział. Duża Cyndi też. Nie wykluczaj nas.

Myron kiwnął głową.

- Dobrze. – A po chwili spytał: – Gdzie Hector?

Esperanzie pociemniała twarz.

- U ojca – syknęła.
- Hm, sądząc po tonie twojego głosu, walka wciąż trwa.
- Tom ma chody u sędziego. Gra z nim w golfa, dasz wiarę?
- Nie możesz zażądać zmiany miejsca procesu?
- Mój adwokat twierdzi, że nie. Zgadnij, co Tom mi zarzuca.
- No?
- Że prowadzę... – Esperanza zrobiła palcami znak cudzysłowu – „rozpustny”

styl życia.

- Bo jesteś zapaśniczką?
- Bo jestem bi.

Myron zmarszczył czoło.

- Naprawdę?
  - Tak.
  - Przecież biseksualizm jest teraz w modzie.
  - Wiem.
  - To właściwie już normalka.
  - Mnie to mówisz? Czuję się taka passé.
- Esperanza odwróciła głowę.



– Jest aż tak źle? – spytał Myron.  
– Mogą mi go odebrać. Znasz Toma. To pan wszechświata, nigdy nie bierze jeńców. Jemu nie chodzi o dobro, zło czy prawdę. Jemu chodzi o zwycięstwo. Chce wygrać ze mną, nie patrząc na koszty.  
– Mogę ci jakoś pomóc?  
– Odpowiedz na jedno pytanie.  
– Wal.  
– Wiedziałeś, że to kutas, prawda?  
Myron milczał.  
– Więc dlaczego pozwoliłeś mi za niego wyjść?  
– Nie chciałem się wtrącać. Uznałem, że to nie moja sprawa.  
– A czyja, jeśli nie twoja?  
Bum! Jakby spadł mikrofon. Esperanza patrzyła na niego przez chwilę. Nie miała rodziny. Miała tylko jego, Wina i Dużą Cyndi.  
– Posłuchałabyś mnie? – spytał.  
– Tak jak ty mnie, kiedy ci powiedziałam, że Jessica jest okropna.  
– Ale w końcu przejrzałem na oczy.  
– Tak, tak, kiedy cię rzuciła i wyszła za innego. – Podniosła rękę. – Przepraszam, to było głupie. Jestem po prostu wkurzona.  
– Wiem.  
– Poza tym masz teraz Terese.  
– A ją aprobujesz.  
– Ja ją uwielbiam! Gdyby ciągnęło ją w drugą stronę, od razu bym ci ją ukradła.  
– Bardzo mi schlebiasz.  
– Zaraz, zaraz...  
– Co zaraz?  
– Skoro Win wrócił, czy to znaczy, że nie jestem już twoją druhną?  
– Nigdy nie byłaś – odparł. – Win ma przewagę: jest facetem.  
– Seksista.  
– Ale ja i Terese chcemy cię o coś prosić.  
– No?  
– Chcielibyśmy, żebyś udzieliła nam ślubu.  
Esperanzę trudno było wprawić w osłupienie. Jemu się udało.  
– Naprawdę?  
– Tak. Będziesz musiała przyjąć święcenia czy coś tam, ale można to załatwić przez internet. Naprawdę chcemy, żebyś to ty poprowadziła ceremonię.  
– Ale z ciebie sukinsyn!  
– Dlaczego?  
– Mam zaraz spotkanie, a chyba się rozryczę.  
– Nie rozryczysz się. Jesteś na to za twarda.  
– Masz rację. – Esperanza ruszyła do drzwi. – Myron?  
– Tak?  
– Ile razy Win prosił cię o pomoc?

- Chyba nigdy dotąd.
- Musimy znaleźć tego Rhysa.

• • •

Podczas jazdy do domu Mickey milczał.

Stryj i bratanek nie zawsze się dogadywali. Chłopak obwiniał Myrona za to, co zaszło między jego rodzicami. I chyba słusznie. Esperanza zastanawiała się, dlaczego Myron nie ostrzegł jej przed Tomem. Nie zrobił tego z powodu Mickeya. Dawno temu wtrącił się w ich sprawy, kiedy Brad (jego brat i ojciec chłopaka) chciał uciec z Kitty Hammer, cudownym, choć mocno zaburzonym dzieckiem tenisa.

Myron miał jak najlepsze intencje, lecz doprowadził do katastrofy.

- Ten zaginiony chłopak jest w twoim wieku - zwrócił się do bratanka.

Mickey patrzył w okno. Rozbity dom, matka narkomanka, dziwaczne zmartwychwstanie ojca - jak na kogoś tak młodego, sporo przeszedł. Wydawało się, że odziedziczył także „kompleks bohatera” Bolitarów. W bardzo krótkim czasie zrobił dużo dobrego. Co wprawiało Myrona w dumę i jednocześnie martwiło.

- Pomyślałem, że może pomogłbyś mi go zrozumieć.

- Naprawdę?

- Tak.

Chłopak zrobił kwaśną minę.

- Więc jeśli będę chciał zrozumieć czterdziestokilkuletniego faceta, mam przyjść z tym do ciebie?

- Dobra, twoje na wierzchu.

- Kiedy go porwano? Dziesięć lat temu?

- Tak.

- Wiadomo, gdzie przez ten czas był?

Myron pokręcił głową.

- Wiadomo tylko tyle, że ostatnio się prostytuował.

Zapadła cisza.

- Myron?

- Tak?

- Dobra, opowiadaj. Ale wszystko.

I Myron mu opowiedział. Mickey słuchał, nie przerywając.

- A więc Patrick jest już w domu - podsumował.

- Tak.

- I jutro się z nim widzisz.

- Taki jest plan.

Mickey potarł podbródek.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, daj mi znać.

- Dlaczego uważasz, że coś może pójść nie tak?

- Nieważne.

– I co wtedy zrobisz?

Chłopak nie odpowiedział.

– Nie chcę cię w to wciągać – zaznaczył Myron.

– Chodzi o zaginionego nastolatka. Sam powiedziałaś. Może będę mógł pomóc.

Samochód wspinał się na wzgórze, mijając nuworyszowskie rezydencje tak wielkie, że karmiono je chyba hormonem wzrostu. Trawniki były dosłownie wymanicurowane, żywopłoty zbyt dokładnie przystrzyżone. Słońce świeciło, jakby ktoś je zapalił, przyciskając guzik. Idealnie wyblakłe cegły zbyt dobrze pasowały do sztucznego otoczenia rodem z Disneya czy Las Vegas. Nikt tu nie miał asfaltowego podjazdu. Wszystkie wysypano bielutkim żwirem tak pięknym, że strach było tam wjechać. Wszędzie załatywało grubą kasą. Myron otworzył okno, spodziewając się usłyszeć stosowną ścieżkę dźwiękową, Bacha albo Mozarta, ale nie, panowała cisza, i po namyśle uznał, że jest to najlepszy akompaniament.

Domy były piękne, malownicze i przytulne jak sieciowy motel.

Na ulicy stało kilka nowych ciężarówek, choć mniej, niż można by się spodziewać. Brama była otwarta, więc wjechał na... Tak, na wysypany żwirem podjazd. Wpół do dziewiątej – do spotkania z Moore'ami miał jeszcze pół godziny. Wysiadł. Trawa była tak zielona, że omal się nie nachylił, żeby sprawdzić, czy jej nie pomalowano.

Pędziła ku niemu czekoladowa labradorka. Machała ogonem tak energicznie, że jej tyłek z trudem za nim nadążał. Ostatnie kilka metrów pokonała poślizgiem. Myron przyklęknął na jedno kolano i podrapał ją porządnie za uszami.

Za psem pojawił się młody, na oko dwudziestoletni mężczyzna ze smyczą. Włosy miał długie i falujące, takie, które trzeba ciągle odrzucać do tyłu, bo opadają na oczy. Był w stroju do biegania z lycry, czarnym, nie licząc granatowych rękawów idealnie pasujących do granatowych butów. Myron uznał, że chłopak jest podobny zarówno do ojca, jak i do matki. Trochę.

– Jak się wabi? – spytał.

– Chloe.

Myron wstał.

– Clark?

– Tak. Pan Bolitar? – Chłopak podszedł bliżej i wyciągnął rękę. – Miło mi pana poznać.

– Wzajemnie.

Myron zrobił kilka szybkich rachunków. Clark był starszym bratem Rhysa. W chwili porwania miał jedenaście lat, co znaczyło, że teraz ma dwadzieścia jeden.

Przez chwilę stali w niezręcznej ciszy. Clark spojrział w prawo, potem w lewo i uśmiechnął się sztucznie.

– Studiujesz? – zapytał Myron, żeby o coś zapytać.

– Tak, jestem na trzecim roku.

– Gdzie?

– W Columbi.

– Świetna uczelnia – powiedział Myron, żeby coś powiedzieć. – Wiesz już, jaki kierunek wybierzesz, czy jest to irytujące pytanie, które zadają tylko dorośli?

– Nie, już wiem. Nauki polityczne.

– Też to studiowałem.

– Super.

Znowu niezręczna chwila.

– Wiesz już, co chcesz robić po dyplomie? – spytał Myron, nie mogąc wymyślić nic głupszego i bardziej banalnego jako pytanie do dwudziestojednolatka.

– Jeszcze nie – odparł Clark.

– Nie ma pośpiechu.

– Dzięki.

Czy to był sarkazm? W każdym razie znowu zapadło kłopotliwe milczenie.

– Chyba muszę tam wejść. Do domu. – Myron wskazał frontowe drzwi, jakby chłopak nie wiedział, co znaczy „dom”.

Clark kiwnął głową.

– To pan uratował Patricka.

– Ktoś mi pomógł – odparł Myron, co było głupie. Chłopak nie oczekiwał od niego skromności, nie w tej chwili. – Ale tak, byłem tam.

– Mama mówi, że mało brakowało i uratowałby pan Rhysa.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Myron rozejrzał się i nagle coś do niego dotarło. Był na miejscu przestępstwa.

Ścieżką, na której stał, szła Nancy Moore, żeby zadzwonić do drzwi i odebrać syna. Trochę później tą samą ścieżką szła Brooke, która nie mogła się dodzwonić do Vady Linny, opiekunki chłopców.

– Miałeś wtedy jedenaście lat – powiedział.

Clark skinął głową.

– Tak.

– Pamiętasz coś?

– Na przykład?

– Cokolwiek. Gdzie byłeś, kiedy to się stało?

– To ważne?

– Po prostu chcę spojrzeć na tę sprawę świeżym okiem, to wszystko.

– Co ja mam z tym wspólnego?

– Nic. Ale tym się zajmuję. Prowadzę śledztwo. Błądzą w ciemności. Zadaję głupie pytania. Na które zwykle nie ma odpowiedzi. Czasem jednak głupie pytanie wskrzesza iskrę.

– Byłem wtedy w szkole – odparł chłopak. – W piątej klasie, na lekcji z panem Dixonem.

Myron zmarszczył czoło.

– Dlaczego Patrick i Rhys nie poszli tego dnia do szkoły?

– Bo chodzili do przedszkola.

– No i?

– Przedszkola działają u nas tylko pół dnia.

Myron myślał o tym przez chwilę.

– Pamiętasz coś?

– Zupełnie nic. Kiedy wróciłem ze szkoły, była już policja. – Clark wzruszył ramionami.

– No widzisz.

– Co?

– Pomogłeś mi.

– Jak?

Otworzyły się drzwi i z domu wyszła Brooke.

– Myron?

– Tak, tak, przepraszam. Rozmawiałem z Clarkiem.

Chłopak wziął bez słowa psa na smycz i potruchtał w stronę ulicy. Myron podszedł do Brooke, nie wiedząc, czy pocałować ją w policzek, uścisnąć jej rękę, czy w ogóle nic nie robić. Ale ponieważ go objęła, on objął ją. Ładnie pachniała. Była w dżinsach i białej bluzce. Góra i dół dobrze na niej leżały.

– Przyjechałeś trochę wcześniej – zauważyła.

– Pokażesz mi kuchnię?

– Od razu na głęboką wodę, co?

– Wolałabyś łagodnie i stopniowo? Chyba nie.

– Słusznie. Tędy.

Podłoga była marmurowa, więc ich kroki rozbrzmiały echem w wysokim na dwie kondygnacje holu z szerokimi, ozdobnymi schodami, jakie nieczęsto widuje się w prawdziwym życiu. Ściany pomalowano na kolor fioleto-różowy i obito tkaninami. Z salonu do prostokątnej kuchni wielkości kortu tenisowego przechodziło się schodkami. Tu wszystko było albo białe, albo chromowane i Myron zastanawiał się, ile pracy kosztuje utrzymanie tego pomieszczenia w czystości. Z wielkich na całą ścianę okien rozciągał się zapierający dech w piersi widok na ogród, basen i altanę. Nieco dalej zaczynał się las.

– Jeśli dobrze pamiętam z policyjnego raportu, opiekunka stała przy zlewie.

– Tak.

Myron odwrócił się w lewo.

– A chłopcy siedzieli przy stole.

– Tak. Tuż przedtem bawili się w ogrodzie.

– Tam? – spytał, wskazując okna.

– Tak.

– Dobrze, a więc bawią się w ogrodzie. Opiekunka woła ich na przekąskę... – Podszedł do drzwi i spróbował je rozsunąć. Były zamknięte. – Weszliby tędy?

– Tak.

– Opiekunka nie zamknęła drzwi na zatrzask.

– Nigdy tego nie robiliśmy – wyjaśniła Brooke. – Czuliśmy się bezpiecznie.

Zapadła cisza.

Przerwał ją Myron.

– Według zeznań opiekunki porywacze byli w czarnych kominiarkach.

– Tak.

– Nie macie tu kamer czy czegoś takiego?

– Teraz mamy. Ale wtedy nie. Była kamera nad frontowymi drzwiami, żebyśmy widzieli, kto przyszedł.

– Rozumiem, że policja ją sprawdziła.

– Nie było czego sprawdzać. Nie nagrywała. Przekazywała obraz na żywo.

W kuchni był okrągły stół i cztery krzesła. Zastanawiał się, czy było tak zawsze, czy po porwaniu Baldwinowie, którzy mieli tylko dwoje dzieci, Rhysa i Clarka, nie zdobyli się na to, by to zmienić. Przez dziesięć lat siedzieli przy stole z pustym krzesłem?

Spojrzał na Brooke. Wiedziała, o czym myśli. Miała to wypisane na twarzy.

– Czasami jemy przy wyspie – wyjaśniła.

Na środku kuchni stała duża prostokątna wyspa. Z sufitu zwisały nad nią ekskluzywne mosiężne garnki i patelnie. Po jednej stronie były szuflady. Po drugiej sześć barowych stołków.

– Jedna rzecz – odezwał się Myron.

– Tak?

– Zewsząd widać ogród. Prócz jednego krzesła przy stole. Znad zlewu. Od kuchenki. Ze stołków. Nawet znad stołu.

– Tak.

Myron podszedł do przeszklonych drzwi. Spojrzał w lewo, potem w prawo.

– Dwóch mężczyzn w kominiarkach idzie przez ogród aż do drzwi i nikt ich nie widzi?

– Vada była zajęta – odparła Brooke. – Robiła kanapki. A chłopcy... Cóż, pewnie nie patrzyli w okna. Grali w coś albo się wygłupiali.

Myron otaksował wzrokiem rozległą przestrzeń i wielkie okna.

– Możliwe – rzucił.

– Masz inne wytłumaczenie?

Nie, na razie nie chciał w to wchodzić.

– Clark mówi, że był wtedy w szkole.

– Tak.

– Lekcje kończą się zwykle około trzeciej. A przedszkola działają tu tylko pół dnia, tak?

– Tak. Chłopcy wyszli o wpół do dwunastej.

– A porywacze wiedzieli i o tym.

– No i?

– No i nic. Po prostu działali według jakiegoś planu.

– Policja też tak uważa. Musieli śledzić Vadę albo Rhysa i znali ich rozkład dnia.

Myron zmarszczył brwi.

– Ale Rhys nie codziennie wracał po przedszkolu do domu, prawda? Czasem szedł pobawić się do kolegów. Choćby do Patricka.

– Tak.

– Czyli z jednej strony, wygląda to tak, jakby wszystko dokładnie zaplanowali. Trzech mężczyzn. Znających rozkład dnia... A z drugiej, liczą na to, że opiekunka zostawi otwarte drzwi i nikt nie zobaczy, jak przechodzą przez ogród.

– Mogli wiedzieć, że Vada nigdy ich nie zamyka.

– Obserwowali ją i widzieli, jak wchodzi z ogrodu do kuchni? Mało prawdopodobne.

– Mogli też wybić okno.

– Nie rozumiem.

– Powiedzmy, że Vada ich zauważyła. Myślisz, że zdążyłyby dobiec do drzwi i je zamknąć? I co potem? Tamci mogli po prostu wybić szybę, wejść i zabrać chłopców.

Możliwe, pomyślał Myron. Tylko po co mieliby czekać? Dlaczego nie zgarnęli ich na zewnątrz? Bali się, że ktoś ich zobaczy?

Było za wcześnie na teoretyzowanie. Musiał zgromadzić więcej faktów.

– Dobrze, więc porywacze wchodzi do kuchni tymi drzwiami i są tu, gdzie my teraz. Tak?

Brooke zeszywniała.

– Tak.

– Przepraszam, chyba przesadziłem.

– Nie jestem dzieckiem, Myron.

– Wiem. Co nie znaczy, że muszę być nietaktowny.

– Dobra, wyjaśnijmy to sobie.

– Ale co?

– Pewnie zastanawiasz się, jak to robię – zaczęła Brooke. – Jak mogę codziennie tu wchodzić i mijać miejsce, w którym porwano Rhysa. Próbuję o tym nie myśleć? Płacę? Tak, nie myślę i płacę. Przede wszystkim jednak wspominam. Wchodzę do tej kuchni i nie mogę opędzić się od wspomnień. Ale tak jest dobrze. Bo tego potrzebuję. Wszyscy się zastanawiają, dlaczego tu zostaliśmy. Dlaczego tak się katujemy. Powiem ci dlaczego. Bo ból jest lepszy. Ten ból jest lepszy od bólu, jaki czułabym, gdybym się poddała i zrezygnowała. Matka nie rezygnuje z syna. Dlatego z tym bólem potrafię żyć. Z tym drugim nie dałabym rady.

Myronowi przypomniały się słowa Wina, że brak ostatecznego zamknięcia sprawy zżera Brooke od środka. Na dłuższą metę nikt tego nie zniesie i przychodzi w końcu taki moment, kiedy po prostu trzeba poznać prawdę. Może i da się żyć w ciągłym bólu, lecz niewiedza, ten czysty, stan permanentnego zawieszenia, musi człowieka dobijać.

– Teraz rozumiesz? – spytała Brooke.

– Tak, rozumiem – odparł.

– To pytaj dalej.

I Myron spytał.

– Dlaczego akurat w piwnicy? – Wskazał przeszklone drzwi. – Włamujesz się tu. Masz już chłopców. Masz opiekunkę. Postanawiasz darować jej życie. I ją związać. Dlaczego nie robisz tego tutaj? Po co ciągniesz ją do piwnicy?



– Z powodów, które przed chwilą wymieniał.

– Czyli?

– Gdyby związali ją tutaj, ktoś mógłby zobaczyć ich przez okno.

– Ale skoro ogród jest aż tak odsłonięty, to dlaczego w ogóle stamtąd przyszli?

Myron usłyszał kroki na schodach. Zerknął na zegarek. Za kwadrans dziewiąta.

– Brooke?

Przyjechał Chick. Wszedł szybko do kuchni i przystanął na jego widok. Był w garniturze i krawacie, a w ręce miał elegancką skórzaną teczkę, współczesny odpowiednik dawnych walizeczek. Chciał porozmawiać z Patrickiem, a potem co? Podskoczyć do biura?

Nie zwracał sobie głowy powitaniem. Wyjął komórkę i spojrzał na żonę.

– Nie czytasz SMS-ów?

– Zostawiłam telefon w holu. Co się stało?

– Jest wiadomość od Nancy, do ciebie i do mnie. Chce się z nami spotkać nie u nas, tylko u nich.

Pojechali samochodem Myrona. On prowadził. Chick i Brooke siedzieli z tyłu. Trzymali się za ręce, co trochę do nich nie pasowało.

– Na końcu ulicy skręć w lewo – powiedział Chick.

Skręcili na zbocze wzgórza, a potem zaczęli powoli zjeżdżać. Ta okolica była trochę mniej zamożna, co wcale nie znaczy, że ceny posiadłości różniły się tu znacznie od cen tych sąsiadujących z rezydencją Baldwinów. Chick kazał Myronowi skręcić w prawo, potem w lewo. Przejazdźka była krótka. Domy dzieliła odległość półtora kilometra.

Kiedy pokonawszy ostatni zakręt, znaleźli się na ulicy Moore'ów, Chick spojrzął przed siebie i mruknął:

– Niech to szlag.

Po obu stronach ulicy stał rząd furgonetek telewizyjnych. Logiczne. Po dziesięciu latach nieobecności Patrick Moore wrócił do domu. Reporterzy liczyli na filmy i zdjęcia z radosnego rodzinnego spotkania. Jak dotąd, do mediów trafiło tylko jedno. Sanitariusz z londyńskiego szpitala zrobił z oddali niewyraźne zdjęcie śpiącego nastolatka i sprzedał je prasie.

Nic dziwnego, że wygłodniaли reporterzy polowali na każdą okazję.

Próbowali otoczyć samochód, lecz Myron nie zwolnił, żeby nie zablokowali im drogi. Przed podjazdem stał policjant. Wpuścił ich i zatrzymał napierający tłum. Reporterzy cofnęli się, celując w nich aparatami z silnym zoomem. Na podwórzu stała tabliczka z napisem NA SPRZEDAŻ. Otworzyły się drzwi garażu. Myron wjechał do środka i drzwi zaczęły się zamykać. Zgasił silnik. Oczekali, aż drzwi zamkną się całkowicie, chroniąc ich przed wścibskimi obiektywami kamer, i wysiedli.

Garaż mógł pomieścić dwa samochody. Tuż obok nich stał lexus, sedan. Wszędzie panował idealny porządek, ale nie dlatego, że właściciele lubili sprzątać – po prostu oprócz lexusa niczego tam nie było. Atmosfera podmiejskiego rodzinnego domu? Nic z tych rzeczy, ale trudno się dziwić. Patrick też miał rodzeństwo, starszą siostrę Francescę, dziewczynę w wieku Clarka. Hunter i Nancy byli rozwiedzeni, dlatego do niedawna mieszkała tu tylko matka z córką studentką. Nancy chciała rozpocząć nowy rozdział życia i szykowała się chyba do przeprowadzki.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i do garażu zajrzał Hunter Moore. Widok Myrona go zaskoczył, jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Hej. Chodźcie, tędy.

Małe schodki i beton zmienił się w terakotę. Kuchnia była rustykalna i z pozoru przytulna, z kamiennymi ozdobami i drewnianymi szafkami. Nancy stała z jakimś mężczyzną obok stołu.

Mężczyzna powitał ich uśmiechem i Myron lekko się wzdrygnął. Facet, żylasty i łysiejący, miał pięćdziesiąt kilka lat, był w malutkich okularach i dzinsowej koszuli wetkniętej do wypłowiałych lewisów. Wyglądał jak hipster na festiwalu folkowym.

Przez chwilę stali w szóstkę bez słowa, jakby oba małżeństwa przyprowadziły reprezentantów, którzy mieli stoczyć za nich pojedynki. Myron obserwował Nancy i Huntera, lecz wydedukował jedynie to, że są zdenerwowani. Hipster z kolei był w swoim żywiole. I to on odezwał się pierwszy.

– Może usiądziemy?

– Kim pan, do diabła, jest? – warknął Chick.

Mężczyzna spojrzał na niego z łagodnym uśmiechem.

– Mam na imię Lionel.

Chick popatrzył na Myrona, potem na żonę i Moore'ów.

– Gdzie jest Patrick?

– Na górze – odparł Lionel.

– Kiedy do niego pójdziemy?

– Za chwilę. Może przejdziemy do salonu? Będzie nam wygodniej.

– Lionel – rzucił Chick.

– Tak?

– Czy my wyglądamy na takich, którzy szukają wygody?

Hipster kiwnął głową. Nie mógł tego zrobić z bardziej fałszywą wyrozumiałością i współczuciem.

– Doskonale pana rozumiem, Chick. Mogę mówić panu po imieniu?

Chick spojrzał na żonę i Myrona, jakby chciał spytać: O co tu, kurwa, biega?

Brooke podeszła do Nancy.

– Co tu się dzieje? Kto to jest?

Nancy zrobiła bezradną minę, ale Hipster natychmiast pospieszył jej na pomoc.

– Nazywam się Lionel Stanton. Jestem lekarzem Patricka.

– Jakim lekarzem? – spytał Chick.

– Psychiatrą.

O-o. Myron czuł, dokąd to zmierza.

Nancy wzięła Brooke za rękę.

– Chcemy wam pomóc – powiedziała.

– Oczywiście – dodał Hunter. Lekko się zachwiał, jakby miał trochę w czubie.

– Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że zaraz ktoś powie „ale”. – To znowu Chick.

– Nie, nie, nie będzie żadnych „ale” – zapewnił go psychiatra. – Musicie tylko coś zrozumieć. Patrick przeszedł bardzo ciężką próbę.

– Naprawdę? – rzucił z sarkazmem Chick. – Patrz pan, a my nic o tym nie wiemy.

– Chick. – Brooke pokręciła głową. – Proszę mówić dalej, doktorze.

– Mógłbym krążyć, ale powiem prosto z mostu. Nie grając na czas. Bez trudnych słów i usprawiedliwień. Po prostu wyłożę kawę na ławę.

O rany, pomyślał Myron.

– W tej chwili Patrick nie może wam pomóc – oświadczył Lionel.

Chick otworzył usta, ale Brooke uciszyła go gestem ręki.

– Co to znaczy? – spytała.

– Wczoraj wieczorem pani Moore zaproponowała spotkanie u państwa.

– Tak.

– Uchyliłem tę decyzję. Dlatego jesteście tutaj. Przywozić Patricka tam, gdzie to wszystko się zaczęło, na miejsce uprowadzenia... To by zdruzgotało jego już i tak poważnie nadwątloną psychikę. Temu chłopcu grozi katatonja. Odzywa się tylko wtedy, kiedy chce mu się jeść czy pić, i tylko zapytany.

– Pytał go pan o Rhysa? – odezwał się Myron, pierwszy raz.

– Oczywiście – odparł Hipster.

– No i? – niecierpliwiła się Brooke.

Lionel znów przybrał minę pełną fałszywej wyrozumiałości i współczucia.

– On nic państwu nie powie. Przykro mi.

– Sranie w banię – warknął Chick.

Nancy podeszła bliżej.

– Robimy co w naszej mocy.

– Wy odzyskaliście syna – powiedziała Brooke. – My nie. Nie rozumiesz? Stoimy w tym samym miejscu co dziesięć lat temu.

– Zresztą niewiele ma do powiedzenia – wtrącił Hipster.

Chick miał tego dość.

– Że co?

– Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie odstępuję go na krok. Robimy co w naszej mocy, żeby się otworzył. Ale na razie prawie nic nie pamięta. Tak, pamięta, że jako dziecko mieszkał w tym domu, ale to wszystko. Nawet gdyby mógł opowiedzieć coś o porwaniu, nie sądzę, żeby to pomogło. Na razie wiemy tylko tyle, że jego i waszego syna przetrzymywał ten sam człowiek.

– Patrick to potwierdził? – spytał Myron.

– Nie tymi słowami. Musi się zaaklimatyzować, to teraz najważniejsze. Spędza dużo czasu ze swoją siostrą. Myślę, że Francesca ma na niego kojący wpływ. Chcielibyśmy, żeby zaczął widywać rówieśników, żeby się z nimi spotykał, ale trzeba to robić stopniowo, krok po kroku, jak z małym dzieckiem.

– Co tu jest grane, do cholery? – nie wytrzymał Chick.

– Uspokój się – powiedział Hunter.

– Nie zamierzam. Twój syn wie, co się stało z moim. Musi z nami porozmawiać.

– Boję się, że to niemożliwe – zaproponował Hipster.

– Gościu, ty na poważnie? Tu chodzi o porwanie. Dzwonię na policję.

– To nic nie da.

– Nie? Niby dlaczego?

– Policja już tu była. Ale jako lekarz Patricka doradziłem jego rodzicom, żeby nie pozwolili go przesłuchiwać. Moim zadaniem jest troszczenie się o pacjenta i tylko pacjenta, ale prawdę mówiąc, tak jest lepiej dla wszystkich. Ponownie

zapewniam państwa, że robimy wszystko, co możliwe, aby stworzyć dla Patricka przestrzeń, w której mógłby znowu być sobą.

– I niby kiedy to będzie? – spytał Chick.

– Chick – odezwała się Nancy – my naprawdę się staramy...

– Więc co mamy robić? – przerwała jej zdenerwowana Brooke. – Wrócić do domu i czekać, aż do nas zadzwonicie?

– Wiem, że to trudne, ale...

– Tak, ty wiesz na pewno.

– Ale muszę myśleć i o moim synu.

– Twój syn... – Brooke zacisnęła pięści. – Twój syn wrócił. Czy ty tego nie rozumiesz? Jest w domu. Możesz go przytulić. Możesz go karmić i okryć, kiedy będzie mu zimno. A mój...

Myron po raz pierwszy zauważył pęknięcie w jej pancerzu. Chick też.

– A idźcie do diabła! – Jak burza wypadł z kuchni i skręcił w stronę frontowych drzwi.

– Gdzie pan idzie?! – zawołał Lionel.

Chick nie odpowiedział. Był już przy schodach.

– Patrick?

– Zaczekaj! – krzyknął Hunter. – Nie możesz tam wejść!

– Niech się pan zatrzyma! – zawtórował mu Hipster. – Przyprawi go pan o dodatkową traumę!

Ale Chick nawet się nie obejrzał. Wbiegł na schody. Hunter ruszył za nim. Nie bardzo wiedząc, co robić, Myron wystawił biodro, spychając go z kursu.

– Patrick?! – krzyknął Chick.

Na górze otworzyły się drzwi. I zaraz się zamknęły. Hunter i Lionel wbiegli na schody. Myron trzymał się z tyłu, na wypadek gdyby musiał interweniować. Brooke i Nancy biegly za nim. Wszyscy oprócz niego głośno krzyczeli. Gdy dotarli na piętro, Chick stał już pod drzwiami.

– Nie! – wrzasnął Hunter. Rzucił się na niego, lecz nie zdążył.

Chick przekręcił klamkę. Zajrzał do środka i zamarł.

Myron był wyższy i silniejszy od Lionela, dlatego bez trudu go zablokował. Wszedł do pokoju i poszedł za wzrokiem Chicka.

Na łóżku w kącie sypialni leżał Patrick, zwinięty w kłębek, jakby chciał wniknąć w drewnianą ścianę.

Wystroju nie zmieniano od dziesięciu lat. Był to pokój sześciolatka. Łóżko miało kształt samochodu wyścigowego. Na ścianie wisiał plakat z jakimś dawnym superbohaterem. Na półce stały trzy małe puchary. Nad szafą widniało jego imię ułożone z dużych drewnianych liter. Do tego tapeta w żywym jasnoniebieskim kolorze i wykładzina z zarysem połowy boiska do koszykówki.

Patrick był w piżamie. Na podłodze leżały słuchawki, lecz teraz zasłaniał uszy rękami. Z zamkniętymi oczami i podkurczonymi kolanami kiwał się jak osierocone dziecko.

– Proszę, nie rób mi krzywdy, proszę, nie rób mi krzywdy... – Powtarzał to jak mantrę.

Nancy odepchnęła Myrona i wpadła do pokoju. Uklękła, objęła syna, a on wtulił twarz w zagłębienie jej ramienia. Posłała Myronowi gniewne spojrzenie. Do sypialni wszedł jej mąż. Za nim psychiatra. Jak w szyku bojowym stanęli przed łóżkiem, żeby osłonić płaczącego nastolatka.

– Próbowaliśmy wytłumaczyć wam to grzecznie i spokojnie – powiedział Hunter. – A teraz wynoście się z naszego domu.

Uwielbiam Rzym.

Zawsze zatrzymuję się w hotelu Excelsior, w apartamencie Villa La Cupola zajmującym dwa górne piętra tego byłego pałacu. Podoba mi się taras z widokiem na Via Veneto. Freski na kopule, które namalowano tak, że zlewają się z widocznym przez okno horyzontem. Podoba mi się prywatne kino, sauna, łaźnia parowa i jacuzzi.

Komu by się nie podobały?

Jeszcze do niedawna konsjerż Vincenzo znał i dbał o moje... hm, powiedzmy, upodobania rozrywkowe. Pilnował, żeby zawsze czekała na mnie „dama wieczoru”, jak je ładnie nazywano, lub „kurtyzana”. Czasem czekały dwie. Od czasu do czasu trzy. W apartamencie było sześć sypialni, dlatego w razie takiego życzenia wynajęte przeze mnie panie mogły spokojnie spędzić tam noc, lecz nie ze mną. Taki już jestem. Tak wolę.

Owszem, korzystałem z usług prostytutek wiele razy. Tu zrobię pauzę, żebyście mogli głośno sapnąć z oburzenia, a potem cmoknąć z wyższością.

Już? Świetnie.

Wspomnę jedynie, że moje towarzyszkami były prostytutkami „luksusowymi” albo „ekskluzywnymi”, jeśli wolicie, co oczywiście niczego nie zmienia i byłbym hipokrytą, gdybym twierdził inaczej. Dla mnie była to zwykła transakcja handlowa, korzystna dla obu stron. Bardzo lubię seks. Szybko zawiadomcie media. Lubię seks, przez co rozumiem wyłącznie przyjemności cielesne. Lubię seks w najczystszej formie, bez żadnych zobowiązań, deklaracji czy innych deprymujących ograniczeń. Myron uważa, że coś, co nazywa „miłością” lub „uczuciami”, seks ożywia i intensyfikuje. Ja nie. Twierdzę, że podcina mu skrzydła.

Nie wgłębiajcie się w to aż tak bardzo. Nie, nie boję się zaangażowania. Po prostu mnie nie interesuje.

Nigdy nie udawałem, że jest inaczej. Nie okłamuję kobiet, z którymi jestem, tych wynajętych, tych, które znam, ani tych, z którymi przeżyłem – jak to nazywają – przygodę jednej nocy (częstokroć podwójną lub potrójną). Kobiety rozumieją tę sytuację. Zawsze tłumaczę im, jakich muszą spodziewać się ograniczeń i jakie czekają je – mam nadzieję – radości. Niektóre myślały oczywiście, że zdobędą moje serce, że sprawdzwszy ich umiejętności łóżkowe, zbliżę się do nich, przekonam się, że są fantastyczne, i stracę dla nich głowę, co zaowocuje czymś głębszym niż zwykle sypialniane igraszki.

Zgoda. Daj z siebie wszystko, skarbie. Nie zamierzam cię zniechęcać.

Mojego najdroższego przyjaciela Myrona – choć „przyjaciel” nie jest najlepszym określeniem dla łączących nas stosunków – martwi ten aspekt mojej

osobowości. Uważa, że czegoś mi „brakuje”. Jego zdaniem, ma to związek z tym, co moja matka zrobiła ojcu. Ale czy przyczyna jest naprawdę ważna? Jestem taki, jaki jestem. Z czego bardzo się cieszę. Myron mówi, że tego nie rozumiem. Ale się myli. Rozumiem potrzebę towarzystwa. Uwielbiam chwile, kiedy siedzimy razem i po prostu rozmawiamy o życiu, oglądamy telewizję czy analizujemy jakiś mecz. A kiedy kończymy, idę do łóżka, gdzie czeka na mnie kolejne wspaniałe ciało, z którym... hm... oddaję się wspaniałym doznaniom.

Więc jak to jest? Czy rzeczywiście czegoś mi „brakuje”?

Nie mam zamiaru bronić się przed tymi, którzy lubią osądzać ludzi, ale tak dla formalności: jestem za równymi prawami, równymi płacami i równymi możliwościami. Feminizm to, według słownika, „ideologia głosząca pełne równouprawnienie obu płci w polityce, pracy i społeczeństwie”. Z definicji tej – i niemal każdej innej – wynika, że jestem feministą.

Nie okłamuję kobiet. Nie oszukuję ich. Każdą, którą goszczę czy zatrudniam, traktuję dobrze i z szacunkiem. One odwzajemniają mi się tym samym, nie licząc oczywiście tych płomiennych chwil, kiedy zarówno one, jak i ja wolimy zapomnieć o dobroci i wzajemnym szacunku. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie.

Zastanawiacie się pewnie, dlaczego przestałem korzystać z profesjonalnych usług pań, z którymi tak dobrze mi się współpracowało. To proste: straciłem iluzję pełnego przyzwolenia, sprawiedliwego układu czy umowy bez przymusu. Udowodniono mi, że nie zawsze tak jest. Ostatnia sprawa – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę przeżycia Patricka i Rhysa – po raz kolejny mi to unaoczniała. Są tacy, którzy uważają, że powinienem był uświadomić to sobie już przed laty i zaprzestać krzywdzących praktyk, na które dla korzyści własnych przymykałem oko.

I znowu odpowiem: pełna zgoda.

Wychodzę na korytarz i zjeżdżam windą do barokowego holu. Vincenzo widzi mnie i przechwytuje moje spojrzenie. Kręcę głową. Pewnie martwi się, że stracił napiwek, ale dlaczego miałby cierpieć z powodu mojej cokolwiek hipokrytycznej moralności?

Znam Rzym bardzo dobrze. Nie tak jak jego mieszkańcy, ale często tu bywam. Idę Via Veneto w kierunku amerykańskiej ambasady. Skręcam w Via Liguria i dochodzę do Schodów Hiszpańskich. Ot, krótki, przyjemny spacer. Sto trzydzieści pięć stopni w dół i widzę słynną Fontannę di Trevi. Roi się przy niej od turystów. Nie szkodzi. Dołączam do tłumu. Wyjmuję monetę i prawą ręką przez lewe ramię wrzucam ją do wody.

Zbyt prostackie dla kogoś tak wyrafinowanego jak *moi*? Naturalnie. Ale nie bez powodu niektóre czynności stały się prostackie. Prawda?

Dzwoni komórka. Naciskam przycisk.

– Wysłów się.

– Już są – mówi głos po drugiej stronie.

Dziękuję mu i rozłączam się. Spacer do sklepu przy Piazza Colonna zajmuje mi pięć minut. To jest Rzym. Wszystko jest tu stare. Niczego się nie odnawia. Nikt nie chce niczego unowocześniać, co mnie bardzo cieszy. Marmurowa kolumna



Marka Aureliusza stoi w tym miejscu od 193 roku naszej ery. W szesnastym wieku, niemal po tysiącu czterystu latach, ówczesny papież kazał postawić na jej szczycie brązowy posąg świętego Pawła.

Historia w pigułce: pa, pa, waszemu bogu. Mój jest lepszy.

W północnej części placu stoi pałac. We wschodniej *galleria*; tak przy okazji: *galleria* to snobistyczna nazwa centrum handlowego. Sklep sportowy, którego szukam, z małą tandetną ekspozycją w oknie wystawowym, mieści się tuż obok malutkiego białego kościoła z osiemnastego wieku. W oknie stoi manekin chłopca w stroju klubu piłkarskiego AS Roma. Poniewierają się tam również wszelkiego rodzaju piłki, buty, skarpetki, chusty, czapki i koszulki.

Słowem: piłka nożna.

Wchodzę. Stojący za ladą sprzedawca przyjmuje pieniądze od klienta. Udaje, że mnie nie widzi. Idę na zaplecze i wchodzę schodami na górę. Nigdy dotąd tu nie byłem, lecz udzielono mi dokładnych wskazówek. Drzwi są na końcu korytarza. Pukam. Otwierają się.

– Proszę – mówi mężczyzna.

Wchodzę do pokoju, a on zamyka drzwi i wyciąga do mnie rękę.

– Giuseppe.

Jest w stroju sędziego piłkarskiego. Kompletnym. Ma na sobie nie tylko sportową koszulkę, ale i regulaminowe czarne szorty, wysoko podciągnięte czarne skarpetki i biały gwizdek na szyi. Do tego wielki, gruby zegarek, który – prawdopodobnie – pełni jednocześnie funkcję zastępczego zegara meczowego.

Patrząc ponad jego ramieniem. Pokój wygląda jak miniaturowe boisko piłkarskie. Wykładzina jest zielona, z białymi liniami pola środkowego, liniami bocznymi i pola karnego. Biurka stoją przy przeciwległych ścianach – tam gdzie powinny być bramki – tak że siedzący przy nich mężczyźni są zwrócenii twarzą do ściany, a do siebie nawzajem plecami. Jeden i drugi wściekle stukają w klawiaturę komputera.

– To jest Carlo – mówi Giuseppe, wskazując tego po prawej.

Carlo ma na sobie ciemnoczerwony strój Romy ze złotymi wykończeniami. Jego ściana jest ozdobiona wszystkimi możliwymi symbolami Rzymu, łącznie z logo drużyny oraz Romulusem i Remusem ssącymi sutki wilczycy, co jest historycznie ciekawe, a wizualnie trochę mylące. Pod sufitem wiszą rzędem zdjęcia portretowe piłkarzy Romy.

Carlo wciąż pisze. Nie raczy nawet kiwnąć głową.

– A to Renato.

Ten przynajmniej kiwa. On też jest w stroju piłkarskim, błękitno-białym. Siedzi przy biurku-bramce drużyny o nazwie Lazio. W Lazio wszystko jest błękitne jak niebo. Na jego ścianie też wisi rząd zdjęć piłkarzy. Logo tej drużyny jest prostsze i przedstawia orła z tarczą w szponach.

– Panowie – odzywa się po angielsku Giuseppe z silnym włoskim akcentem – oto nasz nowy sponsor.

W pewnym sensie skierował mnie tu Myron. Ma niesamowitą pamięć. Kiedy poprosiłem, żeby opisał swoje spotkanie z Grubym Gandhim, opowiedział mi

szczegółowo o rozgrywanym na ekranie meczu – nie znam się ani na grach wideo, ani na grach komputerowych, ani na niczym takim – i dodał, że Gandhi bardzo chciał wygrać ze swoimi największymi wrogami, „przekłętymi makaroniarzami” z ROMA VSLAZIO.

Roma kontra Lazio.

Nieobeznany z europejską piłką nożną wyjaśnię, że Roma i Lazio są zagorzałymi rywalami. Obie drużyny są z Rzymu, grają nawet na tym samym stadionie. Bez wchodzenia w szczegóły powiem tylko, że co roku biorą udział w Derby della Capitale – chyba nie muszę tłumaczyć tego na nasze – zapewniając kibicom niezwykle zaciekle widowisko.

Giuseppe nachyla się ku mnie i szepcze:

– Oni się nie lubią.  
– Raczej nienawidzą – burczy Carlo, nie przestając stukać w klawiaturę.  
– To straszny człowiek – ripostuje z obrzydzeniem Renato.  
– Przestańcie – rzuca Giuseppe i zwraca się do mnie. – Carlo i Renato poznali się podczas bójk kibiców przed Stadio Olimpico.

– Roma wygrała – wtrąca Carlo.

– Bo oszukiwała – burczy Renato.

– Po prostu kiepsko gracie.

– Nie, po prostu przekupiliście sędziego.

– Nieprawda.

– Wasz piłkarz był na trzymetrowym spalonym!

– Dość tego! – ucisza ich Giuseppe. – No więc doszło do bójk...

– Ten kretyn chciał mnie zabić – przerywa mu Carlo.

– Jak zwykle przesadzasz.

– Dźgnął mnie nożem.

– Długopisem, idioto!

– Ale dźgnąłeś mnie do krwi!

– Bzdura! – rzuca Renato.

– A przynajmniej zadrapałeś. Miałem siniaka na ramieniu!

– Roma boi się ciemności.

– A ci z Lazio noszą spódniczki.

– Odwołaj to – żąda Renato.

Carlo przytyka rękę do ucha.

– Przypomnisz mi, która drużyna więcej razy wygrała derby?

– Dobra, dość tego! – Renato jest czerwony jak burak. – Chodźmy!

Wstaje i rzuca w Carla spinaczem. Spinacz trafia w krzesło, omijając twarz, ale Carlo pada na podłogę jak postrzelony.

– Moje oko! Moje oko! – Zasłania je ręką i turla się tam i z powrotem, jakby go bolało.

Giuseppe gwizdże gwizdkiem. Podbiega do Renata i wyjmując z kieszeni żółtą kartkę.

– Wracaj na miejsce!

– On udaje! – krzyczy Renato.

Carlo uśmiecha się. Zabiera rękę, puszcza do niego oko, ale kiedy Giuseppe przenosi na niego wzrok, Carlo, krzywiąc się z bólu, znowu zasłania twarz.

– On udaje! – powtarza Renato.

– Na miejsce, powiedziałem! Nie każ mi wyjmować czerwonej kartki.

Gotując się ze złości, Renato wstaje i siada przy biurku. Carlo niepewnie wraca do swojego.

Giuseppe podchodzi do mnie i mówi:

– To wariaci, jeden i drugi. Ale są świetnymi specjalistami.

– Od gier komputerowych – mówię.

– Tak, ale nie tylko. Od wszystkiego, co ma związek z komputerami.

– Jednak z Grubym Gandhim przegrali.

– Bo Gandhi oszukuje! – krzyczą chórem Carlo i Renato.

– Skąd wiecie?

– Stąd, że nikt nie pokona nas w uczciwej walce – odpowiada Carlo.

– Wystawił więcej niż dwóch zawodników – dodaje Renato.

Cofam się myślą do opisu Myrona.

– To prawda – przyznaję.

Tamci przestają stukać w klawiaturę.

– Tak?

– Tak – potwierdzam.

– Skąd wiesz?

– Nieważne.

– Dla nas ważne – mówi Carlo.

– Odebrał nam tytuł – idzie mu w sukurs Renato.

– Będziecie mogli się odegrać – obiecuję. – Przeanalizowaliście mój plan?

– Ten za sto tysięcy euro?

– Tak.

Carlo uśmiecha się i wraca do pisania. Renato też.

– Jesteśmy gotowi – mówi Giuseppe.

Spotkali się przy narożnym stoliku w głębi sali.

Restaurację Baumgarta, stare żydowskie delikatesy, kupił chiński imigrant, niejaki Peter Chin. Chcąc zrobić coś zarówno innego, jak i mądrego, zachował wszystkie dawne smaczki, dodając elementy azjatyckiej kuchni fusion (cokolwiek to znaczy), neonowe światła i modny wystrój wnętrza. Teraz można tu zamówić kurczaka Kung Bao, pastrami Reubena, chińskiego bakłażana Combo oraz turecką kanapkę z indykiem i bekonem.

Peter podszedł do nich i skłonił się Esperanzie.

– To dla nas wielki zaszczyt, pani Diaz.

– Hm! – odchrząknął ostrzegawczo Myron.

– Przyszłam tu tylko dlatego, że nie zepsuł pan do końca renomy tego przybytku – zripostowała Esperanza.

– Dobrze, dobrze! – pochwalił ją Myron.

– Widziałeś to? – spytał Peter.

– Co?

Rozpromieniony Chińczyk wskazał za siebie.

– Spójrz na ścianę honoru!

Tak jak w wielu innych restauracjach, u Baumgarta wisiały zdjęcia osobistości, które tu jadały. Była to eklektyczna kolekcja celebrytów z New Jersey: Brooke Shields, Dizzy Gillespie, „Al Lewis” Munster, a tuż obok niego gwiazdy i gwiazdorzy *Rodziny Soprano*, kilku zawodników nowojorskich Gigantów, znanych prezenterów telewizyjnych, modelka ze „Sports Illustrated” w stroju kąpielowym i pisarz, którego Myron kiedyś czytał.

Między jakimś raperem i mordercą ze starego telewizyjnego *Batmana* wisiało zdjęcie Esperanzы Diaz, Małej Pocahontas w zamszowym bikini z osuwającym się ramiączkiem stanika. Pozowała na ringu, spocona, dumna i pewna siebie.

– Ukradłaś tę pozę Raquel Welch z *Miliona lat przed naszą erą* – stwierdził Myron.

– Fakt.

– Kiedy byłem mały, miałem ten plakat na ścianie.

– Ja też – wyznała Esperanza.

Peter wciąż się uśmiechał.

– Świetne ujęcie, prawda?

– Wiesz, grałem kiedyś w NBA – powiedział Myron.

– Tak, jakieś trzy minuty.

– Nikt nie jest tak miły dla gości jak ty.

– Na tym polega mój urok. Wkrótce podamy jedzenie.

Peter zostawił ich samych. Esperanza, w jasnoniebieskiej bluzce, wyglądała zabójczo. W uszach miała duże złote kolczyki, a na nadgarstku grubą bransoletę. Zawibrowała komórka. Esperanza spojrzała na ekranik i zamknęła oczy.

– Co się stało? – spytał Myron.

– Tom.

– Tom pisze do ciebie SMS-y?

– Nie, to mój adwokat. Tom odwołał wszystkie rozmowy ugodowe.

– Idzie na zderzenie czołowe.

– Właśnie.

– Chciałbym ci pomóc.

Machnęła ręką.

– Nie przyszliśmy tu, żeby rozmawiać o Tomie.

– Co nie znaczy, że nie możemy.

Kelnerka Nicole przyniosła makaron sezamowy na zimno i skwierczące naleśniki z kaczką, wszystko wielkości przystawek. Absolutna pychota. Przez chwilę jedli w milczeniu. Myron założył kiedyś agencję sportową o zmyślnej nazwie MB SportsRep. M od Myrona, B od Bolitara, „Rep” od „reprezentować”, bo reprezentowała sportowców. Dobry marketing to prawdziwy dar.

Esperanza, jego recepcjonistka, asystentka i powiernica, nie miała ze sportem nic wspólnego. Ukończyła zaocznie prawo, zrobiła dyplom i w końcu została jego współniczką, lecz nie nalegała na zmianę nazwy, ponieważ MBED kojarzyłoby się z Bóg wie czym. Kiedy zaczęli reprezentować aktorów, muzyków oraz innych artystów, usunęli z niej tylko słowo „Sports”, tak więc ostatecznie nazwali się MB Rep.

Recepcję przejęła Duża Cyndi, która została także ich... no cóż... wykidajką. InTerese szły świetnie, mimo to firma się rozpadła. Gdy przed rokiem na wniosek Toma – twierdził, że żona jest złą matką, ponieważ za ciężko pracuje – zaczął się okrutny proces w sprawie opieki nad ich dzieckiem, Esperanza spanikowała do tego stopnia, że poprosiła Myrona, aby wykupił jej udziały. Myron długo się wahał, ale po zniknięciu Wina doszedł do wniosku, że bez tych dwojga nie będzie miał serca do dalszej pracy. Skończyło się na tym, że sprzedał firmę wielkiej agencji, która przejęła wszystkich klientów i usunęła nazwę.

– Pojechałam na posterunek w Alpine. Chciałam wypytać ich o śledztwo w sprawie Moore’a i Baldwina.

– No i?

– Nie chcieli ze mną gadać.

Myron przestał jeść.

– Chwila. Nie chcieli gadać z... tobą?

– Tak.

Uniósł brwi.

– Miałaś rozpiętą bluzkę?

– Na dwa guziki.

– I nie podziałało?

– Nowym naczelnikiem jest kobieta – wyjaśniła Esperanza. – W dodatku hetero.

– Mimo to.

– Właśnie. Poczulałam się trochę urażona.

– Może ja spróbuję? Podobno mam świetny tyłek.

Teraz z kolei ona uniosła brwi.

– Pojechałbym tam i zaczął czarować, no wiesz.

– I rozebrałbyś ją? Na posterunku?

– Słusznie.

Esperanza przewróciła oczami, nie przewracając oczami.

– Nie sądzę, żeby mogła nam pomóc. Od porwania Patricka i Rhysa mają tam spory przerób.

– Chyba i tak to nie oni poprowadzą tę sprawę – zauważył Myron.

– Nie, przejmie ją stanówka albo federalni, ale Duża Cyndi trochę popytała. Gość, który prowadził śledztwo dziesięć lat temu, jest już na emeryturze. Nazywa się Neil Huber.

– Zaraz... znam to nazwisko.

– Jest teraz senatorem stanowym w Trenton.

– Nie, nie, nie z polityki...

– Kiedyś był trenerem koszykówki w liceum...

Myron zaskoczył.

– Właśnie! Graliśmy wtedy z Alpine.

– Więc może to ty z nim porozmawiaj? – zaproponowała Esperanza. – Nie ma to jak męskie pogaduchy o sporcie. To podobno łączy.

– Warto spróbować.

– Albo pokręć swoim niegdyś wspaniałym tyłkiem.

– Zrobię, co się da... – Myron urwał. – Moment. Jak to „niegdyś”?

• • •

Czekał przed klubem.

Nowojorska Meatpacking District ciągnie się od Czternastej Zachodniej do Gansevoort Street na zachodnim brzegu wyspy. W pierwszej dekadzie dwudziestego wieku słynęła z rzeźni i jatek mięsnych, jednak wraz z pojawieniem się supermarketów i chłodni na kółkach zaczęła poupadać. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych królowały tu narkotyki i prostytutka. Było to miejsce, gdzie transeksualiści i wielbiciel BSDM zgodnie współdzystawali z mafią i skorumpowaną policją i gdzie roiło się od nocnych klubów okupowanych przez przedstawicieli tak zwanej subkultury.

Ale podobnie jak większa część Manhattanu, Meatpacking District przeszła kolejną przemianę. Bodźcem inicjującym tę przemianę było po części to, że ludzi ciągnie do wszystkiego, co zakazane i nielegalne – do brudu moralnego, jeśli wolicie – ale ponieważ wiecznie gotowi zaryzykować bogacze woleli wystawiać się na niebezpieczeństwo w maksymalnie bezpiecznej uprzęży ratunkowej,

dzielnica szybko podniosła swój status. Pojawiły się luksusowe butiki ze ścianami z modnie obnażonej cegły. W zapuszczonych klubach nocnych zaroilo się od hipsterów, w restauracjach od tych, którzy nazywali siebie japiszonami, a ze starych zardzewiałych torów kolejowych zrobiono wysadzaną drzewami promenadę High Line.

Tak więc dzielnica jest teraz czysta i bezpieczna – można tam spokojnie bywać z dziećmi. Ale skoro tak, to dokąd uciekło zepsucie i brud moralny?

Myron zerknął na zegarek. Dochodziła północ, gdy z modnego klubu Subrosa wyszedł w końcu ten, na którego czekał. Pijany. Zapucił brodę, był w garniturze z wełnianej flaneli i... Niesamowite! Czy to, co miał na głowie, to był koczek? Kurczowo obejmował młodą – chyba za młodą – dziewczynę. Co prawda nie miał wytatuowanych na czole słów „kryzys wieku średniego”, ale powinien jak najszybciej to zrobić.

Zataczając się, ruszyli przed siebie. Mężczyzna wyjął kluczyki i nacisnął guzik pilota. Jego bmw zapipczało, zdradzając swoją lokalizację. Myron przeszedł przez ulicę.

– Witaj, Tom.

Były mąż Esperanzy odwrócił się na pięcie.

– Myron? To ty?

Myron spokojnie czekał. Wydawało się, że Tom trochę wytrzeźwiał. Trochę się wyprostował.

– Wsiadaj, Jenny – rzucił.

– Mam na imię Geri.

– Tak, przepraszam. Wsiadaj. Zaraz przyjdę.

Dziewczyna podeszła chwiejnie do samochodu i po trzech próbach udało jej się w końcu otworzyć drzwi i paść na siedzenie.

– Czego chcesz? – spytał Tom.

Myron wskazał jego głowę.

– To prawdziwy koczek?

– Przyszedłeś pożartować?

– Nie.

– Esperanza cię przysłała?

– Nie. Nie wie nawet, że tu jestem. Byłoby miło, gdybyś jej nie mówił.

Otworzyły się drzwi samochodu.

– Niedobrze mi – powiedziała Geri.

– Ani się waż rzygać w moim samochodzie. – Tom przeniósł wzrok na Myrona.

– Więc czego chcesz?

– Zachęcić cię do zawarcia ugody z żoną. Dla jej dobra. I dla dobra waszego syna.

– Wiesz, że mnie zostawiła? Wiesz?

– Wiem, że wam nie wyszło.

– I uważasz, że z mojej winy?

– Nie mam pojęcia. Wszystko jedno. – Z klubu wychodzili młodzi ludzie, śmiejąc się i wulgarnie przeklinając, jak to pijani. Myron pokręcił głową. – Nie

jesteś na to za stary, Tom?

- Już byłem żonaty i ustatkowany.
- Opuść sobie. Przestań zmyślać te kłamstwa.
- Bo co?

Myron nie odpowiedział.

- Myślisz, że się ciebie boję? – rzucił Tom.
- Chyba się wyrzygam – ostrzegła Geri.

– Ale nie w samochodzie, złotko, nie w samochodzie. – Tom spojrzał na Myrona. – Właśnie nad czymś pracuję...

– Tak, widzę.

– Gorący towar, co?

– Bardzo. Tak gorący, że zaraz zwymiotuje. Jestem napalony jak jasna cholera.

– Posłuchaj, Myron, bez obrazy. Fajny z ciebie gość, ale zastraszać to ty nie umiesz. Dlatego odwal się, dobra?

– Esperanza jest dobrą matką. Obaj o tym wiemy.

– Nie o to chodzi.

– A powinno.

– Nie chcę być nieskromny, ale wiesz, dlaczego odnoszę sukcesy? – spytał Tom.

– Bo masz bogatego tatusia, który dał ci mnóstwo kasy?

– Nie. Bo zawsze rzucam się przeciwnikowi do gardła. I zawsze wygrywam.

Tak, to nigdy nie zawodzi. Poskrob faceta, który chwali się swoimi zwycięstwami, tym, że do wszystkiego doszedł sam i to, co ma, zawdzięcza tylko sobie, a pod spodem odkryjesz małego chłopca, któremu wszystko podawano na tacy. Tacy jak on zawsze potrzebują czegoś, co tłumaczyłoby ich niezwykle szczęście. Czegoś w rodzaju: Nie mogę mieć wszystkiego, bo nie sprzyja mi los, więc muszę być wyjątkowy.

– Proszę tylko, żebyś był rozsądny, Tom.

– To chcesz mi przekazać?

– Tak.

– W takim razie dziękuję, postoję. Zresztą już prawie wygrałem. – Tom wycelował palcem w Myrona. – Czego najlepszym dowodem jesteś ty. Esperanza się miota. Powiedz jej, żeby pocałowała mnie w dupę.

– Już mówiłem, ona nie wie, że tu jestem. Po prostu uważam, że powinieneś zachować się po ludzku.

– Dla jej dobra?

– Tak. I Hectora. Dla swojego też.

– Mojego?

– Myślę, że tak by było najlepiej.

– Mam gdzieś, co myślisz. Wracaj do domu.

Myron kiwnął głową.

– Dobrze.

Tom czekał. Myron wszedł już na jezdnię, gdy nagle odwrócił się jak filmowy Columbo.

– Aha, jeszcze jedno.



– Tak?

– Widziałem się z Winem – powiedział Myron, tłumiąc uśmiech.

Na ulicy zapadła cisza. Wydawało się, że ucichła nawet wylewająca się z klubu muzyka.

– Kłamiesz.

– Nie, nie kłamię. Win wraca do domu. A kiedy wróci, na pewno zechce złożyć ci wizytę.

Tom zastygł bez ruchu. Geri w końcu nie wytrzymała i zwymiotowała w najgłośniejszy z możliwych sposobów. Zatrzęsły się szyby w oknach. Tom nie zareagował.

Myron uśmiechnął się szeroko i pomachał mu na do widzenia.

– Miłego wieczoru.

Był czysty, jasny poranek.

Olbrzymie neonowe litery ma moście kratowym Trenton układały się w napis: TRENTON PRODUKUJE, ŚWIAT KUPUJE. Zawieszono je tam w 1935 roku i być może wtedy, gdy produkcja w wytwórniach linoleum, naczyń ceramicznych i wielu innych szła pełną parą, w słowach tych kryła się odrobina prawdy. Ale nie teraz. Trenton jest stolicą New Jersey i siedzibą rządu stanowego, więc roi się tu od polityków i związanych z nimi skandali, dlatego miasto jest równie uczciwe jak słowa na moście, którym się tu wjeżdża.

Mimo to Myron lubił ten stan, zresztą nawet ci mało uświadomieni wiedzą, że New Jersey nie ma patentu na korupcję rządową. Być może skandale polityczne są tu barwniejsze, lecz z drugiej strony, wszystko jest tu bardziej kolorowe. Trudno dokładnie opisać ten stan, ponieważ panuje tu koszmarny galimatias. Na północy graniczy z przedmieściami Nowego Jorku, na południowym zachodzie – z przedmieściami Filadelfii. Oba miasta odciągają od New Jersey uwagę, wysysają siłę roboczą i zasoby finansowe, przez co Newark i Camden są jak ledwo żywy emeryt w masce tlenowej w wielkim kasynie w Atlantic City. Przedmieścia są bujne i zielone. Miasta biedne i betonowe. I tak dalej.

Jakie to dziwne. Każdy, kto mieszka czterdzieści pięć minut jazdy od Chicago, Los Angeles czy Houston, powie, że jest mieszkańcem tego miasta. Tymczasem można mieszkać pięć kilometrów od Nowego Jorku i powiedzieć, że jest się z New Jersey. Myron wychował się pół godziny jazdy od Nowego Jorku i dziewięć kilometrów od Newark, lecz nigdy nie twierdził, że jest stąd czy stamtąd. No dobrze: raz powiedział, że jest z Newark, ale tylko dlatego, że inaczej odrzucono by jego wnioski o dofinansowanie.

Dodajcie to wszystko do siebie – piękno, brzydotę, chaotyczne miasta, kompleks niższości, kicz i szyk – a otrzymacie nieuchwytną barwę i strukturę stanu New Jersey. Lepszego opisu poszukajcie w *Rodzinie Soprano* albo w piosenkach Sinatry czy Springsteena. Posłuchajcie uważnie. Na pewno zrozumiecie.

Paluchy jak parówki, złoty sygnet na małym palcu, garnitur w paski, krawat błyszczący, jakby spryskano go olejkiem do opalania, za ciasny kołnierzyk koszuli, uśmiech barakudy – Myron z lekkim rozczarowaniem stwierdził, że Neil Huber wygląda jak typowy polityk z New Jersey.

– Myron Bolitar. – Powitał go silnym uściskiem ręki i wskazał fotel. Gabinet urządzono z prostotą kojarzącą się z gabinetem zastępcy dyrektora liceum. – Trenowałem drużynę szkolną, z którą kiedyś graliście.

– Tak, pamiętam.

– Nieprawda.

- Słucham?
- Sprawdził pan to przed spotkaniem, tak? – powiedział Huber. Myron wyciągnął przed siebie ręce i zetknął je nadgarstkami.
- Przyłapał mnie pan. Huber dobrodusznie machnął ręką.
- Spokojnie. A więc wie pan, że z nami wygraliście.
- Tak.
- I że zdobył pan czterdzieści dwa punkty.
- To było bardzo dawno temu.
- Paralem się trenerką osiemnaście lat. – Wycelował w Myrona grubym palcem. – A pan, przyjacielu, jest najlepszym koszykarzem, jakiego widziałem.
- Dziękuję.
- Słyszałem, że pana bratanek też gra.
- To prawda.
- Jest tak dobry, jak mówią?
- Chyba tak.
- To świetnie. – Huber usiadł wygodniej. – Dobra. Pogadaliśmy sobie, przełamaliśmy pierwsze lody, pora przejść do rzeczy. Możemy?
- Jestem za. Huber rozłożył ręce.
- Co mogę dla pana zrobić?
- Na biurku stały obowiązkowe zdjęcia rodzinne, blond żony z mnóstwem włosów na głowie, dorosłych dzieci z mężami i żonami i garstki wnucząt. Na ścianie wisiała flaga New Jersey z tarczą z trzema pługami i łbem konia. Tak jest, z końskim łbem. Moglibyście zażartować i wspomnieć o *Ojcu chrzestnym*, ale żart byłby zbyt oczywisty i poniżej waszej godności. Po obu stronach tarczy stały dwie boginie: wolności (ta była w porządku) i urodzaju (ta z kolei grzeszyła zbytnią oczywistością). Flagą była dziwaczna i zagmatwana, lecz z drugiej strony przymiotniki te jak ulał pasują do New Jersey.
- Chodzi o sprawę, którą prowadził pan, kiedy był pan policjantem w Alpine – odparł Myron.
- Porwanie Moore’a i Baldwina.
- Skąd pan wie?
- Wydedukowałem. Byłem detektywem.
- Rozumiem.
- Trop pierwszy. – Huber wyprostował palec wskazujący. – Prowadziłem wtedy wszystkie najważniejsze sprawy, choć było ich niewiele. Trop drugi – w górę powędrował drugi palec i zrobił się z tego znak pokoju – miałem dokładnie jedną sprawę, która pozostała nierozwiązana. Trop trzeci – pewnie już wiecie, co zrobił z trzecim palcem – jeden z tych chłopców właśnie się znalazł, po dziesięciu latach. – Huber opuścił rękę. – Jak sam pan widzi, bez magicznego daru dedukcji nigdy bym na to nie wpadł. Myron?
- Tak?
- Wie pan, że za parę godzin Moore’owie wystąpią w CNN?

– Nie, nie wiedziałem.

– Zamiast wielkiej konferencji prasowej udzielają w południe wywiadu Andersonowi Cooperowi. – Huber wychylił się w jego stronę. – Tylko proszę mi nie mówić, że jest pan dziennikarzem.

– Nie, nie jestem.

– Więc skąd to zainteresowanie?

Myron zastanawiał się, jak to rozegrać.

– Mógłbym powiedzieć, że to długa historia?

– Mógłby pan. Nic by to panu nie dało, ale tak, mógłby pan.

Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. Poza tym, chociaż Huber wyglądał na typowego polityka, Myron zaczął go lubić. Więc dlaczego nie postawić na szczerłość?

– To ja uratowałem Patricka Moore'a.

– Słucham?

– W Londynie. Tak jak mówiłem, to długa historia. Mój znajomy jest kuzynem Baldwinów. Dostał cynk i wytropiliśmy chłopaka.

– O kurczę.

– Tak.

– I mówi pan, że to długa historia?

– Właśnie.

– Może jednak powinienem jej wysłuchać?

Myron powiedział mu tyle, ile mógł, nie wymieniając przy tym nazwiska Wina. Rzecz w tym, że Neil Huber nie był idiotą i mógł łatwo sprawdzić, kim jest kuzyn Rhysa. No to co?

– Jasny gwint – mruknął Huber.

– Prawda?

– Ale ciągle nie rozumiem, co pan tu robi.

– Przyglądam się sprawie jeszcze raz.

– Myślałem, że jest pan agentem sportowym.

– To skomplikowane.

– Na pewno.

– Po prostu chcę spojrzeć na to świeżym okiem.

Huber kiwnął głową.

– Myśli pan, że popełniłem błąd i może wypatrzy pan coś, co przeoczyłem?

– Minęło dziesięć lat – odparł Myron. – Pojawiły się nowe fakty. – Przypomniało mu się, jak to ujął Win. – Chcę spojrzeć na to z perspektywy. Jak na wycieczce samochodem, kiedy nie zna się celu podróży. Teraz wiemy przynajmniej, gdzie samochód był trzy dni temu. I możemy spróbować jeszcze raz.

Huber zmarszczył czoło.

– Że co?

– W ustach mojego znajomego brzmiało to dużo lepiej.

– Nie, nie, tylko się z panem drocę. Niech pan posłucha: prowadziłem tę sprawę bardzo krótko. Niemal natychmiast przejęło ją FBI. – Huber odchylił się

na oparciu fotela i splótł ręce na brzuchu. – Niech pan pyta.

– Byłem wczoraj na miejscu porwania...

– U Baldwinów.

– Tak. Próbowałem to wszystko zrekonstruować. Ogród jest zupełnie odsłonięty, w kuchni są duże okna...

– ...a od frontu jest brama – dodał Huber. – I ogrodzenie wokół całej posiadłości.

– Właśnie. Jest jeszcze kwestia synchronizacji.

– Synchronizacji?

– Uprowadzono ich w południe. Większość dzieci jest wtedy w szkole. Skąd porywacze wiedzieli, że chłopcy będą w domu?

– Aha, już chwytam.

– Co?

– Widzi pan dziury.

– Tak.

– Uważa pan, że oficjalny scenariusz wydarzeń nie trzyma się kupy.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Myron.

– Myśli pan, że co? Że dziesięć lat temu tego nie zauważyliśmy? Podnosiliśmy wszystkie kwestie, które teraz podnosi pan. I było ich dużo więcej. Ale wie pan co? Mnóstwo przestępstw nie ma sensu. Dziur można doszukać się niemal w każdym. Weźmy na przykład tę bramę. Baldwinowie nigdy jej nie zamykali. Była zupełnie bezużyteczna. Ogród? Stały tam meble. Tamci mogli się za nimi ukryć. Albo przywrzeć do ściany domu i dojść tak aż do okna. Nikt by ich nie zobaczył.

– Rozumiem... Więc wyzbył się pan wątpliwości?

– Hej, tego nie powiedziałem!

Huber poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Krew odpłynęła mu z twarzy i Myron miał déjà vu, w którym Huber, dużo młodszy, trenował drużynę przeciwnika. A może były to tylko fałszywe wspomnienia, które podsuwał mu mózg?

– Miałem wątpliwości. – Były trener mówił teraz nieco ciszej. – Wszyscy mieliśmy. Ale cóż, koniec końców chłopcy przepadli. Zbadaliśmy wszystkie tropy, jakie tylko mogliśmy znaleźć. Takie porwania... włamanie, żądanie okupu... są nietypowe, zdarzają się bardzo rzadko. Dlatego dokładnie prześwietliliśmy rodziców. Prześwietliliśmy rodziny, sąsiadów i nauczycieli.

– A nianię? – spytał Myron.

– Au pair – poprawił go Huber.

– Słucham?

– Ona nie była nianią, tylko au pair. To duża różnica.

– Na czym polega?

– Au pair to coś w rodzaju programu wymiany międzynarodowej. Przyjeżdżają tu z zagranicy. Vada Linna... tak, tak, pamiętam jej nazwisko... przyjechała z Finlandii. Są zwykle młode. Vada miała osiemnaście lat. Słabo znała

angielski. Ściągają je tu, żeby poznały język i kulturę, ale ludzie zatrudniają je głównie dlatego, że są tanie.

– Myśli pan, że tak było i w tym przypadku?

Huber zmarszczył czoło.

– Nie, chyba nie. Baldwinowie są bogaci. Pewnie wierzyli w sens całej tej wymiany i cieszyli się, że ich dzieciaki będą miały zagraniczne towarzystwo. Z tego, co wiem, dobrze tę dziewczynę traktowali. Między innymi dlatego nie noszę tych cholernych pismaków.

– Nie rozumiem.

– Kiedy zaczął się dym, media rozpętały dyskusję na temat niewolniczej pracy opiekunek. Wie pan, bogata, uprzywilejowana Brooke Baldwin zatrudnia biedną, taną dziewczuskę, żeby sama mogła pójść do fryzjera czy na lunch z podobnymi sobie koleżankami. Jakby nie dość przeżyła. Jakby to była jej wina.

Myronowi przypomniało się, że tak, kiedyś o tym czytał.

– A zeznania Vady? Uwierzył jej pan?

Huber nie odpowiedział od razu. Potarł ręką twarz.

– Nie wiem. Na pewno przeżyła silną traumę. Możliwe, że trochę zmyślała, żeby się wybielić. Bo przecież sam pan zauważył, że niektóre szczegóły nie pasują. Ale mogła zadziałać tu bariera językowa. Albo kulturowa, diabli wiedzą. W każdym razie żałuję, że nie miałem możliwości pogadać z nią dłużej.

– Dłużej? Jak to?

– W ciągu dwudziestu czterech godzin zjawił się jej ojciec. Przyleciał z Helsinek i wynajął wyszczezanego prawnika. Chciał zabrać ją do domu. Twierdził, że córka jest wykończona nerwowo i musi się leczyć. Próbowaliśmy grać na czas, ale nie mogliśmy jej zatrzymać, nie było podstaw. No i wróciła do Finlandii. – Huber podniósł wzrok. – Szczerze? Chciałbym ją przycisnąć.

– Myśli pan, że miała z tym coś wspólnego?

Huber znowu nie odpowiedział od razu. Starannie przemyślał każdą odpowiedź, co Myronowi bardzo się podobało.

– Dokładnie ją prześwietliliśmy. Sprawdziliśmy jej komputer, adresy stron, które odwiedzała. Niczego nie znaleźliśmy. Sprawdziliśmy SMS-y. Też nic. Była zwykłą nastolatką w obcym kraju. Miała jedną przyjaciółkę, też au pair, to wszystko. Wymyśliliśmy sto teorii, w których maczała palce. Wie pan, może miała współnika i to on ją potem związał. I tak dalej. Ale nic nie trzymało się kupy. Założyliśmy nawet, że jest pokręcona psychicznie. Że coś w niej pękło, zabiła chłopców i ukryła ciała. Ale z tego też nic nie wyszło.

Spotkali się wzrokiem.

– Więc co tam się stało, panie senatorze? – spytał Myron. – Jak pan myśli?

Na biurku leżał długopis. Huber zaczął przekładać go między palcami.

– Właśnie dlatego ostatnie wydarzenia są takie ciekawe.

– To znaczy?

– Psują moją teorię.

– Jaką?

Huber wzruszył ramionami.

– Od początku zakładałem, że Patrick Moore i Rhys Baldwin nie żyją. Że cokolwiek tam zaszło... uprowadzenie, włamanie i tak dalej... to chłopców od razu zamordowano. Zabójca czy zabójcy tylko udawali porywaczy i zażądali okupu, żeby nas zmylić. Być może w pierwszej chwili liczyli na łatwą kasę, ale potem się przestraszyli i zrezygnowali. Nie wiem.

– Ale dlaczego mieliby ich zabijać?

– Tak, motyw... To trudniejszy orzech do zgryzienia. Ale myślę, że kluczem jest miejsce uprowadzenia.

– Czyli?

– Dom Baldwinów.

– Myśli pan, że chcieli porwać Rhysa?

– Na sto procent. To był jego dom. Spotkanie z Patrickiem zaplanowano dwa dni wcześniej, więc porywacze nie mogli wiedzieć, że tam będzie. Załóżmy, że kazano im porwać sześciolatniego chłopca. Włamują się do domu i widzą dwóch. Nie wiedzą, który jest który, może mieli niedokładne wskazówki. Więc co robią? Porywają obu, na wszelki wypadek.

– A motyw? – spytał Myron.

– Nic konkretnego ani nawet mętnego. Tylko moje domysły.

– Na przykład?

– Jedynym rodzicem, na którego coś mieliśmy, był Chick Baldwin. To oszust, bez dwóch zdań, i mniej więcej wtedy posypała się jego piramida finansowa. Wkurzył mnóstwo ludzi, obracał pieniędzmi z podejrzanych źródeł, miał kontakty z Rosjanami. Spadł na cztery łapy. Nie trafił za kratki, dostał tylko małą grzywnę. Nie ma to jak dobry adwokat. Co poniektórzy mogli się zdenerwować. Cały majątek przepisał na dzieci, więc nikt nie mógł go tknąć. Zna go pan?

– Chicka? Trochę.

– To nie jest dobry człowiek.

Cytat z Wina, pomyślał Myron. Niemal słowo w słowo.

– W każdym razie tak zakładałem – ciągnął Huber. – Że chłopcy nie żyją. A tu proszę, Patrick wstał z grobu... – Zawiesił głos.

Długo patrzyli na siebie bez słowa.

– Panie senatorze, mam wrażenie, że nie mówi mi pan wszystkiego – odezwał się w końcu Myron.

– Bo nie mówię.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, czy to pańska sprawa.

– Może mi pan zaufać.

– Gdybym panu nie ufał, już dawno bym pana stąd wyrzucił.

Myron rozłożył ręce.

– No więc?

– To było brudne i nieetyczne. Dlatego dziesięć lat temu zamietliśmy to pod dywan.

– Pod dywan?

– Nie od razu. Zbadaliśmy to, ale do niczego nie doszliśmy. Kazano mi się wycofać, więc się wycofałem, choć niechętnie. Ale wciąż uważam, że nie ma to związku z porwaniem. Dlatego nie wiem, czy panu powiedzieć i jakie mogą być tego następstwa.

– Może niczego to nie zmieni, ale obiecuję dochować dyskrecji – zapewnił go Myron.

– Nie, nie zmieni.

Huber wstał i podszedł do okna. Pokręcił prętem od żaluzji, zamykając je i znowu otwierając. Patrzył na plac budowy za oknem.

– Chick Baldwin i Nancy Moore pisali do siebie SMS-y.

Myron czekał na ciąg dalszy, ale ponieważ go nie było, spytał:

– Jakie?

– Nie wiem, ale było ich dużo.

– Nie czytał ich pan?

– Nie, zostały skasowane, a dostawca usług telekomunikacyjnych ich nie przechowuje.

– Rozumiem, że rozmawialiście o tym z Chickiem i Nancy...

– Tak.

– No i?

– Oboje utrzymywali, że były to zwykłe SMS-y. Dotyczące ich dzieci oraz inwestycji w firmie Baldwina.

– Moore'owie u niego inwestowali?

– Nie. Ale Nancy i Chick pisali do siebie nie tylko za dnia. W nocy też.

– Rozumiem. Rozmawialiście z nimi?

– Nie, nie zdążyliśmy. Sprawę przejęło FBI. Musi pan pamiętać, co się wtedy działo. Presja, strach, brak wiadomości. Baldwinowie i Moore'owie ledwo się trzymali. Przyjrzelśmy się im pod tym kątem i nie znaleźliśmy nic konkretnego. Nie widziałem powodu, żeby przysparzać im cierpienia.

– A teraz? – spytał Myron.

Huber odwrócił się.

– Teraz też nie widzę. Dlatego nie chciałem panu powiedzieć.

Ktoś zapukał do drzwi i Huber kazał mu wejść. Do gabinetu zajrzał młody mężczyzna.

– Panie senatorze, za dziesięć minut ma pan spotkanie z gubernatorem.

– Dziękuję. Zaraz przyjdę.

Mężczyzna zamknął drzwi. Huber podszedł do biurka, wziął komórkę i portfel i schował je do kieszeni.

– Wiem, że zabrzmi to jak komunał, ale o takich sprawach się nie zapomina. Jest w tym trochę mojej winy. Wiem, wiem, ale nic na to nie poradzę. Po prostu zastanawiam się czasem, czy gdybym był lepszym gliniarzem...

Nie dokończył. Myron wstał.

– Niech pan robi swoje. – Huber ruszył do drzwi. – Ale proszę mnie informować.



– Już dwunasta? – spytał Chick.

Myron spojrział na zegarek.

– Za pięć.

– To lepiej włączę laptop.

Siedzieli przy wielkim marmurowym barze w La Sirena, włoskiej restauracji mieszczącej się w słynnym hotelu Maritime w Chelsea. W środku było wytwornie i ciepło, nowoczesnie, choć z wyraźną nutą lat sześćdziesiątych. Granica między jadalnią wewnętrzną i jadalnią na świeżym powietrzu praktycznie nie istniała. Myron zakonotował w pamięci, że musi tu kiedyś przyjść z Terese.

Na ścianie nie było telewizora – nie w takim miejscu – więc Chick zabrał komputer, żeby oglądać wywiad online.

– Nie mogłem wytrzymać w domu – powiedział. Jego skóra błyszczała, jakby zaliczył właśnie depilację gorącym woskiem. I niewykluczone, że zaliczył. – Brooke i ja gapimy się na siebie i czekamy. Wszystko wraca.

Myron kiwnął głową.

– Bardzo nam ciężko, jakbyśmy od dziesięciu lat mieszkali w czyścicu. Trzeba się czymś zająć, żeby nie zwariować. Dlatego rano pojechałem do firmy. Potem spotkałem się z moimi prawnikami, żeby coś wymyślili.

– A propos czego?

– Tego, że Patrick milczy. Szukałem jakiegoś kruczka prawnego. Żeby... no wiesz, zmusić go do współpracy. – Chick oderwał wzrok od ekranu. – Właściwie po co chciałeś się ze mną zobaczyć?

Myron nie bardzo wiedział, jak poruszyć temat SMS-ów. Walić prosto z mostu czy kluczyć?

– Zaczekaj, zaczyna się – powiedział Chick.

Ach, te dzisiejsze czasy. La Sirenę odwiedzali artyści, hipsterzy z Village i władcy wszechświata z Wall Street. Zbliżała się pora lunchu i bar tętnił życiem, a tu proszę: przy barze siedzi dwóch facetów, którzy oglądają dziennik telewizyjny. Nikt nawet na nich nie spojrział.

– Zaraz... – mruknął Chick. – Gdzie oni są?

Myron znał ten pokój.

– W salonie Moore'ów.

– Nie w studio?

– Jak widać.

Anderson Cooper siedział w okazałym skórzanym fotelu. Nancy i Hunter naprzeciwko, na kanapie. Hunter był w ciemnym garniturze i ciemnym krawacie. Nancy w jasnoniebieskiej sukience, stylowej, lecz skromnej.

– A gdzie Patrick? – denerwował się Chick. – Myron?

– Nie wiem. Pooglądajmy, okay?

Wywiad zaczął się bez Patricka, od pytań o uprowadzenie, okup, ciągłe napięcie, nieustanny brak wiadomości, długie oczekiwanie na ten wielki dzień. Cooper wspomniał, że Nancy i Hunter są rozwiedzeni, i dał wyraźnie do zrozumienia, że ich małżeństwo rozpadło się w następstwie tragedii sprzed lat. Ani jedno, ani drugie nie połknęło jednak haczyka.

– Opiekujemy się wspólnie naszą piękną córką – powiedziała Nancy w ramach riposty.

– Razem ją wychowaliśmy – dodał Hunter.

Po kilku minutach Chick pokręcił głową.

– Nie do wiary! Oni nic nie chcą powiedzieć.

Na to wyglądało. Anderson nie napierał, co w tych okolicznościach było zrozumiałe. Moore'owie nie byli politykami ubiegającymi się o ważny urząd. Przed kamerą siedzieli rodzice, którzy wiele wycierpieli i próbowali zrozumieć to nagle... Czy w tych okolicznościach można to nazwać szczęściem?

Mówiła głównie Nancy. Podkreśliła, że bardzo się cieszą z powrotu Patricka.

– Nasz syn przeszedł ciężką próbę – dodała, zagryzając wargę.

Ilekcio Cooper spróbował wyciągnąć z nich jakieś szczegóły, uchylali się od odpowiedzi, mówiąc, że Patrick potrzebuje prywatności oraz „przestrzeni, żeby mógł dojść do siebie i wrócić do normalnego świata”.

Powtarzali to na różne sposoby: Proszę, dajcie naszej rodzinie trochę prywatności, żebyśmy mogli otrząsnąć się po tej ciężkiej próbie. „Ciężka próba” – używali tego określenia tak często, jakby ich wytrenowano.

Cooper nie odpuszczał. Spytał o porwanie, o to, czy są teraz szanse na schwytanie odpowiedzialnych za to przestępców. Moore'owie znowu uchylili się od odpowiedzi, mówiąc, że z pytaniami o „zatrzymanie sprawców należy zwracać się do władz”.

Kiedy dziennikarz wspomniał o „tym strasznym dniu”, Nancy odrzekła:

– Minęło tyle lat. Proszę pamiętać, że syn miał wtedy tylko sześć lat.

– Pamięta coś?

– Bardzo mało. Przez ten czas wielokrotnie go przenoszono.

– Jak to „przenoszono”?

Do jej oczu napłynęły łzy. Myron czekał tylko, kiedy były mąż weźmie ją za rękę. Ale Hunter nie zrobił tego.

– Naszego syna dźgnięto nożem, omal nie umarł.

– Podczas akcji ratunkowej w Londynie, prawda?

– Tak.

– Długo tam był?

– Nie wiemy. Ale przeszedł...

Końcówkę Myron dopowiedział bezgłośnie za nią: Ciężką próbę.

Obserwował ją i Huntera, szukając jakichś wskazówek, analizując ich mowę ciała. Co mogła sugerować? Oszustwo? Czyżby kłamali? Ale dlaczego? Co mieliby ukrywać? Ukradkiem zerkał również na Chicka, jakby jego zachowanie też mogło

mu coś powiedzieć. Jak reagował na Nancy? Czyżby widział na jego twarzy cień tęsknoty, żalu lub poczucia winy?

Wniosek? Studiowanie mowy ciała jest zdecydowanie przereklamowane.

Myron wiele razy słyszał o ludziach, których niesłusznie skazano (lub niesłusznie zrehabilitowano) tylko dlatego, że przysięgli uważali, iż potrafią „czytać z twarzy” oskarżonego albo dlatego, że oskarżony nie okazywał skruchy (lub okazywał ją przesadnie) i jego reakcje nie mieściły się w uznawanej przez nich normie. Jakby wszyscy byli takich samych kształtów i rozmiarów. Jakby tak samo reagowali na potworną, niewyobrażalnie stresującą sytuację.

Każdy widzi drzazgę w oku bliźniego, nie dostrzegając belki w swoim.

Cooper przeszedł w końcu do rzeczy.

– A ten drugi chłopiec? – spytał.

Chick usiadł prosto.

– Czy państwa syn powiedział coś o wciąż zaginionym Rhysie Baldwinie?

– Odnalezienie Rhysa jest naszym priorytetem – odparła Nancy.

Chick wymamrotał coś pod nosem.

– To wszystko skończy się dopiero wtedy, kiedy poznamy całą prawdę.

Hunter poparł żonę energicznym ruchem głowy.

– Ścisłe współpracujemy z przedstawicielami władzy...

Chick stężał.

– Ty słyszysz te brednie?

– ...ale niestety, Patrick niewiele wie.

– Współpracują? – Chickowi groziła apopleksja. – Chyba zwołam własną konferencję prasową.

Jakby to mogło mu coś dać.

Pod koniec wywiadu Nancy i Hunter wstali i zwrócili się w prawo. Kamera poszła za ich wzrokiem i Chick znieruchomiał. Stała tam młoda kobieta w wieku dwudziestu kilku lat.

– To jest nasza córka Francesca – przedstawiła ją Nancy.

Zakłopotana dziewczyna skinęła widzom głową. Potem spojrzała w prawo i bezgłośnie szepnęła: „Będzie dobrze”. Minęły trzy sekundy.

I nagle na ekranie ukazał się Patrick. Siostra trzymała go za rękę.

– I nasz syn Patrick – dodała Nancy.

Tak, to był ten sam chłopak, ten, którego Myron uratował i którego widział skulonego w kącie sypialni. Był w czapce baseballowej Jankesów i niebieskiej bluzie z kapturem. Kamera zrobiła zbliżenie na twarz. Patrick miał spuszczone oczy. Nancy i Hunter podeszli do dzieci, wzięli je w środek i przez chwilę wyglądało to tak, jakby pozowali – choć może trochę niezdarnie – do wakacyjnego zdjęcia. Rodzice starali się robić wrażenie silnych i pewnych siebie. Córka – miała łzy w oczach – targąły emocje. Syn wbijał wzrok w podłogę.

Cooper podziękował im za to, że „otworzyli dla widzów swój dom”, i zaczęły się reklamy.

Chick patrzył na ekran jeszcze przez kilka sekund.

– Co to, do diabła, było?

Myron nie odpowiedział.

– Co tu jest grane? Dlaczego nie chcą nam pomóc?

– Nie wiem, czy mogą.

– Ty też? Kupiłeś to?

– Chick, nie wiem nawet, co oni sprzedają.

– Mówiłem ci, że rozmawiałem dzisiaj z prawnikami?

– Mówiłeś.

– Spytałem ich, co można zrobić... no wiesz... żeby chłopak zaczął gadać.

– I co zaproponowali?

– Nic! Twierdzą, że się nie da. Dasz wiarę? Może milczeć do usranej śmierci, nie sposób go do niczego zmusić. Nawet jeśli wie coś ważnego. Na przykład, gdzie jest Rhys. Czysty obłąd.

Chick przywołał barmana, który nalał mu czarnego johnniego walkera. Barman spojrzał na Myrona. Ten pokręcił głową. Za wcześnie na whisky.

– Doceniam twoją pomoc – dodał spokojniej Chick, obejmując szklankę dłońmi, jakby chciał się nią ogrzać. – Win... Cóż, wiem, że mnie nie lubi, to żadna niespodzianka. Pochodzimy z dwóch różnych światów. Poza tym uważa, że Brooke umie chodzić po wodzie. Nikt nie jest dla niej wystarczająco dobry. Wiesz?

Myron kiwnął głową, chcąc, żeby Chick mówił dalej.

– Nasze małżeństwo jest udane, trwałe. Jasne, mieliśmy problemy, jak wszyscy. Ale bardzo się kochamy.

– Te problemy... – Myron dostrzegł okazję. Nie było powodu dłużej zwlekać. – Czy jednym z nich była Nancy?

Chick właśnie podnosił szklankę do ust. Zawahał się, nie wiedząc, czy najpierw odpowiedzieć, czy wypić. Wybrał to drugie. Odstawił szklankę i spojrzał na Myrona.

– O co pytasz?

Myron patrzył na niego bez słowa. Chciał go przeczekać.

– No? – ponaglił go Chick.

– Wiem o tych SMS-ach.

– Ach, o SMS-ach... – Chick wstał, zdjął marynarkę i starannie powiesił ją na oparciu stołka. Usiadł i zaczął bawić się spinką w lewym mankencie koszuli. – Skąd wiesz?

– To ważne?

– Nie. – Wzruszył ramionami, choć zrobił to trochę zbyt swobodnie. – To nic takiego.

Myron znów spróbował zmusić go do odwrócenia wzroku.

– Win wie? – Pytanie Chicka miało zabrzmieć nonszalancko, lecz nie zabrzmiało.

– Jeszcze nie.

– Ale mu powiesz, tak?

– Tak.

– Nawet jeśli cię poproszę, żebyś nie mówił?

– Nawet wtedy.

Chick pokręcił głową.

– Nie wiesz, jak żyję, nie rozumiesz.

Myron milczał.

– Cała reszta dostała wszystko jak na tacy. Ja harowałem. Ledwo wiązałem koniec z końcem. Nic nie przychodziło mi łatwo. Uwaga, podajemy ostatnie wiadomości. – Chick przytknął dłonie do ust, robiąc z nich tubę. – To gra tylko dla bogatych! Tu nie obowiązują jednakowe zasady. Zaczynałem od zera. Mój ojciec miał zakład fryzjerski w Bronxie. Chcesz zagrać w pierwszej lidze? Musisz trochę pooszukiwać.

– Zaczekaj, chyba to zapiszę. – Myron udał, że bierze długopis i otwiera notes.

– Oszukiwać... Trochę... – Podniósł wzrok. – Cenna wskazówka. Teraz powiesz mi, że wielkie fortuny wyrastają na przestępstwie?

– Nabijasz się ze mnie?

– Tylko odrobinę.

– Myślisz, że co, że mamy tu merytokrację? Że wszyscy zaczynamy od tego samego i dostajemy jednakowe szanse? Gówno prawda. Na studiach grałem w futbol. W ataku. I byłem dobry. Pewnego dnia zauważyłem, że wszyscy ci, którzy próbują mnie zablokować, są na steroidach. A ci, którzy chcieliby wskoczyć na moje miejsce? Też są na steroidach. Tak więc mam wybór. Albo pójdę w ich ślady, albo przestanę grać.

– Chick? – rzucił Myron.

– Co?

– I tym uzasadniasz zdradę? Dziwny argument.

– Ja nie zdradzałem. – Chick nachylił się ku niemu. – Chodzi mi tylko o jedno: daj temu spokój.

– To groźba?

– Te SMS-y nie miały nic wspólnego z moim dzieckiem. Ale rozumiem, co tobą kieruje.

– Chęć znalezienia twojego syna.

– Tak, jasne. Powiedzieć ci, co jeszcze mnie dobija? Brooke chciała zadzwonić do Wina zaraz po porwaniu. Tego samego dnia. A ja jej to wyperswadowałem. Myślałem, że policja da sobie radę. Chciałem... to zabawne po tym, co przed chwilą powiedziałem... chciałem grać według zasad. Zgodnie z przepisami. Fajnie, co? A teraz muszę z tym żyć.

– Mówisz bez sensu.

Chick nachylił się i Myron poczuł zapach whisky.

– To, co zaszło między mną i Nancy – syknął przez zaciśnięte zęby – nie ma nic wspólnego z Rhysem. Słyszysz? Odpuść sobie, zanim komuś stanie się krzywda.

Zawibrowała komórka. Myron spojrział na ekranik. Brooke Baldwin. Pokazał ekran Chickowi i przytknął telefon do ucha.

– Halo?

– Chick mówił, że mieliście się spotkać. Jest tam?

Myron spojrział na Chicka. Ten kiwnął głową i nachylił się do telefonu.

- Tak, skarbie, jestem.
- Oglądaliście CNN?
- Tak – odparł Myron.
- Nagrałam cały wywiad. Obejrzałam go klatka po klatce.
- No i? – spytał Chick.
- Nie jestem pewna, czy to Patrick Moore.

Już na sam widok imienia Terese na ekranie komórki poczuł, że rozluźniają mu się mięśnie ramion. Idąc do samochodu, nacisnął przycisk i bez wstępów powiedział:

- Bardzo cię kocham.
- Do Wina z taką odzywką nie masz co startować, ale to dużo miłsze niż „Wysłów się”.
- Nie wszystkim to mówię.
- Nie? Dlaczego? Niech ktoś się ucieszy.
- Gdzie jesteś?
- W hotelu. Pamiętasz, kiedy ostatni raz byliśmy w hotelu?
- Myron nie mógł się nie uśmiechnąć.
- Ile osób do nas dzwoniło, narzekając na hałas?
- Cóż, byłeś strasznie głośny.
- Przytknął telefon do drugiego ucha.
- Przez tydzień nie mogłem wyprostować palców u nóg.
- Nie rozumiem związku – powiedziała Terese.
- Ja też nie, ale dobrze to brzmi.
- Fakt. Tęsknię za tobą.
- Ja za tobą.
- Ta praca...
- Tak?
- Jeśli ją dostanę... podkreślam, jeśli... ale jeśli ją dostanę, niewykluczone, że będę musiała przeprowadzić się do Atlanty.
- Dobrze.
- Przeprowadziłbyś się?
- Pewnie.
- Ot tak?
- Ot tak.
- Początkowo mogłabym dojeżdżać.
- Żadnego dojeżdżania. Przeprowadzimy się.
- Boże, uwielbiam twoją apodyktyczność. Jesteś wtedy taki seksowny.
- Nie tylko wtedy.
- Nie przeginaj. Ale na pewno? Mogę się wycofać. Będą inne okazje.
- Myron mieszkał w tej okolicy całe życie. Tu się urodził i wychował, tu wrócił po studiach w Karolinie Północnej. Był tak przywiązany do tych stron, że kupił nawet swój rodzinny dom, nie chcąc, żeby trafił w obce ręce.
- Na pewno – odparł. – Chcę, żebyś pracowała tam, gdzie sobie życzysz.
- A fuj! Coś ty taki poprawny politycznie?

- I chcę być twoim utrzymankiem.
- To może wymagać świadczenia usług seksualnych na żądanie.

Myron westchnął.

- Ciągłe daję i daję.

Terese roześmiała się. Nieczęsto się śmiała. Uwielbiał jej śmiech.

- Muszę się przygotować – rzuciła. – Za godzinę mam kolejną rozmowę.

- Powodzenia.

- A ty? Co będziesz robił?

– Po naszej rozmowie? Czeka mnie zimny prysznic. Jadę odwiedzić rodziców i Mickeya.

- Widziałam ten wywiad w telewizji.

- Masz jakieś przemyślenia?

- Jest tak, jak mówiłeś.

- To znaczy?

- Coś przeoczyliście.

Pożegnali się z ograniczoną dawką czułości i Myron wyruszył w drogę. Naprawdę był gotów to zrobić? Naprawdę był gotów porzucić strony, które zawsze nazywał rodzinnymi?

I pierwszy raz w życiu odpowiedziało mu gromkie „Tak”.

Zadzwoił Win.

- Halo? – rzucił Myron do telefonu.

- Opowiadaj.

- Oglądałeś wywiad?

- Tak.

W tle słyhać było głosy mężczyzn wykrzykujących coś w obcym języku.

- Gdzie jesteś? – spytał Myron.

- W Rzymie.

- We Włoszech?

- Nie. W Wyoming.

- Po co ten sarkazm?

- Zawsze musi być powód?

- Brooke ma wątpliwości, czy to Patrick – poinformował przyjaciela Myron.

- Tak, napisała do mnie.

– Zadzwoiłem do kumpla z Quantico. Jest fizjoterapeutą i może będzie mógł nam pomóc. Ma znajomą, specjalistkę od rekonstrukcji twarzy czy czegoś takiego.

– Ja też przeprowadziłem pobieżne badania – powiedział Win. – Porównałem Patricka z telewizji z Patrickiem w wieku sześciu lat i tymi postarzonymi zdjęciami.

- Jakież wnioski?

– Żadnych. Ale zadałem sobie dwa pytania. Jeśli to nie Patrick, to kto? Jeśli to nie on, dlaczego Nancy i Hunter mieliby kłamać?

Myron podrapał się w głowę.

- Nie mam pojęcia.

- Dobrze by było zrobić badanie DNA – dodał Win.



- Na pewno. Ale jeśli okaże się, że to nie on? Co wtedy? Masz chwilę?
- Tak.
- Przyjrzyjmy się temu ze wszystkich możliwych stron, nawet tych najbardziej niedorzecznych.
- Na przykład jakich?
- Załóżmy, że Nancy i Hunter zabili obu chłopców i ukryli ciała. Wiem, wiem, absurdalne, ale dla celów eksperymentu myślowego powiedzmy, że tak było.
- Dobrze.
- Więc może, żeby odsunąć od siebie podejrzenia, ściągnęli skądś fałszywego Patricka. Znaleźli podobnego fizycznie nastolatka w odpowiednim wieku, a potem wysłali do ciebie ten mail, żebyś pojechał do Londynu i znalazł go na King's Cross. Kupiłbyś to?
- Nie całkiem – odparł Win.
- Właśnie, bo nawet najbardziej zwariowany scenariusz nie ma sensu. O to mi chodzi. Przecież nikt nikogo nie podejrzewał, nie po tylu latach. Tym bardziej ich. Jeżeli zabili chłopców... powtarzam: to tylko czysta spekulacja, bo nie sądzę, żeby tak było... Więc jeśli zabili chłopców, to udawanie, że Patrick jest ich synem, nic by im nie dało.
- To prawda – przyznał Win. – Z drugiej strony, może to być oszustwo innego rodzaju.
- Na przykład jakie?
- Powiedzmy, że to nie Patrick.
- Powiedzmy.
- I powiedzmy, że ktoś chce zrobić Nancy i Huntera. Pisze do mnie mail, „organizuje” fałszywego Patricka. Wie, że Nancy i Hunter tak bardzo chcą odzyskać syna, że łatwo dadzą się nabrać.
- Pragnienie ostatecznego zamknięcia sprawy.
- Właśnie. To może osłepić.
- Dobrze, ale jaki ten ktoś mógłby mieć motyw? Fałszywy Patrick ma ich okraść czy co?
- Win myślał przez chwilę.
- Nie, nie przypuszczam.
- Poza tym on był naprawdę ranny. Dźgnięto go nożem. Mieliśmy szczęście, że nie umarł.
- Gruby Gandhi – mruknął Win. – Myron?
- Tak?
- Znowu to robimy.
- Co?
- Zapominamy o aksjomacie Sherlocka. Musimy mieć więcej danych.
- Słusznie. Często cytowali swojego ulubionego bohatera, Sherlocka Holmesa: *Kardynalnym błędem jest teoretyzowanie bez wystarczającej liczby danych. Nieświadomie przekręca się wtedy fakty, tak aby pasowały do teorii, tymczasem teoria musi pasować do faktów*<sup>2</sup>.
- Myron?

- Tak?
- Co jeszcze jest nie tak?
- Myron głęboko odetchnął.
- Nie spodoba ci się to.
- O tak, popieść się z tym i trochę to upiększ.
- Znowu sarkazm?
- Znowu się pieścisz?

Myron wyłożył kawę na ławę i opowiedział mu o rozmowie z Neilem Huberem, także o SMS-ach, które pisali do siebie Chick Baldwin i Nancy Moore. Kiedy skończył, Win długo milczał. W tle wciąż słychać było mężczyzn krzyczących coś po włosku.

- Co robisz w Rzymie? - spytał Myron.
- Poluję na Grubego Gandhiego.
- On jest we Włoszech?
- Wątpię - odparł Win. - Wierzysz Chickowi? Że te SMS-y były niewinne?
- Nie. Co nie znaczy, że miały coś wspólnego z porwaniem.
- Fakt.
- Mam porozmawiać z Nancy? Spytać ją o to?
- Tak, porozmawiaj.
- A co z Brooke?
- W jakim sensie?
- Powiemy jej o tych SMS-ach?
- Na razie nie.

Win nie powiedział jej o anonimowym mailu i Myronowi przypomniało się, jak zareagowała na to w Londynie.

- Będzie zła.
- Jakoś to przeżyję. - Win zrobił pauzę. - To wszystko?
- Chyba tak.
- To dobrze, bo muszę lecieć.

Nazwa drużyny pojawia się na ekranie dokładnie w chwili, kiedy Myron mówi, że moja kuzynka Brooke będzie zła, że znowu coś przed nią zatajam.

SHARK CRYPT I

– Jakoś to przeżyję – rzucam kompletnie rozkojarzony. Pora kończyć rozmowę. – To wszystko?

– Chyba tak – odpowiada Myron.

– To dobrze, bo muszę lecieć.

Rozłączam się, nie czekając na odpowiedź. Jestem w tym samym pokoju nad sklepem, z Carlem, Renatem i Giuseppem. Panowie dzisiaj też są ubrani na sportowo, jednak atmosfera jest dużo poważniejsza: zaczął się turniej Wściekłych Luf. Mój plan jest prosty: wywabić Grubego Gandhiego.

Z tego, co o nim wiem, grubas uwielbia rywalizację na każdym polu mającym związek z grami komputerowymi, grami wideo i temu podobnymi. Jego największym rywalem jest ROMAVSLAZIO, zespół, który – dzięki hojności anonimowego darczyńcy – jest gospodarzem tego nowego, jakże prestiżowego turnieju. Pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć: jeśli Gruby Gandhi zszedł do podziemia i chwilowo się ukrywa, czy zdecyduje się wystąpić w tej pseudomilitarnej, mocno sponsorowanej strzelance z wysokimi nagrodami?

Ja już znam odpowiedź: tak.

Wskazuję ekran, gdzie pojawiła się nowa nazwa.

– To Gruby Gandhi.

– Nie wiadomo! – krzyczy Carlo, wciąż stukając w klawiaturę. – Jeszcze nie zaczął grać.

– Ale za parę minut się dowiemy – dodaje Renato. – Góra za pół godziny. Ma charakterystyczny styl. Nigdy nie używa broni maszynowej ani automatycznej, tylko snajperki. I nigdy nie chybia.

– Każdy gra swoim systemem – wyjaśnia Carlo.

– Jak w sporcie – zgadza się z nim Renato. – Zawodnika można rozpoznać, nie widząc twarzy.

– Nie ma na co czekać – powtarzam. – To on.

– Skąd ta pewność?

Proste: „Shark Crypt I” to anagram, nick utworzony z liter imion Patrick i Rhys.

Mój plan jest oczywisty. W zadaniu, jakie postawiłem ROMAVSLAZIO, nie chodzi wcale o zwycięstwo. Carlo i Renato mają tylko udawać, że grają, aby hakerskimi metodami, których nie rozumiem i nie chcę rozumieć, namierzyć Gandhiego i sprawdzić, gdzie obecnie przebywa.

– Do roboty, chłopcy – mówi sędzia Giuseppe. – Znajdźcie go.

Mój samochód i prywatny samolot czekają w pogotowiu, podobnie jak piloci i najważniejsi asystenci. Kiedy tylko Renato i Carlo znajdą grubasa, pojedziemy tam – jeszcze w trakcie turnieju – i zajmiemy się nim.

Przynajmniej taki jest plan.

– Ciągłe nie wiem, czy dobrze robimy – waha się Carlo.

On siedzi twarzą do jednej ściany, Renato – twarzą do drugiej, jak przedtem.

– Ja też – popiera go Renato.

– Nie jesteśmy z policji.

– Słyszeliście, co powiedział pan Lockwood – odzywa się Giuseppe. – Ten człowiek jest stręczycielem małoletnich chłopców.

– Skąd wiadomo, że to prawda? – nie dowierza mu Carlo.

– Właśnie. – Renato odwraca się do mnie i pyta: – Skąd mamy wiedzieć, czy nie jesteś jakimś zboczeńcem?

– Wiecie, bo to sprawdziliście – odpowiadam.

Zapada cisza.

– Sprawdził cię dobrze – mówi po chwili Carlo.

– Wierzę.

– Jesteś bogaty.

– To prawda.

– Podobno ci odwaliło. Zdziwaczałeś i zostałeś pustelnikiem.

Szeroko rozkładałam ręce.

– Czy wyglądam na pustelnika?

– Więc dlaczego tak mówią?

– To ja rozpuściłem te plotki.

– Po co?

– Chcą mnie zabić źli ludzie.

– I ukrywałeś się?

– Coś w tym rodzaju.

– Więc dlaczego przestałeś?

– Jednego chłopaka uratowaliśmy. Chcę, żebyście pomogli mi uratować drugiego.

To ich chyba zadowala.

– Nie powinno być trudno – mówi Carlo. – Żeby dołączyć do gry, trzeba zalogować się na naszym serwerze.

– Tym sposobem zdobędziemy jego IP.

– Cholera – burczy Carlo. – Używa VPN-u.

– No jasne, ale można to obejść – rzuca Renato.

Przechodzą na włoski, ale nie mam do nich pretensji. I tak nie znam tego żargonu. Mówią głośnymi, gniewnymi głosami. Zaczynają się wyzywać. Słyszę nazwiska piłkarzy Romy i Lazio i jestem pewien, że są to wyzwiska, jakimi obrzucają się kibice tych rywalizujących ze sobą klubów. Giuseppe ostrzegał mnie, że tak będzie.

– Im w większą wpadną złość – mówił – tym szybciej go znajdą.

Dlatego spokojnie czekam. Carlo i Renato grają w strzelankę, próbując jednocześnie zlokalizować SHARK CRYPTA I.

– Masz rację – odzywa się znad klawiatury Carlo. – To Gruby Gandhi.

– Maskuje się – dodaje Renato.

– Ukrywa swoją tożsamość, ale my wiemy swoje.

Znowu przechodzą na włoski. Dziesięć minut później słyszę radosne okrzyki. Giuseppe wskazuje warcząca drukarkę. Podchodzi do niej i wyjmuje kartkę.

– Adres – mówi.

Patrzę. Holandia.

– Ile mam czasu?

Odpowiada Carlo.

– Jeśli się postaramy, wykończymy ich za dwie godziny.

Ruszam do drzwi.

– Więc się nie starajcie.

• • •

Myron zaparkował przed starym piętrowym domem.

Tu się wychował. Nie tylko. Tu mieszkał z rodzicami aż do... W sumie do niedawna. Co więcej, kiedy Ellen i Al („Nazywają nas El Al – mawiała mama – jak izraelskie linie lotnicze”) postanowili w końcu sprzedać dom i przeprowadzić się na Florydę, natychmiast go od nich odkupił.

Dawniej, gdy tu przyjeżdżał lub gdy ktoś go podwoził, mama wybiegała z domu i rzucała mu się na szyję, jakby był zakładnikiem odbitym po pięciu latach niewoli. Cała Ellen Bolitar.

Oczywiście, trochę go to krępowało. Ale z drugiej strony – równie oczywistej – sprawiało mu wielką przyjemność. Młodzi nie rozumieją, jak wspaniale jest być bezwarunkowo kochanym.

Otworzyły się frontowe drzwi i wyszła. Chodziła z trudem i tata podtrzymywał ją za łokieć. Tę wciąż zagorzałą feministkę zmogło okrucieństwo choroby Parkinsona. Myron odczekał chwilę, aż matka podejdzie bliżej. W końcu odtrąciła rękę męża, żeby syn nie zobaczył, jaka jest stara i schorowana.

Myron wysiadł, gdy była kilka kroków od samochodu. Oczywiście zarzuciła mu rękę na szyję, jakby był dopiero co uwolnionym zakładnikiem. Objął ją i uściskał. Podeszedł do nich ojciec. Myron pocałował go w policzek. Tak się z nim witał. Pocałunkiem. Zawsze.

– Jesteś zmęczony – powiedziała mama.

– Nie, skąd.

– Al, czy on nie wygląda na zmęczonego?

– Daj mu spokój. Wygląda dobrze. Zdrowo.

– Zdrowo. – Mama odwróciła się do męża. – To jesteś teraz lekarzem?

– Tylko mówię.

– Musi więcej jeść. Chodźcie. Zadzwońię po dokładkę.

Ellen Bolitar nie gotowała. Nigdy. Gdy Myron chodził jeszcze do liceum, zrobiła pieczeń rzymską z sosem bolońskim. Żeby pozbyć się śwędu, musieli odmalować kuchnię.

Gdy Myron podał matce rękę, ta przeszła go groźnym spojrzeniem.

– Ty też? Nic mi nie jest.

Mocno utykając, ruszyła do drzwi. Myron zerknął na ojca, a ten leciutko pokręcił głową. Poszli za nią.

– Powiem im, żeby dołożyli porcję cielęciny z parmezanem. On musi jeść. Twój bratanek je, jakby miał tasiemca. – Machnęła ręką. – A wy idźcie na razie do ojca umacniać więzy rodzinne.

Chwyciła się poręczy i weszła do kuchni. Ojciec kiwnął na niego głową, lecz Myron stał jeszcze przez chwilę zalany falą dobrze mu znanych uczuć.

Kochał rodziców.

Tak, wszyscy kochamy rodziców, jednak rzadko kiedy kochamy ich tak zwyczajnie. Nigdy nie było między nimi żadnych nieporozumień, niechęci czy skrywanej urazy, a on nie miał wyrzutów sumienia i o nic ich nie obwiniał. Po prostu ich kochał. Bez żadnych zastrzeżeń. W jego oczach byli ideałami. Niektórzy mówili, że patrzy na nich przez różowe okulary, ma skłonności do nostalgii i rodzinnego rewizjonizmu historycznego.

Lecz się mylili.

Usiedli z ojcem w tym samym miejscu, w którym siadywali od niepamiętnych czasów, w pokoju telewizyjnym, „norze” czy „legowisku”, jak nazywała go matka. Kiedy Myron był młody, eksperci przestrzegali przed zgubnymi skutkami zbyt długiego siedzenia przed telewizorem – być może słusznie, lecz podczas wspólnego oglądania ulubionych programów między tym ojcem i tym synem zadzierzgnęła się silna więź. W godzinach największej oglądalności, między ósmą i jedenastą wieczorem, w epoce sprzed streamingu i telewizji na żądanie, siedzieli obok siebie, zaśmiewając się do rozpuku z głupich sitcomów czy wytykając oklepiane chwytły w serialach detektywistycznych. Siedzieli, oglądali i byli razem, w tym samym pokoju, dlatego, bez względu na niektóre opinie, tworzyła się między nimi więź uczuciowa. Teraz rodzice szli do swojego pokoju, a dzieci do swojego. Wszyscy gapili się na mniejsze ekrany – laptopów, smartfonów i tabletów – oglądając dokładnie to, co chcieli, w zupełnej samotności. Myron uważał, że to straszne.

Tata sięgnął po pilota, lecz nie włączył telewizora.

– Mickeya jeszcze nie ma? – spytał Myron.

Jego rodzice przyjechali tu na czas nieobecności rodziców chłopaka.

– Powinien zaraz być – odparł ojciec. – Zaprosił Emę. Znasz ją?

– Emę? Tak, znam.

– Zawsze ubiera się na czarno.

– Jak wiele kobiet! – zawołała z kuchni mama.

– Ale nie tak.

– Czerń wyszczupła!

– Nie wiem – rzucił ojciec.

– Wiesz! – odkrzyknęła mama.

– Nie wiem!

– Uważasz, że jest gruba!

– To ty mówiłaś, że czerń wyszczupła, nie ja! – Ojciec spojrział na Myrona. – Ema maluje paznokcie na czarno. Usta też. Używa czarnego tuszu do rzęs. Ma czarne włosy. Nienaturalnie czarne. Są jak smoła. Nie rozumiem tego.

– Niby dlaczego miałbyś rozumieć? – dobiegło z kuchni.

– Po prostu mówię.

– Znawca się znalazł, prawdziwy pan Haute Couture. Albo Yves Saint Laurent.

– Miałaś zadzwonić do restauracji i zmienić zamówienie!

– Numer jest zajęty!

– To zadzwoń jeszcze raz!

– Tak, panie. Natychmiast!

Ojciec westchnął i wzruszył ramionami. Tacy już byli. Myron siedział, delektując się przedstawieniem.

Tata nachylił się ku niemu i cicho spytał:

– A gdzie Terese?

– W Jackson Hole. Na rozmowie o pracę.

– Będzie gospodynią jakiegoś programu?

– Kimś takim.

– Pamiętam ją z telewizji, zanim... – Ojciec złożył ręce, rozłożył je i znowu złożył. – Twoja matka i ja chcielibyśmy lepiej ją poznać.

– Poznacie.

Tata pochylił się jeszcze bardziej.

– Mama się martwi.

– Czym?

Ojciec nigdy niczego nie ukrywał, nie zrobił tego i teraz.

– Tym, że jest smutna.

– Terese. – Myron kiwnął głową. – A ty? Też się martwisz?

– Ja się nie wtrącam.

– A gdybyś musiał?

– Też widzę ten smutek. Ale i siłę. Dużo przeszła, prawda?

– Tak.

– Straciła dziecko?

– Tak, dawno temu, kiedy mieszkała za granicą.

Tata pokręcił głową.

– Przepraszam, że o tym wspomniałem.

– Nie szkodzi.

– I nie powiesz mi, co tak długo robiła w Afryce?

– Nie mogę – odparł Myron. – Nie mam prawa.

– Rozumiem. – Ojciec uśmiechnął się. – Pewnie pojechała tam z tajną misją.

– Coś w tym rodzaju.

– Tak jak ty do Londynu?

Myron milczał.

– Co, myślałeś, że nie wiemy? Powiesz mi, o co chodziło?

– O tego uratowanego chłopaka Moore’ów! – zawołała mama z kuchni.

Ojciec spojrział w tamtą stronę.

– Długo podsłuchujesz?

– Dopiero co zaczęłam! Przegapiłam fragment, w którym wypychasz mnie pod autobus za tą smutną narzeczoną!

Frontowe drzwi otworzyły się z impetem, z jakim może je otworzyć tylko nastolatek. Wszedł Mickey z Emą. Spojrzął na Myrona i spytał:

– Hej, co ty tu robisz?

Był strasznym aktorem.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparł Myron. – Cześć, Emo.

– Cześć, Myron.

Ubrane jak ona dziewczyny kiedyś nazywano gotkami, potem emo (stąd jej imię), ale Myron nie był na tyle otrzaskany, by wiedzieć, jak nazywają je teraz. Rzeczywiście, patrząc na nią, widziało się tylko głęboką czerń kontrastującą z najbledszą z możliwych cer. Ona i Mickey zaczęli jako przyjaciele, nawet najlepsi, lecz Myron zastanawiał się, czy gdzieś po drodze granica tej przyjaźni nie została przekroczona.

Mickey pocałował dziadka w policzek i spojrzął na babcie.

– Ślicznie wyglądasz, babciu.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Czyli jak?

– Babcią. Mówiłam ci. Jestem na to za młoda. Mów mi Ellen. A gdyby ktoś pytał, mów, że jestem drugą, o wiele młodszą żoną twojego dziadka, taką na pokaz.

– Dobra, jasne.

– A teraz możesz mnie pocałować.

Mickey wbiegł po schodkach do kuchni. Kiedy chodził, trząsał się cały dom. Pocałował babcie, objął ją i przytulił. Myron głośno przełknął ślinę.

– Ty płaczesz? – spytał go bratanek.

– Nie – odparł Myron.

– Dlaczego on płacze? Dlaczego on zawsze płacze?

– Bo łatwo się wzrusza – odparła babcia. – Taki już jest, nie zwracaj na niego uwagi.

– Ja nie płaczę. – Myron rozejrzał się po pokoju, lecz to nie pomogło. – Coś mi wpadło do oka.

– Kto mi pomoże nakryć do stołu? – spytała mama.

Mickey podniósł rękę.

– Ja.

– Nie. Ema mi pomoże.

– Bardzo chętnie, pani Bolitar – zgodziła się dziewczyna.

– Ellen – poprawiła ją mama. – Więc jak to właściwie z wami jest? Chodzicie ze sobą? Jesteście parą? Jak wy to mówicie? Prowadzamy się? Spotykamy? Umawiamy?



- Babciu! – wykrzyknął zawstydzony Mickey.
- Nieważne, Emo. Jego reakcja mówi wszystko. Są słodcy, kiedy tak się czerwienią, prawda?
- Równie zawstydzona Ema powlokła się do kuchni.
- Lepiej tam pójde. – Ojciec westchnął. – Na wszelki wypadek. Jego syn i wnuk zostali sami.
- Dostałem twojego SMS-a – szepnął Mickey.
- Domyśliłem się. Więc jak? Pomożesz?
- Tak. Z Emą.
- Ale jak?
- Mamy plan.

Wozy telewizyjne zniknęły. Myron nie wiedział, czy dlatego, że Moore'owie prosili o uszanowanie ich prywatności, czy może dlatego, że wiadomości szybko się starzeją, czy wreszcie dlatego, że reporterom zabrakło podpałki do dziennikarskiego ognia. Pewnie ze wszystkich tych powodów naraz, w każdym razie Myron się ucieszył. Dochodziła ósma wieczorem, kiedy zaparkował na podjeździe i zapukał do drzwi.

Nancy otworzyła z kieliszkiem białego wina w ręce.

– Już późno – powiedziała.

– Tak, przepraszam. Chciałem zadzwonić...

– To był ciężki dzień.

– Wiem.

– Nie otworzyłabym, ale...

...czułam się zobowiązana, dokończył w myśli Myron.

– Posłuchaj, muszę z tobą porozmawiać, tylko chwilę. Jest Hunter?

– Nie. Wyjechał do Pensylwanii.

– Tam teraz mieszka?

Nancy kiwnęła głową.

– Od rozwodu.

Myron spojrzał na tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ.

– Ty też się wyprowadzasz?

– Tak.

– Dokąd?

– Tam gdzie on.

– Do Pensylwanii?

– Myron, nie chcę być niemila, ale...

Podniósł rękę.

– Mogę wejść?

Niechętnie zrobiła mu przejście. Myron wszedł i zatrzymał się na widok młodej kobiety stojącej u stóp schodów.

– To moja córka Francesca – przedstawiła ją Nancy.

Mało brakowało i Myron zareagowałby standardowym „chcesz powiedzieć siostra”, lecz ugryzł się w język. Podczas wywiadu nie dostrzegł zbyt silnego podobieństwa, bo nie to go wtedy zajmowało. Gdyby potencjalny mąż chciał wiedzieć, jak Francesca będzie wyglądała za dwadzieścia pięć lat, nie musiałby wyteżać wyobraźni – wystarczyłoby jedno zerknięcie na Nancy.

– Francesco, to jest pan Bolitar.

– Myron. Jak się masz, Francesco?

Dziewczyna szybko zamrugnęła, odpędzając łzy. Czy płakała już wcześniej?

– Dziękuję. – Powiedziała to tak szczerze, że omal się nie odwrócił. Podbiegła i uścisnęła go krótko i mocno. – Dziękuję – powtórzyła.

– Nie ma za co.

Matka pogłaskała ją po ramieniu i uśmiechnęła się łagodnie.

– Pójdiesz do brata? Pan Bolitar i ja musimy porozmawiać.

– Oczywiście. – Francesca ujęła jego rękę. – Bardzo się cieszę, że pana poznałam.

– Z wzajemnością.

Poszła na górę i Nancy odprowadziła ją wzrokiem. Zaczekała, aż córka zniknie na szczycie schodów, i powiedziała:

– To dobre dziecko.

– Na pewno.

– Jest bardzo wrażliwa. Płacze z byle powodu.

– To chyba dobra cecha.

– Chyba tak. Ale kiedy porwano jej brata... – Nancy nie dokończyła. Pokręciła głową i zamknęła oczy. – Gdyby Patrick umarł w tym tunelu, gdybyś nie zdążył...

– Urwała.

– Mogę cię o coś spytać? Prosto z mostu.

– Jeśli musisz...

– Jesteś pewna, że to on?

Nancy się skrzywiła.

– Już o to pytałeś.

– Wiem.

– Więc dlaczego do tego wracasz? Mówiłam: tak, jestem pewna.

– Bo?

– Słucham?

– Minęło dziesięć lat. Był wtedy małym chłopcem.

Wzięła się pod boki.

– Po to przyjechałeś? – spytała z nutą niecierpliwości w głosie.

– Nie.

– Więc lepiej przejdź do rzeczy. Robi się późno.

– Opowiedz mi o SMS-ach, które pisałeś do Chicka Baldwina.

Myron powiedział to ot tak. Bum! Bez ostrzeżenia, odchrząkiwania czy innych sygnałów przygotowawczych. Chciał zobaczyć, jak Nancy zareaguje, ale jeśli spodziewał się czegoś dramatycznego czy zdradzającego ukrytą prawdę, to się mocno zawiódł. Nancy odstawiła kieliszek i skrzyżowała ręce na piersi.

– Pytasz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Skąd, u licha... – Urwała. – Myślę, że powinieneś już iść.

– Rozmawiałem z Chickiem.

– Więc już wiesz.

– Co wiem?

– Że te SMS-y nic nie znaczyły.

Ciekawe. Ten sam argument. Myron postanowił zablefować.

– Chick mówi, że przeciwnie.

– Co takiego?

– Przyznał, że mieliście romans.

Nancy uśmiechnęła się lekko.

– Pieprzysz, Myron.

Cóż, miała rację.

– Przyjaźniliśmy się – powiedziała. – Rozmawialiśmy. Dużo rozmawialiśmy.

– Bez urazy, ale ja tego nie kupuję.

– Nie wierzysz mi?

– Nie, nie wierzę.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że Chick nie wygląda na dobrego rozmówcę.

– A na ogiera wygląda?

Trafiony, zatopiony.

Nancy podeszła bliżej i spojrzała na niego oczami gołębicy. Myron pomyślał, że ma w tym wprawę i musiała to robić wcześniej. Tak, to spojrzenie dobrze jej służyło.

– Uwierzysz mi, jeśli powiem, że nie miało to nic wspólnego z porwaniem?

– Nie – odparł.

– Ot tak?

– Ot tak.

– Myślisz, że kłamię?

– Możliwe. Albo po prostu nie wiesz.

– Co to znaczy?

– Fale się rozchodzą. Pod powierzchnią coś się porusza. Nie zawsze widać co, zwłaszcza jeśli stoi się tak blisko jak ty. Słyszałaś o efekcie motyla, teorii, że trzepot jego skrzydełek, pozornie nieistotny i bez znaczenia...

– ...może wywołać tornado, wiem – dokończyła Nancy. – To bzdura. Zresztą...

Na schodach rozległy się ciężkie kroki. Spojrzeli w tamtą stronę. Na trzecim stopniu od dołu stał Patrick Moore. A może domniemany Patrick Moore. Tak czy inaczej, chłopak, którego Gruby Gandhi dźgnął nożem w tunelu.

Myron nacisnął ukradkiem przycisk komórki.

Przez chwilę panowała cisza. Przerwała ją Nancy.

– Wszystko w porządku? Podać ci coś?

Chłopak patrzył na Myrona.

– Cześć – rzucił Myron.

– To pan mnie uratował.

– Chyba tak.

– Francesca powiedziała, że pan przyszedł. – Patrick z trudem przełknął ślinę.

– Ten grubas... Ten grubas chciał mnie zabić.

Myron zerknął na Nancy.

– Już dobrze, synku – powiedziała głosem przejętej matki. – Jesteś w domu. Nic ci nie grozi.

Patrick nie odrywał wzroku od Myrona.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego mnie dźgnął?

Częste pytanie po brutalnym przestępstwie. Myron wielokrotnie je słyszał. Ofiara ataku chciała po prostu wiedzieć, „Dlaczego akurat ja?”. Na przykład zgwałcone kobiety, choć nie tylko. Inne ofiary też.

– Myślę, że próbował się ratować – odparł Myron.

– Ratować?

– Uznał, że jeśli cię dźgnie, przestanę go ścigać. Będę musiał wybrać między tobą a nim.

Chłopak kiwnął głową.

– Tak, to logiczne.

Myron zrobił ostrożnie krok w jego stronę.

– Patrick – starał się mówić jak najspokojniej i najłagodniej – co się z tobą działo?

Chłopakowi rozszerzyły się oczy. Ogarnięty paniką, spojrział na matkę.

Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Nancy odwróciła się.

– Kto to może...

– Otworzę – przerwał jej Myron. – Zaczekaj, Patrick. Ktoś chciałby cię poznać.

Podszedł do drzwi, otworzył je i bez najmniejszego wahania do domu weszli Mickey i Ema, którzy czekali w samochodzie na umówiony sygnał. Mickey uśmiechał się szeroko. Ema niosła pizzę. W pokoju zapachniało.

Myron wiedział, że plan bratanka jest ryzykowny, lecz Ema przekonała go swoim optymizmem.

– To samotny nastolatek, który siedzi pod kluczem w domu – tłumaczyła. – Poza tym londyńska pizza jest do bani.

Tak więc rozegrać to mieli oni, Ema i Mickey. Myron się zgodził.

Mickey podszedł do schodów.

– Hej, jestem Mickey. A to Ema. Pomyśleliśmy, że może chcesz pogadać albo coś.

– Ale... – zaczął Patrick.

Nie dokończył, bo przerwała mu Ema.

– Jadłeś kiedyś pizzę z sosem Buffalo Chicken?

– Nie – odparł niepewnie chłopak.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– I z bekonem.

– Poważnie?

– Nigdy nie żartuję z bekonu.

– Ekstra.

– Chcieliśmy cię zaskoczyć nadziewanym serem i chrupiącym brzegiem – dodał Mickey. – Ale niektóre rzeczy są za dobre, żeby utrzymywać je w tajemnicy.

Patrick uśmiechnął się.

– Nie chcę przesadzać, ale... – Ema otworzyła pudełko. – To najlepsza pizza, jaką kiedykolwiek jadłeś, a raczej zjesz.

– To chyba niezbyt dobry pomysł – zainterweniowała Nancy.

Myron stanął między nią i jej synem.

– Mówiłaś, że powinien spotykać się z rówieśnikami, że musi się zaaklimatyzować.

– Tak, ale to był ciężki dzień i...

– Mamo – przerwał jej chłopak. – Wszystko w porządku.

– No i jest chyba bezglutenowa. – Twarz Emy rozjaśnił najbardziej głupiotki i najbardziej czarujący uśmiech, jaki Myron kiedykolwiek widział.

Wtedy Patrick roześmiał się – naprawdę się roześmiał – i sądząc po minie Nancy, po raz pierwszy od dziesięciu lat widziała śmiejącego się syna. Ema miała rację. Nie wiadomo, czy to maksymalnie wypasionej pizzy czy zwykłych kontaktów międzyludzkich – prawdopodobnie jednego i drugiego – ale chłopakowi wyraźnie tego brakowało. Zbyt długo był sam.

Na szczycie schodów pojawiła się Francesca.

– Właśnie mieliśmy oglądać film – powiedziała. – Mamo, możemy wybrać coś na żądanie?

Wszyscy spojrzeli na jej matkę.

– Oczywiście – odparła zdławionym głosem Nancy. – Bawcie się dobrze.

• • •

Myron nie został.

Od Mickeya i Emy dostał wyraźne polecenie: masz zostawić nas samych. Nie gadać na dole z jego matką. Nie zagęszczać atmosfery swoją dorosłą obecnością, żebyśmy nie musieli się ciągle pilnować. Jeśli chcesz zapytać o coś Nancy, zapytaj, zanim wejdziemy. A potem znikaj.

Więc zniknął.

Kiedy tylko wszedł do samochodu, zadzwoniła komórka. Nieznany numer.

– Halo?

– Mówi Alyse Mervosh – zaczęła bez wstępów kobieta. – Dzwonię na prośbę pańskiego znajomego z Quantico.

– Jest pani lekarzem sądowym?

– Konkretnie antropologiem sądowym, specjalistką od rekonstrukcji twarzy. – Mówiła głosem tak obojętnym, że mogłaby nagrywać komunikaty dworcowe. – Chce pan wiedzieć, czy Patrick Moore, który występował dzisiaj w telewizji, jest tym samym Patrickiem Moore'em, który zaginął dziesięć lat temu, tak?

– Tak.

– Właśnie dostałam nagranie tego wywiadu. Zajrzałam do internetu i wygooglowałam jego zdjęcia z dzieciństwa. Potem znalazłam zdjęcia z postarzoną komputerowo twarzą, które zrobiono w naszej agencji. Gdzie pan jest?

– Teraz?

– Tak.

– W Alpine w New Jersey.

– Wie pan, gdzie jest nasza pracownia?

– Tak, wiem.

– Powinien pan dojechać mniej więcej za godzinę. Do tego czasu będę gotowa.

I nie czekając na odpowiedź, Alyse Mervosh przerwała połączenie. Myron zerknął na zegarek. Wpół do dziewiątej. Skoro ona mogła pracować do późna, mógł i on. Wiedział, że główne laboratorium FBI mieści się w Wirginii, lecz podejrzewał, że tego rodzaju zadanie wymaga komputerów i specjalnego oprogramowania. Siedziba FBI na Manhattanie zajmowała dwudzieste drugie piętro wieżowca przy Federal Plaza 26.

Znalazł wolne miejsce na parkingu przy Reade Street i dalej poszedł piechotą. Kiedy mijał Duane Street, przypomniało mu się coś zabawnego. Apteki Duane Reade, od których roilo się w Nowym Jorku, nazywały się tak dlatego, że pierwszy skład farmaceutyczny firmy mieścił się między Duane Street i Reade Street.

Człowiek myśli czasem o dziwnych rzeczach.

Alyse Mervosh powitała go silnym uściskiem ręki.

– Najpierw chciałabym dać temu upust i mieć to z głowy. Mogę?

– Ale dać upust czemu? – Nie zrozumiał.

– Mojemu zachwytowi. Po prostu uwielbiam, uwielbiam, naprawdę uwielbiam ten film dokumentalny o panu. Uwielbiam!

– Hm, dziękuję.

– Poważnie, być na topie, tak blisko szczytu, spaść i zostać z niczym...

Myron rozłożył szeroko ręce.

– Ale wciąż żyję.

– Naprawdę daje pan sobie radę?

– Jeśli pani chce, mogę zaraz zrobić dziesięć pompek na jednej ręce.

– Poważnie?

– Nie. Jedną może bym zrobił.

Pani doktor pokręciła głową.

– Przepraszam, zachowuję się tak nieprofesjonalnie. Ale... ale obejrzałam ten film i naprawdę zrobiło mi się pana żal.

– Właśnie na to liczyłem.

Alyse zaczerwieniła się.

– Przepraszam za strój. Kiedy pana znajomy zadzwonił, grałam w tenisa.

Doktor Mervosh była w tak oldskulowym dresie, że mało brakowało, a Myron zacząłby szukać metki z napisem FILA. Miała jasne włosy i opaskę na głowie. Wyglądała jak drugie wcielenie Björna Borga z początku lat osiemdziesiątych.

– Nie szkodzi. Dziękuję, że zajęła się tym pani mimo tak późnej pory.

– Woli pan długie wyjaśnienie czy od razu wnioski?

– Wnioski, jeśli można.

– Badanie nie przyniosło rozstrzygnięcia.

– Nie? A więc jedynym wnioskiem jest to, że nie ma konkretnych wniosków?

– Przykro mi, ale na pytanie: „Czy nastolatek, który występował dzisiaj w telewizji, jest wprowadzonym przed dziesięciu laty Patrickiem Moore’em”, nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Czy mam to rozwinąć?

– Bardzo proszę.

– W rekonstrukcji twarzy, którą się głównie zajmuję, chodzi o identyfikację szczątków ludzkich. Wie pan o tym, prawda?

– Tak.

– Nie jest to nauka ścisła. Zajmujemy się tym z nadzieją, że naprowadzimy śledczych na jakiś trop czy podsunie im jakąś myśl, ale rezultaty naszych badań może wypaczyć bardzo wiele czynników. – Pani doktor powachlowała się ręką. – Czy tu tak gorąco, czy to tylko ja?

– Tak, jest ciepło.

– Mogę zdjąć bluzę?

– Oczywiście.

– Nie chcę, żeby pomyślał pan, że pana podrywam czy coś.

– Proszę się nie martwić.

– Mam chłopaka.

– A ja jestem zaręczony.

– Naprawdę? – Twarz jej pojaśniała. – Tak się cieszę. Po tym, co pan przeszedł...

– Pani doktor? – przerwał jej Myron.

– Alyse. Proszę mówić mi Alyse.

– Alyse, to była tylko kontuzja kolana. Doceniam pani... – Nie bardzo wiedział, jakiego użyć słowa. – Pani troskę, ale nic mi nie jest.

– I chce pan się dowiedzieć czegoś więcej o tym chłopaku.

– Właśnie.

– Nie jestem zbyt towarzyska. Dlatego tak dobrze idzie mi w laboratorium. Kiedy się denerwuję, ciągle gadam i gadam. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi – zapewnił ją Myron. – Mówiła pani, że rezultaty badań może wypaczyć wiele czynników.

– Tak, to prawda. Bo to jest tak: próbujemy wyobrazić sobie, jak sześciolatek chłopiec będzie wyglądał w wieku lat szesnastu. Jak pan się pewnie domyśla, jest to dla nas bardzo trudny okres. Gdyby Patrick Moore zaginął w wieku, powiedzmy, dwudziestu sześciu lat i został odnaleziony dziesięć lat później... Rozumie pan, prawda?

– Tak.

– Na proces starzenia się największy wpływ mają geny, ale nie tylko. Dieta, styl życia, nawyki osobiste, trauma: wszystko to może go przyspieszyć lub opóźnić, a nawet zmienić wygląd człowieka. I znowu: mówimy tu o latach najtrudniejszych do analizy. W okresie dorastania często dochodzi do ekstremalnych zmian. Kości i chrząstki rosną i rozwijają się, wpływając na proporcje i kształt twarzy. Dlatego jako antropolodzy sądowi musimy domyślać się wielu rzeczy. Bo na przykład linia włosów może się cofnąć. Tkanka kostna tworzy się, wydłuża i znika, ustępując miejsca nowej. Krótko mówiąc, trudno to wszystko przewidzieć.

– Rozumiem – powiedział Myron. – A gdyby miała pani zgadywać?

– Czy ten nastolatek jest prawdziwym Patrickiem Moore'em?

– Tak.



- Ja nie zgaduję, jestem naukowcem.
- Nie, nie, chodziło mi...
- Mogę tylko przedstawić panu fakty.
- Dobrze.

Alyse Mervosh powoli wzięła zeszyt i zajrzała do notatek.

- Z jednym zasadniczym wyjątkiem rysy tego nastolatka mieszczą się w granicach normy dla tamtego sześciolatniego chłopca. Lekko zmienił się kolor oczu, ale to mało istotne. Poza tym bardzo trudno jest go określić na podstawie nagrania telewizyjnego. Udało mi się ustalić wzrost jego rodziców i siostry i porównać go ze wzrostem Patricka w wieku sześciu lat. Wniosek? Chłopak jest pięć centymetrów niższy, niż przewiduje średnia, jednak mieści się to w granicach błędu. Krótko mówiąc, tak, nastolatek z wywiadu może być prawdziwym Patrickiem Moore'em, ale tylko może. Nie potrafię tego jednoznacznie rozstrzygnąć z jednego powodu.

- Jakiego? - spytał Myron.

- Z powodu nosa.

- Dlaczego?

- Moim zdaniem, jego nos nie pasuje do nosa sześciolatniego chłopca ze zdjęcia. Nie znaczy to, że nie mógł się tak zmienić, jednak byłoby to mało prawdopodobne.

Myron zmarszczył brwi.

- A jeśli Patrick przeszedł operację plastyczną?

- Klasyczną operację nosa? Nie. Celem tego rodzaju zabiegów jest w zdecydowanej większości zmniejszenie nosa. Tymczasem nos Patricka Moore'a jest nadspodziewanie duży.

Myron podrapał się w głowę.

- A jeśli... nie wiem... jeśli na przykład był wielokrotnie złamany?

- Hm... - Pani doktor wzięła długopis i postukała nim w policzek.

- Mało prawdopodobne, ale możliwe. Przeprowadza się także zabiegi, których celem jest rekonstrukcja nosa po urazach czy wrodzonych deformacjach, choć pacjentami są najczęściej kokainiści. Tak, to by wiele wyjaśniało, ale nie mogę stwierdzić tego na pewno. Dlatego wydałam taką, a nie inną opinię.

- Innymi słowy, jednoznaczna identyfikacja uciekła nam sprzed nosa?

Alyse przyglądała mu się przez chwilę.

- To był żart?

- Tak jakby.

- Aha.

- Wiem, przepraszam.

- A poważnie mówiąc, musicie zrobić badanie DNA.

Obserwuję przez lornetkę holenderski wiejski dom.

Lot z Rzymu na lotnisko Groningen Felde zajął nam dwie i pół godziny. Dojazd do Assen – dwadzieścia minut.

– Tam jest tylko czterech, morderko – mówi ktoś z silnym obcym akcentem.

Zorra. Tak naprawdę nazywa się Shlomo Avraham. Jest byłym agentem Mossadu i transwestytą, mężczyzną, który ubiera się jak kobieta. Swego czasu znałem wielu takich. Niektórzy są bardzo atrakcyjni i kobiecy. Ale nie on. Zorra ma brodę gęstą jak puszcza amazońska. I kłykcie jak u przepoczwarczającego się wilkołaka. Nie pielęgnuje brwi, więc wyglądają jak dwie włochate gąsienice, które nie chcą zmienić się w motyla. Nosi kędzierzawą rudą perukę, jaką można by znaleźć w kufrze Bette Midler pod koniec lat siedemdziesiątych. I wysokie szpilki z ukrytym w obcasie sztyletem. Naprawdę.

Kiedys omal nie zabił nim Myrona.

– Sprawdzales termografem? – pytam.

– Tym samym, którego Zorra używał w Londynie, morderko. – Mówi głębokim barytonem. – Łatwizna. Jak to się mówi? Ryba w beczce? Legendarny Zorra i coś takiego? Marnujesz jego talent.

Otaksowuję go wzrokiem.

– Coś nie tak, morderko?

– Brzoskwiniowa spódnica i pomarańczowe szpilki?

– Zorra da radę.

– Cieszę się, że Zorra tak myśli.

Zorra odwraca głowę, żeby spojrzeć na dom. Peruka zostaje tam, gdzie była.

– Na co my czekamy, morderko?

Nie wierzę w intuicję ani przeczucia, ale nigdy nie lekceważę tego, co podpowiada mi nos.

– Za łatwo to wygląda.

– Aaa, wachasz pułapkę.

– Wącham pułapkę?

– Angielski nie jest ojczystym językiem Zorry.

Patrzymy na dom.

– Mamy jeden cel – mówię.

– Syn twojej kuzynki, tak?

– Tak. – Rozważam różne możliwości. – Na miejscu Grubego Gandhiego przetrzymywałbyś tam Rhysa?

– Może. Albo może Zorra by go ukrył, żeby mieć szacha, kiedy przyjdzie do niego zły Win.

– Właśnie.

Poznaliśmy się przed laty, kiedy Zorra był moim przeciwnikiem, zaprzysięgłym wrogiem. Tak się jakoś złożyło, że darowałem mu życie. Nie wiem dlaczego. Intuicja? Więc teraz uważa, że jest moim dłużnikiem i pozostanie nim do końca życia. Esperanza porównuje tę sytuację do scenariusza pojedynku zapaśniczego, w którym dobry zawodnik okazuje łaskę złemu: ten zły się nawraca i zostaje jego dożgonnym wielbicielem.

Wciąż rozważam dostępne opcje, kiedy otwierają się drzwi. Ani drgnę. Nie sięgam po broń. Czekam, aż ktoś się pokaże. Mija pięć sekund. Dziesięć.

A potem z domu wychodzi Gruby Gandhi.

Zorra i ja stoimy za krzakami. Gruby Gandhi odwraca się, uśmiecha i macha do nas ręką.

– Wie, gdzie jesteśmy – mówi Zorra, niedościgniony mistrz dostrzegania rzeczy oczywistych.

Gandhi rusza w naszą stronę swobodnym krokiem. Zorra zerka na mnie. Kręcę głową. Tak jak już zostało to ustalone, grubas wie, gdzie jesteśmy. Zastanawiam się przez chwilę. Byliśmy ostrożni, ale to mało uczęszczana droga. Jeśli Gandhi rozstawił czujki – a rozstawił je na pewno – jego ludzie musieli zauważyć, że skręcamy.

Grubas widzi mnie i znów macha ręką.

– Pan Lockwood! – woła. – Witam!

Zorra nachyla się ku mnie.

– Zna twoje nazwisko.

– Ach, to mossadowskie wyszkolenie. Nic nie umknie twojej uwagi.

– Tak, Zorra wszystko widzi.

Gruby Gandhi mógł mnie przeświecić na sto sposobów. Na przykład zhakować, choć wątpię, żeby to było konieczne. Po prostu znał nazwisko Myrona. Myron i ja jesteśmy współnikami i przyjaciółmi. Wiedział także o porwaniu Rhysa i Patricka. Wystarczyło trochę poszperać i *voilà*.

Albo – co bardziej prawdopodobne – dowiedział się wszystkiego od Rhysa.

Tak czy inaczej, w końcu doszło do spotkania.

– Jak to rozegramy, morderko?

Zerkam na ekran komórki, żeby sprawdzić, czy moi ludzie – mam ich dwóch – wciąż czuwają na skraju pola obserwacyjnego. Czuwają. Nikt ich nie zdjął. Grubas idzie dalej. Patrzy w słońce i uśmiecha się.

– Czekamy – odpowiadam.

Wyjmuję pistolet; to desert eagle .50 AE. Gandhi przystaje. Robi wrażenie zawiedzionego.

– Panie Lockwood, po co to? Nie ma potrzeby.

„Zwąchałem” pułapkę, prawda? Grubas wiedział, że Włosi spróbują go wytropić, organizując turniej? Dał się namierzyć? Najwyraźniej. Wielu myśli, że jestem niezawodny w tego rodzaju sprawach, tak profesjonalny i niebezpieczny, że ustępuje przede mną sama śmierć. Owszem, przyznaję, że specjalnie ożywiam swoją reputację, umacniam ją i podkreślam. Chcę, żeby się mnie bano. Żeby ludzie, nie wiedząc, co zaraz zrobię, kulili się ze strachu, ilekroć wchodzę do

pokoju. Ale nie jestem aż tak naiwny, by kupować sobie reklamę. Bez względu na to, jak jesteś dobry, może cię zdjąć każdy snajper.

Jak powiedział kiedyś jeden z moich wrogów: „Jesteś dobry, Win, ale nie kuloodporny”.

Staralem się zachować ostrożność, lecz tego rodzaju misje wymagają pośpiechu. Z lotniska nikt za nami nie jechał. Na sto procent. Mimo to Gruby Gandhi wiedział, że tu jesteśmy.

– Musimy porozmawiać – mówi.

– Dobrze – odpowiadam.

Grubas rozkłada ręce.

– Mogę mówić panu po imieniu?

– Nie.

Nie przestaje się uśmiechać. Wciąż trzymam pistolet. Grubas zerka na Zorrę.

– Czy ona musi uczestniczyć w rozmowie?

– Jaka ona? – warczy Zorra.

– Słucham? – nie rozumie grubas.

– Uważasz, że Zorra wygląda jak dziewczyna?

– Eee... – Nie ma na to dobrej odpowiedzi.

Podnoszę rękę. Zorra się cofa.

– Spokojnie, panowie – mówi Gandhi. – Gdybym chciał was zabić, już byście nie żyli.

– Czyżby.

– Czyżby?

– Blefuje pan – rzucam.

Grubas wciąż się uśmiecha, choć zaczyna tracić pewność siebie.

– Wie pan, kim jestem – dodaję. – Nie kosztowało to pana zbyt dużo trudu. Jeden z pańskich ludzi obserwował pewnie lotnisko, a drugi drogę. Stawiam na brodacza w peugeocie.

– Zorra wiedział! Trzeba było mu...

Znów uciszam go gestem ręki.

– Kazał pan nas śledzić – mówię – co jednak nie znaczy, że dysponujecie snajperem, który trafiłby nas z tak dużej odległości. Natomiast ja mam tam dwóch ludzi. Gdyby snajper istniał, już dawno by mnie uprzedzili. Ma pan także pomagierów w domu. Konkretnie trzech. Żaden z nich nie celuje w nas z broni długiej. To też byśmy zauważyli.

Uśmiech Grubego Gandhiego blednie jeszcze bardziej.

– Jest pan niezwykle pewny siebie, panie Lockwood.

Wzruszam ramionami.

– Mogę się mylić. Jednak prawdopodobieństwo tego, że zdejmiecie nas wszystkich, zanim zdążę pana zabić, jest minimalne.

Grubas leniwie klaszcze w dłoń.

– Widzę, że w pełni zasługuje pan na swoją reputację.

Reputacja. Ożywiać, umacniać i podkręcać. Teraz rozumiecie?

– Mógłbym powiedzieć, że doszło do impasu – ciągnie grubas – ale obaj jesteśmy ludźmi światowymi. Przyszedłem porozmawiać. Chciałbym się z panem dogadać i mieć to za sobą.

– Pan mnie nie interesuje – odpowiadam. – Ani pan, ani pańskie inTerese.

InTerese, czyli gwałty, molestowanie i wykorzystywanie seksualne nastolatków. Zorra robi minę, która mówi, że w przeciwieństwie do mnie, jego to obchodzi.

– Przyjechałem po Rhysa – dodaję.

Grubas poważnieje.

– To pan zabił trzech moich ludzi.

Teraz z kolei ja się uśmiecham. Gram na czas, odwracam jego uwagę. Nie chcę, żeby Zorra przestał obserwować dom i okolicę.

– I wysadził w powietrze ścianę w salonie gier.

– Chce pan, żebym się przyznał? – pytam.

– Nie.

– Pragnie pan zemsty?

– Też nie. – Gandhi odpowiada zbyt szybko. – Pan szuka Rhysa Baldwina. I ja to rozumiem, jest pańskim krewnym. Ale ja też czegoś chcę.

Nie muszę go pytać czego. Sam mi powie.

– Chcę odzyskać życie – ciągnie grubas. – Policja nic na mnie nie ma. Patrick Moore jest już w Stanach. Nie wróci, żeby zeznawać. Myron Bolitar może sobie twierdzić, że widział, jak dźgam go nożem, ale w tunelu było ciemno. Ja z kolei mógłbym twierdzić, że działałem w samoobronie. Ostatecznie ktoś nas zaatakował. Czego dowodem jest dziura w ścianie. Moi ludzie nie pisną ani słowa. A wszystkie dowody i akta są bezpiecznie zamknięte w wirtualnej chmurze.

– Owszem, policja nic na pana nie ma – potwierdzam. – Myślę jednak, że to nie policja pana martwi. Prawda?

– Najbardziej martwi mnie pan – przyznaje grubas.

Uśmiecham się szeroko.

– Nie chcę spędzić reszty życia, czekając, aż zapuka pan do moich drzwi – mówi. – Mogę być szczery?

– Proszę spróbować.

– Nie byłem tego pewny, ale kiedy RomavsLazio zorganizowali ten turniej... Cóż, po tym, czego się o panu dowiedzieliśmy, ryzyko było aż nadto oczywiste. Wtedy coś zrozumiałem. Zrozumiałem, że będę musiał stawić panu czoło osobiście, żeby raz na zawsze z tym skończyć. Nie ukrywam, że zastanawialiśmy się nawet, czy kogoś nie wynająć i pana nie zabić.

– Ale się rozmyśliliście.

– Tak.

– Ponieważ zauważyłbym go i sprowadził swoich ludzi. Ponieważ zabiłbym pana i wszystkich pozostałych. A nawet gdybyście jakimś cudem wygrali...

Zorra nie wytrzymuje i wybucha śmiechem.

– Wygrali z Zorrą?

Zapewniam go, że mówimy hipotetycznie i przenoszę wzrok na grubasa.

– Nawet gdyby udało się wam nas zabić, dobrze pan wie, że na tym by się nie skończyło. Przyszędłby Myron.

Gruby Gandhi kiwa głową.

– Tak, wiem. Do końca życia musiałbym oglądać się przez ramię.

– Jest pan mądrzejszy, niż myślałem. Dlatego uproścmy to. Odda mi ma Rhysa. Zabiorę go do domu. I koniec. Nigdy więcej o panu nie pomyślę. Zapomnę, że pan istnieje. A pan zapomni o mnie.

To dobry układ, zastanawiam się jednak, czy dotrzymam jego warunków. Gruby Gandhi chciał zlikwidować Myrona. A to nie byle co. Nie, nie zabiłbym go z zemsty – próba była poniekąd usprawiedliwiona – niepokoi mnie jednak jego stan psychiczny, no i martwię się o siebie. Chciał pokazać swoim ludziom, że jest silny i ma władzę. Ten motyw jest wciąż obecny.

Tak więc „spoglądanie przez ramię” dotyczy i mnie.

– To nie takie proste – odpowiada grubas.

– Bardzo proste – mówię twardszym głosem. – Proszę oddać mi Rhysa.

Gruby Gandhi spuszcza oczy i kręci głową.

– Nie mogę.

Krótką chwilą wahania. Wiem, co zaraz będzie, i nie reaguję. Z wdziękiem, który nie przestaje mnie zadziwiać, Zorra wykonuje obrót i podcina mu nogi. Grubas pada na plecy jak worek torfowca. Powietrze ucieka mu z płuc i słuchać głośnie „uf!”.

Zorra staje nad nim. Podnosi nogę, żeby wbić mu w twarz ostry jak brzytwa (dosłownie) obcas, i zatrzymuje go parę milimetrów (też dosłownie) od jego oka.

– Zła odpowiedź, mordeńko. Spróbuj jeszcze raz.

Myron usiadł w fotelu ojca w pokoju telewizyjnym.

– Będziesz czekał na Mickeya? – spytał go tata.

Kiedy był nastolatkiem, ojciec siadywał tu wieczorami, czekając na dzieci. Nigdy nie kazał im wracać o ustalonej godzinie – „Ufam wam” – i nigdy nie uprzedzał, że będzie na nie czekał. Kiedy Myron wracał, ojciec udawał, że śpi albo tuż przed tym szedł ukradkiem na górę.

– Tak. – Myron uśmiechnął się. – Myślisz, że nie wiedziałem?

– O czym?

– Że czekałeś, aż wrócę do domu.

– Niepokoilem się i nie mogłem spać. – Tata wzruszył ramionami. – Ale wiedziałem, że wiesz.

– Skąd?

– Nie miałeś godziny policyjnej, pamiętasz? Mówiłem, że ci ufam.

– Tak.

– Ale kiedy odkryłeś, że na ciebie czekam, zacząłeś wcześniej wracać. Żeby nie musiał tu siedzieć i denerwować się. – Ojciec uniósł brew. – Skutek? Wracałeś wcześniej, niż gdybym kazał ci wrócić o tej czy tamtej godzinie.

– Przebiegłe.

– Wykorzystałem tylko to, co wiedziałem.

– Czyli?

– Byłeś dobrym chłopcem.

Zapadła cisza. Przerwała ją mama.

– Tatus i synek! – krzyknęła z kuchni. – Bardzo wzruszająca chwila! Czy możemy już iść spać?!

Tata stłumił śmiech.

– Za chwilę. Idziemy jutro na mecz Mickeya? Grają u siebie.

– Przyjadę po ciebie rano – powiedział Myron.

Mama wystawiła głowę z kuchni.

– Dobranoc, Myron.

– Dlaczego nigdy na mnie nie czekałaś?

– Kobieta musi się porządnie wysypiać – odparła. – Myślisz, że wyglądam tak seksownie przez przypadek?

– To dobra wskazówka małżeńska – dodał ojciec.

– Ale co? – nie zrozumiał Myron.

– Równowaga. Ja siedzę do późna. Mama śpi jak dziecko. Co nie znaczy, że nic ją nie obchodzi. Nasze mocne strony i słabości wzajemnie się uzupełniają. Jesteśmy parą. Rozumiesz? To był mój wkład. Nocne czuwanie.

– Ale rano zawsze wstawałeś jako pierwszy – zauważył Myron.

- To prawda.
- To w czym dobra była mama?
- Lepiej nie pytaj – odparła z kuchni.
- Ellen! – krzyknął ojciec.
- Wyluzuj, Al. Jesteś taki pruderyjny.

Ojciec poszedł do kuchni, a Myron zatkał uszy i zaczął powtarzać: „La, la, la, nie słyszę was, nie słyszę was!”. Opuścił ręce, dopiero kiedy oboje zniknęli na górze. Wtedy usiadł wygodniej i spojrział w okno. Zabawne. Fotel był idealnie ustawiony, bo widział stąd i telewizor, i każdy samochód skręcający z ulicy.

Naprawdę przebiegłe.

Samochód Mickeya pojawił się na podjeździe o pierwszej. Myron zastanawiał się, czy udać, że śpi, lecz bratanek by tego nie kupił. Czekał na niego z trzech powodów. Po pierwsze, dlatego że się niepokoił. Po drugie, chciał wyręczyć ojca. Wreszcie po trzecie – i najbardziej oczywiście – chciał się dowiedzieć, co działo się u Moore’ów po jego wyjściu.

Tak więc siedział po ciemku i czekał. Minęło pięć minut. Wyrzwał przez okno. Samochód wciąż stał na podjeździe. Ani świateł, ani żadnego ruchu. Myron zmarszczył brwi. Wziął komórkę i wysłał bratankowi SMS-a: **Wszystko w porządku?**

Mickey nie odpisał. Minęła kolejna minuta. Wciąż nic. Myron spojrział na ekran jeszcze raz. Nic. Poczł się nieswojo. Zadzwoił. Od razu włączyła się poczta głosowa.

Co się, do diabła, dzieje?

Wstał i ruszył do frontowych drzwi. Nie. Tak otwarcie? Zawrócił i wyszedł przez kuchnię. Na podwórzu było tak ciemno, że musiał włączyć latarkę w telefonie. Obszedł dom i wyrzwał na podjazd tonący w świetle latarni.

Ciągle nic.

Nisko pochyłony, zaczął skradać się do samochodu. Ojciec musiał podlać trawnik, bo natychmiast przemokły mu kapcie. Wspaniale! Od bagażnika dzieliło go dwadzieścia metrów. Potem dziesięć. W końcu przykucnął za tylnym zderzakiem.

Dlaczego nikt nie wysiada? Szybko poszperał w głowie w poszukiwaniu możliwych przyczyn, lecz żadnej nie znalazł. Wstał, doskoczył do drzwi, szarpnął za klamkę i wtedy go olśniło.

Sekundę za późno.

Ema przeraźliwie krzyknęła.

– Myron, co ty wyczyniasz?! – wrzasnęła Mickey.

Dwoje nastolatków. W samochodzie. Późną nocą.

Myronowi przypomniało się, jak w niemal równie niezręcznej sytuacji ojciec nakrył go kiedyś z Jessicą, jego dawną miłością. Nakrył, zastygł bez ruchu, po prostu stał i gapił się. Myron nie mógł tego zrozumieć. Dlaczego ojciec szybko nie przeprosił i nie zamknął drzwi?

Zrozumiał dopiero teraz.

– Och – wykrztusił. – Ojej.



– Co cię napadło? – warknął Mickey.

– Ojej – powtórzył Myron.

Na szczęście nie byli nago. Ubranie, włosy i makijaż nosiły ślady tego, co się tu działo, ale nie, Mickey i Ema nie byli nago.

Myron wskazał kciukiem za siebie.

– Może lepiej zaczekam w domu.

– Myślisz?

– Dobrze. To zaczekam.

– No, idź! – krzyknął Mickey.

Jego stryj odwrócił się i powlókł do domu. Zanim doszedł do drzwi, Mickey i Ema wysiedli, poprawili ubranie i ruszyli za nim. W holu czekał ojciec w piżamie z Homerem Simpsonem, którą Myron kupił mu na Dzień Ojca.

Spojrzał na syna. Potem na Mickeya i Emę.

– Wyszedełś? – spytał Myrona.

– Tak.

– Zapomniałeś, jak to jest być nastolatkiem? – Ojciec z trudem powstrzymywał uśmiech. – Wiedziałem. Nie powinienem był zostawiać cię na warcie. Dobrej nocy. – I poszedł na górę.

Myron i Mickey wbili wzrok w podłogę. Ema westchnęła.

– Dorośnijcie. Obydwaj.

Wzięli coś zimnego do picia i usiedli przy kuchennym stole.

– No więc? – zaczął Myron. – Co myślicie o Patricku? Jeśli to Patrick.

– To normalny chłopak – odparł Mickey.

– Aż za normalny – dodała Ema.

– To znaczy?

Ema położyła ręce na stole. Oprócz czarnego ubrania i makijażu miała wytatuowane ręce. Lubiała srebrną biżuterię i na palcach nosiła dwa pierścionki z ludzką czaszką.

– Zna najnowsze gry – odrzekł Mickey.

– I aplikacje telefoniczne.

– I strony mediów społecznościowych.

Myron pokiwał głową.

– Nie przypuszczam, żeby cały czas trzymano go w klatce. Zwłaszcza ostatnimi... Nie wiem, ostatnimi laty. Wypędzano go na ulicę. Pod wiadukty. Facet, który więził go w Londynie, lubi gry komputerowe. Może dlatego?

– Może – mruknął Mickey.

– Ale myślisz, że nie.

Bratanek wzruszył ramionami.

– No? – ponaglił go Myron.

– Myślę, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Myron spojrzał na swoją przyjaciółkę. Ta kiwnęła głową.

– Ręce – powiedziała.

– Co ręce?

– Ma delikatne dłonie.

– Nie przypuszczam, żeby kazano mu pracować na budowie.

– Wiem, ale to nie są ręce kogoś, kto żył na ulicy. No i zęby. Są proste i białe. Może ma niesamowite geny, ale bardziej prawdopodobne jest to, że regularnie chodził do dentysty i nosił aparat.

– Trudno powiedzieć dlaczego – wtrącił Mickey – ale nie wygląda ani nie mówi jak żul. Wątpię, czy go... no wiesz, molestowano albo maltretowano, nie licząc tego, co zaszło w tunelu. Może i ktoś go... „utrzymywał” albo się nim opiekował, ale...

– Rozmawialiście o porwaniu? – przerwał mu Myron.

– Próbowaliśmy, ale zawsze nas ścinał – odparła Ema.

– No i Francesca ciągle się wtrącała – dodał Mickey.

– Jak?

– Ochraniała go – wyjaśniła Ema. – Co jest chyba zrozumiałe.

– Ilekroć zaczynaliśmy mówić o porwaniu...

– Albo o Rhysie – wtrąciła.

– ...przerywała nam, obejmowała go i zaczynała płakać. On wyglądał na normalnego, ale ona jest totalnie powalona.

– Nie użyłabym tego słowa – zaprotestowała Ema. – Jej brat wrócił do domu po dziesięciu latach. Byłoby dziwne, gdyby się nie wzruszała.

– Może – zgodził się z nią Mickey, choć bez entuzjazmu.

– Kiedy wyszła z Clarkiem, spróbowaliśmy jeszcze raz.

– Chwila – przerwał mu Myron. – Z Clarkiem Baldwinem? Bratem Rhysa?

– Tak.

– On tam był?

– Przyszedł po Francescę – wyjaśniła Ema. – Odwoził ją na kampus.

Myron tego nie skomentował.

– To ważne? – spytała.

– Nie wiem. – Zmarszczył brwi. – Dzwonne to wszystko. Myślicie, że... mają romans?

Mickey przewrócił oczami; nikt nie potrafi robić tego tak jak nastolatki.

– Nie.

– Dlaczego?

Ema spojrzała na Mickeya i pokręciła głową.

– Ach, ci dorośli. Nie mają radaru-gejdaru.

– Clark jest gejem?

– Tak. Ale nawet gdyby coś ich łączyło, co to ma za znaczenie? Przecież kiedy porwano Patricka i Rhysa, mieli... Ile? Dziesięć lat?

Coś nie dawało Myronowi spokoju, ale nie wiedział jeszcze co. Wrócił do tematu.

– Dobra, a więc po wyjściu Franceski znowu spytaliście go o porwanie?

– Tak, ale się zamknął.

– Jak szczeżują.

– Zaraz potem wyszliśmy.

Myron poprawił się na krześle.

– Jak mówił?

– Jak to jak?

– Znaleźliśmy go w Londynie. Nie wiemy, jak długo tam mieszkał – wyjaśnił. – Wychwyciliście coś w jego akcencie?

– Dobrze pytanie – rzuciła Ema. – Mówił niby z amerykańskim, ale... – Spojrzała na Mickeya.

Ten przejął pałeczkę.

– Coś w nim jest nie tak. Nie wiem dokładnie co. To nie jest akcent kogoś, kto wychował się w Stanach. Ale i nie w Anglii.

Myron próbował to rozgryźć, lecz nie mógł. Zaczął z innej beczki.

– Co robiliście przez cały ten czas?

– Jedliśmy pizzę – odparła Ema.

– Oglądaliśmy film – dodał Mickey.

– Graliśmy na kompie.

– Gadaliśmy.

– Aha, Patrick miał dziewczynę – przypomniała sobie Ema. – Tylko że nie stąd.

– Dziewczynę? – powtórzył Myron.

– Tak powiedział, ale zaraz się zamknął. Jakby, no wiesz, jakby chciał się tylko pochwalić.

– Jak chłopak, który przyjeżdża do innego miasta i mówi, że ma dziewczynę w Kanadzie.

– Ale nie zrozum nas źle – dodała Ema. – Był bardzo miły. Wszyscy rozmawiają o tych rzeczach... Nie wiem, był po prostu normalny.

Mickey potwierdził to skinieniem głowy.

– Wielkie dzięki. Bardzo mi pomogliście.

– Jeszcze nie skończyliśmy – powiedziała Ema.

Myron uniósł brwi.

– Wgrałem mu keyloggera – oznajmił Mickey.

– Co wgrałeś?

– Program, który rejestruje ruch klawiszy klawiatury. Będziemy wiedzieli, co pisze na kompie. Maile, fejs, wszystko.

– Rany! Kto to monitoruje?

– Łycha.

Łycha był drugim przyjacielem Mickeya – zakładając, że Ema była tylko przyjaciółką – kimś, kogo nazywano kiedyś (być może nazywają ich tak i teraz) nerdem, maniakiem komputerowym, gikiem albo dorkiem. Był także bardzo dzielny chłopakiem.

– Co u niego słychać?

Mickey uśmiechnął się.

– Znowu chodzi.

– I wszystkich wkurza – dodała Ema. – Da nam znać, jeśli zauważy coś ważnego.

Myron nie wiedział, co powiedzieć. Nie podobało mu się, że troje nastolatków przekroczyło pewną granicę etyczną, lecz nie był w nastroju do wygłaszania

wykładu na temat prawa do prywatności. No i nie chciał stracić takiej okazji. Cienka sprawa. Patrick mógł nie być Patrickiem. Mógł wiedzieć, gdzie jest Rhys. Ale czy można usprawiedliwiać tym szpiegowanie nastolatka? Czy to w ogóle legalne?

Gdybyście należeli do tych, którzy wiedzą na pewno, co w tej sytuacji zrobić – szpiegować czy nie szpiegować, bez wyrzutów sumienia i zastrzeżeń – Myron doszedłby do wniosku, że jesteście cokolwiek podejrzani.

Życie nie jest aż tak czarno-białe.

– Jeszcze coś – rzuciła Ema.

– No?

Zerknęła nerwowo na Mickeya.

– No? – powtórzył Myron.

Chłopak dał jej znak. Ema westchnęła i wyjęła małą plastikową torebkę podobną do tych, do jakich wkłada się przybory toaletowe przed kontrolą na lotnisku.

– Proszę.

Podąła ją Myronowi. Ten podniósł ją do światła. W środku była szczoteczka do zębów i kosmyk długich włosów. Położył torebkę na stole i odczekał chwilę.

– Czy to...

Ema kiwnęła głową.

– Szczoteczkę wzięłam z jego łazienki. Potem zeszłam po cichu na dół i wyskubałam włosy ze szczotki Franceski.

Myron milczał. Siedział i patrzył na torebkę.

Mickey wstał. Ema też.

– Pomyśleliśmy, że można by zrobić badanie DNA.

Jesteśmy w domu.

Tylko my dwaj, Gruby Gandhi i *moi*. Zorra pilnuje drzwi. Towarzysze podróży Gandhiego – dwóch „graczy”, których Myron widział w Londynie, i na pierwszy rzut oka niepełnoletni młodzieniec – też są na zewnątrz.

– Pański znajomy Zorro... – zaczyna grubas.

– Zorra.

– Słucham?

– Ma na imię Zorra, nie Zorro.

– Nie chciałem go urazić.

Milczę. Po prostu na niego patrzę.

– Zaparzyłem herbatę – mówi Gandhi.

Nie tykam filiżanki. Myślę o tym młodym mężczyźnie, tym prawdopodobnie małoletnim. Bohaterowie filmów często mówią: „To tylko inTerese”. Nie do końca w to wierzę. Każdego człowieka, złego czy dobrego, ciągnie do tego, co go ciekawi. Na przykład większość dilerów narkotykowych raczy się swoim towarem. Aktorzy i aktorki filmów porno, których poznałem, mają skłonności do pornografii. Specjaliści od brutalnych wymuszeń rzadko kiedy wzdrygają się na myśl o katowaniu ludzi czy mają awersję do krwi. Przeciwnie, większość z nich się tym delektuje.

À propos: na swoją rolę w tej sprawie patrzę bez cienia ironii.

Co chcę przez to powiedzieć? Gruby Gandhi może sobie mówić, że chodzi mu tylko o inTerese i pieniądze, ale chyba mu nie wierzę. Podejrzewam, że para się tym procederem z powodów osobistych i bardzo niesmacznych.

Dlatego zastanawiam się, czy nie powinienem czegoś z tym zrobić.

– Nie mogę oddać panu syna pana kuzynki, ponieważ go nie mam – oświadcza.

– Wielka szkoda – odpowiadam.

Grubas ucieka wzrokiem w bok. To dobrze. Boi się Zorry. Boi się mnie. Jak sam mówił, nie chce spędzić reszty życia, oglądając się przez ramię. Między innymi dlatego jestem zwolennikiem zdecydowanego, niewspółmiernie surowego odwetu. Mój następny przeciwnik zastanowi się dwa razy.

– Gdzie on jest? – pytam.

– Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

– Ale Patricka Moore’a pan przetrzymywał.

– Tak, to prawda. To jednak nie było tak, jak pan myśli.

Grubas pochyla się i bierze filiżankę.

– Jak długo Patrick u pana pracował?

– Właśnie o to chodzi. – Gandhi wypija łyk herbaty. – On wcale nie pracował.

Zakładam nogę na nogę.

- Jaśniej proszę.
- Zabił pan moich ludzi. Trzech...
- Wciąż chce pan, żebym się do tego przyznał?
- Nie, nie, opowiadam pewną historię. Zaczynam od początku.

Siadam wygodniej i daję mu znak, żeby kontynuował. Grubas nie trzyma filiżanki za delikatne uszko. Obejmuje ją ostrożnie obiema rękami, jak rannego ptaszka.

- Nie spytał ich pan, dlaczego zaczepili Patricka Moore'a, prawda?
- Nie było czasu – odpowiadam.
- Może. A może zareagował pan zbyt mocno?
- Ja albo oni.

– Słusznie. Słusznie. Ale odbiegamy od tematu. Opowiem panu, co się stało. Potem zdecyduje pan, co dalej. Zgoda?

Kiwam głową.

– Na naszym terenie pojawia się nagle obcy chłopak, Patrick Moore. Rozumie pan to, panie Lockwood? Terytorialne właśnie?

– Proszę mówić dalej.

– Dowiadują się o tym moi ludzie. Możliwe, że ma pan rację i zareagowali zbyt gwałtownie, nie wiem. Nie było mnie tam. Ale takie mieli zadanie. Czasem lepiej jest zareagować w ten sposób, nauczyła mnie tego ulica.

Usprawiedliwia się dokładnie tak samo jak ja. Co wcale nie zbija mnie z tropu.

– Dlatego poszli go przepłoszyć. Podejrzewam, że chcieli zrobić pokazówkę, postraszyć innych. Wtedy pojawił się pan. Zachowywał się pan tak, jakby chciał go pan chronić. Ale proszę mi powiedzieć, co wtedy Patrick zrobił?

– Uciekł – odpowiadam.

– Właśnie, przyjacielu. Uciekł. Wszyscy uciekli, łącznie z Garthem.

– Z kim?

– Z młodzieńcem w psiej obroży.

– Ach, z tym.

– Garth, co oczywiste, natychmiast o tym zameldował. Meldunek dotarł do mnie. Zadzwoiłem do niego. Powiedział, że na naszym terenie pojawił się obcy chłopak i że jakiś zniewieściący dżentelmen wyciął w pień moich ludzi.

Unoszę brew.

– Zniewieściący?

– To jego słowa, panie Lockwood, nie moje.

Uśmiecham się. Wiem, że grubas kłamie, lecz puszczam to mimo uszu.

– Proszę mówić dalej.

– Zapewne domyśla się pan, że mnie to zastanowiło. Trzech ludzi ginie z powodu drobnego zatargu. Nie wiem, jak w Ameryce, ale tutaj takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Doszedłem do wniosku, że ktoś, czyli pan, panie Lockwood, chce wypowiedzieć mi wojnę. Że ten chłopak, Patrick Moore, należy do spisku i współpracuje z panem, żeby sprawdzić moje zdecydowanie i siłę. Rozumie pan?

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie do końca wiedziałem, o co właściwie chodzi. Moje uliczne, że tak powiem, dochody nie są aż tak duże. Rozesłałem czujki i kazałem im go znaleźć. Tego Patricka. Garth twierdził, że chłopak mówił z amerykańskim akcentem, co jeszcze bardziej zbiło mnie z tropu. Polują na mnie Amerykanie? Dlaczego? Ogłosiłem alarm. – Grubas odstawia filiżankę. – Czy mogę być nieskromny?

– Proszę.

– Jestem królem londyńskich ulic. A przynajmniej królem tego szczególnego rynku. Znam wszystkie hotele. Wszystkie burdele. Znam schroniska, dworce kolejowe i środki transportu publicznego, w których ukrywa się młodzież. Znam wszystkie parki, alejki i ciemne zaułki. Nikt nie znajdzie zaginionego nastolatka szybciej niż pański uniżony sługa. Moi podwładni są pod tym względem dużo lepsi niż stróże porządku publicznego.

Grubas wypija łyk herbaty, głośno cmoka i odstawia filiżankę.

– Tak więc ogłosiłem alarm. Wkrótce odezwał się jeden z moich ludzi: namierzył Patricka w małym hotelu. Chłopak chciał wynająć pokój i zapłacił gotówką. Wysłałem tam kilku bardziej doświadczonych pracowników... tych w bojówkach, zapewne zwrócił pan na nich uwagę... żeby go zatrzymali. Co też zrobili. Schwytali go i przyprowadzili do salonu gier.

Gruby Gandhi znów sięga po filiżankę.

– Był sam, kiedy go zatrzymali? – pytam.

– Tak.

Rozważam to przez chwilę.

– Czy pana ludzie go znali?

– Nie.

– Niech pan kontynuuje.

– Proszę mnie zrozumieć. Myślałem, że ten młody Amerykanin chce przeszkodzić mi w inTeresech, a nawet wygryźć mnie z branży.

Kiwam głową.

– Więc potraktował go pan jak wroga.

Gruby Gandhi uśmiecha się z ulgą.

– Właśnie. Rozumie pan to?

Milczę.

– Potem go... przesłuchałem.

Składałem to wszystko w całość.

– A on powiedział wam, kim jest i że go uprowadzono – zgaduję.

– Tak.

– I co pan zrobił?

– To, co zawsze. Przeprowadziłem wywiad.

Przypominają mi się słowa Myrona, ten hinduski aforyzm.

– Lepiej jest wiedzieć, niż dyskutować – mówię.

To wytrąca grubasa z równowagi.

– Hm, tak, właśnie.

– I czego się pan dowiedział?

– Udało mi się potwierdzić jego słowa i miałem dylemat. Z jednej strony, mogłem przekazać go władzom. „Uratować” go i zostać bohaterem.

Kręcę głową.

– Ale wtedy znalazłby się pan na ich celowniku.

– Właśnie. Bohaterowie noszą tarcze na plecach.

– Więc postanowił pan zażądać okupu.

– Nie chciałem tego robić, naprawdę. Nie jestem porywaczem. Poza tym wciąż nie rozumiałem, kto i co mi grozi. Dlatego powiem szczerze: nie miałem pojęcia, jak zareagować.

Już wszystko rozumiem.

– I wtedy pojawił się Myron.

– Tak. Znalazł w parku Gartha. Kazałem chłopakowi przyprowadzić go do mnie. Pomyślałem, oto okazja. Mogę zarobić. Pozbyć się Patricka. I pomścić moich ludzi.

– A ten drugi chłopak w celi? – pytam. – Rozumiem, że był podstawiony.

– Tak, pasował wiekiem.

– Założył pan, że za dwóch dostanie pan więcej niż za jednego.

Grubas rozłożył ręce.

– Ciąg dalszy pan zna.

Fakt, lecz muszę coś jeszcze wyjaśnić.

– Zatem nigdy nie widział pan Rhysa Baldwina?

– Nie.

– I nie wie pan, gdzie może być?

– Nie. Ale proszę wysłuchać mojej propozycji.

Poprawiam się na krześle i zakładam nogę na nogę. Gestem ręki każę mu mówić dalej.

– Zapomni pan o mnie. A ja o panu. Wrócę do mojego dawnego życia. Z wyjątkiem jednego. Mam wielu informatorów. Mam liczne kontakty. I je wykorzystam. Tak jak wykorzystałem je, szukając Patricka Moore’a. Z tym, że teraz poszukam Rhysa Baldwina. Pod warunkiem że da się go znaleźć.

Zastanawiam się. Propozycja brzmi nieźle. Mówię to grubasowi. I widzę, że zalewa go fala ulgi. Dogadaliśmy się. Przynajmniej tymczasem.

– Jeszcze jedno – rzucam.

Gandhi czeka.

– Powiedział pan: „Pod warunkiem że da się go znaleźć”.

Grubas robi się niespokojny i próbuje nadrabiać miną.

– Rozumiem, że pytał pan Patricka, gdzie jest Rhys Baldwin.

Gandhi porusza się nerwowo na krześle.

– Szczerze mówiąc, nie interesowało mnie to.

– Ale pan spytał.

– Tak.

– No i?

Grubas patrzy mi prosto w oczy.

– Powiedział, że Rhys nie żyje.



Kampus Morningside na Uniwersytecie Columbia to zdumiewająco malownicze ustronie wtulone między Broadway i Amsterdam Avenue od zachodu i wschodu oraz Sto Czternastą i Sto Dwudziestą Ulicę od południa i północy. Wchodzi się tam przejściem College Walk przy Sto Szesnastej, które niczym ukryte w szafie wrota do Narni ze starzejącego się, do cna zurbanizowanego Manhattanu przenosi nas do idyllicznego zakątka pełnego bujnej zieleni, malowniczych kopuł, czerwonej cegły i dzikiego wina. Czujemy się tu bezpieczni, odizolowani od świata, i być może każdy, kto studiuje tu przez cztery lata, właśnie tak powinien się czuć.

Zajrzawszy do przewodnika po kampusie, Esperanza ustaliła, że Francesca Moore mieszka w sześciuosobowym studio w Ruggles Hall. Była siódma rano i na dziedzińcu panowała cisza. Do akademika wpuszczano tylko z legitymacją studencką, więc Myron czekał pod drzwiami. Żeby nie rzucać się w oczy, włożył czapkę baseballową i trzymał w rękach pudełko po pizzy.

Myron Bolitar, mistrz kamuflażu.

Gdy w końcu z akademika wyszedł jakiś student, szybko przytrzymał drzwi. Chłopak, który wziął go pewnie za dostawcę pizzy, nie powiedział ani słowa.

Mistrz kamuflażu Myron Bolitar wślizgnął się do środka.

Na korytarzach panowała grobowa cisza. Wszedł na pierwsze piętro i odszukał pokój 217. Przyjechał tak wcześnie z nadzieją, że, jak każdy student czy studentka, Francesca będzie jeszcze spała i obudzi się trochę zamoczona. Byłoby dobrze. Zaskoczyć ją i tak dalej. Owszem, przeszkodzi jej koleżankom, lecz uznał, że tego rodzaju straty uboczne są do przyjęcia.

Nie bardzo wiedział, na co właściwie liczy, ale macanie na oślep stanowiło podstawę jego „śledztwa”. Nie tyle z mozołem szukał igły w stogu siana, co nago i na bosaka wskakiwał na przypadkowo wybrany stóg i miotał się w nim jak szalony do chwili, gdy – Aj! – tę igłę znalazł.

Zapukał do drzwi. Cisza. Zapukał głośniejsze. Znowu nic. Ostrożnie przekręcił gałkę. Drzwi były otwarte. Zastanawiał się, czy po prostu nie wejść, ale nie. Dorosły, w dodatku obcy, w akademiku? Niezbyt mądre posunięcie. Zapukał jeszcze raz i drzwi się wreszcie otworzyły.

– Pan Bolitar?

To nie była Francesca Moore. Tylko Clark Baldwin.

– Cześć, Clark.

Młody Baldwin był w kilka rozmiarów za dużym podkoszulku i kraciastych szortach, które nawet ojciec Myrona uznałby za staromodne. Miał zaczerwienione oczy i był blady.

– Co pan tu robi? – zapytał.

- Mógłbym spytać cię o to samo.
- Ja tu studiuję. I mieszkam.
- Ach, tak... Mieszkasz z Francescą?
- W studio jest kilka pokoi, ale tak, w sumie tak.
- Nie wiedziałem.
- Bo niby skąd?

Fakt.

- Jest nas sześcioro - ciągnął Clark, chcąc wyjaśnić sytuację albo się usprawiedliwić. - Trzech chłopaków i trzy dziewczyny. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Koedukacyjne akademiki, koedukacyjne pokoje, transgenderowe łazienki, wszystko tu jest.

- Mogę wejść? - spytał Myron.

W głębi pomieszczenia rozległ się męski głos.

- Co tam się dzieje?

- Nic, nic - odparł Clark. - Śpij, Matt. - Wyślizgnął się na korytarz i cicho zamknął drzwi. - Po co pan przyszedł?

- Chcę porozmawiać z Francescą.

Przez twarz chłopaka przebiegł cień.

- O czym?

- O końcowym egzaminie z ekonomii - odparł Myron. - Mówią, że będzie jatka.

Clark skrzywił się.

- To ma być zabawne?

- Cóż, czasem przychodzą mi do głowy lepsze teksty, ale...

- Mama mówi, że pan i jej kuzyn Win szukacie Rhysa.

- To prawda.

- Ale Francesca nic na ten temat nie wie.

Myron oszczędził mu metafory ze stogiem siana.

- Może wiedzieć więcej, niż myśli.

- Powiedziałyby mi.

Cierpliwości, pomyślał Myron. Skoro stoisz przed stogiem siana, przetrzep go porządnie, zanim przejdiesz do następnego. Albo coś w tym stylu. Krótko mówiąc, spokojnie z nim pogadaj.

- Musicie się bardzo lubić.

- Jest moją przyjaciółką.

- Wychowywaliście się razem?

- Tak. Ale nie tylko dlatego.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi. Z pokoju wyszedł jakiś chłopak, chwiejnym krokiem, jakim może chodzić tylko zbyt wcześnie obudzony student.

- Ona jedna to ogarnia - dodał Clark. - Rozumie pan?

Myron też to „ogarniał”, lecz udał, że tak nie jest.

- Powiedzmy, że nie - odparł.

- Byliśmy dziećmi. Chodziliśmy do piątej klasy.

- Tak, pamiętam. Uczył was pan Hixon.

– Dixon.

– Tak, przepraszam. Mów dalej.

Clark przełknął ślinę i potarł policzek.

– No więc byliśmy dziećmi. I chyba przyjaciółmi, ale nie chodziliśmy ze sobą, nic z tych rzeczy. Wie pan, jak to jest, kiedy ma się tyle lat.

Myron kiwnął głową.

– Chłopcy trzymają się z chłopcami, dziewczynki z dziewczynkami.

– Właśnie. Ale potem... Nasi bracia zniknęli. Nagle, o tak. – Clark strzelił palcami. – Przepadli jak kamień w wodę. Wie pan, jak to na nas podziało?

Myron nie był pewny, czy jest to pytanie retoryczne, czy nie. W korytarzu cuchnęło zwietrzałym piwem i studencką tremą. Na ścianie wisiała tablica ogłoszeń z ulotkami reklamującymi spotkania wszelkich maści grup i klubów, od badmintona poczynając, po taniec brzucha, klub dyskusyjny myśli feministycznej i zespół instrumentów dętych drewnianych. Widniały tam również nazwy, które Myronowi nic nie mówiły, takie jak Orchesis, Gayaa czy Taal. I kto to są Jadowici Step-Teamowcy?

– Znika twój brat i przez jakiś czas siedzisz w domu, nie chodzisz do szkoły – mówił Clark nieobecny głosem. – Nie pamiętam już, ile to u mnie trwało. Tydzień? Miesiąc? Nie mogę sobie przypomnieć. Ale w końcu trzeba wrócić i kiedy wracasz, wszyscy gapią się na ciebie jak na stwora z obcej planety. Koledzy. Nauczyciele. Wszyscy. Po lekcjach idziesz do domu i jest jeszcze gorzej. Rodzice są w totalnej rozsypce. Chodzą za tobą krok w krok, bojąc się, że ciebie też stracą. Więc chcesz uciec do swojego pokoju, ale po drodze przechodzisz obok jego drzwi. Codziennie. Żyjesz dalej, ale jakbyś nie żył. Próbujesz zapomnieć i jest ci jeszcze gorzej. Chcesz wyjść z cienia, ale widzisz smutną twarz matki i znowu cię to dobija.

Clark spuścił głowę.

Ciągle jesteś małym chłopcem, pomyślał Myron. Nie wiedział, jak powinien zareagować, i w końcu położył mu rękę na ramieniu.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Że jesteś ze mną szczery. To musiał być koszmar.

– Tak, ale nie w tym rzecz. Dzięki niej było mi łatwiej.

– Dzięki Francesce?

– Tak. Miałem kogoś, kto nie tylko mówił, że mnie rozumie. Miałem kogoś, kto naprawdę rozumiał.

– Bo przeżywała to samo.

– Właśnie.

– I vice versa – dodał Myron. – Ona też kogoś miała.

– Chyba tak. Rozumie pan?

Przyjaźń zrodzona z tragedii – prawdopodobnie najsilniejsza ze wszystkich.

– Oczywiście.

– Ujawniłem się przed nią wcześniej niż przed rodzicami, ale ona już wiedziała. Rozmawialiśmy o wszystkim.

– Masz szczęście, że ją spotkałeś.

– Nie wie pan nawet jakie.

Myron zwlekał z zadaniem następnego pytania.

– A jak jest teraz, po powrocie jej brata? – spytał wreszcie.

Clark milczał.

– Jej brat wrócił, a twój nie. Coś się między wami zmieniło?

– Jej tu nie ma – odparł cicho Clark.

– A gdzie jest?

– Chyba w domu.

– Myślałem, że wczoraj ją odwiozłeś.

– Kto panu powiedział? – Clark omal nie warknął. – No tak, pana bratanek. Był tam.

Myron czekał.

– Chłopaki z Delta Kappa Alpha robili imprezę. Wiem, że głupio to brzmi, bo wrócił jej brat, i tak dalej. Ale ostatnio Francesca jakby się pogubiła, jest ciągle zdenerwowana. Nie, nie, niech pan dobrze mnie zrozumie. Strasznie się ucieszyła z powrotu Patricka, nie spuszczała go z oczu, przynajmniej początkowo. Ale teraz zaczyna mieć chyba coś w rodzaju klaustrofobii. Rozumie pan?

– Tak – odparł Myron. – To naturalne.

– Przesłała mi SMS-a, żebym ją stamtąd zabrał.

– I przywiozłeś ją tutaj?

– Tak. Poszliśmy na tę imprezę. Wymknęła się trochę spod kontroli, ale bywało gorzej. Piliśmy. Chyba za dużo. Nie wiem. W każdym razie Francesca się posypała.

– To znaczy?

– Rozpląkała się. Spytałem, o co chodzi. Ale tylko pokręciła głową. Wyprowadziłem ją na dwór, żeby odetchnęła świeżym powietrzem. Wtedy rozpląkała się na dobre.

– Mówiła coś?

– Szlochała, powtarzała, że to nie fair, to nie fair.

– Ale co?

Clark wzruszył ramionami.

– Że jej brat wrócił, a mój nie.

Cisza.

– I co jej powiedziałaś?

– Że cieszę się jej szczęściem. Że powrót Patricka to wspaniała wiadomość i mój brat też się na pewno znajdzie. Ale ona ciągle płakała. A potem powiedziała, że musi go zobaczyć. Przekonać się, że to prawda. Że to nie sen. Ja to rozumiem, a pan?

– Jasne.

– Mnie też ciągle się to śniło. Że Rhys wraca i jest tak jak dawniej, jakby nic się nie stało. Zaproponowałem, że ją odwiozę, ale nagle patrzę, podjeżdża uber. Francesca wsiadła i powiedziała, że niedługo zadzwoni.

– I zadzwoniła?

– Nie. Ale to było kilka godzin temu. Ona nic nie wie, panie Bolitar, nic a nic.

• • •

Nie było sensu jechać do Moore’ów. Nancy i Hunter i tak nie pozwoliliby jej przesłuchać. Poza tym Myron miał inne plany.

Kiedy skręcił na podjazd, ojciec już na niego czekał. Pojechali na śniadanie do Eppes Essen, połączonej z delikatesami „żydowskiej” (według ulotki) restauracji na drugim końcu miasta. Zamówili to samo: słynną kanapkę Sloppy Joe. Wielu z was nazwa ta kojarzy się zapewne z bułką z mielonym mięsem (zakładając, że naprawdę mięso) sprzedawaną w szkolnej stołówce. Ale ten Sloppy Joe był inny. Ten był prawdziwy. W Eppes Essen podawano autentycznego Sloppy Joego-wielkoluda, złożonego z trzech warstw monstrum z żytniego chleba z co najmniej trzema rodzajami mięsa – u nas był to indyk, pastrami i peklowana wołowina – z pikantnym sosem rosyjskim oraz surówką z białej kapusty z majonezem.

Tata spojrzął na talerz i z uznaniem kiwnął głową.

– Gdyby Bóg stworzył kanapkę...

– Powinni zrobić z tego hasło reklamowe – zgodził się z nim Myron.

Zjedli, zapłacili, pojechali do szkoły i weszli na salę w chwili, gdy obie drużyny wybiegły na boisko na rozgrzewkę. Wśród zawodników wypatrzyli Mickeya. Jego zespół grał tego dnia ze swoim największym rywalem, liceum z Millburn.

– Pamiętasz, jak grałeś z nimi w trzeciej klasie? – spytał ojciec.

Myron uśmiechnął się.

– O tak.

Ponieważ jego drużyna prowadziła zaledwie jednym punktem, ci z Millburn chcieli załatwić ich w ostatnich dwóch sekundach meczu. Gdy wyrobiwszy sobie dobrą pozycję, jeden z ich koszykarzy wykonał zwycięski rzut, kryjący go Myron jakimś cudem przeskoczył nad nim i przygwoździł piłkę do kosza. Rywale podnieśli krzyk, twierdząc, że zbił ją dokładnie znad „komina”, co jest błędem, za który przyznaje się punkty przeciwnikowi. Na szczęście sędzia nie zainterweniował. Po dziś dzień, ilekroć Myron spotykał tych, którzy grali wtedy w Millburn, ci dobrodusznie skarżyli się na tę niesłuszną, ich zdaniem, decyzję.

Ach, ta koszykówka.

Na mecz przyszła kupa ludzi. Kiedy Myron szedł wzdłuż bocznej linii boiska, niektórzy pokazywali go palcami i coś szeptali. Witaj, celebryto miejscowej ligi młodzieżowej! Kilku podeszło się przywitać, dawni nauczyciele, sąsiedzi, ci, którzy chodzą na każdy mecz, nawet jeśli nie grają już w nim ich dzieci.

Stojący przy linii rzutów wolnych Mickey zauważył ich i pomachał ręką. Dziadek odmachał mu i zaczął wchodzić na trybuny. Zawsze siadał w ostatnich rzędach. Nie lubił być w centrum uwagi. Nigdy nie krzyczał, nie wołał, nie udzielał „trenerskich” wskazówek, nigdy nie bluzgał na sędziów ani nie narzekał. Czasem klaskał. Podekscytowany, podczas ważnego meczu, kiedy Myron zdobywał punkt, mógł co najwyżej powiedzieć: „Ładne podanie, Bob” albo coś w tym rodzaju. Stronił od pochwał i nigdy nie kibicował synowi. Po prostu nie,

taki już był. Kiedyś powiedział „Gdybym ci kibicował, aby pokazać, że jestem z ciebie dumny, znaczyłoby to, że zrobiłem coś nie tak”.

Łatwo ulegający nostalgii Myron cofnął się myślą do tych dawno minionych dni, kiedy rozgrzewając się przed meczem, on też patrzył, jak ojciec wchodzi na trybuny. Pokonywał po dwa stopnie naraz, oczywiście wtedy, bo już nie teraz. Teraz miał mniej pewne ruchy, powłóczył nogami. Często odpoczywał. Krzywił się i brakowało mu tchu. Myron wyciągnął rękę, żeby mu pomóc, ale ojciec pokręcił głową.

– Czuję się świetnie. To tylko kolano.

Rzecz w tym, że świetnie nie wyglądał.

– Dobrze, tato.

Usiedli w ostatnim rzędzie, tylko we dwóch.

– Lubię tu siedzieć – wysapał ojciec.

Myron kiwnął głową.

– Myron?

– Tak?

– Nic mi nie jest.

– Wiem.

– Mama i ja starzejemy się, to wszystko.

W tym problem, pomyślał Myron. Rozumiał to – wszystko ma swoją porę, tur-tur, ziemia obraca się, wyznaczając cykl życia – co jednak nie znaczyło, że musi mu się to podobać.

Ryknęła syrena. Zawodnicy skończyli rozgrzewkę i podeszli do swoich ławek. Jak nakazują obowiązujące w każdej szkole przepisy, spiker zaczął od odczytania stanowych zasad sportowego zachowania.

„Zabronione są wrogie komentarze, gesty i czyny zawodników oraz trenerów, w tym szydzenie, podjudzanie, dokuczanie, ruganie, dogadywanie oraz wszelkie działania mające na celu wyśmianie czy zawstydzenie zawodników drużyny przeciwnej. Wszelkie zachowania werbalne, pisemne czy fizyczne dotyczące rasy, płci, pochodzenia etnicznego, ułomności, orientacji seksualnej czy wyznawanej religii są surowo zabronione i mogą doprowadzić do wykluczenia sprawcy z dalszej gry oraz ukarania jego drużyny punktami karnymi. Kara zostanie wymierzona natychmiast i bez ostrzeżenia. Obowiązek przypominania kolegom o powyższych zasadach jest obowiązkiem każdego z was”.

– Zło konieczne – mruknął ojciec. I wskazując miejsce, gdzie siedzieli inni ojcowie, dodał: – Ale tych dupków to nie powstrzyma.

Mickey uczył się tu krótko, więc nie obyło się bez kontrowersji. Przyjęto go do drużyny – co jeszcze przed kilkoma tygodniami wydawało się mało prawdopodobne – mimo to resentymenty pozostały. Między najgłośniejszymi ojcami Myron dostrzegł Eddiego Taylora, swoją dawną nemezis i kolegę z drużyny, obecnie szefa miejscowej policji. Taylor, który jeszcze go nie zauważył, spoglądał groźnie na Mickeya.

Myronowi to się nie podobało.

Patrzył na Taylora, aż ten poczuł na sobie jego wzrok, i obejrzał się. Przez chwilę łypali na siebie spode łba.

Myron przekazał mu wzrokiem wiadomość: Masz problem, gap się na mnie, a nie na mojego bratanka.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradził mu ojciec. – Jak to mówią dzisiejsze dzieciaki? To wypierdek mamuta. Zawsze za takiego uchodził.

– Wypierdek mamuta? – Myron wybuchnął śmiechem.

– Tak.

– Kto cię tego nauczył?

– Ema. Lubię ją. A ty?

– Bardzo.

– To prawda? – spytał ojciec.

– Co?

– Że jej matką jest Angelica Wyatt?

To miała być tajemnica. Angelica Wyatt była jedną z najpopularniejszych aktorek na świecie. Żeby ochronić swoje jedyne dziecko i rodzinną prywatność, przeprowadziła się do dużej rezydencji na wzgórzu w New Jersey.

– Prawda.

– I ty ją znasz?

Myron kiwnął głową.

– Trochę.

– Kto jest ojcem Emy?

– Nie wiem.

Tata wyciągnął szyję.

– Dziwne, że jej nie ma.

Rozpoczął się mecz. Myron był w siódmym niebie. Siedzieć obok ojca, widzieć, jak bratanek króluje na boisku w grze, którą Myron tak kochał – uczucie proste, prymitywne i jakże błogie. Niczego już nie żałował. Tak, brakowało mu tego, oczywiście, ale minęło tyle lat. Poza tym, o rany! Jak on lubił patrzeć na Mickeya, na to, jak chłopak cieszy się grą.

Znowu się rozczulił.

W pewnej chwili, kiedy Mickey zdobył punkt z wysokoku z obrotem, ojciec powiedział:

– Jest naprawdę dobry.

– Fakt – przyznał Myron.

– Gra jak ty.

– Lepiej.

Ojciec zastanowił się.

– Inna epoka. Nie wiem, czy zajdzie tak daleko jak ty.

– Hm... Dlaczego tak myślisz?

– Jak by to powiedzieć... – zaczął ojciec. – Dla ciebie koszykówka była wszystkim.

– On też jest bardzo zaangażowany.

– Na pewno. Ale nie na sto procent. Jest różnica. Spytałem cię o coś.

– Wal.

– Gdybyś miał spojrzeć wstecz na tamte lata, jak ocenilibyś swoje sportowe ambicje?

Mickey odebrał przeciwnikowi piłkę. Tłum zaczął wiwatować. Myron nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Były szalone. Odbijało mi.

– Koszykówka była dla ciebie ważna.

– Absurdalnie.

Ojciec uniósł brew.

– Zbyt ważna?

– Prawdopodobnie tak – odparł Myron.

– I właśnie to różniło cię od innych utalentowanych zawodników. To... „Pragnienie” to chyba za słabe słowo. Ten „przymus” wygrywania. To całkowite skupienie na jednym celu. Dlatego byłeś najlepszy.

Winn też tak o nim mówił, o jego grze na uniwerku: „Grając, niemal odchodzisz od zmysłów...”.

– Ale teraz patrzysz na to z perspektywy – ciągnął ojciec. – Przeżyłeś tragedie i radości, które nauczyły cię, że są w życiu rzeczy ważniejsze niż koszykówka. Nie zrozum mnie źle, ale Mickey za szybko dorósł. Wycierpiał dużo więcej niż jego rówieśnicy.

Myron kiwnął głową.

– On już teraz patrzy na to z perspektywy – zauważył.

– Właśnie.

Ryknęła syrena, skończyła się pierwsza kwarta. Drużyna Mickeya prowadziła sześcioma punktami.

– Kto wie – powiedział Myron. – Może dzięki tej mądrości będzie lepiej grał. Może właściwa perspektywa jest równie dobra jak całkowite skupienie się na celu.

Ojcu to się spodobało.

– Może i tak.

Krótką naradą i koszykarze z zespołu Mickeya wyszli na boisko, aby rozpocząć drugą kwartę.

– Nie znoszę sportowych metafor – odezwał się ojciec – ale obaj nauczyliście się tu czegoś, co przenieśliście do prawdziwego życia.

– Czego? – spytał Myron.

Ojciec wskazał boisko. Mickey przebił się za linię rzutów za trzy punkty, ściągnął na siebie obrońcę, podał piłkę koledze z drużyny, a ten bez trudu wpakował ją do kosza.

– Umiecie zrobić tak, że ludzie stają przy was na palcach.

Myron umilkł. Na twarzy bratanka widział minę, którą dobrze znał. Boisko to zen, spokój podczas burzy, czystość i koncentracja, umiejętność spowalniania czasu. Nagle Mickey zerknął w lewo. Na sekundę przystanął. Myron poszedł za jego wzrokiem, żeby sprawdzić, co przykuło jego uwagę.

Do sali weszła Ema.



Zmrużyła oczy i popatrzyła na trybuny. Myron pomachał do niej. Dziewczyna skinęła głową i ruszyła w ich stronę. Myron wstał i wyszedł jej na spotkanie.

– Co się stało?

– Patrick – odparła Ema. – Chodźmy.

• • •

Nie zaprowadziła go daleko, bo tylko do biura szefa dozorców w głównym budynku szkoły. Otworzyła drzwi i przepuściła go przodem. Myron wszedł i rozpoznał siedzącego za biurkiem chłopaka.

– Dzień dobry, panie Bolitar!

Nazywali go Łychą. To Mickey nadał mu ten przydomek, choć Myron nie wiedział dlaczego. Ojciec Łychy odpowiadał za konserwację i utrzymanie pomieszczeń szkolnych, co tłumaczyło, dlaczego Łycha miał tu wstęp. Gabinet był mały, ładnie urządzone i pełny równiutko przyciętych roślin.

– Miałeś mówić mi po imieniu.

Chłopak odwrócił się z fotelem twarzą do niego. W kieszeni na piersi nie nosił co prawda sześciu długopisów i mazaków, lecz wyglądał na takiego, który powinien je nosić. Palcem wskazującym prawej ręki poprawił okulary à la Harry Potter i uśmiechnął się krzywo.

– Widział pan te naklejki na owocach w supermarkecie?

Ema westchnęła.

– Nie teraz, Łycha.

– Tak, widziałem – odparł Myron.

– Zdejmuje je pan przed zjedzeniem owocu?

– Tak.

– A wie pan, że są jadalne?

– Nie, nie wiedziałem.

– Nie trzeba ich zdejmować. Nawet klej jest jadalny.

– Dzięki za informację – powiedział Myron. – Po to mnie tu ściągnąłeś?

– Nie, nie. Chciałem panu powiedzieć, że Patrick Moore wyjdzie zaraz z domu.

Myron podszedł do biurka.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiał z kimś na Skypie, właśnie skończył. – Łycha odchylił się w fotelu.

– Wie pan, że główna siedziba Skype’a mieści się w Luksemburgu?

Ema przewróciła oczami.

– Z kim rozmawiał? – spytał Myron.

– Tego nie wiem.

– O czym rozmawiali?

– Tego też nie wiem. Keylogger zainstalowany przez moją uroczą współpracownicę... – wskazał Emę, która miała ochotę go kopnąć – robi tylko jedno: zapisuje, czyli rejestruje, uderzenia klawiszy. Stąd wiem, że Patrick Moore z kimś skype’ował. Nie wiem jednak, o czym rozmawiali.

– Więc skąd wiesz, że zaraz wyjdzie z domu?

– Prosta dedukcja, przyjacielu. Zaraz po rozmowie on albo ktoś, kto korzystał z jego laptopa, odwiedził stronę internetową Zarządu Transportu Stanowego. Szukał autobusów do Nowego Jorku.

Myron zerknął na zegarek.

– Kiedy to było?

Łycha spojrzął na swój duży i skomplikowany zegarek.

– Czternaście minut i jednaście, dwanaście, trzynaście sekund temu.

Z powodów, których Myron nigdy nie mógł zgłębić, Duża Cyndi była świetnym szpiegiem. Być może dlatego, że tak bardzo się wyróżniała i rzucała w oczy, nie wiadomo, w każdym razie nikt jej nie zauważał, tym bardziej nie podejrzewał, że śledzi go kobieta ubrana w fioletowy kostium Batgirl. Kostium, znacznie powiększona wersja tego, który nosiła Yvonne Craig w starym serialu telewizyjnym *Batman*, był obcisły jak celulozowa skórka parówki.

Jednak tego dnia znakomicie wtapiał się w tłum. Myron wypatrzył Cyndi, kiedy tylko wszedł na Times Square. Weźcie wszystkie oklepiane frazesy, jakimi możecie to miejsce opisać, wymieszajcie je i poukładajcie jeden na drugim – te o przelewających się falach kinetycznych ludzkości, o ruchu ulicznym, ogromniastych tablicach reklamowych, ruchomych ekranach i neonach – następnie podnieście je do dziesiątej potęgi.

Witajcie na Times Square!

Ten plac atakuje wszystkie zmysły, nie tylko węch, ale i smak. Wszystko się tu porusza i wiruje, jakby miało ADHD i potrzebowało silnego środka na uspokojenie.

Obok Człowieka Pajaka, Elmo, Myszki Miki, Buzza Astrala i bałwanka Olafa z *Krainy lodu* stała Duża Cyndi w pełnym kostiumie. Turyści ustawiali się w kolejce, żeby zrobić sobie zdjęcie ze słynną pomocnicą Batmana.

– Robię tu furorę, panie Bolitar! – zawołała.

– Jak wszędzie.

Cyndi chichotała, przybierając pozy, na widok których zaczerwieniłaby się nawet Madonna z czasów jej singla *Vogue*. Azjatycki turysta chciał jej zapłacić, lecz odmówiła.

– Och, dziękuję, ale nie mogę.

– Na pewno? – nie ustępował turysta.

– To jest występ dobroczynny. – Nachyliła się ku niemu. – Gdybym chciała zarobić, stanęłabym jak zwykle na rogu ulicy.

Azjata spieszenie odszedł.

Duża Cyndi spojrzała na Myrona.

– Tylko żartowałam, panie Bolitar.

– Wiem.

– Nigdy nie puszczałam się za pieniądze.

– Dobrze wiedzieć.

– Ale kiedy w tym kostiumie tańczyłam na rurze, zarabiałam kupę kasy.

– Uhm – mruknął Myron, nie chcąc przywoływać tych wspomnień.

– Skóra i Koronki. Pamięta pan?

– Pamiętam.

– Zgoda, kiedy występowałam jako tancerka erotyczna, sprawy wymykały się czasem spod kontroli. Ot, taki mały dwuznacznik...

– Dotarło – przerwał jej szybko Myron. – Więc gdzie jest Patrick? Wprowadzisz mnie w sytuację?

– Młody Patrick Moore wymknął się z domu dwie godziny temu. Przeszedł piechotą mniej więcej dwa kilometry, po czym wsiadł do autobusu numer czterysta osiemdziesiąt siedem. Trasa tego autobusu kończy się w zespole portowym Port Authority w Nowym Jorku. Wskoczyłam do samochodu i go wyprzedziłam. Zaczekałam, aż chłopak wysiądzie, i przyszedłam za nim tutaj.

– To znaczy gdzie? – spytał Myron.

– Tylko niech się pan gwałtownie nie odwraca, bo pana zobaczy.

– Dobrze.

– Stoi za panem, między Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud i galerią Ripley's Believe It or Not!

Myron odczekał chwilę.

– Teraz mogę?

– Tylko powoli.

Odwrócił się. Patrick stał na rogu Czterdziestej Drugiej. Przygarbiony, w naciągniętej na oczy czapce baseballowej, wyglądał tak, jakby chciał zniknąć.

– Rozmawiał z kimś?

– Nie – odparła Duża Cyndi. – Panie Bolitar?

– Tak?

– Czy czekając, mogłabym troszkę popozować? Publiczność wzywa.

– Śmiało, oczywiście.

Myron obserwował Patricka, nie mogąc jednocześnie nie patrzeć, jak Cyndi uwodzi tłum. Wróciła na stanowisko i trzydzieści sekund później ustawiła się do niej tak długa kolejka, że Nagi Kowboj zaczął krzywo na nią patrzeć. Cyndi zerknęła na Myrona, a on pokazał jej uniesione kciuki.

Prawda była prosta i straszna zarazem: patrząc na Dużą Cyndi, widziało się jedynie jej tuszę. Jako społeczeństwo jesteśmy bardzo przesądni, jednak niewielu naszych współobywateli stygmatyzujemy i osądzamy surowiej niż „duże” kobiety. Cyndi doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Pewnego razu opisała swój nieskrępowany styl życia tak: „Wolę widzieć na ich twarzach wyraz zaszokowania niż litości. Wolę, kiedy oburzeni nadrabiają bezczelnością, niż kiedy kurczą się ze strachu”.

Myron przeniósł wzrok na Patricka i właśnie wtedy podeszła do niego jakaś nastolatka.

Kto to, do diabła, jest?

Według Mickeya i Emy chłopak twierdził, że ma dziewczynę. Ale przecież ostatnio przetrzymywano go w Londynie, więc jakim cudem mógł poznać kogoś w Nowym Jorku?

Dobre pytanie.

On i dziewczyna objęli się niezdarnie na powitanie i poszli w stronę Ripleya. Do Myrona podbiegła Cyndi i kiedy ruszył do kasy, zatrzymała go, mówiąc:

– On pana zna.

– Pójdiesz? – spytał.

Palcem wielkości bagietki Duża Cyndi wskazała napis nad wejściem.

– To jest „galeria osobliwości”, więc kto, jeśli nie ja?

Trudno było z tym polemizować.

– Niech pan zaczeka przy wyjściu. Przyślę panu SMS-a.

Myron stał na ulicy godzinę, obserwując ludzi. Lubił obserwować ludzi. Wspaniałe widoki – zachody słońca, woda i zieleń – są cudowne, jednak po pewnym czasie przestaje się je zauważać. Tymczasem kiedy jest się w miejscu, gdzie można patrzeć na przechodzących obok ludzi – mężczyzn i kobiety wszystkich możliwych ras, rozmiarów i kształtów, mówiących wszystkimi możliwymi językami i reprezentujących wszelkie możliwe religie – nuda nie wchodzi w grę. Każdy jest w swoim wszechświecie – ma życie, marzenia, nadzieje, smutki i radości, niespodzianki i objawienia, każdy jest historią z początkiem, środkiem i końcem – nawet wtedy, kiedy po prostu mija cię na ulicy.

Zawibrowała komórka. Przyszedł SMS od Dużej Cyndi: **WŁAŚNIE WYCHODZĄ.**

Cyndi zawsze pisała wielkimi literami.

Patrick wyszedł ze spuszczoną głową. Dziewczyna przystanęła obok niego. W tle majaczyła Duża Cyndi.

Dziewczyna cmoknęła chłopaka w policzek. Potem on ruszył na zachód, oddalając się od Times Square, a ona na wschód. Rozdzielili się. Duża Cyndi spojrzała na Myrona, czekając na polecenia. Ten ruchem głowy wskazał Patricka i Cyndi poszła za nim, natomiast on zanurzył się w rzece ludzi, śledząc dziewczynę.

Ta skręciła w Siódmą Aleję, on za nią. Doszli aż do Pięćdziesiątej Dziewiątej, gdzie nastolatka skręciła w prawo, w Central Park South. Minęli hotel Plaza i Piątą Aleję poszli na północ. Dziewczyna szła krokiem równym i pewnym, bez wahania. Ze spostrzeżenia tego Myron wywnioskował, że musiała chodzić tędy wiele razy i najpewniej mieszka w Nowym Jorku.

Myron Bolitar, mistrz dedukcji. Ma wielki dar, lecz nie unikajcie go, bo da się lubić.

Nastolatka skręciła w Sześćdziesiątą Pierwszą Wschodnią. Przeciąwszy Park Avenue, wyjęła z torebki klucz. Stojący przed nią dom miał bramę z kutego żelaza. Otworzyła ją, zeszła schodkami na dół i zniknęła.

Dom w sąsiedztwie Park Avenue, pomyślał Myron. Dziewczyna pochodzi z bogatej rodziny.

I znowu: Myron Bolitar, mistrz dedukcji. Czy skaleczywszy się, naprawdę krwawi?

Przystanął, żeby zastanowić się, co dalej. Najpierw napisał SMS-a do Dużej Cyndi: **No i?**

Ta odpisała: **JEDZIE AUTOBUSEM. CHYBA WRACA DO DOMU.**

Myron: **Jestem mistrzem dedukcji, bardzo Ci dziękuję.**

Duża Cyndi: **ŻE CO?**

Myron: **Nieważne.**

Patrzył na drzwi z nadzieją, że się otworzą, a wtedy on...

A wtedy on co?

Podejdzie na ulicy do obcej dziewczyny i spyta ją o chłopaka, z którym spotkała się przed chwilą w interaktywnej galerii osobliwości? Nie był policjantem. Nie miał uprawnień, żadnych, najmniejszych. Byłby po prostu odrażającym facetem w średnim wieku, napastującym młode dziewczyny. Nie znał jej nazwiska. Nic o niej nie wiedział.

Nie, to bardzo zły ruch.

Wyjął komórkę i zadzwonił do Esperanzy.

– Co jest? – rzuciła.

– Mam tu adres w pobliżu Park Avenue.

– O la la! A ja mieszkam w dwupokojowym mieszkanku w Hoboken.

– Bardzo zabawne.

– Prawda? Dobra, dyktuj.

Myron podał jej adres.

– Mieszka tu pewna nastolatka. Śledziłem ją.

– Nie jesteś przypadkiem zaręczony?

– Ha, ha, ha. Spotkała się z Patrickiem. Muszę wiedzieć, kto to jest.

– Już się robi.

Komórka zadzwoniła, ledwo zdążył się rozłączyć. Spojrzał na ekran. Terese.

– Hej, piękna.

– Boże, aleś ty czarujący.

– Myślisz?

– Nie. I chyba dlatego jesteś tak cholernie seksowny. Zgadnij, co się stało.

Myron zawrócił. Zostawił samochód na zatłoczonym parkingu teatralnym na Times Square.

– No?

– Ci z telewizji odesłali mnie do domu prywatnym odrzutowcem.

– Rany, bomba!

– Jestem w Teterboro, przed chwilą wylądowałam.

– Dostałaś pracę?

– Niedługo się dowiem.

Myron przystanął na rogu ulicy. Iść po samochód czy złapać taksówkę?

– Więc jedziesz na Manhattan?

– Tak.

– Masz ochotę trochę poświntuszyć?

– Cofam moje słowa. Jesteś czarujący.

– To znaczy, że tak?

– Bezapelacyjnie.

– Nie widzisz tego, ale właśnie pędzę do samochodu.

– To pędź szybciej. – Terese się rozłączyła.

• • •

Zaparkował na podziemnym parkingu za Dakota Building. Kiedy ciemnym podjazdem ruszył na górę, drogę zasłono mu trzech mężczyzn. Tego w środku znał. Był to ojciec Rhysa, Chick Baldwin. Pozostali dwaj byli w dzinsach i flanelowych koszulkach. Obydwaj duzi, próbowali robić wrażenie jeszcze większych. Jeden miał w ręce kij baseballowy.

– Mówiłem, żebyś sobie odpuścił – zaczął Chick.

Myron westchnął.

– Ty na poważnie?

– Ostrzegłem cię, żebyś zapomniał o tych SMS-ach, prawda?

– Prawda.

– No i co?

– A ja cię nie posłuchałem – odparł Myron. – Moglibyśmy trochę szybciej? Spieszę się, mam plany. Bardzo miłe plany.

Chick przygładził ręką włosy.

– Myślałeś, że co? Że żartuję?

– Nie wiem, Chick, i szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Dobra, co dalej? – Myron wskazał osiłków we flanelowych koszulkach. – Te dwie małpy mają dać mi wycisk?

– Kogo nazywasz „małpami”? – warknęła małpa z kijem.

– Właśnie – zawtórowała mu ta nieuzbrojona. – To ty jesteś małpa, nie my!

Myron nie chciał wdychać, mimo to westchnął.

– Panowie, widzicie to? – Wskazał strop. Kiedy małpy spojrzały do góry, kopnął tę z kijem w krocze i wyrwał jej kij, zanim złożyła się wpół jak leżak na plaży. Potem przeniósł wzrok na tę drugą. Ta uznała, że najwyższy czas dać nogę, i zrobiła to z wielkim zapamię.

Myron spojrzał na męża Brooke.

– Nie musiałeś tego robić – powiedział Chick.

– Po co ich tu przyprowadziłeś?

– Żebyś zaczął uważać.

– Więc już uważam.

Chick podszedł do małpy, która miała kiedyś kij, aby pomóc jej wstać.

– Jesteś bardziej podobny do tego psychologa Wina, niż myślałem.

– Chick?

– Czego?

– Idę na wyjątkowe spotkanie. Dlatego jeśli staniesz mi na drodze, bez namysłu i najmniejszego wahania zdzielę cię tą pałą w łeb.

– No to idź – mruknął Chick.

Myron przyjrzał się mu i coś do niego dotarło.

– Aha. Jesteś zły, bo rozmawiałem o tych SMS-ach z Nancy Moore.

– Mówiłem ci, żebyś tego nie robił. Dosłownie błagałem.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Mogłeś dowiedzieć się o tym tylko w jeden sposób. Nancy ci powiedziała.

Myron Bolitar, mistrz dedukcji, znowu uderza.

Chick milczał. Myron podszedł do niego, postawił małą na nogi i kazał jej spadać. Ta zrobiła, co kazał, choć lekko utykając. Myron przeniósł uwagę na Chicka.

– Co znaczy – był teraz na fali – że o tym rozmawialiście. A to z kolei znaczy, że łączy was coś ważnego.

– Odpuść sobie, Myron. – Chick nie spuściłby bardziej nosa nawet wtedy, gdyby miał kwintę. – Błagam cię.

– A jeśli pomoże mi to znaleźć twojego syna?

– Nie pomoże. Inaczej rozgłosiłbym to wszem i wobec. Ale nie pomoże. Dlaczego mi nie wierzysz?

– Bo za głęboko w tym siedzisz. Nie jesteś obiektywny.

Chick zamknął oczy.

– Nie odpuścisz, co?

– Nie, nie odpuszczę. Co więcej, jeśli mi nie powiesz, porozmawiam z twoją żoną.

Mąż Brooke wzdrygnął się, jakby słowa te zacisnęły się groźnie w pięść.

– Musisz najpierw coś zrozumieć... – zaczął.

– Nic nie muszę, ale mów dalej.

– Kocham Brooke. Zawsze ją kochałem. I zawsze będę. Nasze życie nie jest idealne. Wiem, że ten psychol Win...

– Chick? – przerwał mu Myron.

– Co?

– Przestań go tak nazywać. To mój przyjaciel.

Chick kiwnął głową.

– Jak chcesz. Win mnie nienawidzi. Uważa Brooke za świętą...

Myron spojrział na zegarek.

– Już to mówiłeś.

– Ale nie powiedziałem wszystkiego. – Chick znowu zwiesił nos na kwintę. – Kocham moją żonę i rodzinę. Nie jestem ideałem. Kilka razy pograłem fatalnie. Kiedyś. To, że wciąż jestem człowiekiem, wynika z mojej miłości do bliskich. Do Brooke. Clarka. I Rhysa. Tylko to się liczy. – Zadrżała mu pierś, z oczu popłynęły łzy.

Rozszlochał się na dobre. Nie grał. Nie udawał, nie próbował tego ukryć. Rany boskie, pomyślał Myron. Bądź silny i skoncentrowany, ale pamiętaj: ten facet szuka zaginionego syna.

Kiedy Chick doszedł do siebie, znowu go przycisnął.

– Dlaczego do siebie pisaliście? Po co?

– Nie mieliśmy romansu.

– Więc dlaczego?

– Chcieliśmy mieć, w tym rzecz. Do niczego nie doszło. Ale mogło.

– Myślałem, że kochasz żonę.

– Ty nie jesteś żonaty, prawda?

– Tylko zaręczony – odparł Myron.

Chick wytarł twarz. Udało mu się nawet uśmiechnąć, choć przez łzy.



– Nie mamy czasu w to wchodzić. Ale jesteś dorosły i pewnie wiesz, że życie nie jest czarno-białe. Jest szare. Starzejemy się, coraz częściej myślimy o śmierci i sięgamy po coś nowego, nieważne, że głupiego. Tak jak my. Ja i Nancy. Flirtowaliśmy ze sobą. Flirt zaszedł za daleko. Zaczęliśmy robić wspólne plany, bo to normalna kolej rzeczy. Tak jak ze wszystkim na tym potwornym świecie, zamiast coraz lepiej, zawsze robi się gorzej. W końcu dochodzisz do granicy, którą albo przekraczasz, albo układ się wypala.

– A jak było u was?

– Układ się wypalił.

– Nie pociągnęliście tego dalej?

– Nie, przystopowaliśmy. W samą porę.

Myron zmrużył oczy.

– Konkretnie kto przystopował?

– My – odparł Chick. – Razem.

– Takich decyzji nie podejmuje się wspólnie.

– Oboje powoli w to weszliśmy, a potem oboje wyszliśmy.

– Kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy zrezygnowaliście?

– Nie wiem.

– Na długo przed porwaniem syna?

– To nie miało z tym nic wspólnego, już ci mówiłem.

– Kiedy, Chick?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Dlaczego tak bardzo się bałeś?

– Nie chciałem, żeby Brooke się dowiedziała.

– Poważnie? Nawet wtedy? Porywają ci syna, a ty martwisz się duperełami? Skłamałeś policji, nie wspomniałeś im o flircie.

– Musiałem myśleć nie tylko o sobie i mojej rodzinie.

– O Nancy Moore też? – spytał Myron.

– Spójrz na to z naszej perspektywy. Załóżmy, że powiemy policji. O flircie. Jak by zareagowali?

Myron nie zawracał sobie głowy odpowiedzią.

– Nie rozumiesz? – rzucił Chick. – Kto by nam uwierzył? Znaleźliby te SMS-y, a my co? „A tak, omal nie poszliśmy ze sobą do łóżka”. Myślisz, że by to kupili? I bez tego zadawali nam trudne pytania. Przyznalibyśmy się do flirtu i na nic więcej nie zwracaliby uwagi. A jeśli teraz dowie się o tym Brooke... – Do oczu Chicka znów napłynęły łzy. – To by nas zabiło, rozumiesz? Proszę. Nic więcej mi nie zostało.

Myron starał się nie widzieć bólu na jego twarzy.

– Więc Brooke nic nie wie?

– Nic a nic.

– A Hunter?

– Też nie. Naprawdę nie rozumiesz? Gdybyśmy się przyznali, wtedy, kiedy wszyscy byli tacy słabi, kiedy stosunki były tak napięte, to by nas zniszczyło. Nie wyszlibyśmy z tego.

– Hunter i Nancy wyszli – zauważył Myron.

Chick pokręcił głową.

– To nie miało z tym nic wspólnego.

– Skąd wiesz, Chick? Skąd wiesz?

Myron otworzył drzwi, próbując ponownie wprowadzić się w nastrój, choć szczerze mówiąc, rozmowa z Chickiem niespecjalnie go poruszyła. Seksista czy nie, był ostatecznie facetem. A jeśli chodzi o tę sferę życia, faceci są niezwykle konsekwentni. Drogie panie, oto mała wskazówka: Aby wprowadzić mężczyznę w nastrój, nie trzeba wcale wielkich starań. Na pewno o tym wiecie. Czytacie te wszystkie artykuły w czasopismach dla kobiet, porady z cyklu, jak uwieść mężczyznę, jakich używać olejków do masażu, jaką puszczać muzykę i jakie palić świece. Chcecie, żeby w końcu nabrał ochoty, ale mężczyźni nie są w sumie tacy skomplikowani. Oto dwa krótkie artykuły na temat sztuki uwodzenia: *Spytajcie go, czy ma ochotę na seks*. I drugi: *Powiedzcie: „Tak, byłoby miło”*.

Ponownie w formie, Myron uśmiechnął się do siebie, wszedł do mieszkania i zobaczył, że mają towarzystwo.

Odwiedziła ich Esperanza.

– Przepraszam za najście – powiedziała.

Nie zwracając na nią uwagi, Myron wziął w ramiona Terese. Objęli się mocno i przytulili. To wszystko. Tylko tyle. Myron zamknął oczy. Terese przywarła do niego jeszcze mocniej.

– Hm, jeśli chcecie, żebym zaczekała na korytarzu, to mam dziesięć minut – oznajmiła Esperanza.

Odsunęli się od siebie, wciąż trzymając się za ręce.

Myron uniósł brew.

– Pełne dziesięć minut?

– Och, w sam raz na wydłużoną grę wstępną – powiedziała Terese.

– Milutcy jesteście. – Z głosu Esperanzy jednoznacznie wynikało, że bynajmniej nie są. – Wiecie, dlaczego towarzystwo zakochanych nigdy nie drażni? Dlatego.

– Powiesz nam, dlaczego zaszczyciłaś nas swoją obecnością? – spytał Myron.

– Kazałeś mi sprawdzić ten adres. Ale widzę, że dowiedziałam się wszystkiego szybciej, niżbyś chciał. Dom należy do Jessego i Mindy Rogersów. Oboje śpią na pieniądzach. Tatuś jest szefem funduszu hedgingowego. Mamusia robi w dyplomacji. Mają szesnastoletnią córkę Tamryn.

– Więc dlaczego dajesz nam tylko dziesięć minut?

– Córka jest na letnim stażu w biurowcu Fox News na rogu Czterdziestej Ósmej i Avenue of Americas. Biurowiec, jak prawie wszystkie na Manhattanie, jest strzeżony i można tam wejść tylko z identyfikatorem. Jej dziesięciogodzinny dyżur zaczyna się o drugiej, więc jeśli zdążymy tam dojechać...

– ...pogadamy z nią przed wejściem.

– Właśnie.

Myron spojrział na Terese.

– Zaczekasz?

– Lepsze to, niż zaczynać bez ciebie.

– Nie jestem tego taka pewna – wtrąciła Esperanza.

Kobiety wybuchnęły śmiechem. Myron nie.

– Chodźmy – rzucił.

• • •

Kiedy stanęli przed biurowcem przy Avenue of Americas, w końcu spytał:

– Co się stało?

– Tom chce negocjować warunki opieki nad Hectorem.

– Przecież to wspaniała wiadomość!

Esperanza przeszła go wzrokiem.

– Przestań.

– Ale co?

– Dalej będziesz mnie okłamywał?

– Przysięgam, że go nie tknąłem.

– To co zrobiłeś?

– Złożyłem mu tylko wizytę.

– W stylu Wina?

– Nie, nie byłem u niego w domu.

– To gdzie?

– Czekałem przed klubem nocnym – odparł Myron. I szybko dodał: – Wiesz, że twój były nosi teraz koczek? Ile on ma lat? Chyba ponad czterdzieści i...

– Nie zmieniaj tematu. Co mu zrobiłeś?

– Poprosiłem go grzecznie, żeby się z tobą dogadał.

– Grzecznością byś go nie namówił.

– Mogłem też wspomnieć, że Win wrócił.

Esperanza stłumiła uśmiech na myśl o minie Toma, kiedy to usłyszał.

– Powinieneś był mnie uprzedzić.

– Przepraszam.

– To takie protekcjonalne, wiesz?

– Miało być inne.

– I seksistowskie – dodała. – Gdyby Tom był kobietą, też byś mu zagroził?

Myron otworzył usta, zamknął je i bezradnie rozłożył ręce.

– Mówiłem ci, że nosi teraz koczek?

Esperanza westchnęła.

– Dobra, brakuje mi argumentów.

Stali i czekali.

– Pamiętasz, jak spytałaś mnie, dlaczego pozwoliłem ci za niego wyjść?

– To było parę dni temu. Czasem pamiętam nawet cały tydzień.

– Odpowiedziałem, że to nie była moja sprawa, że tak wtedy myślałem.

Pamiętasz swoją odpowiedź?

- „A czyja, jeśli nie twoja?”
- Właśnie. Nie popełnię tego błędu drugi raz.

I wtedy zobaczyli dziewczynę, która poszła z Patrickiem do Ripleya. Myron trącił Esperanzę w ramię. Ta kiwnęła głową. Umówili się, że podejną do niej razem, ponieważ we dwoje będą wyglądali mniej groźnie, jednocześnie bardziej władczo.

Zaczęła Esperanza.

- Tamryn Rogers?

Dziewczyna przystanęła, spojrzała na Myrona, potem na nią.

- Tak.

– Nazywam się Esperanza Diaz.

– A ja Myron Bolitar.

– Możemy zadać ci kilka pytań?

Nastolatka cofnęła się pół kroku.

- Jesteście z policji?

– Nie, absolutnie – odparła Esperanza.

– Mam szesnaście lat. Nie rozmawiam z obcymi. Dlatego... dlatego do widzenia.

Esperanza zerknęła na Myrona. Oboje od razu to zrozumieli. „Mniej groźnie” nie podziałało. Myron wyłożył więc kawę na ławę:

- Widziałem cię dzisiaj.

– Słucham?

– W galerii Ripleya. Kilka godzin temu. Widziałem cię.

Usta dziewczyny ułożyły się w kształt litery „O”.

- Śledzi mnie pan?

– Nie. Śledziłem Patricka.

– Kogo?

Pałeczkę przejęła Esperanza.

- Chłopaka, z którym się spotkałaś.

– To nie jest... – Tamryn urwała i cofnęła się jeszcze dalej. – Z nikim się nie spotkałam.

- Widziałem cię – powtórzył Myron.

– Konkretnie co pan widział?

– Jak spotykasz się z Patrickiem Moore’em.

– Poszłam do galerii – oświadczyła dziewczyna. – Jakiś chłopak do mnie zagadał. To wszystko.

Myron zmarszczył brwi i spojrzał na Esperanzę. Ta ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na Tamryn.

- Więc nie znasz tego chłopaka?

– Nie.

– Nigdy przedtem go nie widziałaś?

– Nie.

– Zawsze obejmujesz nieznanym chłopców? – spytał Myron. – I cmokasz ich w policzek na do widzenia?

– Posłuchaj – wtrąciła Esperanza. – Nie chcemy sprawić nikomu kłopotów. Chcemy się tylko dowiedzieć, jak było naprawdę.

– Szpiegując mnie? – Nastolatka przeniosła wzrok na Myrona. – Podgląda pan szesnastolatki? Kim pan w ogóle jest?

– Kimś, kto szuka pewnego szesnastolatka – odparł Myron. – Chłopaka, który zaginął dziesięć lat temu.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Owszem, wiesz. Skąd znasz Patricka?

– Już mówiłam. Nie znam go. Podszedł do mnie i zagadał.

– Kłamiesz.

– Pan... – Tamryn wycelowała w niego palcem. – Pan niech się trzyma ode mnie z daleka. – Wycelowała palcem w Esperanzę. – Pani też. Odejdźcie albo zaczną krzyczeć.

Ruszyła do wejścia.

– Moglibyśmy porozmawiać z twoimi rodzicami – ostrzegł ją Myron.

– Śmiało! – krzyknęła dziewczyna, przyciągając spojrzenia kilku przechodniów. – Tylko dajcie mi spokój! – Spiesznie otworzyła przeszklone drzwi i weszła do holu. Wyjęła identyfikator, przeciągnęła go przez czytnik i skręciła w stronę wind.

– Moim zdaniem, poszło całkiem niezłe – powiedział Myron, gdy zniknęła im z oczu. – Nie uważasz?

• • •

– No dobra. Skąd bogata dziewczyna z Manhattanu może znać chłopaka, który zaginął dziesięć lat temu?

– Najbardziej oczywista odpowiedź? – odparła Esperanza. – Chłopak wcale nie zaginął.

– To gdzie był?

– Spytaj lepiej, kim jest. Bo jeśli to prawdziwy Patrick Moore...

– Zauważyłaś, jak drgnęła, kiedy powiedziałem jego imię?

– Jakby znała go pod innym. I to by miało sens. Jeśli rzeczywiście zaginął dziesięć lat temu, nie mam pojęcia, gdzie mogliby się spotkać. Ale jeśli to oszust...

– Wtedy tak – zgodził się z nią Myron. – Oczywiście musielibyśmy sprawdzić, gdzie i jak bogata nastolatka z Nowego Jorku kogoś takiego poznała.

– Och, to proste.

– Zamieniam się w słuch.

– My, kobiety, uwielbiamy niegrzecznych chłopców. Myślisz, że co? Że bogata Tamryn zna tylko królewiczów z zamożnej socjety?

Myron podrapał się w policzek.

– Uważasz, że woli tych z nizin społecznych?

– Nie wiem, ale możliwe. Najpierw trzeba sprawdzić, czy chłopak, którego uratowałaś w Londynie, to rzeczywiście Patrick Moore. Jak tam badania?

– DNA? Przekazałem wszystko Joemu Corlessowi, do laboratorium. Mówi, że to może potrwać kilka dni. Są jakieś problemy, bo trudno mu znaleźć włos z dobrze wykształconą cebulką. A DNA ze szczoteczki do zębów może być zanieczyszczone. Nie znam szczegółów. Tymczasem musimy zebrać więcej informacji o tej Tamryn.

– Dobra, powęszę – obiecała Esperanza. – Tylko że ta dziewczyna ma szesnaście lat, o czym nie omieszkała nam przypomnieć.

– I co z tego?

– To, że ja mam więcej. Może posadzilibyśmy do tego Łychę? Mógłby poszperać w tych wszystkich fejsbukach.

– Dobry pomysł.

– Mickey chce się ze mną spotkać. Przy okazji przekażę mu co trzeba, a on pogada z Łychą.

Myron uniósł brwi.

– Moment. Mickey chce się z tobą spotkać? Po co?

Esperanza wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie powiedział, a ja nie spytałam. Dobra, wracaj do domu i sponiewieraj ukochaną.

– Ja nikim nie poniewieram – zaprotestował Myron.

– Więc źle to robisz. – Esperanza puściła do niego oko i cmoknęła go w policzek. – Uważaj na siebie, dobrze?

– Ty też.

Rozdzielili się. Myron wskoczył do taksówki i napisał SMS-a do Terese: **Już wracam. Gotowa?**

I zawiedziony oklapł, gdy zobaczył odpowiedź: **Nie bardzo.**

W mieszkaniu zastał Wina, który powitał go słowami:

– Przepraszam za najście.

– Dobrze. – Zakręcił koniakiem w kieliszku. – Zróbmy mały przegląd sytuacji. Co ty na to?

– Okay.

– Ja zacznę. Patrick Moore powiedział Grubemu Gandhiemu, że Rhys nie żyje.

Salon Wina kojarzył się z czymś, co można by zobaczyć podczas zwiedzania pałacu wersalskiego. Dwaj starzy przyjaciele siedzieli na swoich miejscach – miejscach, których nie zajmowali od ponad roku. Win wypił łyk koniaku i powiódł wokoło wzrokiem. Pograżony w nostalgii Myron pociągnął łyk yoo-hoo z zimnej jak lód puszki.

– Wierzysz mu? – spytał.

– Komu? Grubemu Gandhiemu czy Patrickowi?

Myron kiwnął głową.

– Jednemu albo drugiemu. Obydwu. Żadnemu.

– Właśnie.

Terese przeprosiła ich i wyszła. Przedtem zasugerowała, że ponieważ Win wrócił, powinni się spakować i wyprowadzić, żeby mógł pobyć sam. Odparł, że był sam cały rok, wielkie dzięki, i że obrazi się, jeśli to zrobią.

– Interes własny – dodał. – Wszystko się do tego sprowadza. Zawsze.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie wiem, po co Gandhi miałby kłamać. Nie twierdzę, że nie kłamie, że nie jest nałogowym łgarzem i potworem, który nie tylko handluje nieletnimi, ale i osobiście wykorzystuje ich seksualnie, uczestnicząc w gwałtach. Nie rozumiem tylko, czemu to kłamstwo miałyby służyć.

– Może zabił Rhysa i zacierą ślady.

Win podniósł wolną rękę i pokiwał nią jak wahadłem.

– Tak, to możliwe, ale nie widzę motywu. Mógł także gdzieś go ukryć, żeby w stosownej chwili wykorzystać jako monetę przetargową. Ale nie sądzę. On się bał.

– Tak, ty umiesz straszyć ludzi.

Win na próżno próbował się nie uśmiechnąć.

– Prawda? Poza tym był ze mną nasz stary przyjaciel.

– Kto?

– Zorra.

Myronowi rozszerzyły się oczy.

– Poważnie?

– Nie – odparł Win głosem tak suchym, że mógłby zająć się ogniem. – Zmyślam.

– Ty i Zorra. – Myron pociągnął łyk napoju. – Strach pomyśleć.



– Zaproponowałem Grubemu Gandhiiemu, żeby pozbył się problemów, oddając nam Rhysa. Myślę, że gdyby mógł, na pewno skorzystałby z okazji.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Od początku wiedzieliśmy, że to możliwe – skonstatował Myron.

– Że Rhys nie żyje?

– Tak.

Win kiwnął głową.

– Oczywiście.

– Ale wciąż długa droga przed nami. Nie wiemy nawet na pewno, czy Patrick to Patrick.

– Trzeba przyjrzeć się początkowi. I końcowi.

– Tak, już to mówiłeś. I zdać się na ciasteczko z wróżbą.

– Zorra – powiedział Win.

– Co Zorra?

– Wysłałem go do Finlandii.

– Aha, do tej niani – domyślił się Myron.

– Au pair – poprawił go Win.

– Pozwól, że daruję sobie przewracanie oczami.

– Jeśli pamiętasz, nazywa się Vada Linna.

– Tak, pamiętam.

– I już nie istnieje.

– Słucham?

– Miałaby teraz dwadzieścia osiem lat. Ani w Finlandii, ani nigdzie indziej nie ma Vady Linny w tym zakresie wiekowym.

Myron zmarszczył czoło.

– Zmieniła nazwisko.

– Boże, jesteś genialny! – zawołał Win.

– Po porwaniu prasa dała jej tak do wiwatu, że nic dziwnego.

– Może. Z tym że nie istnieje także jej ojciec.

– Mógł umrzeć – zasugerował Myron.

– Brak zapisów w rejestrach. Oboje po prostu zniknęli.

Myron myślał przez chwilę, w końcu spytał:

– I jaką masz teorię?

– Jeszcze nie mam. Dlatego wysłałem tam Zorrę.

– Uważasz, że to mądre posunięcie?

– Dlaczego nie?

– To tak, jakby przypalać papierosa lampą lutowniczą zamiast zapalką.

Win uśmiechnął się.

– Ja zawsze używam lampy.

Trudno było z tym polemizować.

– Omówmy to punkt po punkcie, dobrze? – zaproponował Win, zakładając nogę na nogę.

Przyjaciół opowiedział mu o wizycie u Moore'ów, zapoznał go z opinią Mickeya i Emy, wspominał o szczoteczce do zębów i włosach do badań DNA (tu

Win uśmiechnął się szeroko), o SMS-ach, reakcji Chicka i o Tamryn Rogers. Długo dyskutowali i analizowali, krocząc mrocznymi ścieżkami, lecz wszystkie prowadziły do ślepego zaułka.

Skończyli tak, jak zaczęli.

– Zdradzimy Brooke, co Gruby Gandhi powiedział o Rhysie?

Win zastanowił się.

– Twoja decyzja.

To Myrona zaskoczyło.

– Moja – powtórzył.

– Tak.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– To proste. – Win odstawił kieliszek i zetknął czubki palców. – Jesteś w tym lepszy ode mnie.

– Nieprawda.

– Nie udawaj skromnisa. Jesteś bardziej obiektywny. Masz zdrowszy ogląd rzeczywistości. Pomagamy ludziom w potrzebie, ratujemy ich, szukamy zaginionych: zajmujemy się tym od dawna. Dobrze mówię?

– Tak.

– W każdej sytuacji ty jesteś dowódcą, a ja wsparciem. Twoimi, że tak powiem, mięśniami. Jesteśmy współnikami, tworzymy zespół, ale, by trzymać się metafory, ty jesteś kapitanem, a ja członkiem twojej drużyny. Popełniłem wiele błędów...

– Ja też.

Win pokręcił głową.

– Nie musiałem zabijać tych trzech w Londynie. Jednego mogłem zachować przy życiu. Mogłem zaproponować im pieniądze, żeby się wycofali. Jestem obiektywny na tyle, by wiedzieć, że nie potrafię być obiektywny. Widziałeś twarz Brooke?

Myron kiwnął głową.

– Wiesz, że na niewielu ludziach mi zależy.

Nadal milczał.

– I wiesz, że jeśli już mi na kimś zależy, to do upadłego, aż odbiera mi to zdolność racjonalnego myślenia. A z tobą u steru odnosiliśmy kiedyś sukcesy.

– I ponosiliśmy porażki. Straciliśmy wielu ludzi...

– Zgoda – przerwał mu Win. – Ale sukcesów mamy więcej.

Win czekał, aż Myron coś powie.

– Brooke chciałyby wiedzieć. Chyba jej powiem.

– Dobrze.

– Ale najpierw porozmawiamy z Patrickiem – zdecydował Myron. – Zobaczymy, jak zareaguje.

• • •

Ponieważ przez telefon nie da się nic załatwić, pojechali do Moore'ów. Zapukali do drzwi, lecz nikt im nie otworzył. Myron zajrzał przez okno do garażu. Samochodu nie było. Win zauważył tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ.

– Widziałeś? – spytał.

Jego przyjaciel kiwnął głową.

– Przeprowadzają się do Pensylwanii, żeby być bliżej Huntera.

– Znasz jego adres?

– Znam.

Myron wyjął komórkę i wyświetlił mapę.

– Według mapy dojedziemy tam za godzinę i piętnaście minut.

– Więc może ja poprowadzę? – zaproponował Win.

Niecałą godzinę później skręcili w leśną drogę. Przegradzał ją łańcuch. Na zardzewiałej tabliczce widniał napis:

### JEZIORO CHARMAINE – TEREN PRYWATNY

Myron wysiadł z samochodu. Na końcu łańcucha wisiała kłódka. Kopnął ją z góry obcasem. Puściła i łańcuch spadł z brzękiem na ziemię.

– To wtargnięcie.

– Trzeba żyć niebezpiecznie, przyjacielu – odparł Win. – Dopiero wtedy jest co smakować.

Pojechali dalej i po chwili w całym swym przepychu ukazało się jezioro. Na wodzie igrały promienie słońca. Myron zerknął na ekran telefonu. GPS kazał im jechać na drugi brzeg. Skręcili w lewo i minęli drewnianą chatę, taką, jakie widuje się już tylko na starych filmach. Parkował przed nią samochód z emblematem lekarza. Stojący na pomoście mężczyzna w wieku Myrona zarzucał właśnie wędkę. Robił to powoli, z gracją, dając popis poezji ruchu. Potem podał wędkę małemu chłopcu i objął w taliu towarzyszącą mu kobietę. Stali tam we troje jak idealna rodzina i Myron pomyślał o Terese. Mężczyzna odwrócił się, słysząc warkot samochodu. Kobieta czujnie obserwowała chłopca z wędką. Mężczyzna zmrużył oczy. Myron pomachał do niego, aby dać mu do zrozumienia, że nie mają złych zamiarów. Mężczyzna zawahał się i pomachał ręką jemu.

Jechali dalej, mijając zniszczone chatki i domki dawnego kempingu. Ekipa budowlana budowała tam jakiś dom.

– Nowy dom Nancy? – zastanawiał się na głos Win.

– Możliwe.

Dostępu do posiadłości Huntera Moore'a bronił pick-up stojący na końcu długiego podjazdu. Droga była zablokowana.

– Chyba nie lubi przyjmować gości – zauważył Win.

Zaparkowali na poboczu i wysiedli. W stężonym bezruchu wszystko rozbrzmiewało echem, trzask drzwi, odgłos ich kroków. Myron czytał kiedyś, że dźwięk nigdy nie umiera, że jeśli krzyknie się w lesie, krzyk rozbrzmi echem, które rozchodząc się, będzie coraz słabsze i słabsze, jednak nigdy nie ucichnie do

końca. Nie wiedział, czy to prawda, czy nie, ale jeśli tak, czuł, że w tym lesie krzyk na pewno rozbrzmiewałby bardzo długo.

– O czym tak myślisz? – spytał Win.

– O krzyku i echu.

– Z tobą zawsze jest wesoło.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie kupował domu nad jeziorem.

Minęli pick-upa i weszli na podjazd. Na podwórzu z widokiem na jezioro siedział w drewnianym fotelu Hunter Moore. Nie wstał. Nie pomachał do nich ani nie skinął im głową na powitanie. W ogóle nie zareagował, jakby ich nie było. Patrzył w dal, na drugi brzeg jeziora. Obok fotela stała butelka whisky.

Na kolanach miał strzelbę.

– Cześć, Hunter.

Win odszedł parę kroków w prawo. Myron wiedział dlaczego. Dwa cele jeden obok drugiego to kuszenie losu.

Hunter uśmiechnął się pijackim uśmiechem.

– Hej. – Słońce świeciło mu prosto w oczy, więc przesłonił je ręką. – To ty, Win?

– Tak – odrzekł Win.

– Wróciłeś?

– Nie.

– Hę?

– Żartowałem.

– Aha. – Hunter zachichotał. W głuchej ciszy chichot zabrzmiał jak żabi rechot i Myron omal się nie wzdrygnął. – Dobrze. Bardzo dobrze.

Win zerknął na przyjaciela. Jego spojrzenie mówiło, że nie mają się czego bać. Było niemożliwe, żeby Hunter zdążył sięgnąć po strzelbę, zanim Win, który nigdy nie rozstawał się z bronią, go zdejmie. Podeszli bliżej.

– Spójrzcie – rzucił z podziwem Hunter, wskazując rozciągający się za nimi widok.

Myron spojrział. Win nie.

– Niewiarygodne, co? To miejsce... – Hunter pokręcił z zachwytem głową. – Jakby sam Bóg je namalował.

– Jeśli dobrze się zastanowić, to rzeczywiście namalował – zgodził się z nim Win.

– Tak – mruknął Hunter jak naćpany; wyglądało na to, że tego dnia nie ograniczył się do alkoholu. – To prawda.

– Hunter, gdzie jest Patrick? – spytał Myron.

– Nie wiem.

Myron wskazał dom.

– Tam?

– Nie.

– A Nancy?

Hunter pokręcił głową.

– Też nie.

– Możemy wejść do środka?

Znów pokręcił głową.

– Po co? Nikogo tam nie ma. Tak pięknym dniem trzeba się delektować. Mam tu dwa fotele. Usiądźcie i podziwiajcie.

Myron skorzystał z zaproszenia. Drugi fotel też stał przodem do jeziora, więc siedzieli obok siebie i podziwiali widok. Win nie usiadł.

– Hunter, musimy znaleźć Patricka – powiedział Myron.

– Dzwoniłeś do Nancy?

– Nie odbiera. Gdzie oni są?

Hunter wciąż trzymał strzelbę na kolanach. Jego ręka niemal niedostrzegalnie wędrowała w stronę spustu.

– Patrick potrzebuje czasu. Wyobrażasz sobie, co przeżył przez te dziesięć lat?

– A wyobrażasz sobie, co przeżywa teraz Rhys? – spytał Win.

Hunter drgnął i zamknął oczy. Myrona kusilo, żeby odebrać mu broń, ale Win leciutko pokręcił głową. Strzelba nie stanowiła zagrożenia. Nie przy nim. Gdyby mu ją odebrali, Hunter zamknąłby się jak ostryga i przeszedł do defensywy. Nie, niech myśli, że jest bezpieczny.

– Znacie Lionela – powiedział. – Doktora Stanton. On mówi, że Patrick się otworzy, potrzebuje tylko czasu. Chcemy zapewnić mu proste, spokojne życie.

– To dlatego Nancy się tu przeprowadza?

Hunter uśmiechnął się leniwie.

– Zawsze szukałem tu ukojenia. Ten teren należy do nas od trzech pokoleń. Mój dziadek uczył tu łowić ryby mojego ojca. Mój ojciec uczył mnie. Kiedy Patrick był mały, ja uczyłem jego. Łapaliśmy okonie, pstrągi... – Mówił coraz ciszej, w końcu umilkł.

Win spojrzał beznamiętnie na Myrona i z sarkazmem zagrał w powietrzu na skrzypcach.

– Wiem, że było ci ciężko – powiedział Myron.

– Nie szukam współczucia.

– Oczywiście, że nie.

– To jest jak... – Hunter nie odrywał wzroku od jeziora, nawet na nich nie zerkał. – Czuję się tak, jakbym miał dwa życia. Do tego dnia byłem zwykłym facetem. I nagle puf! Zmieniłem się w kogoś zupełnie innego. Jak w science fiction. Jakbyśmy przeszli przez jakiś tajemniczy portal i znaleźli się w innym świecie.

– Wszystko się zmieniło – przyznał Myron, chcąc, żeby Hunter mówił dalej.

– Tak.

– Rozwiodłeś się.

– Tak. – Ręka Huntera odnalazła butelkę. Oczy wciąż patrzyły na jezioro. – Nie wiem, może rozwiodlibyśmy się i tak. W każdym razie wszystko poszło w rozsypkę. Ciągłe pamiętasz, co się stało, bo ten ktoś, żona czy mąż, cały czas są z tobą, dzień w dzień, ciągle budzą wspomnienia. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Ciśnienie rośnie i rośnie. Nie wiem, może jeśli nie ma żadnych pęknięć, nic nie wybuchnie i da się to jakoś przejść. Ja nie zdołałem. I uciekłem. Jakiś czas

mieszkalem za granicą. Ale nie mogłem zapomnieć. Ta zgroza, te wszystkie obrazy... Zacząłem pić. I piłem na umór. Potem chodziłem na spotkania AA, trzeźwiałem, znowu piłem, znowu trzeźwiałem i tak w kółko. Namydlić, opłukać, powtórzyć.

Hunter podniósł butelkę.

– Zgadnijcie, w którym miejscu cyklu jestem teraz.

Cisza. Przerwał ją Myron.

– Wiedziałeś, że Nancy i Chick Baldwin pisali do siebie SMS-y?

Hunterowi zeszywniała twarz.

– Kiedy?

Ciekawa odpowiedź, pomyślał Myron. Spojrzał na Wina. Jego też to zaintrygowało.

– To ważne?

– Nie – odparł Hunter. – Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi. Poza tym ona nie jest już moją żoną.

– Ale wtedy była. Przed zaginięciem waszego syna. Mało brakowało, a wdałaby się w romans z Chickiem. Może nawet się wdała, nie wiem.

Hunter zacisnął palce na kolbie strzelby. Wciąż patrzył na jezioro, ale jeśli widok dawał mu choć odrobinę pocieszenia, nic na to nie wskazywało.

– Nieważne.

– Ale wiedziałeś o tym?

– Nie.

Odpowiedział zdecydowanie za szybko. Myron zerknął na przyjaciela.

– Znalazłem Grubego Gandhiego – powiedział Win.

To Huntera zainteresowało.

– I co? Siedzi?

– Nie.

– Nie rozumiem.

– Mówi, że Rhys nie żyje.

– O Boże – jęknął Hunter z wymuszonym zaskoczeniem. – Zabił go?

– Nie. W ogóle go nie widział. Wie to od Patricka.

– Ale co powiedział?

Win stłumił westchnienie.

– Bardzo cię proszę, nie każ mi się powtarzać.

Hunter pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Jakiś psychol i kryminalista omal nie zabija mojego syna, a wy mu wierzycie? – Popatrzył na Wina, na Myrona i znowu na Wina.

– Tak.

– Hunter – wtrącił Myron – nie uważasz, że Patrick powinien wyznać prawdę? Że jest to winien Baldwinom?

Hunter osłupiał.

– Oczywiście. Oczywiście, że tak. Porozmawiam z nim, kiedy tylko będę mógł. Zobaczę, co powie.

– Hunter... – zaczął Win.

– Tak?

– Chciałbym skorzystać z łazienki.

Hunter uśmiechnął się.

– Myślisz, że są w domu?

– Nie wiem – odparł Win. – Tak czy inaczej, muszę oddać mocz.

Tylko w jego ustach określenie to brzmiało zupełnie naturalnie w niemedycznej scenerii.

– Idź pod drzewo.

– Ja nie chodzę pod drzewa.

– Jak chcesz.

Kiedy Hunter zaczął wstawać z fotela, Win odebrał mu strzelbę, znakomicie ilustrując stare powiedzenie o odbieraniu lizaka dziecku.

– Mam pozwolenie – zaprotestował Hunter. – Strzelam tu do jeleni, to całkowicie legalne.

Win spojrzał na Myrona.

– Gdybym odnotował, że Hunter jest myśliwym, czy byłoby to poniżej mojej godności?

– Zdecydowanie – odrzekł Myron.

– Ha, ha, ha – roześmiał się sarkastycznie Hunter i ruszył chwiejnie w stronę domu. – Chodź. Oddaj mocz i spadajcie.

– Oddałeś mocz? – spytał Myron, gdy wsiedli do samochodu. Wiedział, że Win nie musiał nic oddawać. – I jak było?

– Przezabawnie. Nie ma ich tam. Hunter jest sam. Przynajmniej chwilowo.

– Więc po co mu ta strzelba?

– Może polował? Jest u siebie. Ma prawo. Może to jego hobby.

– Polowanie?

– Czemu nie? Siedzi tam sobie, podziwia widoki, popija whisky, a kiedy napatoczy się jeleni, strzela, i już.

– Fantastyczny sposób spędzania wolnego czasu – mruknął Myron.

– Nie osądzaj.

– Ty nie polujesz.

– Ale i nie osądzam. Jesz mięso? Nosisz skórzane rzeczy? Nawet weganie zabijają robaczki, orząc pole. Nikt z nas nie ma czystych rąk.

Myron nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Brakowało mi ciebie.

– Tak, wiem.

– Czy przez ten czas przyjeżdżałeś do Stanów?

– A kto powiedział, że w ogóle wyjeżdżałem? – Win wskazał ekran systemu dźwiękowego. – Widziałem nawet to.

Do radia był podłączony smartfon Myrona. Słuchali ścieżki dźwiękowej z *Hamiltona*. Surowym, zbolałym głosem Lin-Manuel Miranda śpiewał akurat: *Rzucasz mnie na kolana, cały się rozklejam*.

– Chwila – powiedział Myron. – Widziałeś *Hamiltona*?

Jego przyjaciel się nie odezwał.

– Przecież ty nie znosisz musicali. Ile razy próbowałem wyciągnąć cię na...

Win przytknął palec do ust i znów wskazał ekran.

– Ciii, już zaraz.

– Co „zaraz”?

– Ostatnia linijka, posłuchaj... Teraz.

Piosenka opowiadała o smutku Hamiltona po stracie syna w pojedynku. Win nadstawił ucha i chór zaśpiewał: *Przeżywają coś niewyobrażalnego*.

– To o Brooke. I o Chicku. Przeżywają coś niewyobrażalnego.

Myron kiwnął głową. Ta piosenka zawsze go wzruszała.

– Musimy powiedzieć Brooke o Grubym Gandhim i Rhysie.

– Tak.

– Już teraz.

– Osobiście – zgodził się z nim Win.



Za kierownicą znowu siedział Myron. Nie prowadził tak dobrze jak jego przyjaciel, ale w razie potrzeby potrafił docisnąć pedał gazu. Mostem Dingmans Ferry przejechali na drugi brzeg rzeki Delaware i wrócili do New Jersey.

– Nie daje mi spokoju coś jeszcze – wyznał Myron.

– Zamieniam się w słuch.

– Gruby Gandhi powiedział, że nie znał Patricka, że Patrick dla niego nie pracował.

– Tak.

– Chłopak wszedł na jego teren, sprowokował kilku bandziorów i uciekł, kiedy zainteresowałeś.

– Zgadza się.

Myron pokręcił głową.

– W takim razie to podpucha.

– Dlaczego?

– Dostajesz anonimowy mail. Ktoś mówi ci, gdzie Patrick jest i kiedy będzie pod tym wiaduktem. Jedziesz na King's Cross. Chłopak już tam jest, prawdopodobnie pierwszy raz w życiu. Bo gdyby był tam przedtem, ludzie Grubego Gandhiego już dawno daliby mu wycisk. Tak?

Win zastanowił się.

– Brzmi sensownie – przyznał po chwili.

– Wniosek? Ktoś chciał, żebyś go znalazł. I wysłał Patricka... jeśli to w ogóle Patrick... na King's Cross, żebyś go... – Myron zrobił znak cudzysłowu w powietrzu – „uratował”.

– Brzmi sensownie – powtórzył Win.

– Pytanie tylko kto? Jakies pomysły?

– Żadnych. Ale musimy uwzględnić coś jeszcze.

– Co?

– Z tego, co mówisz, Mickey i Ema uważają, że Patrick może nie być Patrickiem.

Myron kiwnął głową.

– Owszem.

– Kiedy dostaniemy wyniki badań DNA?

– Joe Corless ciągle nad tym siedzi, to jego priorytet. Powinny niedługo być.

– Założmy, że to nie Patrick – ciągnął Win. – Jeśli to nie on, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem – odparł Myron. – A teraz założmy, że to jednak Patrick. O co w tym wszystkim chodzi?

Leslie Odom Jr grający Aarona Burra wściekał się, że Alexander Hamilton poparł Thomasa Jeffersona.

– Na pierwszy rzut oka zmyłka nie ma sensu – powiedział Win. – A jednak to musi być zmyłka, prawda?

– Tak – zgodził się z nim przyjaciel. – I nie.

– Bardzo głębokie.

– Krótko mówiąc, wciąż nie wiemy, co tu jest grane – podsumował Myron.

Win uśmiechnął się.

– Powinniśmy do tego przywyknąć.

Od domu Baldwinów dzieliło ich dziesięć minut jazdy.

– Skręć w prawo – rzucił nagle Win.

– W prawo?

– W Union Avenue.

– Ale po co? – spytał Myron.

– Cierpliwości, zaraz zobaczysz. Zaparkuj tutaj.

Na szyldzie przybytku serwującego *Organiczną kawę i naleśniki* widniał napis: *Mądra Jola*. Gra słówek – Myron zmarszczył brwi. Win uśmiechnął się szeroko.

– Co my tu robimy?

– Mam dla ciebie małą niespodziankę. Chodź.

Sprzedawca był w hipsterskiej jarmułce, konopnym poncho i miał twarz porośniętą włosami, które wyglądały jak rozpełzająca się grzybicza narośl.

Mądra Jola pełną gębą.

Zamówili dwie kawy po turecku i usiedli.

– Co się dzieje? – rzucił Myron.

Jego przyjaciel zerknął na zegarek i wskazał drzwi.

– Teraz.

Do kawiarni wszedł Zorra. Jak zwykle w pełnej gali: w peruce à la Veronica Lake, zielonym swetrze z monogramem i spódnicy koloru „morskiej piany”, jak by bez wątplenia twierdził.

Zobaczył Myrona, szeroko rozłożył ręce i krzyknął:

– Morderko ty moja!

Przekrzywiła mu się peruka. Na widok jego zarostu sprzedawca pozieleniał jeszcze bardziej, tym razem z zazdrości. Myronowi przypomniał się fragment starego filmu z Miltonem Berle'em przebrany za kobietę, który kiedyś oglądał z ojcem. Zorra wyglądał podobnie, tylko nie tak czarująco. Ruszył w ich stronę.

– Mówiłeś, że jest w Finlandii – mruknął Myron.

– Właśnie wrócił – odparł Win. – Jedźcie prosto z Newark.

– Długi lot – oznajmił Zorra. – Zorra nie miał czasu się odświeżyć. Pewnie wygląda jak strach.

Myron nie zamierzał z nim polemizować. Wstał i uścisnął go na powitanie. Zorra pachniał wodą kolońską jakiegoś stewarda.

– Ile to już lat?

– Stanowczo za dużo – odparł Myron. A może za mało.

– Zorra tak się cieszy.

– Myron też – odparł Myron i szybko zmienił temat. – I co z tą Vadą Linną?

– Vada Linna nazywa się teraz Sofia Lampo.

– Znalazłeś ją?

– Pracuje w fast foodzie, morderko. W małym miasteczku pod Helsinkami. Jak to się mówi? Na zupełnym odludziu. Więc Zorra tam pojechał. Ale jej szef powiedział, że od trzech dni Sofia nie przychodzi do pracy. To Zorrę zaniepokoiło.

I trochę poszperał. Niestety, w domu też jej nie zastał. Dlatego zadzwonił. No wiesz, do starych znajomych. Takich, co wszystko znajdują.

– I znaleźli ją? – drążył Myron.

Zorra uśmiechnął się. Uśmiech nie należał do ładnych.

– Już niedługo, morderko.

– Nie rozumiem.

– Sofia Lampo przyleciała samolotem do Newark. Wczoraj. Ona jest tutaj, morderko. Vada Linna wróciła.

• • •

– Zacznijmy od oczywistego pytania – powiedział Myron, kiedy wsiedli do samochodu. – Po co miałyby wracać do Stanów?

– A co powtarzamy sobie, odkąd to się zaczęło? – odparł Win.

– Że coś tu nie gra. Że czegoś nie widzimy.

– Bez względu na to, czym to „coś” jest, nie dostrzegamy tego od dziesięciu lat. Od zniknięcia chłopców.

– Więc co teraz?

– Twoja decyzja – rzucił Win.

Myron skręcił w ulicę Baldwinów.

– Powiemy Brooke o Rhysie. Nie mamy prawa tego przed nią zatajać. Ani tego, że opiekunka wróciła.

– Spora dawka – zauważył Win.

– Za duża?

– Nie. Brooke wytrzyma więcej, niż myślisz.

Kiedy wjechali na podjazd, otworzyły się frontowe drzwi. W progu stanęła Brooke. Podeszła do samochodu i objęła kuzyna na powitanie. Win nie przepadał za długimi uściskami, mimo to dzielnie to zniósł. Brooke złożyła mu głowę na ramieniu. Nie płakali, ani ona, ani on. Nie załamali się. Nie przesunęli rąk, nie przytulili się mocniej. Po prostu stali tak dłuższą chwilę.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedziała.

– Ja też.

Kiedy się w końcu cofnęli, Brooke zerknęła na Myrona.

– Złe wiadomości, prawda?

– To jeszcze nic pewnego – odparł Win.

– Ale dobrze nie jest.

– Nie, dobrze nie jest.

Już wchodzili do domu, kiedy na podjazd skręcił jakiś samochód, lexus z garażu Moore'ów. Przystanęli, czekając, aż się zatrzyma. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadła Nancy. Otworzyły się drzwi od strony pasażera.

I wysiadł Patrick.

Brooke spojrzała na nich i zeszywniała.

– Zaraz będzie jeszcze gorzej – powiedziała.

Byli w kuchni, tam gdzie wszystko się zaczęło.

Patrick, Nancy i Brooke siedzieli przy stole. Myron i Win stali na tyle blisko, by wszystko słyszeć, i na tyle daleko, aby się bezpośrednio nie angażować. Patrick siedział plecami do dużych przeszklonych drzwi, Myron podejrzewał, że specjalnie. Tuż obok siedziała Nancy; trzymała syna za rękę. Brooke czekała.

Chłopak spojrzał na matkę. Ta kiwnęła głową. Patrick wbił wzrok w stół. Był bardzo krótko ostrzyżony, niemal ogolony. Przez chwilę tarł głowę dłońmi, potem opuścił ręce.

– Pani Baldwin – zaczął. – Rhys nie żyje.

Myron zerknął na Brooke. Była przygotowana na te słowa. Prawie niczym się nie zdradziła. Myron spojrzał na przyjaciela. Win miał kamienną twarz, tak jak jego kuzynka.

– Zginął dawno temu – dodał Patrick.

– Jak? – spytała Brooke. Nawet nie zadrżał jej głos.

Chłopak nie podniósł wzroku. Splótł dłonie na blacie. Matka położyła mu rękę na ramieniu.

– Zabrali nas z tej kuchni – zaczął. – Niewiele pamiętam. Ale to tak. – Mówił z wahaniem, mrozącym krew w żyłach staccato. – Wrzucili nas do furgonetki...

– Ilu ich było? – przerwała mu Brooke.

– Brooke, proszę cię – zaprotestowała Nancy. – On mówi o tym pierwszy raz, pozwól mu skończyć.

Brooke nie zareagowała. Przeniosła wzrok z powrotem na chłopaka. Patrick opuścił głowę.

– Przepraszam. – Brooke powiedziała to trochę zbyt sztywno i oficjalnie. – Mów dalej.

– Wrzucili nas do furgonetki – powtórzył Patrick jak z telepromptera. – Jechaliśmy bardzo długo. Nie wiem, ile godzin. Zawieźli nas na jakąś farmę. Były tam różne zwierzęta... krowy, świnie, kurczaki. Mieszkaliśmy z Rhysem w jednym pokoju...

Umilkł i jeszcze niżej spuścił głowę. Cisza aż dusiła. Brooke chciała go o coś spytać, pewnie o milion rzeczy, lecz moment był zbyt kruchy, zbyt delikatny. Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał. Nikt nie chciał zburzyć chwili.

Nancy ścisnęła dłoń Patricka. Chłopak wziął się w garść.

– Minęło tyle lat. Czasem mam wrażenie, że tylko mi się tamto śniło. Tam było fajnie. Na tej farmie. Ci ludzie... ci ludzie byli mili. Mogliśmy wszędzie chodzić. Karmić zwierzęta. Nie wiem, jak długo to trwało. Kilka tygodni. Kilka miesięcy. Może nawet kilka lat, naprawdę nie wiem. Nie liczyliśmy czasu.

Znowu umilkł. Myron spojrział ponad jego ramieniem na ciągnące się aż do lasu podwórze, próbując wyobrazić sobie, jak porywacze włamują się do domu, chwytają dwóch małych chłopców i znikają.

– Ale pewnego dnia wszystko się zmieniło – dodał Patrick. Powiedział to z wahaniem, dziwnie niepewnym głosem. – Ci ludzie sprowadzili mężczyzn... Mo... molestowano mnie.

Brooke wciąż siedziała bez ruchu, wciąż z kamienną twarzą, ale jego słowa błyskawicznie dodały jej lat. Było widać, że ledwo się trzyma.

– Rhys... Rhys był silniejszy ode mnie. Odważniejszy. Próbował mnie ratować. Próbował... Nie pozwalał, żeby mu to robili. Stawiał opór. Bronił się. Dźgnął jednego ołówkiem w oko. Załatwił go i... – Patrick nie mógł oderwać wzroku od stołu, choć udało mu się lekko wzruszyć ramionami. – Zabili go. Strzelili mu w głowę. Kazali mi...

Zadrżały mu ramiona. Na blat spłynęła łza.

– Zabrali mnie do wąwozu. – Monotonny głos ustąpił miejsca głosowi zboląlemu i urywanemu. – Kazali mi patrzeć...

Nancy ścisnęła go za rękę.

– Już dobrze – szepnęła. – Jestem przy tobie.

– Widziałem, jak... Byłem tam... Oni... oni wrzucili ciało do wąwozu. Jakby... jakby Rhys był workiem śmieci.

Brooke cicho jęknęła, wydając dźwięk, jakiego Myron nigdy dotąd nie słyszał.

– Tak mi przykro, pani Baldwin.

Wtedy rozplakali się oboje.

...

Nancy popchnęła syna w stronę drzwi, ale Win zaszedł jej drogę.

– Musimy znać więcej szczegółów.

Patrick wciąż gwałtownie szlochał.

– Nie dzisiaj. – Nancy ominęła Wina i ruszyła do wyjścia. – Doktor Stanton ostrzegł mnie, że syn może tego nie znieść. Teraz znacie już prawdę. Strasznie mi przykro.

Szybko wyszła. Win dał znak przyjacielowi i podszedł do kuzynki. Myron ruszył za Nancy i Patrickiem.

– Od kiedy o tym wiesz, Nancy?! – krzyknął.

Przystanęła i odwróciła się.

– O czym?

– Od kiedy wiesz, że Rhys nie żyje?

– Co ty...? Patrick powiedział nam dziś rano.

Myron potarł policzek.

– Wybrał dziwny moment.

Chłopak wciąż płakał. Łzy robiły wrażenie prawdziwych, jednak coś tu nie grało.

– Co to znaczy? – spytała Nancy.

Myron spojrział na załamane nastolatka.

– Patrick, po co spotkałeś się wczoraj z Tamryn Rogers w Nowym Jorku?

Nancy wzięła to na siebie.

– Co ci do tego?

– Wiedziałaś o tym?

– Chciał wyjść z domu.

– Naprawdę? A więc wiedziałaś?

– Naturalnie.

– Dlaczego pojechał autobusem? Dlaczego go nie podwiozłaś?

– Nie twoja sprawa.

– Spotkał się z Tamryn Rogers. Widziałem ich.

– Śledziłeś go?

– Tak.

Wzięła się pod boki. Chciała udąć, że jest zła, lecz widać było, że robi to na pokaz.

– Kto ci dał prawo? – warknęła. – Pojechał sam i zagadał do swojej rówieśniczki. Robisz z igły widły.

– Hm... – Myron podszedł bliżej. – Jej wersja pasuje do twojej.

– I co z tego?

– Pasuje nawet to, że się na mnie wściekasz. Tamryn Rogers zareagowała identycznie.

– Śledziłeś mojego syna. Mam prawo być zła.

– To na pewno twój syn?

Patrick niemal natychmiast przestał płakać.

– Co takiego? – rzucił.

Myron próbował spojrzeć mu w oczy, ale chłopak znów spuścił głowę.

– Ciągłe wyprzedzanie nas o krok. Prawda?

Chłopak nie odpowiedział, nie podniósł nawet wzroku.

– Rozmawiam z Tamryn Rogers. I nagle oboje mówicie to samo. Win i ja mówimy twojemu tacie, że według Grubego Gandhiego Rhys nie żyje. I nagle dochodzisz do siebie na tyle, żeby opowiedzieć matce o jego śmierci.

Nancy wyjęła pilota i otworzyła samochód.

– Czyś ty zwariował?

Myron pochylił się, żeby chłopak na niego spojrział.

– Naprawdę jesteś Patrickiem Moore'em?

Bez najmniejszego ostrzeżenia nastolatek zacisnęła pięść i odciągnął do tyłu rękę, chcąc uderzyć go w głowę. Pochylony do przodu Myron miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, ale cóż, ponieważ był to wymierzony na oślep cios niedoświadczonego w boju wyrostka, musiał tylko jeszcze bardziej pochylić głowę. Skutek? Pięść przeleciała tuż nad nim.

Górze wziął instynkt przetrwania i wyszkolenie, co dało Myronowi szereg możliwości kontrataku. Najbardziej oczywistym manewrem byłaby milisekundowa zwłoka. Z całkowicie wyciągniętą ręką chłopak był zupełnie

odsłonięty, a on miał ugięte kolana i bez najmniejszego trudu mógłby trafić go w gardło, nos czy krocze.

Lecz tego nie zrobił.

Wciąż pochylony, czekał po prostu na reakcję przeciwnika. A ten, wykorzystując impet chybionego ciosu, puścił się pędem przed siebie. Myron chciał ruszyć za nim, lecz od tyłu zaatakowała go Nancy.

– Zostaw go! – krzyknęła, grzmocąc go pięściami w plecy. – Co cię napadło, do cholery?! Zwariowałeś?!

Myron przetrzymał tę nawałnicę. Wyprostował się w chwili, gdy nastolatek, przeciąwszy podjazd, zniknął na ulicy. Nancy podbiegła do samochodu i otworzyła drzwi.

– Proszę cię – powiedziała błagalnie, wsuwając się za kierownicę i wrzucając wsteczny. – Dajcie mu spokój.

• • •

Myron miał już zawrócić, kiedy zadzwoniła komórka. Mickey.

– Mamy coś o Tamryn Rogers – powiedział. – Musisz to zobaczyć.

– Gdzie jesteście?

– U Emy.

– Już jadę.

Win został u Brooke. Zapoznał ją z najnowszymi wydarzeniami, z których najbardziej zaskakującym był powrót do Stanów Vady Linny, byłej opiekunki chłopców, znanej obecnie jako Sofia Lampo.

– Dlaczego wróciła? – spytała Brooke. – Nie rozumiem.

Oni też tego nie rozumieli.

Rezydencji, w której Ema mieszkała z matką i dziadkami, strzegły dwa kamienne lwy. Brama była zamknięta. Myron wystawił głowę przez okno. Ochroniarz poznał go i nacisnął guzik. Brama otworzyła się, poskrzypując.

Kiedy Myron był mały, posiadłość należała do słynnego mafijnego dona, bossa, capo czy jak ich tam nazywają. Krążyły plotki, że na jej tyłach jest piec, w którym palono ciała jego ofiar. Kiedy dom w końcu sprzedano, za basenem rzeczywiście znaleziono piec. Ale po dziś dzień nikt nie wiedział, czy pieczono w nim żeberka na ogrodowe przyjęcia, czy też coś innego.

Rezydencja, olbrzymia, okazała i mroczna, wyglądała jak mariaż średniowiecznej fortecy z disnejowskim zamkiem. A sama posesja, choć bardzo rozległa, należała prawdopodobnie do najbardziej odosobnionych w okolicy, co przyciągnęło jej obecnych mieszkańców. Było tam nawet lądowisko dla helikopterów, żeby mogli tu niepostrzeżenie przyjeżdżać i wyjeżdżać. Oficjalnie dom należał do jakiejś korporacji, co chroniło tożsamość prawdziwych właścicieli. Jeszcze przed kilkoma miesiącami nawet najbliżsi znajomi Emy nie wiedzieli, kto tu mieszka i dlaczego dziewczyna jest taka tajemnicza.

Na drzwiach zamontowano kołatkę w kształcie głowy lwa, lecz zanim Myron zdążył jej użyć, drzwi się otworzyły i w progu stanęła Angelica Wyatt.

– Cześć, Myron – powitała go z ciepłym uśmiechem.

– Cześć, Angelico.

Chociaż znali się od lat i chociaż Myron był kiedyś jej ochroniarzem, chwilę trwało, zanim w pełni uzmysłowił sobie, że widzi nie jej plakat albo celuloidowy obraz na odległym ekranie, tylko żywą, prawdziwą Angelicę Wyatt. Często zastanawiał się, jak to jest być tak pięknym i znanym, że ludzie, nawet przyjaciele, zawsze widzą cię przez mgłę aktorskiej sławy.

Słynna twarz nachyliła się ku niemu i Angelica pocałowała go w policzek.

– Słyszałam, że się żenisz.

– Tak jest – odparł.

Przed piętnastu laty, gdy urodziła córkę, brukowce oszalały; paparazzi podążali za nimi krok w krok, pstrykali zdjęcia przez potężne teleobiektywy, ilekroć wychodziły ze swojego domu w Los Angeles, i zasypywali Angelicę pytaniami o nazwisko ojca dziecka. Nagłówki tabloidów krzyczały: SZOKUJĄCA TAJEMNICA SŁYNNYJ AKTORKI! Albo: WIEMY, KIM JEST OJCIEC! Roilo się w nich od spekulacji, że może nim być któryś z grających z Angelicą gwiazdorów filmowych, arabski sułtan, a nawet – jak głosił jeden z tabloidów – brytyjski premier.

Mała dziewczynka źle znosiła ciągłe bycie w centrum uwagi. Zaczęły ją dręczyć koszmary senne. Angelica porzuciła nawet aktorstwo i na dwa lata zaszyła się z nią we Francji, ale to wywołało jeszcze większą falę plotek i problemy zupełnie innego rodzaju, z których największym było to, że Angelica tęskniła za planem filmowym. Aktorstwo było jej powołaniem.

Cóż więc mogła zrobić?

Wróciła potajemnie do Stanów i znalazła ten dom. Zapisała córkę do szkoły publicznej pod nazwiskiem Emma Beaumont i tak Ema została Emą. Pod nieobecność matki zajmowali się nią dziadkowie.

Nikt nie znał tożsamości jej ojca, z wyjątkiem oczywiście Angeliki.

Nawet Ema.

– Bardzo się cieszę.

– Dzięki. Jak się miewasz?

– Dobrze. Jutro lecę na zdjęcia do Atlanty. Chciałam zabrać Emę, ale... hm... jest ostatnio bardzo zajęta.

– Mickeyem?

– Właśnie.

– To dobre dzieciaki.

– On jest jej pierwszym chłopcem.

– Nie robi jej krzywdy.

– Wiem, ale Ema... Jeśli powiem, że za szybko dorosła, czy będzie to oklepny frazes?

– Frazesy stają się frazesami dlatego, że coś w nich jest.

Angelica przyjęła to z uśmiechem.

– Serce mi pęka. Są na dole. Znasz drogę?

Myron kiwnął głową.



– Dzięki.

Na ścianach klatki schodowej prowadzącej do sutereny wisiły jej plakaty filmowe. Ema powiesiła je wbrew życzeniom matki, tłumacząc, że podziemia są jedynym miejscem, gdzie nie musi ukrywać swojego prawdziwego „ja”. Całkiem sensowne, pomyślał Myron.

Troje nastolatków – Mickey, Ema i Łycha – leżało na wielkich, luksusowych poduchach. Cała trójka zawzięcie stukała w klawiatury laptopów.

– Cześć – powiedział Myron.

– Cześć – odpowiedzieli chórkami, nie odrywając wzroku od ekranów.

Ema jako pierwsza zamknęła komputer i wstała. Była w bluzce z krótkimi rękawami i Myron zerknął na jej tatuaże. Początkowo trochę go niepokoiły. Chociaż cieszyły się ostatnio dużą popularnością, Ema była dopiero w drugiej klasie liceum. Ale Mickey wyjaśnił, że nie są prawdziwe, że pewien artysta tatuażysta, niejaki Agent, eksperymentuje na niej z różnymi wzorami i że za kilka tygodni wszystkie znikną.

– Łycha? – rzucił Mickey.

– Dajcie mi chwilę, dobra? – odparł Łycha. – Muszę to posegregować. Pogadajcie sobie.

Ema i Mickey podeszli bliżej. Myron długo zastanawiał się, czy wciągać ich w to, czy nie – jak na ludzi w tak młodym wieku przeszli aż za dużo – ale, jak zauważył Mickey, w tym się przecież specjalizowali.

Coś mu się przypomniało.

– Esperanza mówiła, że chcesz się z nią zobaczyć.

– To ja chciałam – sprostowała Ema.

– Oboje chcieliśmy – poprawił ją Mickey. – Z Dużą Cindy też gadaliśmy.

– O czym?

Mickey i Ema wymienili spojrzenia.

– O Małej Pocahontas i Dużej Mamie – odparła Ema.

– To znaczy?

– Kiedyś może i były zabawne – odparła Ema. – Ale teraz już nie są.

– To zwykły kicz – dodał Mickey. – Zupełnie nieszkodliwy, ale kicz.

Nostalgiczny powrót do przeszłości.

– Esperanza też tak mówi – dorzuciła Ema.

– Czasy się zmieniają – zauważył Mickey.

– Zaproponowaliśmy, żeby Esperanza skontaktowała się z moją znajomą, Indianką z plemienia Nawaho.

– I jak jej poszło? – spytał Myron.

– Nie wiemy, jeszcze nie rozmawiały.

– No już. – Łycha pomachał ręką do Myrona. – Niech pan spojrzy.

Wciąż leżał na wielkiej poduszce. Myron pochylił się z cichym skrzygnięciem kontuzjowanego kolana i ciężko usiadł obok niego. Łycha poprawił okulary i wskazał ekran.

– Tamryn Rogers prawie nie udziela się w mediach społecznościowych. Ma konto na Facebooku i Snapchacie, ale rzadko z nich korzysta. Wszystkie opcje

ustawiła na „prywatne”. Pewnie dlatego, że jej ojciec jest grubą rybą w jakimś funduszu hedgingowym. Rodzinka nie chce rzucać się w oczy. Nadaża pan?

Myron poprawił się na siedzisku. Było mu niewygodnie.

– Nadażam.

– Wiemy, że Tamryn jest na letnim stażu w telewizji. Wiemy, że ma szesnaście lat. Wiemy, że chodzi do elitarnej szkoły St. Jacques w Szwajcarii. – Łycha spojrzał na Myrona. – Wie pan, że w Szwajcarii nie można trzymać w domu pojedynczej świnki morskiej?

– Łycha... – mruknęła Ema.

– Nie, nie wiedziałem – przyznał Myron.

– Jeśli już, to co najmniej parę – wyjaśnił Łycha. – Świnki morskie są towarzyskie, dlatego okrucieństwem jest trzymać tylko jedną. Przynajmniej tak uważają Szwajcarzy.

– Łycha... – ostrzegła go ponownie Ema.

– Już, już, przepraszam. W każdym razie jedynym zdjęciem Tamryn Rogers, jakie udało mi się znaleźć, jest zdjęcie z Facebooka. Załadowałem je do wyszukiwarki obrazów. I nic, zero, bez rezultatu. Co mnie oczywiście nie zaskoczyło. Wyszukiwarka obrazów szuka tylko identycznych zdjęć. Po co komu jej zdjęcie z profilu na fejsie. Nadaża pan?

– Nadażam – odparł Myron.

– Dlatego postanowiłem przejść na wyższy poziom. Znalazłem wersję testową programu porównującego twarze w mediach społecznościowych. Pewnie widział pan tę technologię na Facebooku.

– Nie korzystam z Facebooka.

– Słucham?

Myron wzruszył ramionami.

– Jak to? – zaprotestował Łycha. – Przecież wszyscy starcy są na fejsie.

– Łycha... – warknęła Ema.

– Dobra, więc wyjaśnię. Powiedzmy, że zamieszczamy na fejsie grupowe zdjęcie znajomych. Facebook stosuje teraz DeepFace, nowe oprogramowanie sztucznej inteligencji, które automatycznie włącza wyszukiwanie i weryfikację wszystkich twarzy ze zdjęcia.

– Czyli? – nie zrozumiał Myron.

– Czyli rozpoznaje znajomych. Zamieszcza pan grupową fotkę, a Facebook zakreśla czyjąś twarz i pyta: „Czy chcesz otagować Johna Smitha?”.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Poważnie tak robią?

– Jak najbardziej.

Myron pokręcił głową, ciesząc się swoją naiwnością.

– Niech pan zauważy – ciągnął Łycha – że użyłem określenia „weryfikacja”. Zrobiłem to celowo, ponieważ z jednej strony mamy technologię, dzięki której można potwierdzić, że dwa zdjęcia pokazują tę samą twarz, a z drugiej popularną technologię zwykłego rozpoznawania twarzy. To duża różnica. Dlatego

przepuściłem zdjęcie Tamryn przez program beta, czyli taki, który się dopiero testuje... O rany!

Łycha klepnął się w czoło.

– Byłbym zapomniał. Przedtem wypróbowałem go na Patricku Moorze. Udało mi się wyciąć pojedynczy kadr z tego wywiadu telewizyjnego. Pomyślałem, może ktoś zrobił mu zdjęcie? Może dzięki temu czegoś się o nim dowiem, o nim, a tym samym o Rhysie?

– No i?

– No i nic. Ani jednego trafienia. Oprócz... Lepiej to panu pokażę.

Kliknął myszką i na ekranie ukazało się grupowe zdjęcie przedstawiające dwudziestu, dwudziestu pięciu nastolatków. Pod spodem widniał napis: DRUGA KLASA. I lista imion.

– Znalazłem je na stronie absolwentów St. Jacques'a. Niech pan spojrzy. – Łycha poruszał kursorem. – Poznaje pan tę młodą damę?

Myron kiwnął głową.

– To Tamryn Rogers.

– Właśnie. Znakomita robota, panie Bolitar.

Myron zerknął na Emę, żeby sprawdzić, czy chłopak się z niego nie nabija. Ema wzruszyła ramionami. Co ja na to poradzę?

– A teraz lista. Jak pan widzi, są na niej tylko imiona. Nie wiem, pewnie ma to związek z obowiązującą tam polityką prywatności. Tamryn jest czwartą osobą w drugim rzędzie... Widzi pan?

Trudno było tego nie widzieć. „Tamryn”. Nic więcej.

– Wniosek?

– Cóż, żaden – odparł Łycha. – Przynajmniej początkowo. Muszę przyznać, że szczegóły to nie moja specjalność. Bardziej interesuje mnie szerszy obraz sytuacji. Rozumie pan?

– Załóżmy, że tak.

– Ha! Dobrze! To Ema zauważyła, że... Emo, pokażesz panu?

Dziewczyna wskazała palcem chłopaka stojącego za Tamryn Rogers. Myron pochylił się i zmrużył oczy.

– Niech pan oszczędza wzrok – doradził mu Łycha. – W pańskim wieku już trzeba. Zaraz to powiększymy.

Zaczął klikać myszką. Za każdym kliknięciem obraz robił się coraz większy i większy, ale chociaż zdjęcie zrobiono aparatem o wysokiej rozdzielczości, pikseloza wzięła w końcu górę. Myron wytężył wzrok.

– Myślicie, że to...

– Nie wiemy – odparł Łycha.

– Ja wiem – powiedziała Ema.

Myron przeczytał na głos widniejące pod spodem imię.

– Paul.

Chłopak miał długie, falujące blond włosy, jak nastolatek próbujący zademonstrować swoją niezależność. Włosy Patricka Moore'a były krótkie

i ciemne. Paul ze zdjęcia miał niebieskie oczy. Oczy Patricka były brązowe. Różnili się także nosami. Nos Paula był mniejszy i miał inny kształt.

Mimo to...

Myron pewnie by tego nie zauważył, ale gdy przyjrzał się uważniej...

– Wiem, co pan myśli – powiedziała Ema. – Zgoda, nastolatki są do siebie podobne. Prawdopodobnie w ogóle bym się nad tym nie zastanawiała, ale to bardzo mała szkoła. W drugiej klasie jest dwudziestu trzech uczniów. Patrick Moore wychodzi z domu i spotyka się z Tamryn Rogers. Dlaczego? Był samotny. Sami to widzieliśmy.

– Za duży zbieg okoliczności – zgodził się z nią Mickey. – Wystarczy obciąć włosy. Założyć szkła kontaktowe i zmienić kolor oczu. Zrobić drobną korektę twarzy. Ema pokazała mi to zdjęcie, a ja patrzę, patrzę i początkowo nic nie widzę, ale potem...

Mickey postukał palcem w ekran.

– Moim zdaniem, Paul, kolega szkolny Tamryn Rogers, zmienił nazwisko na Patrick Moore.

...

Myron wrócił biegiem do samochodu. Wyjął telefon i zadzwonił do Esperanzy.

– Musimy zebrać jak najwięcej informacji o chłopaku imieniem Paul, uczniu liceum St. Jacques'a pod Genewą w Szwajcarii. Najważniejsze jest nazwisko. Dane rodziców i tak dalej.

– Na szybko nie da rady – zgasła go Esperanza. – Po pierwsze, szkoła jest zamknięta. Po drugie, to Szwajcaria, a w Szwajcarii nie mamy kontaktów. Po trzecie, pewnie są tam strasznie skryci i tajemniczy.

Oczywiście miała rację.

– Zrób, co się da. Łycha przyśle ci zdjęcie.

– Już przysłał. Wiesz, że najpopularniejszym hasłem mailowym jest jeden-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć?

– Tak, to cały on.

– Patrzę teraz na dwa zdjęcia, tego Paula i Patricka z wywiadu w telewizji. Jeśli uważnie się przyjrzeć, to tak, widać podobieństwo, ale powiedziałbyś, że Paul i Patrick to jeden i ten sam chłopak?

– Nie – przyznał Myron. – Ale pewnie o to chodzi.

– Aha, znalazłam tego nauczyciela. Tego, który uczył Clarka i Francescę w piątej klasie.

– Tego Dixona?

– Roba Dixona, tak.

– Gdzie teraz mieszka?

– Wciąż uczy piątoklasistów w tej samej podstawówce. Umówiłam cię z nim na dzisiaj na wpół do ósmej.

– Jak ci się udało?

– Powiedziałam, że jest podobno świetnym nauczycielem, a ty piszesz książkę o swoich doświadczeniach.

– O jakich doświadczeniach?

– O tym nie wspomniałam. Na szczęście widział ten dokument o tobie. Nie ma to jak celebrycka sława, złotko. Otwiera wszystkie drzwi.

Po rozmowie z Esperanzą Myron zadzwonił do Wina i zapoznał go z nowymi faktami.

– A więc to oszust – podsumował Win.

– Nie wiem. Istnieje prawdopodobieństwo, że ci dwaj chłopcy są po prostu do siebie podobni.

– I obydwaj znają Tamryn Rogers?

– Zgoda, trochę to naciągane. Aha, jeszcze jedno: Tamryn i Patrick... żeby było łatwiej, nazywajmy go Patrickiem... No więc Tamryn i Patrick twierdzą, że spotkali się zupełnie przypadkowo.

– Przekładkowo?

– Tak.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. – Win westchnął z ubolewaniem. – Mogliby wymyślić bardziej wiarygodne kłamstwo.

– Ale trzeba przyznać, że wzięliśmy tę dziewczynę z zaskoczenia. Jak się czuje Brooke?

– Nie dopuszcza do siebie tej myśli. Tak jest chyba lepiej. Na razie zastanawia się, dlaczego ta Finka wróciła do Stanów.

– Ma jakieś teorie?

– Ani jednej. Dobrze, co dalej?

– Zbieramy informacje – odparł Myron.

– Zaraz, powoli, nie tyle szczegółów naraz!

– Nancy z uporem twierdzi, że chłopak, którego uratowaliśmy w Londynie, to jej zaginiony syn.

– Zgadza się.

– Dlatego nie wiem, czy zobaczywszy zdjęcia tego Paula, zmieni zdanie.

– I do niej teraz jedziesz?

Po lewej stronie Myron ujrzał dom Moore'ów. Skręcił na podjazd i zobaczył lexusa w garażu.

Nancy była w domu.

– Już przyjechałem.

• • •

Myron nie zawracał sobie głowy pukaniem do frontowych drzwi. Garaż był otwarty, więc ruszył w stronę lexusa. Lecz gdy zobaczył, że otwarte są także drzwi wewnętrzne, trochę się zaniepokoił.

Wetknął głowę do środka i zawołał:

– Halo?!

Cisza.

Wszedł do korytarza i przeciął kuchnię. Na górze coś szeleściło. Myron nie miał bronii, co było dość głupie, lecz jak dotąd, jej nie potrzebował. Ostrożnie wszedł na schody.

Ktokolwiek grasował na górze, nie próbował robić tego cicho. Myron stanął na ostatnim stopniu – szelest dochodził z pokoju Patricka – podszedł do drzwi bardzo powoli, sunąc plecami po ścianie, co w takich przypadkach mogło, lecz nie musiało, być skutecznym manewrem. Odczekał kilka sekund i zerknął do środka.

W pokoju buszowała Nancy Moore.

– Hej.

Na dźwięk jego głosu drgnęła i odwróciła się. Miała wytrzeszczone oczy, wzrok wariatki.

– Co ty tu robisz? – warknęła.

– Wszystko w porządku?

– A jak myślisz?

Nie, porządku to tam nie było.

– Co się stało?

– Ty nie rozumiesz, prawda? Myślisz... Nie wiem, co myślisz. Próbowałam chronić syna. Jest delikatny. Tyle przeszedł. Jak to możliwe, że tego nie rozumiesz?

Myron milczał.

– Wiesz, ile kosztowało go to, że się dzisiaj otworzył? Wiesz, co to znaczy przeżyć ten horror jeszcze raz? To, co mu zrobili? Jemu i Rhysowi?

– Nie było wyjścia, Nancy – odparł Myron. – Gdyby było odwrotnie, gdyby to Rhys wrócił...

– Brooke zrobiłaby to, co uznałaby za najlepsze dla swojego syna. Swojego, nie mojego. – Nancy wyprostowała się. – Nie miej złudzeń, Myron. Matka zawsze będzie chroniła swoje dziecko.

O rany.

– Nawet kosztem innego?

– Patrick nie był gotowy. Wiedzieliśmy o tym. Chcieliśmy tylko dać mu trochę czasu, żeby nabrał sił. Kilka dni po dziesięciu latach? Jakie to ma znaczenie? Doktor Stanton miał rację. Za dużo go to kosztowało. I co? Nie dość, że musiał przez to przebrnąć, nie dość, że musiał powiedzieć Brooke, że Rhys nie żyje, to jeszcze na niego napadasz. – Oskarżycielsko wycelowwała w niego palec. – Patrick uciekł przez ciebie.

– To nie jest Patrick, Nancy.

– Co takiego?

– Chłopak, którego tu przywieźliśmy. To nie Patrick.

– Patrick!

– Ma na imię Paul.

– Wyjdź!

– Dlaczego nie chcesz zrobić badania DNA?

– Świetnie, jeśli tylko dacie nam święty spokój, zrobimy każde, zgoda? A teraz wyjdź.

Myron pokręcił głową.

– Spójrz na te zdjęcia.

To zbiło ją z tropu.

– Jakie zdjęcia?

Podał jej dwa wydruki, które dostał od Łychy. Nancy nie zareagowała. Po prostu stała. Myron wyciągnął rękę jeszcze dalej i w końcu niechętnie wyciągnęła swoją.

– Nie rozumiem.

– To grupowe zrobiono w szkole z internatem w Szwajcarii – wyjaśnił.

Nancy spojrzała na zdjęcie.

– I co z tego?

– Jest na nim chłopak, ma na imię Paul. Nazwiska jeszcze nie znamy. Ale poznamy. Na drugim masz zbliżenie twarzy.

– Nie rozumiem – powtórzyła. Trzęsły jej się ręce. Przełożyła zdjęcia i spojrzała na drugie. – Chcesz powiedzieć, że...

– Paul i twój Patrick to jedna i ta sama osoba.

Pokręciła głową.

– Mylisz się.

– Nie sądzę.

– Nie ma prawie żadnego podobieństwa.

– Pamiętasz, jak pytałem cię o Tamryn Rogers? – Myron wziął od niej zdjęcia i położył na wierzchu to grupowe. – To ona. Dziewczyna, z którą Patrick spotkał się wczoraj w Nowym Jorku.

– Mówiliśmy wam, że...

– Tak, spotkali się przypadkowo przed galerią, pierwszy raz w życiu. Byłem tam, Nancy. Widziałem ich. To nie było przypadkowe spotkanie. Oni się znają.

– Nie da się tego stwierdzić po krótkiej obserwacji – zaprotestowała, lecz był to protest słaby i przygaszony.

– Przed chwilą wysłałem te zdjęcia do Alyse Mervosh. Jest antropolożką sądową i porówna zdjęcie Paula z tym z wczorajszego wywiadu. Potwierdzi, że to jedna i ta sama osoba.

Pokręciła głową, jednak znów bez przekonania.

– Nancy, chcę ci pomóc.

– Więc co? Uważasz, że to oszust? Mylisz się. Matka wie.

– Powiedziałaś, że matka zawsze będzie chroniła swoje dziecko – odparł Myron, starając się mówić spokojnie, a nawet łagodnie. – Ta skłonność, ta potrzeba, może wypaczyć postrzeganie świata.

– To jest Patrick – powtórzyła z uporem Nancy. – Mój syn. Nareszcie wrócił do domu. W końcu go odzyskałam, po tylu latach. – Podniosła wzrok i przeszyła go spojrzeniem. – A ty go wystraszyłeś.

– Pomogę ci go znaleźć, musisz mi tylko pozwolić.

– Dość już zrobiłeś. To mój syn. Wiem to. Po prostu wiem. Nie jest oszustem. I nie ma na imię Paul.

Ominęła go i weszła na schody. Myron ruszył za nią.

– Kiedy wróci, zrobimy badanie DNA, żebyście się wreszcie zamknęli. Ale teraz muszę wyjść.

Nawet nie przystanęła. Przeszła przez garaż, wsiadła do samochodu i odpaliła silnik.

– Nie przychodź tu, Myron. Już nigdy.

• • •

Win i Brooke siedzieli w kuchni Baldwinów. Na stole leżały zdjęcia ze szwajcarskiej szkoły Paula-Patricka.

Myron kończył rozmowę z antropolożką sądową Alyse Mervosh. Win i Brook patrzyli na niego i czekali.

W końcu schował telefon.

– Twierdzi, że to ten sam chłopak.

Brook jeszcze raz przyjrzała się zdjęciom. Myron nachylił się nad stołem.

– Paul obciął i pofarbował włosy. Kolor oczu można łatwo zmienić soczewkami kontaktowymi. A nos operacją plastyczną.

Brook siedziała nieruchomo z fotografiami w ręce.

– I Nancy tego nie widzi?

– Twierdzi, że nie. Upiera się, że to Patrick.

– Wierzysz jej?

– Wierzę, że w to wierzy.

– Oszukuje się?

Myron wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Po raz pierwszy odezwał się Win.

– Trzeba ustalić, kim jest ten Paul. Gdzie mieszkał, kim są jego rodzice...

– Esperanza już nad tym siedzi. Ale to potrwa.

– Zadzwoń do znajomych w Europie – powiedział Win. – Może da się to przyspieszyć.

– Nie rozumiem – rzuciła Brooke. – Oszust? Chce ich naciągnąć?

– Możliwe.

– Czytałam o takim przypadku. Kiedy tracisz dziecko... W każdym razie historia zdarzyła się pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Rodzinie z Teksasu zaginął dwunastoletni czy trzynastoletni syn. Trzy lata później zgłosił się jakiś oszust z Francji, twierdząc, że to on. Oszukał wielu ludzi.

Myron pamiętał tę sprawę jak przez mgłę.

– Czym się kierował?

– Nie pamiętam. Częściowo chodziło o pieniądze, ale myślę, że oszukiwanie po prostu go podniecało. Robił to nie pierwszy raz. Był pokrecony. Rodzina uwierzyła mu chyba dlatego, że chciała uwierzyć. – Brooke podniosła wzrok. – Co tu jest grane, Myron?

– Nie mam pojęcia.

– Przecież to bez sensu.



– Musimy zdobyć więcej informacji.

Jak na umówiony znak zadzwoniła jego komórka. Myron spojrział na Wina.

– Joe Corless z laboratorium.

– Przełącz na głośnik.

Myron nacisnął przycisk i położył telefon na stole.

– Joe?

– Myron?

– Posłuchaj, siedzę tu z Winem...

– Poważnie? Wrócił?

– Joe, podasz nam wyniki? – poprosił Win.

– Już – odparł Corless. – Przejdę od razu do wniosku końcowego. – I powiedział coś zaskakującego. – Ten chłopak to rzeczywiście Patrick Moore.

Myron spojrział na Wina. Brooke zbladła.

– Na pewno?

– Próbkę włosów, którą mi dałeś, to włosy kobiety. DNA ze szczoteczki do zębów należy do mężczyzny. Są rodzeństwem.

– Na sto procent?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć, przecinek, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Win poszedł otworzyć.

– Wielkie dzięki, Joe. – Myron rozłączył się.

– A więc to Patrick. – Brooke miała spokojną twarz, lecz drżał jej kącik ust. – Nie oszust. Tylko Patrick.

Myron milczał.

– Ale dlaczego Vada wróciła? Dlaczego Patrick spotkał się z tą Tamryn?

– Jest odwrotnie – powiedział Myron.

– Co jest odwrotnie?

– Paul nie podaje się za Patricka. On nim jest.

Zanim zdążył wszystko wyjaśnić, wrócił Win z Zorzą. Jeśli Brooke była zaskoczona widokiem transwestyty, to tego nie okazała.

– Zorra ma nowe informacje o tej opiekunce.

– O Vadzie? – spytała Brooke.

– Vada nazywa się teraz Sofia Lampo – odparł Zorra. – Przyleciała wczoraj. Wynajęła fordę focusa na lotnisku w Newark.

– Więc jak ją znajdziemy?

– Już ją znaleźliśmy, morderko. Wszystkie samochody z wypożyczalni są wyposażone w GPS, na wypadek kradzieży. Albo gdyby kierowca przekroczył granicę stanu, wiesz, żeby więcej mu policzyć. Powodów jest sporo.

– I wolno te samochody śledzić? – spytała Brooke.

Zorra poprawił perukę i uśmiechnął się szeroko. Zęby miał czerwone od szminki.

– Zorra nie użyłby słowa „wolno”. Ale twój kuzyn ma pieniądze. Pieniądze mają dar przekonywania.

– Więc gdzie ona jest? – drążyła Brooke.

Zorra wyjął komórkę.

– Tutaj.

Pokazał jej ekran. Migąła na nim niebieska kropka.

– Gdzie to jest?

Nacisnął przycisk i mapę zastąpił obraz satelitarny. Niewiele brakowało, a Myron sapnąłby z wrażenia. Niebieska kropka tonęła w morzu zieleni. Było tam również jezioro, które nawet z wysoka robiło wrażenie znajomego.

– Jezioro Charmaine. Vada jest u Huntera Moore'a.

Okna sali klasy piątej wychodziły na rozległy plac zabaw pełen skomplikowanego sprzętu, takiego jak zjeżdżalnie, huśtawki, forty warowne, statki pirackie, tunele, rury i drabinki. Rob Dixon powitał go silnym uściskiem ręki i wesołym uśmiechem. Jak przystało na wicedyrektora, był w brązowym garniturze i jasnym krawacie pediatry, który za bardzo się stara. Włosy miał ściągnięte w kucyk i był świeżo ogolony.

– Hej – powiedział. – Rob Dixon.

– Myron Bolitar.

U Baldwinów ustalili, że Win pojedzie nad jezioro, a Myron zostanie w okolicy i spotka się z Dixonem. „Jadę z tobą, Win – oznajmiła Brooke. – Znam Vadę. Przydam ci się”. Powiedziała to tak kategorycznie, że nie zaprotestowali.

– Proszę. – Dixon wskazał ławkę. – Niech pan spocznie.

Myron wcisnął się w nią nie bez trudu, ponieważ ławki były typowo szkolne, z przytwierdzonymi na stałe siedziskami. Klasa wydawała się ponadczasowa. Oczywiście, zmieniają się programy nauczania i ukryto tu zapewne oznaki nowoczesności, ale tak, mogłaby to być jego dawna klasa. Na górze tablicy wypisano alfabet, wielkimi i małymi literami. Na ścianie po lewej stronie wisiały prace uczniów. Pod odręcznym napisem AKTUALNOŚCI przypięto wycinki z gazet.

– Oj, przepraszam.

– Słucham? – nie zrozumiał Myron.

– Widziałem *Zderzenie* i sadzam pana w ciasnej ławce. Ma pan kontuzjowane kolano...

– Nie, nie, nic mi nie będzie.

– Proszę, niech pan usiądzie na moim krześle.

Myron wstał, krzywiąc się z bólu.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, możemy porozmawiać na stojąco – zaproponował.

– Naturalnie. Bardzo zaciekały mnie pańskie badania. Tak przy okazji: nie wiem, czy to pana zainteresuje, ale uczę w tej klasie od dwudziestu jeden lat.

– Niesamowite.

– Tak, piątoklasistów, bardzo lubię ten wiek. Nie są już małymi dziećmi, które nie potrafią zrozumieć trudniejszych pojęć, i nie są jeszcze nastolatkami ze wszystkimi uciążliwościami dorastania. Piąta klasa mieści się dokładnie na szczycie krzywej. To ważny rok przejściowy.

– Panie Dixon...

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Rob, wiem, że jest pan wspaniałym nauczycielem. Wygląda pan jak młody belfer, jeden z tych, których tak lubiliśmy, z tym że jest pan starszy, mądrzejszy i niezblazowany.

– Ładnie pan to ujął – odrzekł z uśmiechem Dixon. – Dziękuję.

– A ja dziękuję panu. I przepraszam, że pana oszukałem.

Nauczyciel przytknął rękę do podbródka.

– Jak to?

– Przyjechałem tu, żeby porozmawiać o pewnym tragicznym wydarzeniu.

Dixon cofnął się o krok.

– Nie rozumiem.

– To ja uratowałem Patricka Moore’a. Ale wciąż próbuję ustalić, co się stało z Rhysem Baldwinem.

Nauczyciel spojrział w okno. Na boisku jakiś sześciolatek podbiegł do sznura i zaczął się na nim huśtać. Ten uśmiech na jego twarzy – Myron nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział kogoś tak zatraconego w radości.

– Ale dlaczego przyjechał pan akurat do mnie? Nie uczyłem ich. I pewnie bym nie uczył. Staramy się nie przydzielać rodzeństwa temu samemu nauczycielowi. Nie jest to zasada ani nic takiego. Po prostu dyrektor uważa, że to zły pomysł. Przychodzą wtedy z ustalonymi opiniami, a jeśli nawet nie, to mają tę samą rodzinną przeszłość. Dlatego nawet gdyby zostali w naszej szkole, pewnie bym ich nie uczył.

– Ale uczył pan Clarka Baldwina i Francescę Moore.

– Skąd pan wie?

– Od Clarka.

Dixon pokręcił głową.

– Tak czy inaczej, nie powinienem o tym rozmawiać. Myślałem, że został pan agentem sportowym. Tak wspomniano na filmie. Po kontuzji skończył pan prawo na Harvardzie i otworzył agencję.

– To prawda.

– Więc skąd zainteresowanie tą sprawą?

– Po prostu tym się teraz zajmuję.

– Ale na filmie...

– Film nie mówi wszystkiego. – Myron zrobił krok do przodu. – Rob, potrzebuję pańskiej pomocy.

– Nie bardzo wiem, jak mógłbym pomóc.

– Pamięta pan ten dzień?

– Nie mogę o tym mówić.

– Dlaczego?

– To poufne.

– Rob, tego chłopaka wciąż nie ma.

– Nic o tym nie wiem. Chyba nie myśli pan, że...

– Nie, absolutnie nie. Po prostu pana proszę. Pamięta pan dzień, kiedy zaginęli?

– Oczywiście – odparł Dixon. – Czegóż takiego nie da się zapomnieć.

Myron zastanawiał się już nad następnym pytaniem, lecz postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Czy Clark i Francesca byli wtedy w szkole?

Dixon szybko zamrugał.

– Słucham?

– W dniu, kiedy zaginęli ich bracia. Czy Clark i Francesca byli na lekcjach, w szkole? Może wcześniej wyszli?

– Dlaczego pan pyta?

– Próbuję ustalić, co się stało.

– Po dziesięciu latach?

– Bardzo pana proszę – nie ustępował Myron. – Powiedział pan, że pan pamięta. Że czegoś takiego nie da się zapomnieć.

– To prawda.

– Więc proszę odpowiedzieć na proste pytanie. Czy Francesca i Clark byli wtedy w szkole?

Dixon otworzył usta, zamknął je i znów otworzył.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałoby ich nie być? To był zwyczajny dzień. Środa. – Poszedł na koniec klasy i przystanął obok ławki w przedostatnim rzędzie. – Clark Baldwin siedział tutaj. Był w czerwonej koszulce koszykarskiej drużyny z miejscowej ligi amatorskiej. Nosił ją dwa razy w tygodniu. Francesca Moore... – Przeszedł do pierwszego rzędu i przystanął obok ostatniej ławki. – Siedziała tutaj. Ubrana w żółtą bluzkę. To był jej ulubiony kolor. Żółty. Wszędzie rysowała żółte stokrotki.

Podniósł wzrok i spojrzał na Myrona.

– Ale dlaczego, do licha, pan o to pyta?

– Byli w szkole cały dzień?

– Tak, cały. O wpół do trzeciej zadzwoniła do mnie pani Baldwin.

– Brooke Baldwin?

– Tak.

– Zadzwoniła osobiście?

– Tak – odparł Dixon. – Do sekretariatu. Twierdziła, że to pilne.

– Co panu powiedziała?

– Że w domu doszło do jakiegoś incydentu i że Francescę i Clarka odbierze policja. Poprosiła, żebym zatrzymał tych dwoje do ich przyjazdu. Oczywiście się zgodziłem.

– Wiedział pan, że chodziło o porwanie?

– Nie, wtedy jeszcze nie. – Dixon pokręcił głową. – Wciąż nie rozumiem, po co pan przyjechał.

Myron też nie bardzo wiedział po co. Mógłby zacząć kluczyć, bajdurzyć o poszukiwaniach igły w stogu siana, lecz uznał, że to bez sensu.

– Czy policjanci przyjechali radiowozem?

– Nie, przyjechała policjantka. Po cywilnemu, zwykłym samochodem. Wciąż nie rozumiem...

– Proszę powiedzieć mi o Clarku i Francesce.

– Ale co?

– Wie pan, że mieszkają razem w akademiku?

Dixon uśmiechnął się.

– To miło.

– W piątej klasie też się przyjaźnili?

– Naturalnie. To wspólne przeżycie bardzo ich zbliżyło.

– A przedtem? Przed porwaniem?

Dixon zastanowił się.

– Nie, byli po prostu kolegą i koleżanką z klasy. Nie sądzę, żeby ze sobą chodzili czy coś. Ale, zwłaszcza ze względu na Francescę, cieszę się, że mieli siebie nawzajem.

Zwłaszcza ze względu na Francescę.

Igła? Droga igło, oto mój serdeczny przyjaciel stóg.

– Dlaczego zwłaszcza ze względu na nią?

– Przeżywała wtedy ciężkie chwile.

– A konkretnie?

– To naprawdę niestosowne, panie Bolitar.

– Proszę mi mówić Myron.

– To niczego nie zmienia.

– Rob, mówimy o rzeczach sprzed dziesięciu lat. Piątoklasistka, która przeżywała wtedy ciężkie chwile, jest teraz studentką.

– Dzieci mi ufały.

– Doskonale rozumiem dlaczego. Jest pan dobrym człowiekiem. Troskliwym. Chce pan dać im wszystko, co najlepsze. Ja też miałem w podstawówce kilku wspaniałych nauczycieli. Pamiętam ich wszystkich. W gimnazjum i liceum było ich znacznie mniej. Ale dobrzy nauczyciele z podstawówki? Ci zostają w sercu na zawsze.

– Do czego pan zmierza? – spytał Dixon.

– Nie chcę nadużywać pańskiego zaufania. Ale tego dnia coś poszło strasznie nie tak. Nie, nie, nie mówię o rzeczach oczywistych. Wiemy, że zaginęło dwóch małych chłopców. Chodzi o coś innego. Coś ważniejszego. O coś, czego musimy się dowiedzieć, żeby odkryć prawdę. Dlatego proszę, bardzo proszę mi zaufać. Dlaczego Francesca przeżywała trudne chwile?

Dixon lekko się zawahał.

– Jej rodzice...

– Co jej rodzice?

– To przez nich.

Umilkł.

– Zdradzi mi pan szczegóły?

Dixon spojrzał w okno.

– Jej ojciec znalazł pewne... SMS-y w telefonie żony.

...

Myron pędził samochodem na kampus Uniwersytetu Columbia. Kiedy był tam ostatni raz, Clark dał mu swój numer, więc wyjął komórkę i zadzwonił. Chłopak odebrał po trzecim sygnale.

- Halo?
- Gdzie jest Francesca? – spytał Myron.
- Tutaj. Siedzimy na kampusie.
- Zatrzymaj ją. Nie ruszajcie się stamtąd.
- Ale dlaczego? Co się dzieje?
- Siedzicie tam i czekajcie. Zaraz przyjadę.

Na moście Waszyngtona był korek, więc pojechał na skróty, przez Jones Road. Zaoszczędził trochę czasu. Henry Hudson też stała w miejscu, więc skręcił w Riverside Drive, dojechał do rogu Sto Dwudziestej i zaparkował przy hydrancie, ryzykując, że go zholują. Przebiegł sprintem Sto Dwudziestą i kawałek Broadwayu i dostał się na kampus przez Havemeyer Hall. Pędzący staruszek, myśleli pewnie studenci. Miał to gdzieś.

Minąwszy Low Library, najbardziej widoczny gmach na terenie uniwersytetu, zwieńczoną kopułą i otoczoną greckimi kolumnami bibliotekę, niczym Rocky na wspak, zbiegł schodami na dół, śmignął obok posągu siedzącej Ateny i znalazł się na trawiastym zieleńcu South Field East.

Byli tam. Siedzieli na trawniku. Myron wiedział, że niewiele jest takich miejsc, niewiele takich chwil w życiu, równie czystych, bogatych, niewinnych i bezpiecznych jak ta, kiedy będąc studentem, można posiedzieć na zielonej trawie. Czy chwile te były rzeczywistością, czy tylko iluzją? Nieważne. Nieważne, że świat dwojga młodych ludzi miał zaraz lec w gruzach.

Był coraz bliżej prawdy.

Zwolnił, zatrzymał się i Francesca podniosła wzrok. Clark wstał i spytał:

– Co się stało?

Myron chciał ich poprosić, żeby gdzieś weszli, przeszli w inne, zaciszniejsze miejsce, ale tu, na dworze, nikt ich nie słyszał, poza tym nie miał czasu na zabawę, na zwlekanie czy ułatwianie życia Francesce.

Usiadł naprzeciwko niej „po turecku”, lecz przypomniawszy sobie słowa Mickeya, uznał, że teraz powiedziano by zapewne „ze skrzyżowanymi nogami”. Nie trzeba było mistrza dedukcji, by spostrzec, że dziewczyna jest przybita. Miała podpuchnięte i zaczerwienione oczy.

– Nie chce powiedzieć, co się stało – wyjaśnił Clark.

Francesca zacisnęła powieki. Myron spojrzał na chłopaka.

– Dasz nam chwilę?

– Francesca? – spytał Clark.

Nie otwierając oczu, dziewczyna skinęła głową.

– Będę w kafejce w Lerner Hall.

Clark zarzucił plecak na ramię i odszedł. Francesca otworzyła oczy.

– Musisz powiedzieć prawdę – zaczął Myron, kiedy chłopak się oddalił.

Pokręciła głową.

– Nie mogę.

– To cię niszczy. Ciebie i twojego brata. Przecież dowiem się i tak. Pozwól sobie pomóc. Wszystko można jeszcze naprawić.

Prychnęła szyderczo i znów się rozpląkała. Kilku siedzących w pobliżu studentów spojrzęło na nich z niepokojem. Myron próbował zbyć ich uśmiechem, jednak zdawał sobie sprawę, że wygląda to tak, jakby starszy mężczyzna zrywał właśnie z młodą dziewczyną albo – miał nadzieję, że ten wariant przeważy – jakby wykładowca przekazywał studentce złe nowiny.

– Rozmawiałem z Robem Dixonem.

Francesca zerknęła na niego zbita z tropu.

– Co takiego?

– Z twoim nauczycielem.

– Wiem, ale...

Urwała.

– Powiedz, co się stało – nalegał Myron.

– Nie rozumiem. Co powiedział pan Dixon?

– To dobry człowiek. Nie chciał cię zawieść.

– Ale co powiedział?

– Twoi rodzice mieli kłopoty małżeńskie. Rozmawiałaś z nim o tym.

Francesca zerwała źdźbło trawy. Miała piegi na twarzy. Boże, pomyślał Myron, jak ona młodo wygląda. Niemal widział ją w piątej klasie, małą dziewczynkę, przerażoną, że za chwilę rozpadnie się jej świat.

– Francesco?

Podniosła wzrok.

– Twój ojciec znalazł SMS-y w telefonie mamy, prawda?

Dziewczyna zbladła.

– Francesco?

– Proszę, niech pan nie mówi Clarkowi.

– Nie powiem nikomu.

– Nic nie wiedziałam. Nie wiedziałam, aż... – Pokręciła głową. – Clark nigdy mi tego nie wybaczy.

Myron przesunął się i usiadł dokładnie naprzeciwko niej. Ktoś puścił muzykę przez okno akademika. Piosenkę, w której wokalista śpiewał, że kiedyś miał siedem lat. Parę sekund później miał już jedenaście.

Tak, pomyślał Myron, patrząc na Francescę. Dotarło.

– Powiedz, co się stało. Proszę.

Dziewczyna milczała.

– Twój ojciec znalazł te SMS-y. Byłaś wtedy w domu?

Pokręciła głową.

– Wróciłam kilka minut później.

I znowu cisza.

– A brat?

– Nie. Był wtedy na treningu, jak w każdy poniedziałek.

– Dobrze, a więc wróciłaś do domu. Ze szkoły.

– Tak.



– Rodzice się kłócili?

Francesca znów zacisnęła powieki.

– Nigdy go takiego nie widziałam.

– Ojca?

– Tak. Byli w kuchni. Tata trzymał coś w ręce. Nie widziałam co. Krzyczał na mamę. Mama stała nisko pochylona, zasłaniała uszy. Nawet nie zauważyli, że wróciłam.

Myron spróbował wyobrazić sobie tę scenę. Dziesięcioletnia Francesca otwiera drzwi. Słyszy, jak Hunter krzyczy w kuchni na skuloną Nancy.

– Co wtedy zrobiłaś?

– Schowałam się.

– Gdzie?

– Za kanapą w salonie.

– Dobrze. I co było potem?

– Tata... Tata uderzył mamę.

Wokoło kwitło życie. Studenci śmiali się i spacerowali. Dwóch, bez koszulek, grało we frisbee. Szczekał pies.

– Tata dużo nie pił, bo kiedy pił... – Francesca zamknęła oczy. – Wtedy było strasznie. Widziałam go pijanego tylko trzy, może cztery razy, to wszystko. Zawsze kończyło się fatalnie. Ale nie tak jak wtedy.

– Więc schowałaś się za kanapą i...?

– Mama obrzuciła go strasznymi wyzwiskami. Wybiegła do garażu i wsiadła do samochodu, a tata...

Znowu urwała.

– A tata co?

– Pobiegł za nią. – Teraz mówiła powoli, wyważonymi słowami. – Ale przedtem odłożył to, co miał w ręce.

Spotkali się wzrokiem.

– Co to było? – spytał Myron.

– Pistolet.

Myron poczuł zimne mrowienie na tyle głowy.

– Wybiegł z kuchni, więc wstałam. Wyszłam z za kanapy. – Rozszerzyły jej się oczy. Znowu była w tym domu. – Weszłam do kuchni. Zobaczyłam pistolet. Na stole. Cała się trzęsłam. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam tak po prostu go tam zostawić. Tata był taki zły, pijany...

– I co zrobiłaś? – spytał Myron.

– Błagam, musi mi pan uwierzyć. Ja nic nie wiedziałam, aż do teraz. Okłamywali mnie tyle lat. Dowiedziałam się dopiero po powrocie Patricka...

– Już dobrze. – Myron położył jej ręce na ramionach. – Francesco, co zrobiłaś, kiedy zobaczyłaś pistolet?

– Bałam się, że tata zacznie strzelać. – Po jej policzkach płynęły łzy. – Dlatego zabrałam go. I schowałam u siebie na górze.

– A potem?

– Potem znalazł go Patrick.

Jedziemy z Brooke przez most Dingmans Ferry.

Zorra został. Poradzę sobie sam. On ma co innego do roboty.

Zerkam na kuzynkę. Patrzy prosto przed siebie. Przypomina mi się rodzinny wyjazd na wakacje, kiedy byliśmy nastolatkami. Mieszkaliśmy u dziadka na Fisher Island. Fisher Island ma prawie piętnaście kilometrów długości i niecałe dwa kilometry szerokości. Leży niedaleko wybrzeża Connecticut, lecz formalnie rzecz biorąc, jest częścią stanu Nowy Jork. Pewnie tam nie byliście. Obcy nie są tam mile widziani.

Pewnego wieczoru naćpaliśmy się na plaży i zapiliśmy zioło gorzałką. Rzadko palę trawkę. Myron tego nie pochwała, a oprócz niego niewielu jest takich, którym ufam na tyle, by stracić kontrolę w ich towarzystwie. W pewnej chwili Brooke zaproponowała, żebyśmy popływali kajakiem.

Więc popływaliśmy.

Było już późno, pewnie około północy. Trochę powiosłowaliśmy, a potem zaczęliśmy dryfować. Położyliśmy się. Rozmawialiśmy o życiu. Do dziś pamiętam każde słowo. Patrzyliśmy na gwiazdy. A te świeciły pełną parą.

Niebo było po prostu cudowne.

Nie wiem dlaczego, może przez trawkę, może dlatego, że rozgwieżdzone niebo wprawiło nas w trans, albo dlatego, że zatraciliśmy się w rozmowie, w każdym razie nagle usłyszeliśmy głośny szum. Natychmiast usiedliśmy prosto i zobaczyliśmy, że w naszą stronę zmierza prom. Wielki, pełen samochodów i pasażerów płynących na naszą wyspę.

Był coraz bliżej. Nie – dosłownie siedział nam na głowie.

Nie mieliśmy czasu na wiosłowanie i ucieczkę.

Brooke zareagowała pierwsza. Zerwała się z miejsca i wskoczyła do wody, pociągając mnie za sobą. Zaczęliśmy rozpaczliwie płynąć, a prom był tuż-tuż. Nawet teraz, siedząc w samochodzie, czuję, jak jego dziób muska mi plecy. Ocierałem się o śmierć wiele razy. Ale wtedy, moi drodzy, przytuliłem ją najczulej.

Spóźniłem się z reakcją. A Brooke nie.

Teraz wciąż spogląda przed siebie.

– Rhys nie żyje, prawda?

– Nie wiem.

Patrzy na mnie.

– Myślę, że nie żyje – mówię. – Ale jeszcze się nie poddałem.

– Zaczyna to do mnie docierać. Mój syn nie żyje. Chyba zawsze to wiedziałam. Zawsze czułam. Tylko że instynkt macierzyński jest zawodny. Dlatego polegam na

faktach, nie na emocjach. Emocje wyłączyłam przed dziesięciu laty, kiedy zaginął mój syn.

– Byłaś dobrą matką dla Clarka.

Prawie się uśmiechnęła.

– Prawda?

– Najlepszą.

– To wspaniały chłopak. Tyle wycierpiał przez te lata. Pamiętasz pogrzeb mojego ojca?

– Naturalnie.

– Miałam jedenaście lat. Ty dwanaście. Nie widziałam jego ciała. Tak nagle dostał zawału... Mama nie chciała, żeby leżał w otwartej trumnie. Nie ma sensu go takiego oglądać. Tak wszyscy mówili. Ale... miałam znajomą; służyła w wojsku. Powiedziała, że żołnierze przywożą do domu zabitych tylko z jednego powodu, nawet ryzykując życie. Robią to, żeby rodziny mogły ich opłakać. Że potrzebują czegoś namacalnego, żeby móc żyć dalej. Musimy się z nimi pożegnać. Pogodzić się z ich śmiercią bez względu na to, jak była straszna, i po prostu żyć dalej. Wiedziałam, że Rhys nie żyje, na długo przed rozmową z Patrickiem. Mimo to, chociaż wiem, że już nigdy go nie zobaczę, wciąż mam nadzieję.

Milczę.

– A ja nienawidzę nadziei – kończy Brooke.

Jezioro Charmaine, dojeżdżamy. Ktoś owinął łańcuch wokół słupka i tabliczka znowu wisi. Nie zwalniam. Jadę dalej i łańcuch puszcza. Pick-up Huntera wciąż blokuje drogę. Zerkam na ekran GPS-u. Niebieska kropka nie drgnęła z miejsca, co znaczy, że wypożyczony samochód jeszcze tam jest. Wyjmuję rewolwer, Smitha & Wessona 460, i patrzę na Brooke.

– Mogę cię prosić, żebyś tu została, póki tego nie załatwię?

Bez słowa otwiera drzwi i wysiada. Wiedziałem, że to strata czasu, ale musiałem spróbować. Idziemy podjazdem, tak jak szedłem przedtem z Myronem. Hunter siedzi w tym samym drewnianym fotelu. Na kolanach ma strzelbę.

Podchodzimy bliżej i zauważa nas. Zaczyna wstawać, celuje w naszą stronę.

– Nie zabijaj go – prosi Brooke.

Strzelam i trafiam go w nogę. Hunter opada na jedno kolano. Strzelam po raz drugi, tym razem w ramię. Strzelba frunie jak ptak. Podchodzę bliżej. Brooke tuż za mną.

Hunter patrzy na mnie, potem na nią. Płacze.

– Przepraszam – mówi.

– Gdzie ona jest? – pytam.

– Tak mi przykro...

Pochylam się, znajduję ranę wlotową na ramieniu i mocno ją ściskam.

Hunter przeraźliwie krzyczy.

– Gdzie ona jest?

Nagle otwierają się frontowe drzwi. Z domu wychodzi młoda, długowłosa kobieta.

Brooke kładzie mi rękę na ramieniu.

- To Vada.

Nancy Moore siedziała w altanie na skraju różanego ogrodu, obejmując dłońmi kubek kawy. Nie odwróciła się, gdy podszedł.

– Mówiłam, żebyś tu nie przychodził.

– Tak, wiem – odparł Myron. – Patrick się odezwał?

Pokręciła głową.

– Nie martwi cię to?

– Oczywiście, że martwi. Ale to dla niego wielki skok. Musi mieć trochę przestrzeni.

– Nie było go dziesięć lat – zauważył Myron. – Myślę, że przestrzeń to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje.

– Myron?

– Tak.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz. Wyjdz.

Nie ruszył się z miejsca. Stał tam, aż na niego spojrzała. I napotkała jego wzrok.

– Ja wiem, Nancy.

– Co wiesz?

To była formalność, poznał to po jej oczach.

– Francesca mi powiedziała.

– Jest zagubiona. Powrót brata namieszał jej w głowie.

– On nie żyje, prawda? Rhys.

– Przecież Patrick wam powiedział.

– Nie, Patrick opowiedział nam historyjkę. Długo z nim ćwiczyłaś? Bardzo dobrą historyjkę, w sam raz dla zdruzgotanej matki. Rhys nie cierpiał. Rhys był szczęśliwy. Rhys był odważny. Umarł szybką śmiercią, zanim zaczął się koszmar. Słuchałem tego i myślałem: jakie to zrzeczne.

– Wynoś się, Myron!

Podszedł bliżej.

– Wiemy, że Vada jest nad jeziorem.

Nancy sięgnęła po komórkę, ale on był szybszy.

– Oddaj telefon – rzuciła.

– Nie.

– Nic nie rozumiesz.

– Oj, chyba rozumiem. Nic dziwnego, że przekonałaś Chicka, żeby nie mówił nikomu o tych SMS-ach. Uznał, że tak będzie lepiej, bo mogłaby zainteresować się wami policja, myśląc, że... nie wiem... że mieliście romans i któreś z was dało się ponieść nerwom czy coś w tym stylu. Ale nie o to chodziło. Ty wiedziałaś, że wszystko zaczęło się od SMS-ów. A Chick nie.

Nancy wstała i ruszyła w stronę domu. Myron poszedł za nią.

– Dlatego Hunter się wściekł i zaczął grozić ci pistoletem. Wiedziałaś, że to Francesca schowała broń? To by również wyjaśniało, dlaczego jej w to nie wtajemniczyliście. Nie wiem, a może doszłście po prostu do wniosku, że jest jeszcze dzieckiem i nie dochowa tak wielkiej tajemnicy. Albo nie chcieliście, żeby miała wyrzuty sumienia. Bo gdyby zostawiła pistolet na stole, gdyby nie martwiła się, co tata może zrobić...

Nancy przystanąła przed kuchennymi drzwiami. Zamknęła oczy.

– Tak więc Francesca ukrywa pistolet w swoim pokoju, a Patrick go znajduje – ciągnął Myron. – Nie wiem kiedy. Ona też nie wie. Kilka dni, może tydzień później. Czy Hunter o nim zapomniał albo bał się o tym mówić? Nie mam pojęcia. Ale to bez znaczenia. Patrick znajduje broń. Wtedy często się kłóciliście, ty i mąż. Może o tym wie. Może nawet wie dlaczego. Może myśli, że kłócicie się przez Chicka Baldwina, przez jego rodzinę...

– Nie – przerwała mu Nancy. – To nie tak.

– Wszystko jedno. Jest sześciolatkiem chłopcem. I ma nabity pistolet ojca. Trzyma go w plecaku. Zabiera do szkoły. Pewnego dnia... nie wiem, może nawet w dniu, kiedy go znalazł... spotyka się z Rhysem. Bawią się za domem, na skraju lasu. Przynajmniej tak powiedziałaś Francesce. Opiekunka, Vada Linna, nie pilnuje ich za dobrze. A może pilnuje, nie mam pojęcia. To młoda, zastraszone dziewczyna w obcym kraju. Co ona może wiedzieć?

Nancy zastygła bez ruchu. Jakby w ogóle przestała oddychać.

– Nie wiem, w co i jak się bawili – ciągnął Myron. – Nie wiem, czy pistolet wypalił przypadkowo. Ani czy Patrick był zły na Chicka. Tego nie wiem. Ale wiem, że jeden sześciolatek wystrzelił i zabił drugiego.

– To był wypadek.

– Możliwe.

– Był.

– A co było potem?

– Nic nie rozumiesz...

– Oj, chyba rozumiem. Przyjechałaś do Baldwinów po syna. Zakładam, że Patrick zastrzelił Rhysa tuż przedtem. Kilka sekund. Bo gdyby to zrobił, powiedzmy, dziesięć minut wcześniej, Vada zadzwoniłaby na policję.

– Słyszałam wystrzał – powiedziała Nancy. – Zaparkowałam i...

Myron kiwnął głową. To miało sens.

– I pobiegłaś na tył domu.

– Vada i ja... Podbiegłyśmy do niego. Ale było za późno. Kula... Kula trafiła Rhysa w głowę. Nie mogłyśmy nic zrobić.

Cisza.

– Dlaczego nie zadzwoniłyście na policję?

– Przecież wiesz. To był nasz pistolet. Konkretnie mój. To ja go kupiłam. Mogli nas oskarżyć, Huntera i mnie. Bywały takie przypadki. Czytałam o ojcu, który trzymał nabity rewolwer pod łóżkiem. Znalazł go jego sześciolletni syn. Zaczął bawić się w kowbojów i Indian ze swoją czteroletnią siostrą. I zastrzelił ją. Ojca

skazano na osiem lat za nieumyślne spowodowanie śmierci. Przypomniałam to sobie. I pomyślałam o Patricku. Wiedział, że się kłócimy. Podśluchiwał nas. Miał tylko sześć lat, tak, ale gdyby ktoś powiedział, że nie zrobił tego przypadkowo, tylko celowo? Dziecko, które zamordowało dziecko: naznaczyłoby go to na całe życie. No i jeszcze Chick i Brooke. Uważasz, że łatwo wybaczą?

– Więc upozorowaliście porwanie. – Myron starał się mówić cicho i spokojnie. Nancy nie odpowiedziała. Nie musiała.

– Jak namówiliście do współpracy Vadę?

– Powiedziałam, że postawię jej zarzut zaniedbania obowiązków i pójdzie do więzienia. Miała ich pilnować. Że ma zrobić, co mówię, bo to najlepsze wyjście. Że musi się ratować. Była przerażona, zbyt zdezorientowana, żeby się postawić. Zanim naszły ją wątpliwości, za głęboko już w tym siedziała.

– Więc zatarłyście ślady. Musiało być dużo krwi.

– Nie. Wszystko wyczyściłam. Poza tym to stało się w lesie.

– Potem przeciwiczyłaś zeznania z Vadą. Związałaś ją w piwnicy. Wysłałaś i zadzwoniłaś do Brooke. Powiedziałaś, że właśnie przyjechałaś, dzwonisz do drzwi, ale nikt nie otwiera.

– Tak.

Myron przełknął ślinę.

– Gdzie był Patrick?

– Zabrałam go do domu. Kazałam mu się schować i czekać, aż wróci ojciec.

– A Rhys?

Spotkali się wzrokiem i bez wahania odparła:

– Włożyłam go do pojemnika na śmieci za naszym garażem.

Reszta była oczywista.

– Czy Hunter próbował cię od tego odwieść?

– Tak. Chciał się od razu przyznać. Ale było za późno. Upozorowałam już porwanie. To jest jak kula śniegowa. Hunter nic nie zawinił. Jest po prostu słaby. Nie potrafił wziąć się w garść. Zaczął pić. Reszty łatwo się domyślić. Fałszywe dokumenty zdobyłam bez trudu, chociaż trochę to trwało, bo ciągle nachodziła nas policja. Hunter ukrył Patricka nad jeziorem. I w końcu wywiózł go z kraju. Pod nazwiskiem Simpson. Paul Simpson.

– Dlaczego go tu ściągnęliście?

Nancy wzruszyła ramionami.

– Zrobiło się za gorąco. W szkole coraz dokładniej sprawdzano rodziców. Ludzie zadawali za dużo pytań. Nie mogliśmy tego ciągnąć w nieskończoność. Francesca musiała się kiedyś dowiedzieć, że jej brat żyje. Ale przeważyło to, że Patrick chciał wrócić. Więc zaczęliśmy o tym rozmawiać, Hunter i ja. Początkowo Patrick miał pójść na policję i powiedzieć, że właśnie uciekł. Ale wtedy pytań byłoby jeszcze więcej.

– Więc wysłałaś anonimowy mail do Wina.

– Wiedziałam, że Win się nie poddał. Gdyby znalazł Patricka, gdyby go uratował, sprawa byłaby bardziej wiarygodna. Przynajmniej tak myślałam. Miał

przyjechać na King's Cross i zobaczyć Patricka. Miejsce znalazłam bez trudu. Wystarczyło sprawdzić w internecie, gdzie kręcą się męskie prostytutki.

– Ale coś nie wypaliło – zauważył Myron.

– Delikatnie mówiąc. Odniosło odwrotny skutek. Win zabił tych trzech i Patrick uciekł. Wpadł w panikę i zadzwonił do mnie. Kazałam mu zaszyć się w jakimś hotelu. Ale wtedy znalazł go Gruby Gandhi.

– Więc kiedy tak płaczliwie dziękowałaś mi, że uratowałam mu życie...

– Nie, nie udawałam. – Nancy spojrzała mu w oczy z nadzieją, że znajdzie w nich ukojenie, a może życzliwość. – Bo naprawdę uratowałam. Zawaliłam. Wszystko zepsułam. Spytasz, dlaczego nie zrobiłam czegoś inaczej albo dlaczego zrobiłam coś akurat tak. Nie wiem. Analizowałam każdą sytuację i robiłam to, co uważałam za najlepsze dla mojego syna. Początkowo wydawało się, że to sensowne. Patrick zapomniał, co się stało. Mam siostrę we Francji. Często ją odwiedzał. Bardzo lubił swoją nową szkołę. Był szczęśliwy. Tak, tęsknił za nami. I za siostrą. Tak, przyznaję, to była jedna z najtrudniejszych decyzji: zataić prawdę przed Francescą. Ale nie dochowałyby tajemnicy, miała tylko dziesięć lat. Pocięliśmy ją, mówiliśmy, że bratu nic nie jest, mimo to bardzo cierpiała. Tak, to był trudny wybór.

Nancy przekrzywiła głowę.

– Ty byś powiedział?

Myron miał ochotę odrzec, że nigdy nie wkroczyłby na tę ścieżkę, lecz doszedł do wniosku, że to oczywiste.

– Nie wiem. Zniszczyłaś ich, Nancy. Ich wszystkich. Twój mąż nie mógł z tym żyć. Brooke, Chick, Clark... Wiesz, co im zrobiłaś, przez co musieli przejść?

– Rhys nie żył – odparła. – Nie rozumiesz? Nic by go nie wskrzesiło. Nie mogłam go uratować. Mogłam tylko uratować syna.

W ręce Myrona zawibrowała komórka. Wskazał ekran.

– To Patrick! – Wyrwała mu telefon i przytknęła go do ucha. – Halo? Patrick?

– Mamusiu? – Chłopiec płakał.

Miał szesnaście lat, lecz mówił głosem dziecka.

– Jestem, kochanie.

– Oni wiedzą, co zrobiłem. Chcę... Chcę umrzeć.

Nancy zerknęła wrogo na Myrona.

– Nie, nie, posłuchaj mamy. Wszystko będzie dobrze, tylko powiedz, gdzie jesteś.

– Wiesz gdzie.

– Nie, nie wiem.

– Pomóż mi, mammo.

– Patrick, powiedz, gdzie jesteś.

– Chcę się zabić. Chcę być tam, gdzie Rhys.

– Nie, skarbie, posłuchaj...

– Żegnaj, mamusiu.

Patrick się rozłączył.

– O Boże – jęknęła Nancy.



Telefon wypadł jej z ręki.

– Być tam, gdzie Rhys... – powtórzył Myron. Chwycił Nancy za ramiona. – Gdzie porzuciliście jego ciało?

Nancy wyrwała mu się i pobiegła do samochodu. Myron ją wyprzedził.

– Poprowadzę – powiedział. – Gdzie to jest?

Nancy zawahała się.

Myronowi przypomniał się Patrick siedzący przy kuchennym stole. Mówił monotonnym głosem, zacinał się, bo kłamał. Ale pod koniec górę wzięły prawdziwe emocje i...

„Widziałem, jak... Byłem tam... Oni... oni wrzucili ciało do wąwozu. Jakby... jakby Rhys był workiem śmieci”.

I powiedział prawdę.

– Chcesz, żeby syn żył czy nie?! – krzyknął Myron. – Gdzie jest ten wąwóz, Nancy?!

Według aplikacji telefonicznej dojazd do jeziora miał zająć im półtorej godziny, w aktualnym ruchu. Myron zadzwonił najpierw do biura szeryfa hrabstwa Pike, żeby poinformować ich o sytuacji. Połączono go od razu z szeryfem Danielem Yiannikosem.

– Akurat jadę radiowozem – powiedział szeryf. – Gdzie jest ten chłopak?

– Niech pan jedzie do końca Old Oak Road nad jeziorem Charmaine – odparł Myron. – Potem czterysta metrów piechotą, i już jest wąwóz.

– Tak, znam to miejsce.

– Chłopak ma na imię Patrick.

– Potencjalny skoczek? Nie byłby pierwszy.

– Nie wiem. Groził, że popełni samobójstwo.

– Dobra, za osiem minut będę na miejscu. Ile on ma lat?

– Szesnaście.

Nancy próbowała dodzwonić się do syna, odkąd wyruszyli. Patrick nie odpowiadał.

– A jego nazwisko? – spytał szeryf.

– Moore. Patrick Moore.

– Brzmi znajomo.

– Tak, pokazywali go w telewizji.

– To ten uratowany?

– Jest w silnym stresie.

– Dobrze, będziemy ostrożni.

– I powiedzcie mu, że matka już jedzie.

Myron rozłączył się i zadzwonił do Jake'a Courtera, swojego starego znajomego, też szeryfa, tym razem z hrabstwa Bergen w New Jersey. Przedstawił mu sytuację i poprosił o policyjną eskortę.

– Już lecimy – rzucił Jake. – Przechwycimy was na osiemdziesiątce. Po prostu jedźcie dalej.

Dwadzieścia minut później, gdy zadzwonił w końcu szeryf Yiannikos, Nancy chwyciła Myrona za ramię tak mocno, że oczami wyobraźni od razu zobaczyła kilka siniaków.

– Halo?

– Chłopak żyje – zameldował szeryf. – Jeszcze.

Myron wypuścił powietrze.

– Ale stoi na brzegu urwiska z pistoletem przytkniętym do głowy.

Nancy omal nie zemdląła.

– O mój Boże...

– Na razie jest spokojny. Mówi, żebyśmy do niego nie podchodzili. Więc nie podchodzimy.

– Prosił o coś?

– Pytał tylko, czy na pewno matka już jedzie. Powiedzieliśmy, że tak. Spytaliśmy, czy chce z nią porozmawiać, ale mówi, że nie, chce ją tylko zobaczyć. Grozi, że jeśli podejmiemy bliżej, to się zastrzeli, więc czekamy. Daleko jesteście?

Zgodnie z obietnicą, radiowozy z hrabstwa Bergen dołączyły do nich na drodze numer osiemdziesiąt. Myron nacisnął mocniej pedał gazu. Policja pomagała im omijać gęstniejący ruch.

– Będziemy tam za pół godziny, góra za czterdzieści minut.

– Dobra – powiedział szeryf. – Jeśli coś się zmieni, dam znać.

Myron rozłączył się, zadzwonił do Wina i zamieniwszy z nim kilka słów, spojrzał na Nancy.

– Dlaczego Vada wróciła?

– A jak myślisz?

– Usłyszała w dzienniku, że Patrick się znalazł – domyślił się Myron.

– Tak.

– Chce się przyznać.

– Tak mówi. Ale... hm... zatrzymaliśmy ją. Tak jakby. Nie, nie, nie zrobiliśmy jej krzywdy ani nic takiego. Namówiliśmy ją tylko, żeby przyjechała nad jezioro i to z nami omówiła. Zabraliśmy jej kluczyki i poprosiliśmy, żeby dała nam trochę czasu. Chcieliśmy jej ten pomysł wyperswadować.

– A gdyby się nie zgodziła?

Nancy wzruszyła ramionami.

– Coś byśmy wymyślili.

– Hunter na nią czekał. Kiedy go odwiedziliśmy.

– Tak. Przyjechała pół godziny później.

– Hunter nie powstrzyma Wina.

– Nie, chyba nie. Możesz jechać szybciej?

– A Tamryn Rogers? – spytał Myron.

– To dziewczyna Patricka. Poznali się w szkole. Myślałam, że zerwie z nią po powrocie do domu, ale wiesz, jacy są nastolatkowie. Twój bratanek miał rację. Są samotni. Szukają towarzystwa. Tak, Patrick wymknął się z domu. Nikt by tego nie zauważył, ale oczywiście ty musiałeś go śledzić.

Przejechali przez most Dingmans Ferry. Według GPS-u za osiem minut powinni dotrzeć na miejsce.

– To już koniec, Nancy.

– Tak, chyba tak. Muszę tylko uratować syna. To wszystko. A potem... Potem życie potoczy się dalej. Policja znajdzie ciało Rhysa w wąwozie. Chick i Brooke będą mogli go pochować. Dzwoniłam do adwokata. Ukrywanie zwłok... Wiesz, kiedy kara ulega przedawnieniu?

Myron zacisnął palce na kierownicy.

– Po dziesięciu latach. Pomyśl: ukryłam ciało i majstrowałam przy dowodach rzeczowych. Nakłamałam policji. Hunter ma wyrzuty sumienia. Weźmie winę na

siebie, ale zaproponujemy ugodę i dostanie mały wyrok, jeśli w ogóle go skażą. Dlatego tak, masz rację. Kiedy uratujemy mojego syna, wszystko się skończy.

– Wyrachowane – zauważył Myron.

– Inaczej się nie da.

– Nie musiało do tego dojść.

– Rhys nie żył. Nie mogłam go ocalić.

– Myślisz, że ocaliłaś Patricka? Kazałaś kłamać sześciolatniemu chłopcu. Wiesz, jak to się na nim odbiło?

– Był mały.

– Dlatego przestałaś o tym myśleć. Po prostu. Twój mąż się rozpił. Twoja córka musiała radzić sobie ze stratą brata. Vada? Wolę nie myśleć, przez co musiała przejść. A Brooke, Chick i Clark? Masz pojęcie, co im zrobiłaś?

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć – odparła Nancy. – Każda matka chroni swoje dziecko. Tak już jest. Uratuję go. Zapewnimy mu pomoc. Wszystko się ułoży. Zabiorę go do domu. W domu dojdzie do siebie.

Myron skręcił w Old Oak Road. Na końcu drogi parkowały cztery radiowozy. Szeryf Yiannikos przedstawił się i powiedział:

– Bliżej nie podchodziliśmy. Chce zobaczyć matkę.

– To ja. – Nancy pobiegła w stronę lasu. Myron ruszył za nią.

– Nie! – zawołała. – Zostań.

Zniknęła za drzewami.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia, ale nie możemy zostawić jej samej – zwrócił się do szeryfa Myron. – Muszę tam iść.

Ten kiwnął głową.

– Pójdę z panem.

Zaczęli wspinać się zboczem wzgórza. W oddali krakał jakiś ptak. Szli szybko przed siebie. Nancy obejrzała się, lecz nie przystanęła ani nie zawołała. Chciała jak najprędzej dotrzeć do syna.

Każda matka chroni swoje dziecko.

Zatrzymała się dopiero na szczycie. I wstrząśnięta zasłoniła rękami usta. Myron przyspieszył. Gwałtownie skręcił w prawo. Szeryf biegł tuż za nim. Wreszcie wypadli z lasu na polankę i zobaczyli to co Nancy.

Patrick stał na brzegu wąwozu z lufą pistoletu przystawioną do skroni. Nie płakał. Nie histeryzował.

Uśmiechał się.

Nancy zrobiła ostrożnie krok w jego stronę.

– Patrick?

W stężalej leśnej ciszy głos chłopaka zabrzmiał głośno i wyraźnie.

– Nie podchodź, mamó.

– Jestem tu, synku. Zabiorę cię do domu.

– Jestem w domu.

– Nie rozumiem...

– Naprawdę myślałaś, że zostałem w samochodzie?

– O czym ty mówisz, skarbie?

– Przywiozłaś mnie tu. Kazałaś mi zostać w samochodzie i zamknąć oczy. – Patrick uśmiechnął się. Wciąż z lufą pistoletu przy skroni. – Myślałaś, że cię posłuchałem?

„Widziałem, jak... Byłem tam... Oni... oni wrzucili ciało do wąwozu. Jakby... jakby Rhys był workiem śmieci”.

– Zabiłem go. – Po jego policzku spłynęła łza. – A ty go tu wrzuciłaś. I kazałaś mi z tym żyć.

– Już dobrze, synku. – Nancy załamał się głos. – Wszystko będzie dobrze.

– Codziennie to widzę. Myślisz, że zapomniałem? Że kiedykolwiek sobie wybaczę? Albo tobie?

– Synku, proszę cię...

– Mnie też zabiłaś, mamó. Mnie też wrzuciłaś do tego wąwozu. I teraz musimy za to zapłacić.

– Zapłacimy, skarbie. – Nancy rozejrzała się rozpaczliwie, szukając jakiegoś koła ratunkowego. – Jest tu policja. Widzisz? Oni wszystko wiedzą. Będzie dobrze, zobaczysz. Proszę cię, odłóż pistolet. Chcę cię zabrać do domu.

Patrick pokręcił głową.

– Nie dlatego tu przyjechałaś – odparł lodowatym głosem.

Nancy upadła na kolana.

– Błagam, odłóż pistolet. I chodźmy do domu. Proszę.

– Chryste – mruknął pod nosem szeryf Yiannikos. – On to robi.

Myron też to widział. Zastanawiał się, czy jakoś nie zareagować, czy do niego nie podbiec, ale nie, za nic by nie zdążył.

– Mój dom jest tutaj – powiedział Patrick. – Mój dom i moje miejsce.

Odwiódł kurek.

– Nie! – krzyknęła Nancy.

– Nie ściągnąłem cię tu, żebyś mnie ratowała. – Zatrząśł mu się palec, palec powoli napierający na spust. – Chciałem, żebyś widziała, jak...

Nagle rozległ się czyjś głos.

– Dość tego!

Na sekundę wszyscy zamarli. Myron zerknął w lewo. Po drugiej stronie polanki stali Brooke Baldwin i Win.

Brooke ruszyła w stronę Patricka.

– Dość tego.

Chłopak nie opuścił ręki.

– Pani Baldwin...

– Powiedziałam: dość tego.

– Niech pani nie podchodzi.

Brooke pokręciła głową.

– Miałaś tylko sześć lat. Byłeś małym chłopcem. To był wypadek. Nie mam do ciebie pretensji. Słyszysz? – Zrobiła kolejny krok. – Niech to się wreszcie skończy.

– Chcę umrzeć! – krzyknął Patrick. – Chcę być z Rhysem!

– Nie. Dość już śmierci i zniszczenia. Proszę. Nie pogłębiaj mojego bólu. – Brooke wyciągnęła do niego rękę. – Spójrz na mnie.

Patrick spojrział. Brooke odczekała chwilę, by upewnić się, czy patrzy jej w oczy.

– Wybaczam ci. Byłeś małym chłopcem. To nie twoja wina. Rhys, mój syn, twój przyjaciel... On by tego nie chciał. Gdyby było odwrotnie, gdyby to on zastrzelił ciebie, wybaczyłbyś mu?

Patrick milczał. Pistolet zatrzęsł mu się w ręce.

– Wybaczyłbyś?

Chłopak skinął głową.

– Proszę. Daj mi pistolet.

Wydawało się, że wiatr ucichł. Nikt się nie poruszył. Wszyscy wstrzymali oddech. Nawet drzewa. Brooke szybko podeszła do Patricka. Chłopak zawahał się i Myron pomyślał: Boże, on to robi.

Ale kiedy Brooke wyciągnęła rękę i odebrała mu broń, chłopak padł jej w ramiona. Gardłowo krzyknął i rozsłochał się. Brooke zamknęła oczy i przytuliła go.

– Przepraszam, przepraszam...

Spojrzała na dno wawozu, gdzie od dziesięciu lat leżał jej syn. Przytuliła Patricka jeszcze mocniej, coś w niej pękło i też się rozpląkała. Stali tak we dwoje, matka martwego chłopca obejmująca tego, kto go zabił.

Nancy Moore podeszła do nich ostrożnie. Brooke spojrziała na nią ponad ramieniem Patricka. Spotkały się wzrokiem. „Dziękuję”, powiedziała bezgłośnie Nancy, a Brooke kiwnęła głową. Ale nie puściła Patricka. Czekala, aż chłopak przestanie płakać.

Cztery godziny później policja wydobyła ciało.

Huntera Moore'a odwieziono do szpitala, gdzie opatrzone mu rany od kul. Czuł się dobrze. Vada Linna była cała i zdrowa. Powiedziała im całą prawdę. Ostatecznie po to wróciła. Hunterowi groził zarzut bezprawnego pozbawienia jej wolności. Jednak trudno było powiedzieć, czy stanie przed sądem.

Nancy Moore zatrzymano, lecz jej adwokat, Hester Crimstein, w ciągu godziny wyciągnął ją z aresztu za kaucją. Nancy miała rację. Nie można jej było oskarżyć o nic poważnego.

– Powinieneś jechać do domu – powiedział Win.

Myron pokręcił głową. Został już tyle. Nie zamierzał jeszcze wracać.

Z ciała zostały jedynie kości, lecz ubranie było nietknięte. Brooke pogłaskała czerwoną bluzę i niebieskie dżinsy.

– To Rhysa.

Wstała i bez słowa poszła do samochodu. Win ruszył za nią, ale pokręciła głową.

– Jedź z Myronem. Muszę pobyć trochę sama. I sama powiedzieć Chickowi.

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

– Kocham cię, Win, ale nie obchodzi mnie, co myślisz.

Odeszła dumnie wyprostowana. Wsiadła do samochodu i odjechała.

– Chodź – rzucił Win. – Wracamy.

On prowadził. Kilka minut po tym, jak wyruszyli w drogę powrotną, zadzwonił Mickey. Byli z nim Ema i Łycha.

– Już po wszystkim – powiedział Myron.

– Znaleźliście Rhysa?

– Rhys nie żyje.

Mickey powtórzył to Emie, a ona się rozpłakała.

Win zaparkował w garażu za Dakota Building. Gdy weszli do mieszkania, Terese objęła ich obu. Stali tak we troje, dopóki w kieszeni Wina nie zadzwoniła komórka. Przeprosił ich i pożegnał się. Myron spojrział Terese w oczy.

– Nie mogę się doczekać ślubu – powiedział.

Wziął długi prysznic. Terese dołączyła do niego. Nie rozmawiali. Jeszcze nie. Nie tego wieczoru. Kochali się. Szybko, gwałtownie i nieprzyzwoicie, co go chyba ukoilo. Nie tyle zasnął, ile stracił przytomność. Nic mu się nie śniło. Po prostu leżał w ramionach narzeczonej. Długo. Godzinę. Może dwie.

A potem poczuł na plecach zimne mrowienie.

– Co? – spytała Terese. – Co się stało?

– Pistolet – odparł.

– Co pistolet?

– Patrick miał pistolet. Co się z nim stało?



## Epilog

Trzy miesiące później

Pewnie liczycie na nieoczekiwany zwrot akcji i szczęśliwe zakończenie.

Myślicie, że może popełniono błąd, że to nie było ciało Rhysa Baldwina, że Brooke i Chick jakimś cudem odzyskali syna.

Ale czasem nieoczekiwanych zwrotów akcji nie ma. Bardzo często nie ma także szczęśliwego zakończenia.

Jednak ten dzień jest szczęśliwy.

Dwa tygodnie temu zorganizowałem dla Myrona najbardziej legendarny wieczór kawalerski wszech czasów. Jak bardzo legendarny? Powiedzmy, że zaliczyliśmy cztery kontynenty. Myron był oczywiście bardzo grzeczny. Jak zawsze. Z pewnością ucieszy was fakt, że rozrabiałem za nas dwóch. Tak jak Esperanza i Duża Cyndi.

Spytacie: Co?! Kobiety na wieczorze kawalerskim?!

Czasy się zmieniają, przyjaciele.

Dzisiaj jestem drużbą Myrona i mam na sobie frak. Dziwne. Myron zawsze marzył o tym dniu, o poślubieniu miłości swojego życia i założeniu rodziny. Niestety, bogowie mieli co do niego inne plany. Osobiście nie jestem za tego typu myśleniem. Nie rozumiem tego całego zamieszania z „miłością”.

Albo... nie rozumiałem.

Myron jest dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. Łączący nas związek młodzi nazywają „bromance”, prawdziwą przyjaźnią bez żadnych podtekstów seksualnych, i jest to chyba określenie właściwe. Kocham Myrona. Chcę, żeby był szczęśliwy. Nie: ja tego potrzebuję. Brakowało mi go przez ten rok, chociaż często byłem bliżej, niż myślał. W dniu, kiedy poszedł na *Hamiltona*? Siedziałem trzy rzędy za nim. Gdy w tym strasznym miejscu odnalazł Brada, swojego brata, też byłem niedaleko.

Na wszelki wypadek.

Kocham go. I chcę, żeby był szczęśliwy.

Kochał w życiu wiele kobiet, a najbardziej Jessicę. Ale z Terese jest inaczej. Widać to, kiedy się z nimi jest. Bardzo się różnią. Różnią się totalnie, jednak razem są niesamowici. Mówiąc prościej, jeśli przyjąć, że sterują nami reakcje chemiczne – a wierzę, że tak jest – łącząc się ze sobą, te dwa składniki tworzą zachwycającą całość.

Pukam do drzwi.

– Proszę – mówi Terese.

Wchodzę.

– No i co? – pyta, obracając się dokoła.

Czy widzieliście kiedyś piękną, szczęśliwą pannę młodą w sukni ślubnej? No to już wiecie.

– O rany!

– Mówisz jak Myron.

Całuję ją w rękę.

– Chciałem tylko życzyć ci wszystkiego najlepszego. Wiedz, że chcesz tego, czy nie, zawsze możesz na mnie liczyć.

Terese kiwa głową.

– Wiem.

– I jeśli złamiesz mu serce, połamię ci nogi.

– To też wiem.

Całuję ją w policzek i wychodzę.

Zastanawiacie się pewnie, jakie były reperkusje tego, że znaleziono ciało Rhysa. Pozwólcie, że was z nimi zapoznam. Jak zapewne widzieliście w telewizji, cała prawda wyszła na jaw. Oczywiście nikt nie oskarża Patricka o przestępstwo. Tak jak powiedziała Brooke, stojąc na brzegu wąwozu: był tylko dzieckiem.

Baldwinowie – ona, Chick i Clark – mają się tak, jak można się tego spodziewać. Myron często powtarza, że nawet najstraszniejsza prawda jest lepsza od najpiękniejszego kłamstwa. Nie wiem, czy zawsze tak jest, jednak ten przypadek zdaje się to potwierdzać. Teraz już wiedzą. Brooke pochowała syna na naszym cmentarzu rodzinnym pod Filadelfią. Oplakują go i będą oplakiwać.

Ale żyją dalej.

Clark i Francesca wciąż się przyjaźnią i mieszkają razem w akademiku. Francesca poznała prawdę dopiero po powrocie brata. Nancy uznała, że córka jest już na tyle silna i dojrzała, żeby wszystko jej powiedzieć.

Oczywiście założenie było złe.

Hunter wylizał się z ran. Ma na karku prokuratora, głównie z powodu tego dziwnego uprowadzenia Vady Linny. Nie wiem, jak to się dalej potoczy. Pożyjemy, zobaczymy.

Jeśli zaś chodzi o Nancy Moore, szuka jej policja, chociaż wątpię, czy jest to dla nich zadanie priorytetowe. Otóż zaraz po wyjściu z aresztu za kaucją Nancy skopiowała wyczyn syna i przepadła jak kamień w wodę. Policja zapewnia, że nie spocznie, dopóki jej nie znajdzie.

Myron spytał mnie, czy my też będziemy jej szukać, czy pomożemy władzom postawić ją przed sądem.

Odparłem, że nie. Zrobiliśmy to dla Brooke. Jeśli sprawa skończyła się dla niej, skończyła się i dla nas.

Ale dość o tym.

Dzisiaj jest ślub Myrona. Stoję obok niego na podeście. Panna młoda wychodzi zza rogu, Myron po raz pierwszy widzi ją w tej sukni i słyszę jego szept.

– O rany...

Uśmiecham się.

– Moje słowa.

Rodzice Terese nie żyją, więc przejściem prowadzi ją Al, ojciec Myrona. Są tu wszyscy. Duża Cyndi jest główną druhną. Zza zasłony wychodzi Esperanza. Zaraz poprowadzi uroczystość. Aha, być może zastanawiacie się, co się dzieje z Małą Pocahontas i Dużą Mamą. Obie postanowiły zrezygnować z indiańskich pseudonimów. Niektórzy pewnie tego żałują. Ale nie Esperanza. „Okazywanie kulturze zbyt wielkiego szacunku nigdy nikogo nie zabiło”. Tak mi powiedziała.

Czasy się zmieniają, przyjaciele.

Myron bierze głęboki oddech. Widzę łzy w jego oczach. Aby dodać nam obu odwagi, kładę mu rękę na ramieniu. Odwzajemnia mi się tym samym. Czekamy, aż jego ojciec dojdzie z Terese do podestu.

Większą część ceremonii widzę jak przez mgłę.

Kiedy Esperanza daje mi znak, podaję Myronowi obrączkę.

Jesteśmy przyjaciółmi i kocham go.

Ale nie, bardzo przepraszam: najpiękniejsze kłamstwo jest czasem lepsze od prawdy – z akcentem na „jest”.

Dlatego nigdy nie powiem tego Myronowi. Choć na pewno coś podejrzewa.

Zadzwonił do mnie zaraz po tym, jak znaleźliśmy ciało Rhysa, następnego dnia rano.

– Gdzie jest pistolet? – spytał.

– Co?

– Pistolet Patricka.

– A, pistolet. Policja go zabrała.

Wahał się sekundę za długo.

– Aha. No dobrze.

Pewnie myślicie, że to ja zwędziłem tę spluwę. Otóż nie.

O ile pamiętacie, to Brooke odebrała ją Patrickowi.

Ten telefon, który odebrałem w moim mieszkaniu w Dakota Building... Nic wam to nie mówi? To była ona. Wróciłem i pomogłem jej posprzątać. Policja znalazła wystarczająco dużo szczątków, aby nawet po dziesięciu latach zidentyfikować ciało syna mojej kuzynki.

Nancy Moore nie zidentyfikują.

Nikt nie znajdzie najmniejszego śladu.

O tak, ludzie będą ją widywali. Anonimowy rozmówca będzie twierdził, że opalała się na plaży na Fidżi. Inny, że Nancy mieszka w klasztorze wśród tokańskich wzgórz. Jeszcze inny zobaczy ją w Londynie, gdzie Zorra składa właśnie wizytę pewnemu pulchnemu pedofilowi.

Nancy Moore pozostanie w ukryciu na zawsze. Jak tajemnica tajemnic.

Ceremonia dobiega końca. Myron unosi welon Terese. Odślania jej twarz i na chwilę nieruchomieje, bo wiem – och, dobrze go znam – że chce podelektować się chwilą. Dociera do niego, jak bardzo jest rzadka i pragnie się nią nacieszyć.

Trwaj, jesteś taka piękna.

Tak, Myron jest w tym dobry.

Nie wiem, czy popieram to, co zrobiła Brooke, i czy postąpiłbym tak samo na jej miejscu. Ale nie mnie ją osądzać. Nancy Moore odebrała jej nie tylko syna, lecz

i możliwość zamknięcia tego rozdziału życia. Wyrządziła niewyobrażalną krzywdę Chickowi i Clarkowi. Przez dziesięć lat znała prawdę i kazała im cierpieć. Zniszczyła Brooke życie. Odebrała jej syna, odebrała jej dziecko i jak worek śmieci wrzuciła je do wąwozu.

Sami zdecydujcie, jaka powinna być za to cena.

Przyznaję także, że być może jestem seksistą. Gdyby Nancy była mężczyzną – gdyby to Hunter Moore znalazł wtedy ciało sześciolatniego chłopca i potraktował je jak śmieci, niszcząc czyjeś życie, niszcząc moją kuzynkę, jej męża i dziecko, czy zastanowiłbym się dwa razy, jak mu za to odpłacić?

Ciekawe.

Brooke i ja jesteśmy do siebie podobni. Łączy nas więź. I być może więź ta nie zawsze jest czymś dobrym. Czy Brooke wpadła w całkiem zrozumiałą matczyną furię? Czy, mając czas do namysłu, zrobiłaby to ponownie?

Nie wiem.

Ale zastanawiają mnie również decyzje, które Nancy Moore podjęła jako matka. Czy nie poszła na policję dlatego, że bała się, iż oskarżą ją o jakieś przestępstwo? Dlatego, że syn byłby napiętnowany do końca życia? Czy dlatego, że Chick miał szemranych partnerów biznesowych, którzy mogliby zrobić jej krzywdę?

A może dlatego, że zdawała sobie sprawę, iż największe niebezpieczeństwo grozi jej ze strony rozwścieczonej matki, która straciła dziecko?

Ale widzę właśnie, jak Myron rozgniata butem kieliszek. Tłum wstaje i radośnie krzyczy. Myron Bolitar, już żonaty, biegnie przejściem ze swoją ukochaną wybranką.

Oszczędzę wam łez, uścisków i gratulacji.

Przejdę od razu do pierwszego tańca. Który jest... hm, powiedzmy, że ckliwy, ale jakież to typowe dla pana młodego. DJ prosi na parkiet jego i jego matkę Ellen. Ellen choruje na parkinsona i cała się trzęsie, lecz Myron bierze ją za rękę i prowadzi.

Wszyscy zamierają.

DJ puszcza muzykę. Ellen wybrała piosenkę Bruce'a Springsteena, który – jakże trafnie – śpiewa:

*Jeśli zostanę w tyle, zaczekaj na mnie...*

Patrzymy, jak tańczą. Zerkam na drugą stronę sali, na twarze ludzi. Duża Cyndi histerycznie szłocha i zawodzi. Nawet nie próbuje się powstrzymać. Urocze. Z Seattle przyleciała siostra Myrona. Wrócił także jego brat z żoną Kitty. Stoją obok Mickeya i Emy. Mickey i Ema trzymają się za ręce. Próbuję się nie gapić.

– Czy zechcą państwo dołączyć do pana młodego i jego mamy? – prosi DJ.

Ojciec Myrona prowadzi na parkiet Terese. Młody Mickey zastępuje stryjka i tańczy z babcią, jak tańczyć może tylko niezdarny nastolatek. Do Myrona podchodzi Esperanza. Oni też puszczają się w tany.

Dołącza do nich wielu innych. Ja zadowolam się obserwowaniem.

Oto życie, drodzy przyjaciele.

Hej, mnie też zbiera się czasem na ckliwość.

Czuję, że ktoś staje obok mnie.

– Pan jest Win, prawda?

Patrzę na Emę.

– Tak.

– Mama przesyła panu pozdrowienia.

Udaje mi się skinąć głową.

– Przekaż jej, że ja też ją pozdrawiam.

Ema przygląda mi się długą chwilę. I pyta:

– Chce pan zatańczyć?

Nie ma pojęcia, co to dla mnie znaczy. A może ma? Myślałem, że matka nigdy jej nie powie. Czyżby jednak powiedziała? A jeśli nie, czy to możliwe, żeby Ema była aż tak niezwykle spostrzegawcza? I miała aż taką intuicję?

To pewnie geny.

Z trudem odzyskuję głos.

– Będzie mi bardzo miło.

Wychodzimy na parkiet. Stajemy naprzeciwko siebie. Ema kładzie mi rękę na ramieniu i podaje drugą. Zaczynamy tańczyć. W pewnym momencie dziewczyna przysuwa się bliżej. Składa głowę na moim ramieniu.

Ledwo się poruszam. Ledwo oddycham.

Pragnę, żeby chwila ta trwała jak najdłużej.

## Podziękowania

Autor (który od czasu do czasu lubi mówić o sobie w trzeciej osobie) chciałby podziękować następującym osobom, wymienionym tu bez konkretnego porządku: Michelle Singer, Andy'emu Morganowi, Rickowi Kronbergowi, Lindzie Fairstein, Ianowi Rankinowi (to on wybierał piwo), Billowi Friedmanowi, Rickowi Friedmanowi (chyba nie są spokrewnieni, przynajmniej tak myślę), Selinie Walker, Benowi Sevierowi, Christine Ball, Jamiemu Knappowi, Carrie Swetonic, Stephanie Kelly, Lisie Erbach Vance, Diane Discepolo, Craigowi Cobenowi oraz dr Anne Armstrong-Coben.

Opowieści o Mickeyu Bolitarze, jego przyjaciółce Emie i Łysze można znaleźć w poświęconej im trylogii, w *Schronieniu*, *Kilka sekund od śmierci* i *Odnalezionym*. Myślę, że powieści te spodobają się także dorosłym. Występuje w nich również Myron, ponieważ każde urozmaicenie jest fair.

Autor pragnie także podziękować Joemu Corlessowi, Robowi Dixonowi, Neilowi Huberowi, Alyse Mervosh, Denise Nussbaum, Jessemu i Mindzie Rogersom, Chrisowi Alanowi Weeksowi i Danielowi Yiannikosowi. Osoby te (lub ich bliscy) złożyły hojne darowizny na rzecz wybranych przeze mnie instytucji charytatywnych w zamian za to, że ich nazwisko ukaże się w powieści. Jeśli chcielibyście pójść w ich ślady, odwiedźcie stronę internetową [www.HarlanCoben.com](http://www.HarlanCoben.com) lub poproście o szczegóły, pisząc na [giving@harlancoben.com](mailto:giving@harlancoben.com).

## Przypisy

- <sup>1</sup> Koszykówkę wymyślił James Naismith, nauczyciel wychowania fizycznego z Massachusetts, który podczas pierwszych treningów zawieszał na ścianach kosze do zbierania owoców.
- <sup>2</sup> Arthur Conan Doyle, *Skandal w Czechach*.